

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1990

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1990

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 463

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0131-2

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Jerzy POLACZEK

LOSY PATROLU KPT. „WANI”

— Panie doktorze — zapytałem. — Dlaczego właśnie Pana wyznaczono do nawiązania łączności z dowództwem sowieckim na Pradze?

Było to w styczniu 1986, w mieszkaniu dr Paczkowskiego przy ul. Odyńca 69 w Warszawie, na kilka miesięcy przed jego śmiercią.

— W pewnym sensie była to moja inicjatywa. Znałem dobrze gen. Komorowskiego. Przed wojną był dowódcą mego pułku. W czasie okupacji rozmawiałem z nim kilkakrotnie. Ostatni raz w połowie lipca 1944, w obecności gen. „Montera”. Relacjonowałem sprawę stosunków z partyzantką sowiecką i „Burzy” na Polesiu. Wyraziłem wówczas pogląd, że może lepiej byłoby wysłać do Sowietów małe grupy lub pojedynczych oficerów, niż ujawniać się całymi oddziałami, które będą musiały z nimi walczyć we własnej obronie. Wtedy zapytał mnie „Monter”, czy ja zgodziłbym się iść. — Tak jest! — odpowiedziałem. Przypuszczam, że „Monter” przypomniał sobie mnie, gdy zaszła potrzeba wysłania ludzi na Pragę.

Ale zacznijmy od początku.

Dogasało Powstanie Warszawskie. Broniły się jeszcze odosobnione ośrodki: Żoliborz, Śródmieście, Powiśle Czerniakowskie, Mokotów. Dnia 14 września wojska I Frontu Białoruskiego zajęły Pragę. Ściągnięto tu oddziały I Armii Wojska Polskiego gen. Berlinga. Część tych oddziałów dokonała desantu na zachodni brzeg Wisły, tworząc przyczółki na Czerniakowie i Żoliborzu. Nad Warszawą pojawiły się, po raz pierwszy od wybu-

chu powstania, samoloty sowieckie. Wykonały przy tym rzuty broni i żywności.

Wydarzenia te obudziły ponownie nadzieje na pomoc ze wschodu. Dowództwo powstania podjęło niezwłocznie próby nawiązania bezpośredniej łączności z dowództwem I Frontu Białoruskiego. Jedną z nich było wysłanie na Pragę patrolu oficerskiego kpt. „Wani”. Dowódca oddziałów powstańczych na Mokotowie, ppłk Józef Rybicki ps. „Karol”, otrzymał drogą radiową w dniu 15 września, od dowódcy powstania gen. bryg. Antoniego Chruściela ps. „Monter”, rozkaz wysłania na Pragę trzech oficerów. Mieli przedstawić dowództwu sowieckiemu aktualne położenie wojskowe powstania, wskazać miejsca rzutów broni oraz uruchomić łączność radiową. Do wykonania tego zadania ppłk „Karol” wyznaczył:

— jako dowódcę patrolu: — kpt. Alfreda Paczkowskiego ps. „Wania” — zastępcę szefa operacyjnego w sztabie obwodu Mokotów¹,

— por. Józefa Niederhaus-Zawistowskiego ps. „Zawisza”, oficera sztabu podobowodu wschodniego Mokotów²,

— ppor. łączności Edwarda Majcherczyka ps. „Marat”, dowódcę plutonu „Radio” pułku „Baszta” na Mokotowie³.

Kpt. „Wania” zabrał ze sobą plan Warszawy, na którym było oznaczone aktualne położenie jednostek powstańczych i

1. Dr med. kpt. Alfred Paczkowski, ur. 11.V.1909. Ukończył Szkołę Podchor. Sanitarnych i studia na wydz. lekarskim UW. W kampanii wrześniowej walczył w 9 p.uł. nad Bzurą i w obronie Warszawy. Ranny. Ucieczka z niewoli. Przez Węgry przedostaje się do Francji, gdzie walczy w 3 Dyw. Piech. Potem w W. Brytanii jako lekarz w 1 Bryg. Strzelców. Po odbyciu kursu dywersji, jako „cichociemny”, zostaje zrzucony do kraju w grudniu 1941 r. Mianowany dowódcą III Odcinka „Wachlarza”. Ujęty przez Niemców w listopadzie 1942. Odbity z więzienia w Pińsku w styczniu 1943. Następnie w „Kedywie” w KG AK, a potem jako szef „Kedywu” Obszaru AK Białystok. Zostaje ranny. Od maja 1944 w Okręgu Polesie. W „Burzy” jako dowódca 84 pp w 30 Dywizji Poleskiej AK. Ranny pod Mańczakami. W Powstaniu Warszawskim w sztabie Obwodu Mokotów.

2. Por./rtm. Józef Niederhaus-Zawistowski, ur. 1.V.1909. W roku 1932 ukończył kurs Szkoły Pchor. Rez. w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu, a w 1936 studia na wydz. biologii i nauki o ziemi UW. W kampanii wrześniowej walczył w obronie Warszawy. Ranny. Od 1940 w szeregach ZWZ-AK w Warszawie. W Powstaniu Warszawskim oficer sztabu V Podobowodu Mokotów.

3. Ppor. łączn. Edward Majcherczyk, ur. 24.VI.1918. Absolwent Szkoły Pchor. Łączności w Zegrzu. W kampanii wrześniowej w 6 baonie łączności w Jarosławiu. Rozbrojony przez wojska sowieckie. Ucieka z niewoli. Przedostaje się do Warszawy. Od 1941 w ZWZ-AK. Uczestniczy w szkoleniu łącznościowców. W Powstaniu Warszawskim w szeregach „Baszty” na Mokotowie, jako d-ca plutonu „Radio”.

niemieckich. Ppor. „Marat” został zaopatrzony w kwarce, odpowiednie kody i szyfry do nawiązania łączności radiowej. Do patrolu przydzielony został pchor. Jerzy Krzysztofowicz ps. „Selim”, w charakterze przewodnika na trasie kanałowej.

W tym czasie istniały dwie możliwości dotarcia z Mokotowa do brzegów Wisły. Pierwsza kanałami, przez tereny zajęte przez Niemców, na przyczółek Czerniakowski, gdzie walczyły oddziały powstańcze. Druga górą, przez Siekierki, lawirując między patrolami i stanowiskami niemieckimi. Kpt. „Wania” postanowił próbować przejść górą, ze względu na niezagojoną ranę z czasu walk na Polesiu. Licząc się jednak z niepowodzeniem, wyprawił wieczorem 16 września pchor. „Selima” z zadaniem rozpoznania trasy kanałami na Czerniaków.

Patrol kpt. „Wani” wyruszył w drogę ok. godz. 22.30. Mieli ze sobą dętki samochodowe, dla ułatwienia przepłynięcia Wisły. Towarzyszyła im — dla osłony — drużyna dziesięciu dobrze uzbrojonych „szwoleżerów” z kompanii kpt. „Górala”.

Trasa prowadziła z rejonu parku Dreszera ulicą Dolną, Piaseczyńską do Królikarni i dalej na wschód, w kierunku Alei Sobieskiego. Na Piaseczyńskiej — wspomina E. Majcherczyk „Murat” — natknęli się na konny patrol niemiecki, z którym rozstali się bez wymiany ognia. Najwidoczniej uzbrojenie „szwoleżerów” wzbudzało u Niemców dostateczny respekt. Potem napotkali na silny ogień z broni maszynowej. Niemcy oświetlali teren raketami i wysyłali psy. W pobliżu ulicy Idzikowskiego zostali na długo przygwożdżeni ogniem do ziemi. Słyszeli niemieckie głosy. Gdy zaczęło się rozwidniać, musieli się stamtąd wyczołgać. Wrócili do bazy. Na szczęście bez strat.

Pchor. „Selim” powrócił z rozpoznania trasy kanałowej rano 17 września, straszliwie brudny i zmęczony. Droga kanałami na Czerniaków była pełna przeszkód, ale możliwa do przebycia. Dotarł do wjazdu na rogu Czerniakowskiej i Zagórnej. Stwierdził, że obydwa narożniki od strony północnej były w rękach powstańców.

Przejście przez kanały miało się rozpocząć wieczorem. Tymczasem dowódca powstania gen. „Monter” powziął decyzję wysłania ze Śródmieścia następnej grupy, z zadaniem nawiązania łączności z dowództwem Armii Czerwonej na Pradze. Ponieważ droga kanałami była przerwana, grupa musiała przejść drogą okrężną, przez Mokotów. Późnym wieczorem 16 września, na Placu Trzech Krzyży, weszli do wjazdu kanałowego:

— por. łączności Czesław Pieniak ps. „Mak” — dowódca kompanii radiolączności komendy Okręgu Warszawskiego⁴,

4. Por. łączności Czesław Pieniak, ur. 24.IX.1918. Absolwent Szkoły

— kpt. Konstanty Kaługin — oficer Armii Czerwonej⁵,
— por. Władysław Jagiełło ps. „Król” — przedstawiciel dowództwa Armii Ludowej w Warszawie.

Przewodnikiem tej grupy w drodze na Mokotów była Elżbieta Gross-Ostrowska ps. „Ela”. Por. „Mak” wyposażony został na drogę we wszystkie elementy niezbędne do nawiązania łączności radiowej oraz pismo od dowódcy powstania, gen. „Montera”, do dowódcy Armii Czerwonej pod Warszawą.

Przejsie na Mokotów zajęło im kilka godzin. W rejonie Alei Szucha natknęli się na zaporę z szyn żelaznych. Musieli ze ścian wykruszyć kilka cegieł. Zajęło to sporo czasu. Ostatni odcinek drogi był szczególnie uciążliwy. Kanał był niski, a poziom ścieków wysoki. Wyszli z kanałów w rejonie parku Dreszera. Odprowadzono ich na kwaterę do dowództwa odcinka Mokotów, u zbiegu Szustra i Puławskiej, gdzie spędzili resztę nocy. Grupa ta została włączona do patrolu kpt. „Wani”. Mieli wyruszyć wszyscy razem, wieczorem dnia 17 września.

Wspomina E. Majcherczyk „Murat”:

Przed ruszeniem w drogę nas czterech, kpt. „Wania”, por. „Zawisza”, por. „Mak” i ja, zameldowaliśmy się u ppłk. „Karola”, który w sposób ojcowski pożegnał się z nami. Otrzymaliśmy medali z wizerunkiem Matki Boskiej i każdy z nas mógł wziąć na drogę złote dolarówki, z kupki leżącej na stole. Wziąłem jedną na pamiątkę i pamiętam, że wszyscy postąpili podobnie. W tej misji pieniądze nie były nam potrzebne. Na koniec ppłk „Karol” ucałował się z każdym i odprowadzając nas w drogę, pobłogosławił znakiem krzyża.

Patrol wyruszył ok. godz. 18-tej z wjazdu na rogu ul. Wik-

Pchor. Łączności w Zegrzu. W kampanii wrześniowej w 5 baonie telegr. Internowany na Węgrzech. Przedostaje się do Francji, potem do W. Brytanii. Przydzielony do 10 Bryg. Kawalerii Panczernej, potem do 1 Samodz. Bryg. Spadochronowej. Po przeszkoleniu w radiotelegrafii i dywersji, jako „cichociemny” zostaje zrzucony na teren kraju w lutym 1943. Pełni funkcję z-cy dowódcy, a potem dowódcy kompanii radiolączności „Kram” przy KG AK. W Powstaniu Warszawskim — dowódca kompanii radiolączności Warszawskiego Okręgu AK.

5. Kpt. art. Konstanty Kaługin dostał się do niewoli niem. w 1942 r. Został zwerbowany do ROA (*Russkaja Oswoboditielnaja Armia*). Nawiązał kontakt z dowództwem Gwardii Ludowej. Zlecono mu prowadzenie pracy wywiadowczej w sztabie ROA. Gdy poczuł się zagrożony, przewieziono go do Warszawy, gdzie miał oczekiwać na przerzucenie go do partyzantki sowieckiej. Po wybuchu Powstania Warszawskiego zgłosił się do jednostki powstańczej AK w Śródmieściu, oświadczając, że jest oficerem wywiadu sowieckiego i prosi o umożliwienie mu nawiązania zerwanej łączności. (Źródło: A. Przygoński, *Powstanie Warszawskie w sierpniu 1944*, PWN 1987)

torskiej i Kazimierzowskiej. Wg E. Majcherczyka, pierwszy szedł pchor. „Selim” jako przewodnik, a za nim kpt. „Wania”, kpt. Kaługin, por. „Mak”, por. „Król”, por. „Zawisza” i ostatni ppor. „Marat”. Mieli na sobie różną odzież: mundury lub cywilne ubrania. Takie, w których walczyli w powstaniu. Na ramionach biało-czerwone opaski. Po przejściu kilkudziesięciu metrów kanałami wyglądali już jednolicie. Byli wyposażeni w broń krótką i granaty. Mieli latarki, cęgi do cięcia drutów i łomy do usuwania przeszkód.

Odcinek kanału pod ul. Wiktorską miał średnicę 60-80 centymetrów. Trzeba go było pokonywać na kolanach i łokciach. Były trudności z przepychaniem potężnego por. Zawistowskiego „Zawiszy”, który na dobitek szedł z wielkim plecakiem. Pod ulicą Puławską kanał był wyższy. Jednak wysoki „Wania” i „Zawisza” musieli iść pochyleni. Przy ulicy Dworkowej natrafili na otwarty właz. Dochodziły wyraźne rozmowy Niemców. Kanał pod włazem był zagrodzony zasiekami z drutów kolczastych. Trzeba je było ostrożnie i cicho przecinać. Nieostrożność mogła przynieść tragiczny koniec. Dalej odgałęzienie kanału spadało ostro w dół, po czym był kilkusetmetrowy odcinek szlamu, sięgającego piersi. Broń musieli uwiązać u szyi. Wodociągi były nieczynne, deszczów nie było, więc ciecz w kanałach była bardzo gęsta.

W okolicy Łazienek znowu kilka zasieków kolczastych. Jeden z odcinków był zachlorowany. Musieli go przebyć szybko. Co jakiś czas natrafiali w ściekach na ludzkie zwłoki. Była już noc, gdy doszli do włazu na rogu Czerniakowskiej i Zagórnej. Właśnie tu dotarł poprzedniego dnia pchor. „Selim”.

A. Paczkowski „Wania” wspomina:

„Selim wspiał się po drabinie. Na górze widniała brązowa łuna. Czekaliśmy na dole. Po jakimś czasie zaczęliśmy się niepokoić. „Selim” miał tylko rozejrzeć się i wrócić. Rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Wyszedłem na górę pierwszy, za mną „Mak”, potem Kaługin. Reszta została na dole.

E. Majcherczyk „Marat” wspomina:

Na górze silny ogień z dział i moździerzy na Pragę i z Pragi. Odgłosy wybuchów jakby rozrywały wokół wnętrze ziemi. Wtórowały serie z broni maszynowej. Nie wiem jak długo czekaliśmy. Powrócili bez „Selima”. Cały teren wokół był już zajęty przez Niemców. Ciało „Selima” nigdy nie odnaleziono.

O godzinie drugiej ruszyli kanałem w stronę Wisły. Teraz pierwszy szedł „Mak”, ostatni „Zawisza”. Po około trzystu

metrach natrafili na burzowiec, którym dotarli do zamkniętej kraty. Tu kończył się kanał. Musieli zawrócić. Trafili do obszernej komory z galerijką i wyszli po schodkach na górę. Z trudem udało się przesunąć wysoko położoną pokrywę wjazdu. Pierwszy wyszedł „Mak”. Byli na ulicy Solec. Pomagając sobie wzajemnie, wydobyli się na powierzchnię. Z otworu wjazdu trzeba było przeskoczyć do rowu za jezdnią, gdyż szły serie z broni maszynowej. „Zawisza” zaklinował się w otworze wjazdu ze swym plecakiem. Wrócił po niego „Marat”, aby mu pomóc. Wokół łuny pożarów, wybuchy granatów, paciorki pocisków świetlnych. Wreszcie z tego chaosu zaczęły do nich docierać odgłosy polskiej mowy. Byli wśród swoich.

Odcinek ograniczony Czerniakowską, Zagórnią, Ludną i Wisłą zajęty był przez oddziały AK ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława” i oddziały I Armii Wojska Polskiego. Budynki w większości uległy zniszczeniu. Palily się. Piwnice zawalone ranymi. Wodę zdobywano z Wisły. Tylko w nocy.

Skierowano ich na miejsce dowodzenia kpt. Zbigniewa Ścibor-Rylskiego ps. „Motyl”. „Wania” wraz z Kaługinem udali się na rozmowę do ppłk. „Radosława”. Okazało się, że tej nocy przeprawa przez Wisłę jest niemożliwa, z uwagi na silny ogień ze strony Niemców, położony na płycie Czerniakowskiej i Wiśle. Musieli przeczekać do następnej nocy.

E. Majcherczyk „Marat” wspomina:

Z kanałów wyszliśmy umorusani i śmierzący, pokryci gęstym szlamem fekalii i innych nieczystości. Nie było wody. Ani do picia, ani tym bardziej do mycia. Brudnymi paluchami wydobywaliśmy słoną „tuszonkę” z puszek amerykańskich, które berlingowcy przywieźli z Pragi.

Do rana przekucaliśmy w piwnicy wraz z mieszkańcami domu, resztkami ich dobytku, pościelą i pokrywającą wszystko sadzą, wydmuchiwaną z kominów. Następnego dnia sytuacja powstańców pogorszyła się. Niemcy podchodzili coraz bliżej, rzucając na podwórko ręczne granaty. Z trudem udało się nam ich odrzucić. Pod wieczór dostaliśmy trochę wody do picia.

Przeprawa rozpoczęła się 18 września z zapadnięciem zmroku, w miejscu, gdzie dziś znajduje się Pomnik Saperów. Tej nocy ogień był znacznie mniejszy. Ilość uczestników przeprawy została zwiększona. Ppłk „Radosław” dołączył do przeprawy pchor. Eugeniusza Pacewicza ps. „Sulima” — łącznika swego sztabu, z osobnymi zadaniami. Miało też płynąć siedmiu rannych oraz pięciu jeńców niemieckich. Przeproważało się razem 19 ludzi. Do przeprawy przydzielono im szeroką, płaskodenną krypę piaskarską. Nocy była ciemna.

E. Majcherczyk „Marat” wspomina:

Skokiem dotarliśmy do brzegu. Zaczęliśmy się ładować. Na krypie były 3-4 ławki. Jeńcy siedzieli w kucki na dnie. Były trzy wiosła. Przy jednym usiadł „Mak”, przy drugim ja, przy trzecim — stanowiącym z tyłu ster — usiadł kpt. „Wania”. Odepchnięto nas. Zaczęliśmy wiosłować. Niezbyt wprawnie, ale silnie, desperacko. Żeby nie dać się znieść pod stanowiska niemieckie, na wraku mostu Poniatowskiego. Napięcie było tak wielkie, że nie pamiętam szczegółów. Nie wiem, jak długo to trwało.

W pewnym momencie złamało się pióro mojego wiosła. Zaczęliśmy się kręcić. „Wania” wyrwał swoje wiosło i przerzucił je do mnie, a sam zaczął sterować rękami.

Gdy byliśmy na środku rzeki, dostaliśmy ogień pociskami świetlnymi od Mostu Poniatowskiego. Stanowiska Niemców były w odległości kilkuset metrów. Nikt na szczęście nie został ranny.

W pewnej chwili zobaczyłem na brzegu sylwetki żołnierzy. Wylądowaliśmy przy Wale Miedzeszyńskim, w odległości około 400 metrów od Mostu Poniatowskiego. Żołnierze berlingowcy pomagali nam zejść na brzeg. Kpt. „Wania” i Kaługin wyjaśnili im cel naszego przybycia. Przyjęli rannych i jeńców niemieckich.

Byliśmy na Saskiej Kępie. Przy ulicy Dąbrowieckiej 8 mieszkała moja siostra — Janina Starost. Zaproponowałem, abyśmy poszli tam ogarnąć się i odpocząć. Było to blisko. Nikt nas po drodze nie zatrzymywał. Zorganizowano nam zaraz kąpiel, pranie odzieży i przebranie w czystą bieliznę. Nakarmieni, położyliśmy się spać.

Kaługin odszedł od nas tej samej nocy i więcej o nim nie słyszeliśmy.

Na drugi dzień rano „Mak” wyszedł na dach domu, aby obserwować Warszawę. Ściągnął go stamtąd szybko patrol berlingowców i wszystkich nas odprowadzono do jakiegoś sztabu przy ul. Grochowskiej. Spisano nasze personalia i przywieziono do sztabu I Armii w Zielonej pod Rembertowem, na „rozmowy”.

Rozmowa odbyła się w dniu 20 września. Uczestniczyli w niej wszyscy oficerowie z patrolu kpt. „Wani”, a także pchor. E. Pacewicz i por. W. Jagiełło z Armii Ludowej. Ze strony dowództwa I Armii WP byli: szef oddziału „rozpoznawczego” i jego zastępca oraz por. Brandwain, znający język polski. Oficerowie AK przedłożyli pismo od dowódcy Powstania do dowódcy Armii Czerwonej pod Warszawą i domagali się umożliwienia im kontaktu z dowództwem sowieckim. Następnie przedstawili informacje o organizacji i położeniu sił powstańczych i jednostek niemieckich. Z rozmowy tej spisany został protokół. Por. W. Jagiełło udał się w dniu następnym do Lublina, natomiast pchor. E. Pacewicz „Sulima” odłączył się, aby realizować wyznaczone mu zadania.

Por. Czesław Pieniak „Mak”, występujący pod nazwiskiem Jakub Korpatkow, i ppor. Edward Majcherczyk „Marat” zostali skierowani do szefostwa łączności I Armii WP, celem nawiązania łączności radiowej z powstańczą Warszawą.

E. Majcherczyk „Marat” wspomina:

W nocy z 20 na 21 września przewieziono „Maka” i mnie do radiostacji polowej, która znajdowała się w pobliżu Zielonej. Wieziono nas z zastoniętymi oczami. Tam ustalono, że „Mak” otrzyma sprzęt wraz z obsługą do uruchomienia łączności radiowej, a ja zostanę przydzielony do biura szyfrów, które mieściło się w bezpośrednim sąsiedztwie sztabu. Mój udział w pracach biura szyfrów był nieodzowny, z uwagi na znajomość sytuacji w Warszawie i znajomość języka polskiego.

Łączność radiowa z dowództwem powstania została nawiązana dopiero w południe 24 września. Nie wynikało to z opieszłości powstańców. Radiogramy do Warszawy podpisywane były nazwiskiem Berling, choć Berlinga już tam nie było. Miejsce jego zajął gen. Władysław Korczyc. Nadawano i odbierano po kilka radiogramów dziennie.

Otrzymali w pobliżu kwaterę. Początkowo mieszkali tam: kpt. Paczkowski, por. Zawistowski, por. Pieniak i ppor. Majcherczyk. Przydzielono im ordynansa.

A. Paczkowski „Wania” wspomina:

Zamieszkaliśmy w osobnym domku, w lesie sosnowym. Obsługiwał nas żandarm — Polak — który miał polecenie szpiegowania nas, o czym nas lojalnie uprzedził. Dodał jeszcze później: „Pójdziecie wszyscy do pierdła — na pewno”. I pokiwał głową z przekonaniem.

Przez cały czas pobytu w Zielonej mieli na sobie odzież, w której przyszli z powstania. Tylko kpt. „Wania”, który miał bluzę amerykańską z tropiku i spodnie brezentowe, otrzymał jakiś płaszcz wojskowy i furażerkę.

Pozwolono im zatrzymać broń boczną i nikt nie kwestionował noszenia przez nich biało-czerwonych opasek.

Początkowo chodzili na posiłki do stołówki przy sztabie, potem im przynoszono na kwaterę. Aby się nie kręcili wokół sztabu.

— Panie Doktorze — zwróciłem się do dr Paczkowskiego — swoją książkę wspomnieniową „Ankieta cichociemnego” zamyka Pan słowami: Przed nami było N O W E”. Czy nie myślał Pan o napisaniu dalszego ciągu „Ankiety”?

— Widzi Pan — lata wojny z Niemcami były dla mnie ciężkie. Ale walczyliśmy z wrogiem. Mogłem to wszystko opisać bez oporów. Książki o dalszych przeżyciach, o dramacie „Burzy”, o więzieniach i o obozach na wschodzie, nie mógłbym już napisać, gdyż najpierw musiałbym wyrzucić z siebie całą gorycz i ciężkie oskarżenia. I to nie pod adresem Stalina, który nie miał żadnych powodów, aby nam sprzyjać, a pod adresem naszych sojuszników. To za ich przyzwoleniem zostaliśmy upokorzeni łaskawością Stalina, który dał nam niepodległość taką, jaką dziś mamy. I to była zapłata za wzięcie na siebie całego ciężaru wojny we wrześniu 39 r., za lotników nad Anglią, za Tobruk, za Monte Cassino, za setki tysięcy ofiar w kraju.

Jeśli chodzi o pobyt w więzieniach i łagrach na wschodzie, to przypuszczam, że niechcący uratował mi życie. I wielu innym. Katynia nam zrobić nie mogli, bo Katyń już był. Mimo sztyku i głodu, przeżyliśmy. Rozmawiałem kiedyś o tym z „Gzymsem”-Pukackim. On też był tego zdania. Poszlibyśmy do „lasu” albo na front i pod Kołobrzegiem, czy gdzie indziej, wybiliby nas Niemcy. Jak tysiące innych. Byłem niedawno pod Kołobrzegiem. Oglądałem te zaniedbane mogiły. To nikogo już dziś nie obchodzi. To moje „Nowe” nie odbiega zresztą zbyt- nio od losów wielu innych.

Jak już mówiłem — ciągnął dr Paczkowski — mieliśmy rozkaz dotrzeć do dowództwa Armii Czerwonej pod Warszawą i tak stawialiśmy sprawę od początku. Pomijano to milczeniem. Skończyło się na rozmowach z „Informacją” Wojska Ludowego.

Swoje zadanie wykonałem w ciągu 2-3 dni. Przekazałem mapy, przedstawiłem szczegółowo położenie i uzbrojenie oddziałów powstańczych i niemieckich. Radiotelegrafisci zajęli się nawiązaniem łączności.

Powstał teraz problem: co z nami dalej?

Jeśli chodzi o mnie, to byłem przekonany, że zostanę aresztowany. Zebrałem moich trzech kolegów i powiedziałem: „na moją odpowiedzialność zwalnię was z Armii Krajowej. Macie dwa wyjścia: albo 'pryskać', albo wstąpić do armii Berlinga. (Bo były już takie propozycje.) Ja jeden nie mogę ani pryskać, ani do nich wstępować, bo przyszedłem tu jako oficer łącznikowy”.

W sztabie w Zielonej stykaliśmy się z wieloma oficerami w polskich mundurach. Wielu z nich, byli to oficerowie oddelegowani z NKWD. Niektórzy w ogóle nie mówili po polsku. Polaków było niewiele. Czuję się tam fatalnie. Dokuczala mi rana. Widziałem, że Powstanie Warszawskie się kończy.

Stawiano mi propozycje wstąpienia do wojska. Pamiętam, że oferowano mi funkcję dowódcy zwiadu pancernego (to 5 czołgów) i awans na majora.

Odpowiedziałem, że jestem oficerem Armii Krajowej i nie mogę wstąpić do żadnej innej. Moja armia bije się za Wisłą. Dajcie mi spadochron i zrzućcie mnie na Warszawę.

— Nie mamy spadochronów — odpowiedzieli.

Rzeczywiście, Sowieci nie dawali im spadochronów. Wobec tego wysunąłem propozycję, że chcę rozmawiać z Mikołajczykiem. Wiedziałem, że Mikołajczyk jest w Moskwie.

Przewieziono mnie na dalsze rozmowy do Bezpieczeństwa pod Rembertów. Opowiadam cały życiorys. Spisują. Niczego nie ukrywam. Nie miało to już najmniejszego znaczenia. Proponują mi: chce Pan do wojska? To już załatwiamy etat majora.

Przeczę głowę.

Następnego dnia odwożą mnie ciężarówką do Lublina. Zatrzymujemy się pod Zamkiem. Kierowca i konwojenci gdzieś poszli. Czekam długo. Potem zląłem. Opalam się. Wszystko było zrobione tak — żebym przysnął. A ja nie. Przyszli dopiero pod wieczór. Jedziemy do miejscowości Worsy. Stał tam wtedy sztab Rokossowskiego.

Tam miałem rozmowę z pułkownikiem NKWD. Znowu powtarzam cały życiorys. Spisywał wszystko. Był bardzo grzeczny. Na koniec zwrócił się z pytaniem — jakie są moje życzenia. Postanowiłem trzymać się jednego i powiedziałem, że chcę rozmawiać z Mikołajczykiem, w sprawie pomocy dla powstania.

— Dobrze — odpowiedział. — Proszę iść spać.

Ulokowano mnie w chłopskiej chacie. Jeden żołnierz położył się przy drzwiach na podłodze. Nie zamierzałem uciekać.

Rano zaprowadzono mnie do tego samego pułkownika.

— Leci samolot do Moskwy — powiada. — Chce Pan lecieć? (Tak mnie podbiera.)

— Naturalnie, że chcę — odpowiadam.

Przewieziono mnie samochodem do miejscowości Międzyrzec Podlaski. Jechał ze mną kpt. NKWD. Trwało to kilka godzin. Podjechaliśmy na lotnisko polowe i dołączamy do grupy urlopowiczów. Samolotem Douglas lecimy 2 godziny do Moskwy. Było to 30 września. Lotnisko w Moskwie. Mój towarzysz podróży zostawił mnie i poszedł telefonować. Trwało to długo. Ja stoję na lotnisku. Wreszcie przyjechał po nas cały pusty autobus. Wsiadamy, jedziemy. Zajeżdżamy przed dość duży budynek parterowy. Kazano mi wysiąść, zatrzaśnięto drzwi, autobus odjechał. Zostałem sam na ulicy. Nie wiedziałem, co robić. Dopiero po kilku minutach wybiegło z budynku kilkunastu uzbrojonych bojów i otoczyli mnie. Śmieszyła mnie groteskowość tej sceny. Podjechał duży samochód do rozwożenia chleba. Wsadzono mnie do środka za drucianą siatkę, przy której stańto dwóch uzbrojonych strażników. Poczulem się ważną figurą.

Zawieziono mnie na Łubiankę. Za czasów carskich był tu podobno jakiś hotel. Budynek rozbudowano, wzniesiono wiele pięter. Teraz były tu biura ministerstwa i centralne więzienie.

Posadzono mnie początkowo w pojedynkę w dużej celi, w starej części budynku. Na ścianach resztki stiuków.

Coś sobie przypomniałem, że należy nie jeść. Więc zacząłem głodówkę.

Przychodzi jakiś oficer: „Dlaczego Pan nie je”?

Bo ja chcę się dowiedzieć, za co siedzę.

Jesteście oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Przeprowadziliście szpiega niemieckiego, Kaługina.

Dosłownie tak mi powiedział. Zrozumiałem, że będę musiał mówić i udowadniać, że nie jestem szpiegiem.

Zacząłem jeść. Ale nie przestałem głodować, bo w tym więzieniu był jeden koszmarny głód. Na Łubiance tak spadłem z sił, że nie mogłem w ogóle chodzić.

Przez wiele nocy mówiłem od początku swój życiorys. Było mi zimno. Cały czas byłem w mundurze z tropiku, miałem koszulę i szalik, spodnie brezentowe i buty gumowe do kolan.

Dzienna porcja chleba — ta podstawa więziennego wyżywienia — wynosiła tylko 200 gramów. Rano: kubek wody, łyżeczka cukru. Na obiad wodnista zupa i łyżka kaszy, bez tłuszczu i bez mięsa. Na kolację taka sama zupa.

Mogłem natomiast czytać. Była tylko beletrystyka. Pamiętam, że czytałem wiele tłumaczeń z hiszpańskiego. Oczywiście po rosyjsku.

Przesłuchiwał mnie ciągle ten sam major. Żyd. Jerofimow. Tak się przedstawił. Odnosił się do mnie przyzwoicie.

W dzień nie wolno spać. Pali się światło. Mogę się położyć, ale nie wolno zamknąć oczu. Nauczyłem się siedzieć z otwartą książką i spać z otwartymi oczami. Strażnicy szybko odkryli ten podstęp i budzili mnie. Nie mogłem nauczyć się przewracać we śnie kartek.

O godzinie dziewiątej wieczorem można się kłaść spać. Gdy tylko się rozebrałem i położyłem, otwierają się drzwi i pytanie: kto tu jest na *bukwu* P. Nikogo innego w celi oprócz mnie nie ma.

Prowadzą mnie na przesłuchanie. Korytarze, winda, korytarze. Kilka godzin od początku życiorys. Śledczy i ja, znamy go już na pamięć, ale chodzi o to, czy ja czegoś nie zmienię. Było ze 30-40 takich przesłuchań. Żadnych zarzutów. Tylko mój życiorys i kogo ja znam. *Nota bene* — dzięki temu, po wojnie, mogłem napisać książkę. Tak wówczas utrwaliły mi się w pamięci wydarzenia, miejscowości i nazwiska.

Pomiędzy mną a śledczym wytwarza się coś w rodzaju przy-

jaźni. Widzę, że i jego to męczy. Coraz częściej zasłania się gazetą i śpi, siedząc przy stole. Raz opowiadałem coś nowego o szkoleniu nas w Anglii. W pewnym momencie zapomniałem nazwy miejsca naszego szkolenia. On mi podpowiedział. Zrozumiałem, że są tu jeszcze inni „cichociemni”.

Po czterech miesiącach przestałem chodzić. Wiedziałem jednak, że jestem bacznie obserwowany. Któregoś dnia przyszła felczerka, wzięła mnie pod ramię i zaprowadziła do lekarza. Zrobiła mi się od zęba tzw. fluksja. Miałem nieznacznie opuchnięty policzek. Zupełnie się nie skarżyłem. Ale zauważono to. Lekarz już o tym wiedział. Kazał mi dawać przez kilka dni po tyżeczce suszonych drożdży. Twierdził, że to mi dobrze zrobi. Wiedziałem, że to mi nie pomoże, ale jadłem, bo byłem po prostu głodny.

Nadeszła zima. Początek stycznia. W czasie przesłuchania mój śledczy zawiadomił mnie, że będę przewieziony do innego więzienia i że będę tam żywiony według norm dla jeńców niemieckich. Rzeczywiście następnej nocy wywieziono mnie do więzienia lefortowskiego, które jest już prawdziwą więzienną budowlą, o bardzo grubych murach. W celach zimno. Nie widać skrawka nieba.

Tutaj nie trzymano mnie już w pojedynkę. Zetknąłem się w tym więzieniu z wieloma bardzo interesującymi i wykształconymi ludźmi. Byli Rosjanie-białogwardziści, Czesi, Niemcy, Rumuni. Tu dowiedziałem się o zajęciu Warszawy. Słyszałem saluty armatnie. Nie byłem już przesłuchiwany. Zaczęto mnie lepiej karmić. Otrzymywałem 600 gramów chleba dziennie, pożywniejsze zupy, znacznie więcej kaszy i ... co szczególnie ważne, po 7 dobrych papierosów dziennie. Jak dla mnie, było tego nawet za dużo. Dzieliłem się ze współwięźniami, którzy nie otrzymywali tyle co ja.

— Odżywiają mnie — myślę. — Będą chcieli mnie pokazać. Siedziałem w małej celi, gdzie mieszczą się dwa łóżka. Dostawiono trzecie i zrobiło się ciasno.

Przez moją celę przeszło w tym czasie wielu ciekawych ludzi. Siedział ze mną przez pewien czas słynny ataman kozacki Aleksiejew, a także znany admirał rumuński — Sablin. Sablin, wysoki, tęgi, lat około 80, był kiedyś prezesem komitetu opieki nad carską rodziną Romanowych. Po rewolucji znalazł się w Rumunii i był admirałem marynarki rumuńskiej. Godzinami słuchałem jego opowieści o korpusie paziów, w którym rozpoczął służbę, o dworze carskim. Po powrocie do kraju spotkałem kogoś, kto mi opowiadał że był w jakimś obozie z Sablinem i że Sablin tam zmarł.

Był ze mną też pułkownik szwoleżerów Pawłow, z armii

carskiej. Znał bardzo dobrze starą Warszawę, o której opowiadał z wielkim sentymentem i znanstwem. Po rewolucji znalazł się w Jugosławii, gdzie uczył języków obcych. Po klęsce Niemiec postanowił wrócić do ojczyzny.

Siedział też Niemiec, podoficer radiotelegrafista, pracownik ambasady niemieckiej w Bukareszcie. Przebywał w ambasadzie, kiedy ambasador meldował Ribbentropowi, że będzie przewrót w Rumunii. Ribbentrop nie uwierzył. Wtedy ambasador spalił tajne dokumenty i razem ze swą sekretarką popełnili samobójstwo.

Pamiętam także z mej celi Rumuna, prezesa związku zawodowego tragarzy w Bukareszcie. Aresztowano go, bo na schodach pod jego mieszkaniem zastrzelono sowieckiego oficera.

Wszyscy oczekiwali wyroków.

Jest marzec — może kwiecień 1945. Nigdy dotąd nie pytano mnie o moje sprawy rodzinne, a ja o nich nie mówiłem. Byłem więc tym bardziej zdziwiony, że gdy wezwano mnie do śledczego, ten, prowadząc ze mną rozmowę na jakiś nieistotny temat, powiedział nagle, że żona moja z córkami mieszka w Rabce. Dałem temu wiarę i tak było rzeczywiście. Zdumienie moje wywoływało tylko to, skąd oni o tym wiedzą. Żona moja była na fałszywych dokumentach. I wtedy śledczy zaskoczył mnie pytaniem, czy znam Niedźwiadka. Powiedziałem, że nie znam. Znam natomiast Niedźwiedzia.

Zaprowadzono mnie do jakiejś sali. Widzę stojącego Okulickiego. Znałem go osobiście. Widziałem się z nim przed wojną i przed Powstaniem. Patrzę na niego. Poznaję go. Nie wygląda źle. Okulicki, zapytany czy mnie zna, oświadcza: *nie znaju*. Ja też odpowiadam: nie znam. Wyprowadzono go. Potem mnie. Nie wiem, jaki był cel tej konfrontacji.

Minęły dalsze miesiące. Nadchodziła jesień 1945. Prowadzą mnie do śledczego. Ten informuje mnie, że jestem uwolniony od zarzutu szpiegostwa.

— Jutro jedziecie do obozu pod Moskwą — powiedział — spotkacie swoich kolegów i z nimi razem wróćcie do Polski. Pojedzie z Wami konwojent. Proszę nie próbować ucieczki. Ma rozkaz strzelać.

Chyba na drugi dzień rano, po śniadaniu, siadłem na samochód ciężarowy wraz z konwojentem. Wiozą mnie. Późnym wieczorem dojechaliśmy do Riazania. Zatrzymaliśmy się na zupełnie pustej ulicy. Wiał zimny wiatr. Długo siedzę zmarznięty na tej budzie. Konwojent i kierowca weszli do jakiegoś budynku. Czekam. Przez otwarte okno na pierwszym piętrze słyszę fragment rozmowy telefonicznej:

— To po coście nam go tutaj przysłali — i po chwili śmiech.

Konwojent i kierowca wrócili i kazali mi zejść. Równocześnie wyszło z budynku dwóch pijanych oficerów. Podjeżdża Willys.

— Siadajcie.

Jedziemy szybko. Było po dziewiątej wieczorem. Zajechaliśmy pod jakąś bramę. Weszli. Ja siedzę, szcękam zębami. Wreszcie wprowadzono mnie przez drzwi. Sprawdzenie tożsamości. Prowadzą mnie na teren obozu. Jest ciemno, nie orientuję się, dokąd idę. Otwierają drzwiczki jakiejś ziemianki. Schodzę po schodkach w dół. Buchnęło zatęchłe powietrze. W świetle kaganka widzę, jak na deskach leżą jakieś brodate brudasy. Jest ich kilku.

— *Zdrastwujtie!* — krzyknąłem.

A na to jeden odpowiada: — Dzień dobry.

— O kurwa mać! Polacy! — wyrwało mi się radośnie.

Trafiłem na Kallwejta, którego znałem. Początkowo mnie nie poznał. Miałem przy sobie garść tytoniu. Dali mi chleba. Od rana nic nie jadłem.

Tak więc pierwszą noc w obozie w Riazaniu spędziłem w bunkrze ziemnym, który pełnił tu rolę karcera.

A jak potoczyły się losy pozostałych chłopców z patrolu kpt. „Wani”?

Ppor. E. Majcherczyk „Marat” wspomina:

Po kilku dniach naszego pobytu w Zielonej kpt. „Wania” został wezwany do „Informacji”, przy sztabie I Armii. Widzieliśmy później, jak wywożono go gdzieś łażikiem. Już do nas nie wrócił. Wkrótce potem, w ten sam sposób, opuścił nas por. Zawistowski „Zawisza”. Zostaliśmy we dwójkę z „Makiem”. Pełniliśmy nadal służbę przy radiostacji.

Radiogramy z Warszawy miały coraz bardziej dramatyczną treść. Dnia 27 września skapitulował Mokotów. Ostatni radiogram otrzymaliśmy 3 października z Puszczy Kampinoskiej. To był koniec.

Trzeba było podjąć jakąś decyzję o naszym dalszym losie. Uciekać, czy wstąpić do Wojska Ludowego? Rozsądek dyktował to drugie. Byliśmy zdekonspirowani jako oficerowie AK. Zgłosiliśmy gotowość do wstąpienia. Kazano nam udać się do Sulejówka, gdzie dano nam skierowanie do sztabu głównego w Lublinie. Mimo protestu, musieliśmy raz jeszcze złożyć przysięgę wojskową. „Mak” otrzymał przydział na dowódcę batalionu łączności formującej się III Armii LWP w Białymstoku. Ja otrzymałem przydział do 4-go samodzielnego pułku łączności pod Kąkolewnicą (koło Radzyna Podlaskiego), na stanowisko dowódcy węzła wewnętrznego łączności II Armii. Rozstaliśmy się z „Makiem” w Lublinie.

Funkcję moją pełniłem zaledwie 2-3 tygodnie. Czuję się tam fatalnie. Łączność w Wojsku Ludowym była wówczas obsadzona

głównie przez NKWD. Języka polskiego nie znali. Stosunek tych sowieckich „łącznościowców” do zatrudnionych Polaków i Polek (telefonistki itp.) był niechętny lub wręcz wrogi.

Aresztowano mnie 6 listopada w sztabie II Armii. Po sowiecku: nazwisko, imię, imię ojca, rok i miejsce urodzenia. Kazano mi złożyć broń i pas. Potem załadowano mnie na pakę Studebekera. Było nas razem ośmiu. Po drodze kilka razy wysadzano nas w lesie. Taki prymitywny sposób zastraszania.

Przewieziono ich do specjalnie w tym celu zorganizowanego obozu w Skrobowie pod Lubartowem. W obozie tym polskie władze ludowe internowały około 400 osób, przyważnie oficerów LWP, zwłaszcza byłych oficerów AK, jako elementu w Wojsku Ludowym politycznie niepożądanego. (W obozie w Skrobowie znalazł się również por. „Zawisza”, o czym dalej).

Dnia 27 marca 1945, w Wielki Wtorek przed Wielkanocą uciekło z obozu kilkudziesięciu podoficerów i szeregowych. Zdecydowało to o przekazaniu internowanych w ręce władz sowieckich i wywiezieniu ich, pod koniec kwietnia 1945, do obozów w Stalinogorsku (obecnie Nowomoskowsk). Przebywali tam w znacznie cięższych warunkach niż w Skrobowie.

Pod koniec 1945 i w pierwszej połowie 1946 część internowanych odesłano do kraju. Natomiast pozostałych przewieziono do obozu internowanych żołnierzy AK w Riazaniu, dokąd przybyli 9 czerwca 1946 r. Wśród przybyłych ze Stalinogorska znajdował się także ppor. Edward Majcherczyk „Marat”. Spotkali się tu ponownie z kpt. Alfredem Paczkowskim „Wanią”. Obydwaj, choć różnymi drogami, powrócili do kraju, przez obóz przejściowy w Brześciu, w listopadzie 1947 r.

Por. Józef Niederhaus-Zawistowski „Zawisza” po wyjeździe kpt. „Wani” ze sztabu I Armii WP w Zielonej również zdecydował się przyjąć propozycję wstąpienia do Wojska Ludowego. Otrzymał prawdopodobnie wówczas awans do stopnia rotmistrza i przydział do jednej z jednostek I Armii WP. Nie służył w niej długo. Podobnie jak ppor. „Marat” został aresztowany w dniu 6 listopada i znalazł się w obozie w Skrobowie. Ze Skrobowa przewieziono go z innymi do Stalinogorska, o czym już była mowa.

W Stalinogorsku, jak i w innych obozach, działały sowieckie organa śledcze i usłużni donosiciele. Dnia 8 maja 1946 rtm. Niederhaus-Zawistowski został w grupie kilkunastu innych byłych oficerów AK wywieziony z obozu, rzekomo do Polski. W rzeczywistości przewieziono ich do więzienia na Butyrkach w Moskwie.

Rozpoczęły się przesłuchania. Każdemu z nich zarzucano,

że wkradł się w szeregi Ludowego Wojska Polskiego z polecenia faszystowskiej organizacji AK, w celu dokonywania dywersji, szpiegostwa i fizycznej likwidacji przedstawicieli władzy ludowej. W dalszym etapie śledztwa rozpoczęto z niektórymi rozmowy, mające na celu skłonienie ich do współpracy z władzą sowiecką, po powrocie do PRL. Po kilku miesiącach pobytu w więzieniu w Moskwie, dnia 31 grudnia 1946 odczytano rotmistrzowi J. Niederhaus-Zawistowskiemu wyrok OSO (*Osoboje Sowieszczanije* = Specjalne Kolegium NKWD, rozpatrujące sprawy i wydające wyroki zaocznie): osiem lat poprawczych obozów pracy.

Skierowano go do przesyłkowego więzienia na Krasnej Presni w Moskwie. Pod koniec marca 1947 znalazł się w obozach Workuty. W maju 1947 został uznany za inwalidę i skierowany do obozu w Kazachstanie gdzie przebywał 7 lat. Dnia 12 sierpnia 1954 powiadomiono go o amnestionowaniu. Powrócił do kraju przez obóz w Brześciu i punkt przyjęć Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Białej Podlaskiej, dnia 26 sierpnia 1954 r. Wrócił do Warszawy ciężko chory. Zmarł 15 XII 1983 r.

Inaczej potoczyły się losy por. Czesława Pieniaka „Maka”. Jak wiemy, wstąpił do Wojska Ludowego i miał udać się do Białegostoku, aby podjąć funkcję dowódcy batalionu łączności w III Armii WP. Rzeczywiście udał się na teren Białostocczyzny, ale zanim dotarł do swego batalionu, nawiązał kontakty z partyzantką AK i już się z nią związał. Jego działalność w „reakcyjnym podziemiu” trwała zaledwie kilka tygodni. Został przypadkowo zgarnięty z ulicy przez NKWD i umieszczony w więzieniu, a potem w obozie przejściowym. Na przełomie listopada i grudnia 1944 znalazł się w transporcie do obozów w Borowiczach w ZSSR. Zwieziono tam w tym czasie kilka tysięcy Polaków z Sokółowa Podlaskiego, Lublina i Przemyśla, traktowanych jako element zagrażający rzekomo na zapleczu frontu. Więźniów umieszczono w tzw. *Prowieroczno-filtracyjnych łagieriach* (obozach selekcyjnych). Przechodzili *prowierkę* (sprawdzanie lojalności). Byli traktowani jak jeńcy wojenni i razem z jeńcami niemieckimi pracowali w bardzo ciężkich warunkach, w mokrych kopalniach węgla brunatnego. Występowała wysoka śmiertelność, powodowana głównie krwawymi biegunkami.

Większość tych, którzy przeżyli, odesłano transportami do Polski z początku 1946 r. Część wracała później. Por. Czesław Pieniak powrócił do kraju przez obóz w Brześciu i punkt przyjęć PUR w Białej Podlaskiej w listopadzie 1947. Zmarł w Warszawie w 1964 r.

Jerzy POLACZEK

Ukończyłem w marcu 1990 r.

W. DWORZYŃSKI

„SPRAWA PREZYDENTURY”*

Artykuł 24 konstytucji kwietniowej w swym pierwszym punkcie brzmiał następująco: „W razie wojny okres urzędowania Prezydenta Rzeczypospolitej przedłuża się do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju; Prezydent Rzeczypospolitej osobnym aktem, ogłoszonym w gazecie rządowej, wyznaczy wówczas swego następcę na wypadek opróżnienia się urzędu przed zawarciem pokoju¹”. Trzykrotnie prezydent I. Mościcki skorzystał ze swych uprawnień wynikających z zacytowanego powyżej fragmentu ustawy konstytucyjnej: 1 września 1939 roku, gdy kandydatem na swego następcę wyznaczył marszałka E. Rydza-Śmigłego, 25 września, kiedy funkcją tą obarczył ambasadora B. Wieniawę-Długoszowskiego oraz w cztery dni później, ostatecznie już wyznaczając Władysława Raczkiewicza. Nas, rzecz jasna, najbardziej interesuje drugi z wymienionych kandydatów.

Bliższe zajęcie się tym fragmentem biografii Wieniawy jest uzasadnione z kilku powodów. Po pierwsze, był to jeden z najważniejszych momentów jego życia. Po drugie, postawa Wieniawy podczas opisywanych wydarzeń wydaje się być interesującym przyczynkiem do obrazu jego osobowości i chyba również moralności (zwłaszcza w zderzeniu z postawami innych). Po trzecie, tzw. „sprawa prezydentury”, nie doczekała się jak dotąd szczegółowego opracowania, choć ze względu na dramaturgię wydarzeń oraz trudne do ostatecznego wyjaśnienia zakulisowe

* Fragment większej całości.

1. Ustawa konstytucyjna z dnia 23 kwietnia 1935 roku, oprac. Antoni Wereszczyński, Lwów 1936, s. 8.

rozgrywki, w pełni na to zasługuje². Swoistej pikanterii całej tej sprawie dodaje okoliczność, w której suwerenny dotąd rząd polski swą suwerenność niemal całkowicie utracił.

Jak zatem do tego doszło? Klęski na polach bitewnych w wojnie z Niemcami oraz napad wojsk sowieckich 17 września 1939 roku sprawił, że rząd polski postanowił ewakuować się do sojuszniczej Rumunii. Podobną decyzję podjęło Naczelne Dowództwo z marszałkiem E. Rydzem-Śmigłym na czele. Jednak wbrew zobowiązaniu sojuszniczemu oraz obietnicy udzielenia *droit de passage* rząd rumuński podjął decyzję o internowaniu polskich polityków i wojskowych. W ten sposób naczelne władze polskie znalazły się w bardzo trudnym położeniu. Z wojskowego punktu widzenia oznaczało to zerwanie łączności z oddziałami walczącymi w kraju oraz przekreślenie rachub Naczelnego Wodza na przejście do Francji, odbudowanie armii i kontynuowanie walki³.

Jeszcze bardziej skomplikowana była sytuacja pod względem politycznym. Polska, będąc wówczas krajem już niemal w całości okupowanym, nie przestała być podmiotem stosunków międzynarodowych. Klęska wrześniowa, wbrew oświadczeniom rządów sowieckiego i niemieckiego z 28 września 1939 roku, nie przerwała ciągłości państwowości polskiej. Utrzymanie tej ciągłości było nieodzowne dla pozostania w gronie aliantów oraz utrzymania, a także realizacji, istniejących sojuszków. Aby tak się stało, rząd polski musiał mieć możliwość utrzymywania kontaktów z innymi państwami, a także polskimi przedstawicielstwami dyplomatycznymi. W warunkach internowania możliwości realizacji tych oraz innych zadań konstytucyjnych rząd polski nie posiadał. Gdy więc stało się jasne, że opuszczenie Rumunii

2. Problemowi temu najwięcej, jak dotąd, uwagi poświęcił W. Pobóg-Malinowski w swojej „Najnowszej historii Polski”, t. II, cz. II, s. 73-84. Pisał o tym również Janusz Stefanowicz w artykule „Narodziny rządu emigracyjnego w oczach Foreign Office”, *Polityka* nr 19, 9 V 1970. Wiele informacji na ten temat dostarczają wspomnienia uczestników opisywanych wydarzeń: Rogera Raczyńskiego, „Zapiski ambasadora Rogera Raczyńskiego dotyczące przejścia Naczelnych Władz Polskich do Rumunii i rezygnacji b. Prezydenta R.P. Prof. Ignacego Mościckiego”, (w:) Kajetan Morawski, „Wspólna droga. Wspomnienia”, Paryż, b.r.w., s. 185-198, oraz Juliusz Łukasiewicz, „Diplomat in Paris 1936-1939”. Columbia University Press 1970 (fragment wspomnień dotyczący bezpośrednio sprawy prezydentury ukazał się w języku polskim w *Zeszytach Historycznych* nr 16, s. 95-130. O roli dyplomacji francuskiej pisał Tadeusz Wyrwa, „Ingerencja Francji w sprawy polskie na przełomie 1939 i 1940 roku”, *Zeszyty Historyczne* nr 52, Paryż 1980, s. 217-221.

3. Por. Felicjan Sławoj-Składkowski, „Prace i czynności Rządu R.P. we wrześniu 1939”, *Kultura* nr 5, Paryż 1948.

przez władze polskie na pokładzie angielskiego okrętu wojennego jest niemożliwe, należało podjąć inne kroki⁴.

Z tej bardzo ogólnie zarysowanej sytuacji zdawali sobie sprawę nie tylko politycy przebywający w Rumunii, lecz również polscy dyplomaci akredytowani w stolicach europejskich. Dlatego, gdy wiadomość o internowaniu rządu oraz naczelnego dowództwa dotarła do Rzymu, ambasador B. Wieniawa-Długoszowski oraz ambasador przy Watykanie Kazimierz Papée wysunęli propozycję utworzenia tymczasowego rządu polskiego z siedzibą w Paryżu. W jego skład miało wejść pięciu ambasadorów: Juliusz Łukasiewicz (Paryż), Roger Raczyński (Bukareszt), Edward Raczyński (Londyn) oraz K. Papée i Wieniawa. Ponieważ centrum polskich spraw politycznych stawała się wówczas stolica Francji, do projektu należało przede wszystkim przekonać ambasadora Łukasiewicza. W tym celu udał się do Paryża M. Romeyko, który 22 września zreferował sprawę ambasadorowi. Wysłuchawszy projektu Wieniawy Łukasiewicz wyraził pogląd, że jest to jedno z rozwiązań, które wydają mu się słuszne. Do drugiej rozmowy doszło następnego dnia i wówczas Romeyko w obecności A. Zaleskiego usłyszał, że propozycja Wieniawy jest nieaktualna, a sprawa rządu polskiego zostanie rozwiązana na innej drodze, jeszcze nie ustalonej, o czym Wieniawa zostanie natychmiast poinformowany⁵. Jak się bowiem potem okazało, myślano wówczas o skorzystaniu z przytoczonego wcześniej art. 24 konstytucji kwietniowej⁶.

Mianowanie następcy prezydenta było tym pilniejsze, że wyznaczony zarządzeniem prezydenta z 1 września 1939 roku na to stanowisko marszałek E. Rydz-Śmigły był również internowany w Rumunii. Stało się przy tym jasne, że kandydatem na następcę prezydenta może zostać jedynie któryś z „wybitnych” Polaków, przebywających poza granicami kraju⁷.

Kandydatur wymieniano kilka. Narzucało się nazwisko Paderewskiego, jednak ze względu na podeszły wiek, a być może również na nie tak dawne zaangażowanie we Front Morges,

4. W liście do Wieniawy wysłanym z rumuńskiego Brasov 14 XI 1939 roku Beck pisał: „Przyjmując w obliczu klęski militarnej decyzję utrzymania eksterytorialnie Prezydenta i Rządu R.P. we Francji miałem na myśli dwa elementy: chęć utrzymania naszego miejsca w wojnie koalicyjnej, jako partnera, a nie obiektu, i zerwania z nieszczęsną polską tradycją zacyzywania za każdym razem wszystkiego od nowa, co miało mniej cech *giovinezzy*, a więcej znamion lekceważenia własnej przeszłości i wartości zarazem”. Cyt. za W. Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, s. 57.

5. M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 133-134.

6. Por. R. Raczyński, *op.cit.*, s. 188 i nast.

7. *Ibidem*, s. 189.

od pomysłu tego odstąpiono. Kolejnym kandydatem był prymas August Hlond, jednak Mościcki stwierdził, że chociaż historia przyznaje prymasowi Polski specjalną rolę, to ze względu na purpurę kardynalską wynikać by mogły bardzo znaczne trudności i skrępowania. Z kolei o „żelaznym” kandydacie ustępującego prezydenta, gen. K. Sosnkowskim, nie wiadomo było gdzie się znajduje. Jeśli zaś idzie o osoby ministra A. Zaleskiego i wojewody W. Raczkiewicza, to prezydent wyrażał się niejasno, wskazując jak trudna jest jego decyzja i jak wielkiego wymaga zastanowienia⁸. Tak więc prezydent Mościcki z różnych powodów odrzucił wszystkie przedstawione mu propozycje personalne.

Ponieważ prezydenckie deliberacje przeciągały się, bywający w Biczac niemal codziennie ambasador Raczyński zaczął dostarczać coraz to nowych wiadomości, mających przekonać prezydenta o „beznadziejności sytuacji”, o stale rosnącym nacisku Niemców i Rosjan oraz o bezskuteczności swych interwencji u władz rumuńskich. Ważkich argumentów dostarczył rozwój sytuacji w Paryżu. Raczyński informował o niepokojących zabiegach wpływowych sfer francuskich i związanych z nimi czynników polskich oraz o naciskach Anglików i Francuzów na wyłonienie nowych władz polskich⁹. Podobnie oddziaływali na prezydenta R. Raczyński oraz Szef Kancelarii Cywilnej, minister Stanisław Łepkowski.

20 września około godziny 23.00 po naradzie z Łepkowskim prezydent Mościcki wezwał do siebie R. Raczyńskiego, wręczył mu dużą zalakowaną kopertę i bez żadnych wyjaśnień polecił wysłać ją najpewniejszą drogą i możliwie szybko do ambasadora Łukasiewicza. Dodał, że gdy Raczyński otrzyma jakiegokolwiek informacje o „rodzinie Konieckich”, powinien natychmiast przetelefonować je do Biczac, gdyż są to umówione zdania. Tak więc Raczyński nie został poinformowany, na kogo padł wybór prezydenta. Jednocześnie otrzymał polecenie zachowania najściślejszej tajemnicy o rozmowach, których był świadkiem i uczestnikiem, i nieinformowania o nich nawet premiera czy ministra Becka¹⁰.

21 września R. Raczyński wyruszył z Biczac do Bukaresztu. Spodziewając się przeróżnych komplikacji, kopertę prezydencką powierzył ambasadorowi Leonowi Noëlowi z prośbą o doręczenie jej ambasadorowi J. Łukasiewiczowi w Paryżu¹¹.

W nocy z 22 na 23 września do Bukaresztu przybył S. Łepkowski, który poinformował Raczyńskiego, że najbliższym

8. *Ibidem*, s. 190.

9 W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.*, s. 75.

10. R. Raczyński, *op.cit.*, s. 190.

11. *Ibidem*, s. 191.

pociągiem, na polecenie Prezydenta, wyjedzie do Paryża¹². Następnie połączył się telefonicznie z ambasadą w Rzymie, a ponieważ nie zastał Wieniawy, rozmawiał z radcą A. Zawiszą. Za pośrednictwem Zawiszy Łepkowski prosił Wieniawę, aby zechciał wieczorem 24 września spotkać się z nim w Mediolanie, w pociągu, którym będzie jechał do Paryża. Dodał, że w dalszą drogę wyruszą wspólnie w sprawach „bardzo ważnych”, zaś odpowiednie wyjaśnienia od prezydenta ma ze sobą i nie może ich udzielić przez telefon.

Po powrocie Wieniawy do ambasady Zawisza natychmiast poinformował go o tej rozmowie i dodał, że jego zdaniem chodzi o przekazanie mu urzędu Prezydenta R.P. Ambasador natychmiast zdecydował się na wyjazd nazajutrz rano do Mediolanu w celu spotkania się z S. Łepkowskim i wyjazdu z nim do Paryża. Uzgodniono, że cel jego podróży pozostanie w tajemnicy¹³.

Tego samego dnia, kiedy Wieniawa spotkał się z Łepkowskim na dworcu w Mediolanie, ambasador Noël doręczył przesyłkę prezydencką J. Łukasiewiczowi. Przesyłka zawierała dwie koperty: jedną zaadresowaną do J. Łukasiewicza, a drugą do Wieniawy. Z listu do Łukasiewicza wynikało, że powinien on jak najszybciej doręczyć drugą kopertę Wieniawie. Prezydent nalegał, aby treści jego poleceń oprócz obydwu ambasadorów nikt nie znał¹⁴.

Wieniawa i Łepkowski przybyli do Paryża 25 września wieczorem. Jeszcze tego samego wieczora Łukasiewicz doręczył Wieniawie przesyłkę od prezydenta. Zawierała ona dwa listy antydatowane na 17 września i adresowane na polskie Kuty. Pierwszy list zawierał dekret desygnujący Wieniawę na urząd prezydenta i brzmiał następująco: „Na podstawie artykułu 24 ust. 1 ustawy konstytucyjnej wyznaczam Generała Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej przed zawarciem pokoju. Z chwilą ogłoszenia niniejszego zarządzenia, zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 1 września 1939 roku o wyznaczeniu następcy Prezydenta Rzeczypospolitej traci moc obowiązującą¹⁵.

Drugi list otrzymany przez Wieniawę miał charakter prywatny i zawierał dokładny opis sposobu wprowadzenia dekretu w życie. Prezydent poinstruował również Wieniawę, w jaki sposób powinien zawiadomić go o realizacji postanowienia, dzięki czemu będzie mógł zrezygnować z urzędu. Jak zatem miało to

12. *Ibidem*, s. 191.

13. List A. Zawiszy do M. Romeyki z 27 VI 1958 roku zamieszczony w: M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 137.

14. J. Łukasiewicz, *op.cit.*, s. 342-343.

15. *Monitor Polski* nr 213, Paryż 25 IX 1939.

wyglądać? Odwołajmy się do listu I. Mościckiego: „Kochany Panie Generale! Nie jest rzeczą wykluczoną, że ani ja, ani marszałek Rydz-Śmigły, ani rząd — nie będziemy mieli możliwości działania. Gdyby ten stan rzeczy utrzymał się przez czas tak długi, że byłoby to ze szkodą dla najżywoźniejszych interesów Państwa — w takim razie zrezygnowałbym z urzędu, ażeby Panu, którego w załączonym zarządzeniu wyznaczam na następcę Prezydenta R.P., umożliwić powołanie nowego rządu i podjęcie odpowiednich prac i akcji. (...) Ogłosi Pan to zarządzenie po zaistnieniu następujących dwóch warunków: 1) gdy otrzyma Pan depeszę, żeby się Pan zajął «rodzinę Koneckich». Będzie to oznaczało, iż wkrótce po ogłoszeniu przez Pana załączonego zarządzenia zamierzam zrezygnować. O ogłoszeniu zarządzenia powiadomi mnie Pan depeszą adresowaną do ambasadora R.P. w Bukareszcie, że «Koneckiego rodzina w porządku». O rezygnacji powiadomiłbym Pana słowami «Dziękuję za zajęcie się Koneckimi»; 2) warunek drugi, gdy po otrzymaniu ode mnie (ewentualnie bez podpisu) i przez ambasadę R.P. w Bukareszcie pierwszej z wymienionych depesz stwierdzi Pan, że Marszałek Śmigły znajduje się w warunkach uniemożliwiających mu objęcie i wykonywanie urzędu Prezydenta R.P. Po otrzymaniu niniejszego pisma wraz z załącznikami proszę mnie powiadomić telegramem adresowanym do ambasadora w Bukareszcie «wszyscy zdrowi». Cała sprawa wiadoma jest i będzie do czasu tylko Panu i mnie. Gdy dojdzie do jej ogłoszenia i następnie realizacji, całym sercem życzę kochanemu Panu szczęścia w jego wielkim zadaniu.

Kuty 17 IX 1939

I. Mościcki¹⁶”

Przebieg dalszych wydarzeń znany jest głównie z notatek adiutanta — Józefa Hartmana — oraz z przytaczanych wspomnień R. Raczyńskiego. Wynika z nich, że zgodnie z ustaleniami nastąpiła wymiana umówionych depesz. Około południa 25 września do ambasady w Bukareszcie nadszedł tajny telegram *statissime* następującej treści: „Proszę zakomunikować natychmiast Panu Prezydentowi R.P. «wszyscy zdrowi Podkomitet» telegrafować natychmiast naszą drogą czy w sytuacji Pana Prezydenta zaszyły zmiany. (-) Wieniawa-Długoszowski podpisał Łepkowski¹⁷”.

Tego samego dnia o godz. 16.40 ambasador R. Raczyński zawiadomił telefonicznie prezydenta Mościckiego, że „wszyscy zdrowi”. O 17.22 adiutanci prezydenta wysłali do R. Raczyńskie-

16. IPIMiGS, Ambasada R.P. Londyn, sygn. A. 12 49/12.

17. Cyt. za R. Raczyński, *op.cit.*, s. 192.

go, z poleceniem dalszego przetelegrafowania do Paryża, następujący telegram: „Proszę poprosić Wieniawę ażeby się zajął rodziną Koneckich (-) Hartman Kryński (-)¹⁸”. Równocześnie Hartman i Kryński poinformowali R. Raczyńskiego, że prezydent chciałby wysłać jednego z nich do Bukaresztu z listem do Króla, który to list miałby być doręczony w obecności ambasadora w pałacu¹⁹. Rzecz jasna chodziło o list, w którym prezydent Mościcki zawiadomiłby króla o rezygnacji z zajmowanego urzędu.

Wymiana zacytowanych powyżej depech oraz próba wysłania przydenckiego adiutanta do Bukaresztu zdawały się dowodzić, że zmiana na stanowisku prezydenta została zadecydowana, a obydwaj zainteresowani, tj. Wieniawa i Mościcki, podjęli ostateczne decyzje: pierwszy o przyjęciu godności, drugi o zrzeczeniu się jej. W tej sytuacji postanowiono przystąpić do formalnego załatwienia całej sprawy. Przede wszystkim należało wydrukować przygotowany już przez Michała Łubieńskiego numer *Monitora Polskiego* zawierający dekret prezydenta z 17 września. W tym celu na polecenie J. Łukasiewicza udał się do drukarni *Polaka we Francji* urzędnik ambasady Jan Librach, który „naocznie” sporządził egzemplarz *Monitora*²⁰. Ogłoszenie dekretu prezydenta w „gazecie rządowej” było, jak wynikało z zacytowanego wcześniej 24 artykułu konstytucji, niezbędnym warunkiem, aby nabrał on mocy prawnej. Uczestnik tych wydarzeń, ambasador polski w Londynie Edward Raczyński, wspominał: „Wieniawa zachowywał się z godnością, zdradzając przy tym lekkie zdenerwowanie²¹”.

Gdy egzemplarz *Monitora* znalazł się w drukarni, ambasador Łukasiewicz postanowił powiadomić prezydenta o realizacji jego poleceń. 26 września o godz. 18.15 J. Hartman zanotował treść informacji telefonicznej z Bukaresztu: „Otrzymałem telegram od ambasadora Łukasiewicza, że rodzina Koneckich w porządku²²”. Miało to oznaczać, że formalności związane ze zmianą na stanowisku Prezydenta R.P. są załatwione, a prezydent Mościcki może zawiadomić króla rumuńskiego o swej rezygnacji.

18. Archiwum na Jasnej Górze, Notatnik — dziennik Józefa Hartmana, sygn. 40006, s. 17.

19. R. Raczyński, *op.cit.*, s. 193.

20. Edward Raczyński, „W sojusznicy Londynie. Dziennik ambasadora (...) 1939-1945”, Londyn 1960, s. 52.

21. *Ibidem*, s. 52.

22. Dziennik J. Hartmana, s. 18; tę samą wiadomość podało 25 września w języku polskim radio paryskie, odbierane również w Bicz; E. Raczyński, *op.cit.*, s. 52.

Szybko jednak okazało się, że między wysłaniem przez Łukasiewicza telegramu *via* Bukareszt do Bicz a jego dotarciem do adresata zaszły wydarzenia, które zasadniczo zmieniły sytuację. Wróćmy zatem do wieczora 25 września. Otóż kiedy ukazały się pierwsze numery *Monitora Polskiego*, ambasador Łukasiewicz udał do francuskiego ministra spraw zagranicznych Champetier de Ribes, aby wręczyć mu notę o objęciu przez Wieniawę urzędu prezydenta. De Ribes w obecności Łukasiewicza zapoznał się z treścią noty i w żaden sposób jej nie skomentował²³. Jak zanotował E. Raczyński po powrocie z Quai d'Orsay Łukasiewicz był „jak gdyby na ogół zadowolony²⁴”.

W tym samym czasie zaczęto zastanawiać się nad kandydatem do objęcia urzędu premiera, co było bodaj najważniejszym zadaniem o charakterze państwowym. Idąc za niewiążącą sugestią I. Mościckiego Wieniawa, jako kandydat na Prezydenta Rzeczypospolitej, postanowił powierzyć misję utworzenia rządu kardynałowi Augustowi Hlondowi, a tekę ministra spraw zagranicznych J. Łukasiewiczowi²⁵. Już o 17.15 Wieniawa wystosował telefonogram zaadresowany do *chargé d'affaires* przy Watykanie, ministra Stanisława Janikowskiego. W telefonogramie Wieniawa prosił Janikowskiego, aby uprzedził kardynała Hlonda i nakłonił go do wyrażenia zgody na objęcie urzędu premiera. Nalegał również na jak najszybszy przyjazd kardynała do Paryża. Ostatnie słowa telefonogramu brzmiały: „Podkreślić, że udział Kardynała w rządzie miałby najdonioślejsze znaczenie²⁶”.

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko, bo już nazajutrz. Niestety, była odmowna. W Rzymie podniosły się bowiem głosy pełne zastrzeżeń wobec projektu Wieniawy. Polskie sfery kościelne obawiały się, że papież nie udzieli na to pozwolenia. Prócz tego ambasada polska przy Watykanie po otrzymaniu depeszy Wieniawy postanowiła zasięgnąć opinii generała jezuitów, Ojca Ledóchowskiego, który Wieniawę darzył wielką sympatią i niewątpliwie życzył mu jak najlepiej. Ledóchowski uważał wszakże, że kardynał będzie mógł więcej zdziałać dla sprawy polskiej, jeśli nie będzie „formalnie związany”. Miał również wątpliwości co do ewentualnej zgody papieża²⁷. Obok więc oficjalnej odpowiedzi ambasady przy Watykanie, kardynał wysłał do Wieniawy następującą depeszę: „Panie Prezydencie! Dziękuję serdecznie za szaczytną propozycję, muszę z obowiązku sumienia

23. J. Łukasiewicz, *op.cit.*, s. 347-348.

24. E. Raczyński, *op.cit.*, s. 52.

25. *Ibidem*, s. 52.

26. T. Katelbach, „Gdy kardynał Hlond miał być premierem...”, b.m. i r.w.; por. także W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.*, t. II, cz. 2, s. 78.

27. T. Katelbach, „Gdy kardynał...”.

oświadczyć, że jej niestety przyjąć nie mogę, nie mając żadnego przygotowania do tak odpowiedzialnego stanowiska. Panu Prezydentowi i Jego rządowi udzielię atoli całkowitego moralnego poparcia wobec kraju i emigracji, życząc błogosławieństw Bożych i najlepszego powodzenia. (-) Kardynał Prymas Hlond²⁸". Depeszę wysłano 26 września o godz. 12.55.

Odmowa kardynała Hlonda nie miała jednak w tym momencie większego znaczenia. W Paryżu bowiem skupiła się już opozycja wywodząca się profrancuskiego Frontu Morges z prof. Stanisławem Strońskim i gen. W. Sikorskim na czele. Politycy ci mieli ułatwione zadanie, jako że gen. Sikorski posiadał w Paryżu liczne znajomości, a prócz tego w Wieniawie widziano tu człowieka Becka, którego, mówiąc delikatnie, sympatią nie darzono. Zresztą rozgrywki wokół urzędu prezydenta były niczym innym jak walką o władzę między pilsudczykami, pragnącymi ją utrzymać, a przedwojenną opozycją, dążącą do jej przejęcia.

Odwołajmy się w tym miejscu do rozmowy J. Łukasiewicza z ministrem de Monzie, odbytej 29 września, a więc już po rezygnacji Wieniawy. De Monzie opowiadał, że podczas posiedzenia Rady Ministrów 26 września 1939 roku padło stwierdzenie, że następcą prezydenta Polski ma być generał o nieznanym nazwisku, alkoholik, który przybył do Paryża pijany i w związku z tym premier Daladier jest zdecydowanie przeciwny tej nominacji²⁹. Warto zapamiętać argumentację Daladiera, gdyż podobne słowa jeszcze tego samego dnia padną z ust gen. Sikorskiego.

26 września o 12.30 Ch. de Ribes wezwał do siebie ambasadora Łukasiewicza i w imieniu premiera Daladiera oświadczył mu, że decyzji prezydenta Mościckiego wyznaczającej na jego następcę Wieniawę nie uważa za szczęśliwą. Wysunął również zarzut, że *Monitor Polski* został wydany nielegalnie. Odpowiadając Łukasiewicz stwierdził, że jest tym zarzutem zdziwiony, gdyż władze polskie nie spodziewały się, by premier francuski ingerował w sprawy leżące wyłącznie w suwerennej władzy Prezydenta Polski. Dodał, iż z numeru *Monitora Polskiego* nie zrobiono użytku publicznego, ponieważ cały jego nakład pozostał w ambasadzie. Ponieważ w oświadczeniu de Ribesa nie było zastrzeżeń formalnych, Łukasiewicz rozmowę odebrał w sposób

28. Cyt. za W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.*, s. 78.

29. J. Łukasiewicz, *op.cit.*, s. 366; kiedy Łukasiewicz wyjaśnił de Monzie, że chodzi o ambasadora Wieniawę-Długoszowskiego, ten był nieprzyjemnie zdziwiony, gdyż z niewyraźnie (celowo?) przytoczonego nazwiska tylko z tytułem generała nie przypuszczał w żadnym wypadku, że chodzi właśnie o niego.

pozytywny i jego zdaniem nic nie zapowiadało bardziej zdecydowanego oporu francuskiego³⁰.

Było jednak inaczej. W tym samym mniej więcej czasie, gdy Łukasiewicz rozmawiał z de Ribesem, ambasador w Londynie E. Raczyński złożył wizytę premierowi Halifaxowi, któremu wręczył notę o desygnowaniu Wieniawy. Miało to miejsce ok. godz. 13-tej. Halifax przyjął treść noty spokojnie do wiadomości. Przed wyjściem Raczyńskiego wszedł do gabinetu stały podsekretarz stanu Cadogan i wręczył Halifaxowi kartkę z informacją z Paryża. Zdziwiony i zakłopotany premier odczytał głośno jej treść, z której wynikało, że rząd francuski zaprotestował przeciw desygnowaniu Wieniawy i oświadczył, iż nie będzie mógł go uznać za Prezydenta R.P. Halifax dodał od siebie, że nie wie co to ma znaczyć i co o tym sądzić. Na tym rozmowę przerwano, gdyż i E. Raczyński nie orientował się w zaistniałej sytuacji, wobec czego postanowił porozumieć się z J. Łukasiewiczem³¹.

Dalej wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Około godz. 15-tej ambasador francuski w Bukareszcie Thierry zakomunikował R. Raczyńskiemu, że otrzymał z Paryża następującą depezę: „Rząd francuski został poinformowany przez ambasadora R.P. w Paryżu, że Prezydent R.P. desygnował swego ambasadora w Rzymie jako ewentualnego swego następcę. Proszę natychmiast zakomunikować ustnie p. Mościckiemu, że rząd francuski nie mając zaufania do wyznaczonej osoby nie widzi ku żywemu swemu żalowi możliwości uznania jakiegokolwiek rządu powołanego przez gen. Wieniawę³²”. W chwilę później R. Raczyński zadzwonił do S. Łepkowskiego w Paryżu, przekazując mu treść otrzymanej informacji.

W tej sytuacji stało się jasne, iż można spodziewać się daleko idącej ingerencji francuskiej, która skomplikowałaby i tak już mocno zagmatwane sprawy polskie. Aby więc nie utrudniać położenia prezydenta Mościckiego, w razie gdyby postanowił zmienić swą decyzję, Łukasiewicz zaproponował Wieniawie, by wysłał do prezydenta telegram z prośbą o zwolnienie go z obowiązku przyjęcia sukcesji. Wieniawa doskonale zdawał sobie sprawę z zaistniałej sytuacji, toteż ok. godz. 17-tej ambasador R. Raczyński otrzymał z Paryża następującą depezę: „Proszę zakomunikować komu należy, że Bolesław gotów wszystko wykonać, prosi jednak profesora o rozważenie czy inny wybór nie byłby w danej sytuacji wskazany³³”. Następnie R. Raczyński połączył się telefonicznie z Bicz, zaś J. Hartman o godz. 18-tej

30. J. Łukasiewicz, *op.cit.*, s. 350-351.

31. J. Łukasiewicz, *op.cit.*, s. 351-352; E. Raczyński, *op.cit.*, s. 53.

32. Cyt. za R. Raczyński, *op.cit.*, s. 193.

33. Cyt. za R. Raczyński, *op.cit.*, s. 193.

zanotował: „Wiadomość do rządu z Paryża przez amb(asadę) fr(ancuską) w Buk(areszcie) że Bolek nie może przyjąć³⁴”.

W ten sposób zaistniała bardzo niekorzystna sytuacja i dla prezydenta Mościckiego, i dla tworzonego rządu polskiego. Jak bowiem wynika ze wspomnień R. Raczyńskiego, prezydent zdecydował się na desygnację Wieniawy pod ściśle określonymi warunkami, od przyjęcia których uzależnił tę nominację. Zostało ustalone, że Wieniawa złoży natychmiast urząd w ręce ostatecznego kandydata, którego miał mu wskazać prezydent Mościcki. Prezydent wyjaśniając tę skomplikowaną procedurę mówił, że wobec nikłej ilości działaczy polskich znajdujących się na Zachodzie mógł w pewnym momencie znaleźć się tam właściwszy kandydat od tych, którzy na razie stoją do dyspozycji. „Znając gen. Wieniawę — pisał R. Raczyński — jako człowieka honoru, miał zupełną moralną pewność, że zobowiązania swego dotrzyma i że doloży wszelkich starań dla utrzymania ciągłości najwyższej władzy³⁵”. Najprawdopodobniej tym „ostatecznym” kandydatem prezydenta Mościckiego miał być gen. Sosnkowski.

Historia niejednokrotnie sprawia niespodzianki. Tak było i tym razem. Skonfiskowanie przez władze francuskie numeru *Monitora Polskiego* oraz odmowa zezwolenia na wizytę Kryńskiego u króla Rumunii okazały się szczęśliwymi wydarzeniami, choć początkowo przyjmowano je jako porażki³⁶. Te dwa fakty stworzyły możliwość zmiany osoby kandydata na prezydenta. Korzystając z tej możliwości Wieniawa wysłał do prezydenta list z prośbą o zwolnienie go z powierzonej funkcji: „Najdostojniejszy Panie Prezydencie! Dziękując Panu Prezydentowi za okazane mi zaufanie i wiarę w to, że w każdym wypadku postąpię, mając na widoku jedynie tylko dobro Rzeczypospolitej — składam niniejszym na ręce Pana Prezydenta zrzeczenie się godności następcy Prezydenta Rzeczypospolitej, na które wyznaczony zostałem zarządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 17 września 1939 roku.

34. Dziennik J. Hartmana, s. 18.

35. R. Raczyński, *op. cit.*, s. 194.

36. W depeszy z 28 września wysłanej do Paryża 28 września Raczyński pisał, że wskutek zaistniałej sytuacji prezydent Mościcki wstrzymał się z wysłaniem listu do króla rumuńskiego (por. R. Raczyński, *op. cit.*, s. 195). Wydaje się jednak, że niewysłanie listu było bardziej efektem przypadku, a uściślijac — trudności robionych przez rząd rumuński, niż wynikiem analizy prezydenta Mościckiego. Ostatni zapis w dzienniku J. Hartmana, uczyniony po godz. 20.15, brzmi: „Kpt. Kryński nie otrzymał zezwolenia na wyjazd do króla z pismem od Pana Prezydenta”. Można więc przypuszczać, że co najmniej do tego momentu trwały starania o wyjazd Kryńskiego; kontynuowanie ich po rezygnacji Wieniawy byłoby nonsensem.

Mam zaszczyt prosić Pana Prezydenta o przyjęcie mojej rezygnacji w tym przekonaniu, że działam w interesie sprawy publicznej.

Proszę Pana Prezydenta o przyjęcie zapewnienia mojej najgłębszej czci i oddania. (-) Wieniawa-Długoszowski³⁷”.

Powstał więc nowy problem: kto w miejsce Wieniawy? Po otrzymaniu listu Wieniawy prezydent Mościcki odpowiedział telegraficznie 28 września, żądając przedstawienia mu nazwisk kilku kandydatów, którzy mieliby zapewnione poparcie rządu francuskiego i angielskiego³⁸. Zadanie to złożył na barki E. Raczyńskiego, J. Łukasiewicza i Wieniawy. Sprawa stała się tym pilniejsza, że 29 września J. Łukasiewicz otrzymał oficjalną już notę premiera Daladiera, który oprócz oświadczenia o przyjęciu do wiadomości noty o desygnowaniu Wieniawy poinformował polskiego ambasadora, że prezydent Mościcki upierając się przy swej decyzji spowoduje, iż rząd francuski nie uzna żadnego rządu powołanego przez Wieniawę³⁹. Tym sposobem wewnętrzne sprawy polskie stały się przedmiotem bezpośredniej i brutalnej ingerencji rządu francuskiego.

28 września o godz. 18-tej przybył z Londynu E. Raczyński. Odbyła się wtedy narada, w której oprócz E. Raczyńskiego wzięli udział Wieniawa, J. Łukasiewicz, S. Łepkowski oraz konsul Stanisław Janikowski. Uchwalono, że spośród „wybitnych” Polaków znajdujących się za granicą kardynał Hlond, A. Zaleski i W. Raczkiwicz przypuszczalnie nie spotkają się ze sprzeciwem Anglii i Francji. Taką też informację przekazano telegraficznie ok. godz. 3 nad ranem 29 września prof. Mościckiemu. Wymienieni politycy skłonili się jednak ku kandydaturze W. Raczkiwicza, byłego marszałka Senatu i prezesa Związku Polaków za Granicą. Miał on jakoby największe szanse „penetracji opinii polskiej”. „Nie uważamy za możliwe — czytamy w depeszy

37. Oryginał listu w IPIMiGS, Kancelaria Cywilna Prezydenta R.P., sygn. A.48 1/F.

38. W Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, s. 79; depesza wysłana przez R. Raczyńskiego do Paryża miała następującą treść: „W związku z wytworzoną sytuacją wskutek sprzeciwu rządu francuskiego p. Prezydent nie wysłał listu do Króla. Prosi o zatelegrafowanie nazwisk ewentualnych kandydatów, których by Francja i Anglia na pewno akceptowały. Obiecuje decyzję za 2 do 3 dni”. Cyt. za R. Raczyński, *op. cit.*, s. 195.

39. J. Łukasiewicz, *op. cit.*, s. 365; tekst noty francuskiej brzmiał następująco: „Rząd francuski został poinformowany przez ambasadora RP w Paryżu, że prezydent RP desygnował swego ambasadora w Rzymie jako ewentualnego swego następcę. Proszę natychmiast zakomunikować p. Mościckiemu, że Rząd Francuski nie mając zaufania do wyznaczonej osoby nie widzi, ku żywemu swemu żalowi, możliwości uznania jakiegokolwiek rządu powołanego przez gen. Wieniawę”. Cyt. za: *Kultura* nr 9/10, Paryż 1948, s. 124.

— uprzedniego oficjalnego uzgadniania kandydatów z rządem francuskim i angielskim i sądzimy, że trzeba ponieść pewne ryzyko⁴⁰”. W tekście zawarta była również sugestia, by prezydent Mościcki anulował zarządzenie o nominacji Wieniawy, a zarządzenie o nominacji Raczkiewicza datował na 17 września.

Przed podjęciem ostatecznej decyzji prezydent Mościcki konsultował się z kilkoma działaczami polskimi oraz premierem Sławojem-Składkowskim. Od tego ostatniego, 29 września o godz. 12.15 nadeszła do Bicz telefoniczna korespondencja: „Jeśli nie Bolek, to Zaleski lub Raczkiewicz⁴¹”. Prezydent jednak w dalszym ciągu wahał się. Kolejna korespondencja od J. Łukasiewicza nadeszła telegramem szyfrowym tego samego dnia o godz. 22.30. Wówczas to J. Hartman zanotował: „Interwencja o pośpiech: Premier Daladier, nuncjusz papieski, poseł amerykański, ambasador turecki, poseł angielski⁴²”. Dopiero wtedy prezydent podpisał nominację W. Raczkiewicza, a następnie wspólnie z R. Raczyńskim ułożył list do króla rumuńskiego: „Niniejszym pismem rezygnuję z urzędu Prezydenta R.P. Bicz, dnia 30 września. J. Mościcki⁴³”. Po podjęciu decyzji prezydent o godz. 1.08 w nocy z 29 na 30 września polecił wysłać do

40. Cyt. za R. Raczyński, *op. cit.*, s. 195.

41. Dziennik J. Hartmana, s. 19.

42. *Ibidem*, s. 19; bardzo interesujący list dotarł do Bicz, adresowany do J. Hartmana. Brzmiał następująco: „Dnia 28 9 39. Panie Majorze..., Pisz do Pana stary znajomy. Niedawno widzieliśmy się, a tyle od tego czasu nowości. Wiem, że Pan może skomunikować się z moim starszym bratem. Proszę zaraz mego starszego brata zawiadomić, że nasz wspólny znajomy Bolek-Bolcio nie będzie mógł dobrze administrować naszym majątkiem i będzie miał duże trudności. Wierzę w jego talenty, ale nie wytrzyma on konkurencji z p. Fortepiańskim, tak wobec obcych, jak i swoich. Przeszłość jego będzie mu przeszkadzała, jak również żona. Wiadomym zaś jest, że część naszej rodziny z przedstawicielem firmy naszej tutaj i Wł. S., prawdopodobnie z poparciem firmy kogutów, chciałaby oddać administrację Fortepiańskiemu. A więc Bolcio nie udźwignie ciężaru. Adm. (inistrację) należy oddać firmie starej i znanej! Za najlepszego plenipotentą uważam Augusta, który jest za lasem. Znajduje się u pp. Kogutów. Zaklinam mego starszego brata na wszystko, aby to zrobił. Niechaj nikomu z rodziny naszej nie mówi o tym liście. Grzybski z Klonowej”. *Ibidem*, s. 21. Poza autorem listu wszystko jest tu chyba wiadome.

43. Cyt. za R. Raczyński, *op. cit.*, s. 197; również W. Raczkiewicz złożył zobowiązanie, że w przypadku „odnalezienia” się gen. Sosnkowskiego przekaże mu urząd. Raczkiewicz okazał się człowiekiem słownym i kiedy 11 października przybył z Budapesztu do Paryża Sosnkowski, Raczkiewicz zgłosił gotowość ustąpienia. Sosnkowski jednak odmówił argumentując słuszenie, że trzecia zmiana na stanowisku prezydenta mająca miejsce w tak krótkim czasie uderzyłaby i w powagę stanowiska, i w prestiż międzynarodowy Polski.

Paryża depezę, w której dziękował za zajęcie się rodziną Koneckich, co oznaczało, że można dokonać zaprzysiężenia Raczkiewicza⁴⁴. Ostatecznie *Monitor Polski* nr 214-217 noszący datę 29 września 1939 roku przyniósł zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 17 września 1939 roku: „Na podstawie art. 24 ust. 1 Ustawy Konstytucyjnej wyznaczam p. Władysława Raczkiewicza b. marszałka Senatu na następcę Prezydenta na wypadek opróżnienia się urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przed zawarciem pokoju. Z chwilą ogłoszenia niniejszego zarządzenia — zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 17 września 1939 r. o wyznaczeniu generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej traci moc obowiązującą⁴⁵.

Pozostało już tylko złożenie przez Wieniawę na ręce W. Raczkiewicza godności prezydenckiej, co uczynił w gabinecie J. Łukasiewicza „w krótkim ale wzruszającym przemówieniu⁴⁶”. W ten sposób zakończyła się tzw. „sprawa prezydentury”, dzięki czemu zdołano zachować ciągłość władzy państwowej. 30 września 1939 roku przebywający w Słanicu rząd Sławoja-Składkowskiego zgłosił *in corpore* swą dymisję i złożył hołd nowemu Prezydentowi R.P. W. Raczkiewiczowi⁴⁷. 1 października hołd prezy-

44. R. Raczyński, *op. cit.*, str. 197.

45. Ten sam numer *Monitora* przyniósł następujące wyjaśnienie Kancelarii Cywilnej Prezydenta: „Zarówno zarządzenie wyznaczające na Prezydenta R.P. gen. Wieniawę-Długoszowskiego, jak zarządzenie wyznaczające na to stanowisko p. Marszałka Raczkiewicza, podpisane zostały przez P. Prezydenta R.P. w dniu 17 września 1939 r. w Kutach — w chwili kiedy stało się jasnym, iż najazd wojsk sowieckich odcinający P. Prezydentowi i Rządowi R.P. wszelkie inne drogi, uczyni koniecznym przekroczenie granicy rumuńskiej najpóźniej w ciągu kilku godzin.

Podpisując te zarządzenia p. Prezydent R.P. liczył się z tym, że zarówno on sam, jak p. Marszałek Rydz-Śmigły, który zarządzeniem z dnia 1 września 1939 r. wyznaczony był na następcę Prezydenta R.P. — mogą się znaleźć w sytuacji uniemożliwiającej im pełnienie urzędu. Pragnąc na taki wypadek zapewnić ciągłość konstytucyjną Państwa — P. Prezydent wyznaczył na swego ewentualnego następcę gen. Wieniawę-Długoszowskiego, o którym wiedział na pewno, że znajduje się w danej chwili w okolicznościach umożliwiających mu ewentualne objęcie następstwa w razie potrzeby.

Licząc się jednak z tym, że gen. Wieniawa-Długoszowski mógłby z różnych przyczyn uważać objęcie przez siebie następstwa Prezydenta R.P. za niewskazane — Pan Prezydent zarządzeniem z tej samej daty postanowił, że w takim razie, następcą jego ma być b. marszałek Senatu p. Władysław Raczkiewicz, o którym wiadomo było p. Prezydentowi, iż znajduje się w drodze za granicę dla wykonania w Stanach Zjednoczonych Amer. Pół. misji, powierzonej mu przez Rząd R.P.”.

46. E. Raczyński, *op. cit.*, s. 54.

47. *Ibidem*, s. 198.

dentowi złożył również prof. I. Mościcki⁴⁸.

Wypada jeszcze tylko wyjaśnić, lub choćby jedynie zasygnalizować, kilka problemów związanych z opisywanymi wydarzeniami. Przede wszystkim, wbrew temu, co pisał M. Romeyko czy współcześni publicyści⁴⁹, Wieniawa nie był prezydentem. Jak wynika z zacytowanego na wstępie niniejszego rozdziału art. 24 konstytucji kwietniowej, musiały zostać spełnione określone warunki, aby nominacja nabrała mocy prawnej. Było to więc, przypomnijmy, wydanie wolnego od kontrasygnaty (jako prerogatywy) aktu prezydenta oraz ogłoszenie go w „gazecie rządowej”. Jak można wywnioskować na podstawie przedstawionego powyżej przebiegu wypadków, równie ważnym warunkiem było wyrażenie zgody przez nominata, jak i formalne zrzeczenie się ustępującego prezydenta. Wiadomo, że listu zawierającego rezygnację na rzecz Wieniawy prezydent Mościcki nie wysłał. Nie wiadomo natomiast, gdyż przekazy na ten temat nic nie mówią, czy Wieniawa, zgodnie z art. 19 ustawy konstytucyjnej, złożył wymaganą przysięgę. Tak więc Wieniawa w dniach od 25 do 28 września był jedynie kandydatem na następcę prezydenta, nie zaś trzydniowym prezydentem.

Innym zagadnieniem, którego rozstrzygnięcie pozostanie już tylko w sferze przypuszczeń, jest pytanie, czy Wieniawa lepiej wywiązałby się z obowiązków prezydenta niż Raczkiewicz. Twierdząco odpowiadał na nie m.in. W. Meysztowicz, który pisał: „Nie wiem, czy Wieniawa nie byłby lepiej wywiązał się z obowiązków prezydenckich i czy nie potrafiłby ocalić dla władz na emigracji skarbu R.P., który słaby Raczkiewicz pozwolił przepuścić i zmarnować⁵⁰”.

Nie sposób dziś dociec, czy tak byłoby w istocie. W każdym razie słuszny wydaje się pogląd W.T. Kowalskiego, który stwierdził, że gdyby Francuzi nie wtrącali się w sprawę polskie i gdyby Wieniawa rozpoczął urzędowanie bez przeszkód, to w chwili zjawienia się w Paryżu gen. Sosnkowskiego jemu właśnie by ten „depozyt” przekazał. W ten sposób nastąpiłyby dwie, a

48. Telegram wysłany 1 października o godz. 13.45 zawierał następujące słowa: „Do Pana Prezydenta R.P. Wł. Raczkiewicza. Składam hołd Majestatowi R.P. i załączam najserdeczniejsze życzenia szczęścia i powodzenia w spełnianiu wysoce odpowiedzialnych obowiązków w tak nadzwyczajnie trudnych warunkach dla naszego narodu. (—) Ignacy Mościcki”. Cyt. za Dziennikiem J. Hartmana, s. 20.

49. Np. A. Garlicki („Mądry...”, s. 143) napisał: „Właściwie to nawet był prezydentem — *Dziennik Ustaw* z jego nominacją został już wydrukowany (a w sensie prawnym to się właściwie liczy) dopiero przed rozpoczęciem kolportażu nakład zniszczono”.

50. W. Meysztowicz, *op. cit.*, s. 339.

nie trzy zmiany. Po przybyciu gen. Sosnkowskiego do Paryża właśnie ostatnia z nich stała się tematem dnia⁵¹.

Pozostając w kręgu ocen należy, niejako dla „równowagi”, zasygnalizować, że nie zabrakło głosów wypowiedzianych w zupełnie innym tonie. Leon Mitkiewicz w swych wspomnieniach napisał: „Wszystkiego można było się spodziewać, ale nie mianowania Wieniawy Prezydentem R.P.! Przecież wszystkie konie uśmiełyby się w Polsce⁵²”. Równie ironicznie o tym wydarzeniu pisał S. Krzywoszewski, który m.in. stwierdził, że kiedy prezydent Mościcki „zreflektował się”, wysłał do Paryża drugą nominację, „jakoby” podpisaną *in blanco*, a wówczas „Wieniawa, acz nie bez goryczy, (?) ustąpił miejsca Raczkiewiczowi⁵³”. Znany działacz socjalistyczny Adam Pragier decyzję prezydenta Mościckiego określił jako „awanturniczy krok dotychczasowego zespołu rządzącego⁵⁴”.

Potwierdziło się więc, po raz kolejny, że niemal każde wyniesienie Wieniawy spotykało się ze złośliwymi komentarzami, w których zgodność z faktami była sprawą wcale nie najważniejszą.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że w trakcie opisanych wydarzeń prezydent Mościcki nie wykazał się najlepszym wyczuwaniem sytuacji politycznej. I w tym aspekcie należy przyznać rację A. Pragierowi, piszącemu, iż prezydent „(...) zdawał się nie rozumieć, że wyznaczenie Wieniawy jako następcy, który miałby objąć urząd po jego zrzeczeniu się, było czymś niepoważnym, a nawet gorszym. Nie dlatego, by Wieniawie można było stawiać zarzuty osobiste, ale raczej dlatego, że zrosł się w powszechnym mniemaniu z przedwojenną Warszawką, swawolną i beztróską, by mógł być brany pod uwagę jako czołowa postać w przełomowej chwili⁵⁵”.

Prezydent Mościcki zdawał się również nie dostrzegać, że rząd polski, który urzędowałby w Paryżu, musiałby cieszyć się poparciem lub choćby tolerancją rządu francuskiego. A Wieniawa i rząd przez niego utworzony liczyć na to nie mogli. Po pierwsze dlatego, że Wieniawa był zaprzyjaźniony z Ciano, o czym w Paryżu wiedziano, a wiadomo jak napięte były wówczas stosunki francusko-włoskie. Po drugie, był wieloletnim adiutantem i powiernikiem marszałka Piłsudskiego, który wielokrotnie

51. „W kręgu mitów...”, s. 70.

52. Leon Mitkiewicz, „Wspomnienia Kowieńskie 1938-1939”. Londyn 1968, s. 263.

53. Stefan Krzywoszewski, „Długie życie. Wspomnienia”. Warszawa 1947, t. II, s. 61.

54. A. Pragier, *op. cit.*, s. 567.

55. *Ibidem*, s. 567.

demaskował i krytykował nielojalność francuskiego sojusznika. Prócz tego widziano w Wieniawie zaufanego Becka, nie mającego we Francji dobrej opinii (ambasador L. Noël był wręcz ogarnięty manią antybeckowską). Zacytujmy zresztą charakterystykę Wieniawy dokonaną przez wydział dyplomacji francuskiego MSZ: „Był on dawniej oficerem Marszałka Piłsudskiego, którego zabawiał dowcipami i różnymi facecjami. Zachował z czasów studenckich w Szkole Medycznej w Paryżu, a potem w Szkole Sztuk Pięknych w Berlinie pewną fantazję w obejściu, która pod pozorem wielostronnej kultury zdradza rozwiązłość tak duchową jak i obyczajową (*sic!*). Ten beztroski kawalerzysta jest w Polsce bardzo popularny, słynie z niepowściągliwych obyczajów i niewybrednego słownictwa. *Pięć dni temu, wsiadając w Mediolanie do Sud-Express by udać się do Paryża, był kompletnie pijany* (podkr. — W.D.).

Przychylności p. Becka, z którym jest z zażyłych stosunkach, zawdzięcza że osiemnaście miesięcy temu otrzymał, ku ogólnemu zdziwieniu, nominację na ambasadora w Rzymie. Kredytu zaufania u swoich rodaków nominacją tą nie zwiększył.

Mimo okazywanej serdeczności, która mogła zwieść niektórych Francuzów, gen. Wieniawa był nam zawsze wrogi. Jego nastawienie w stosunku do nas objawiło się w czasie wojny 1920 roku, co też nie uszło uwagi gen. Weyganda. Należy on do owego klanu piłsudczyków, na który stale musieliśmy narzekać.

Ponadto osobistości polskie znajdujące się we Francji, p. Zaleski i gen. Sikorski w pierwszym rządzie, podkreślili w sposób bardzo kategoryczny, że nie mogliby z nim współpracować⁵⁶”. Charakterystykę tę, wysłaną 29 września francuskiemu ambasadorowi w Londynie Corbinowi, podpisał premier Daladier.

Ostatni zacytowany fragment nakazuje zastanowić się nad kwestią, na ile francuskie veto wobec Wieniawy było wynikiem przemyśleń polityków francuskich, a na ile zakulisowymi rozgrywkami polityków polskich, jak choćby wymienionych powyżej Sikorskiego i Zaleskiego.

Opinie na ten temat można w zasadzie podzielić na dwie grupy. „Klasycznym” przykładem pierwszej z nich jest opinia jednego z głównych uczestników tych wydarzeń, S. Strońskiego: „26 września — pisał — wskutek sprzeciwu grona działaczy z opozycji przedwrześniowej, uchylone zostało mianowanie przez Prezydenta Mościckiego następcą gen. Wieniawy-Długoszowskiego⁵⁷”.

56. Cyt. za T. Wyrwa, *op. cit.*, s. 200.

57. Stanisław Stroński, „Paderewski — Śmierć na posterunku”, *Dziennik Polski* nr 160, 6.VII.1951, do opinii Strońskiego przychylił się m.in.: W. Pobóg-Malinowski, „Najnowsza...”, t. II, cz. 2, s. 78-79.

Trafność tych słów zanegował O. Terlecki, pisząc, że trąca one samochwalstwem, gdyż „(...) czynnikiem rozstrzygającym była interwencja Francuzów, którym stworzono znakomitą okazję do zademonstrowania ich nadrzędnego obecnie stanowiska⁵⁸”.

Wydaje się, że aby stwierdzić, kto ma rację, należy podjąć próbę skonfrontowania przedsięwzięć rządu francuskiego z działaniami „grupy Sikorskiego”, by użyć określenia Stanisława Zabięły⁵⁹. Zaczniemy od wspomnień B. Miedzińskiego, który zanotował, że po internowaniu w Slanicu rząd zwrócił się do niego z propozycją wyjazdu do Paryża w celu porozumienia się z E. Raczyńskim, J. Łukasiewiczem i Wieniawą. Zamierzano przeciwdziałać rozpoczętym już tam „machinacjom opozycji⁶⁰”. Nie wiadomo wszakże, o jakie machinacje chodziło. Bardziej frapujący jest inny fragment tych wspomnień, kiedy to Miedziński pisze, że jeszcze w Bukareszcie nastąpiło porozumienie między Sikorskim a Noëlem i Rumuni doskonale wiedzieli (król Karol również), iż „(...) Sikorski wyjechał do Paryża jako kandydat rządu francuskiego na nowego premiera rządu polskiego (...)”⁶¹. Faktem jest, że Sikorski wyjechał do Paryża z Bukaresztu dnia 22 września o godz. 10 rano Simplon-Expressem, którym jechał również L. Noël. Obaj przybyli na miejsce 24 września w południe.

Przypomnijmy, że w nocy z 25 na 26 września Ch. de Ribes bez żadnych uwag przyjął od Łukasiewicza notę o nominacji Wieniawy, a już o 12.30 26 września w imieniu Daladiera wysunął w rozmowie z Łukasiewiczem szereg zastrzeżeń wobec niej. W. Pobóg-Malinowski sugeruje, że między jedną a drugą rozmową miała miejsce interwencja opozycji, co spowodowało zmianę neutralnego dotąd stanowiska rządu francuskiego⁶².

Tego samego dnia, a więc 26 września, radca ambasady polskiej w Paryżu Anatol Mühlstein spotkał się z gen. W. Sikorskim. Omawiano sprawy polskie, poruszono też zapewne kwestię prezydentury⁶³. Mühlstein rozmawiał następnie z Ch. de Ribes, któremu zakomunikował, że: „(...) pomysł zrobienia Prezydentem Rzeczypospolitej Wieniawy jest skandaliczny. Nie mogliśmy go zaakceptować⁶⁴”.

58. O. Terlecki, „Generał Sikorski”, Kraków 1981, t. I, s. 156.

59. Stanisław Zabięły, „Na posterunku we Francji”, Warszawa 1967, s. 40.

60. B. Miedziński, „Wspomnienia”, *Zeszyty Historyczne* nr 37, Paryż 1976, s. 218.

61. *Ibidem*, s. 221-222.

62. W. Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, s. 78-79.

63. Anatol Mühlstein, „Pamiętnik”, *Zeszyty Historyczne* nr 43, Paryż 1978, s. 64.

64. *Ibidem*, s. 64.

Również w tym dniu o godz. 16 gen. Sikorski złożył wizytę w ambasadzie J. Łukasiewiczowi. Łukasiewicz poinformował swego gościa o nominacji Wieniawy, wyjaśniając jednocześnie motywy decyzji prezydenta Mościckiego. Ambasador zanotował, że Sikorski był tą wiadomością zaskoczony. Ze względu na to, że Sikorski spotkał się już z Mühlsteinem oraz że w Paryżu przebywał od dwóch dni, wydaje się mało prawdopodobne, by o niczym nie wiedział. W każdym razie oświadczył, że nominację tę uważa za nie mającą żadnego uzasadnienia i wręcz katastrofalną zarówno ze względu na sytuację wewnętrzną, jak i międzynarodową. Kiedy zaś Łukasiewicz usiłował go uspokoić dodał, że Wieniawa jest alkoholikiem i nawet teraz przyjeżdżając do Paryża wysiadł z pociągu pijany⁶⁵.

To ostatnie stwierdzenie jest dla nas szczególnie interesujące. Zbieżność argumentacji Sikorskiego i wcześniej Daladiera zdaje się dowodzić ścisłych związków Sikorskiego z premierem francuskim oraz tego, że jego zdziwienie na wieść o nominacji Wieniawy było tylko grą.

Dzień, w którym miały miejsce opisywane zdarzenia był dla Sikorskiego szczególnie pracowity. Jak wynika ze wspomnień A. Pragiera, o 17.00 w hotelu „Chatham” (gdzie mieszkał A. Zaleski) odbyło się spotkanie z udziałem Sikorskiego, Zaleskiego, Pragiera, Strońskiego i Koca. Zebrani jednomyślnie wyrazili opinię o konieczności uchylenia kandydatury Wieniawy⁶⁶. Podobne spotkanie miało miejsce wieczorem u Mühlsteina. Gospodarz, Sikorski i Zaleski ustalili, że należy odmówić współpracy z Wieniawą. Sikorski podobno myślał o sobie, Zaleski również⁶⁷.

Ponieważ zastrzeżenia rządu francuskiego wyrażone przez Ch. de Ribes w rozmowie z Łukasiewiczem nie miały charakteru formalnego, opozycja postanowiła podjąć bardziej zdecydowane kroki. 27 września o 8.30 A. Mühlstein rozmawiał na Quai d'Orsay z Ch. de Ribes. „Powtarzam swoje obiekcje — wspominał później — co do kandydatury Wieniawy i nalegam, aby rząd francuski okazał więcej energii. W końcu zapraszam Champetier de Ribes na obiad z Zaleskim, Generałem i Strońskim⁶⁸”. O godz. 17.00 nowa konferencja u Mühlsteina, w której prócz wymienionych uprzednio miał uczestniczyć Herman Lieberman, lecz nie przybył.

Ale najważniejsza była wieczorna konferencja u Mühlsteina 27 września. Przybyli również Sikorski, Zaleski, Stroński oraz de

65. J. Łukasiewicz, *op. cit.*, str. 353.

66. A. Pragier, *op. cit.*, str. 567.

67. A. Mühlstein, *op. cit.*, str. 64.

68. *Ibidem*, s. 64.

Ribes. Polacy zaproponowali wówczas politykowi francuskiemu zgłoszenie *démarche* u prezydenta Mościckiego wobec jego decyzji o nominacji Wieniawy. Oświadczyli też, że taką samą propozycję złożyli osobno rządowi francuskiemu i angielskiemu. Rozmowa o niemal identycznej treści odbyła się również o 10.30 28 września, a uczestniczyli w niej Mühlstein, Stroński i L. Noël. Ustalono wówczas, że należy pozbyć się J. Łukasiewicza⁶⁹. Jakby tych krętaństw było mało, 29 września po naradzie Sikorski, Stroński, Zaleski i Mühlstein interweniowali u rządu francuskiego, by wstrzymał wypłatę przyznanej rządowi polskiemu pożyczki w wysokości 600 milionów franków, którymi miał prawo dysponować J. Łukasiewicz. Jaki był ostateczny efekt tych zabiegów, już wiemy: oficjalny protest rządu francuskiego wobec nominacji Wieniawy złożony 29 września.

W świetle przytoczonych faktów wydaje się, że rację miał jednak S. Stroński piszący, iż decydująca dla genezy sprzeciwu francuskiego była postawa grona polskich polityków⁷⁰. Nie ulega wszakże wątpliwości, że duże znaczenie miało tu również stanowisko zajęte przez ambasadora L. Noël'a, który za wszelką cenę nie chciał dopuścić do restauracji rządów sanacji⁷¹. Aby jednak nie przeceniać roli Noël'a, dodajmy, że kiedy wypłynęła kandydatura W. Raczkiewicza, L. Noël swą aprobatę dla niego uzależnił od zgody Strońskiego, Zaleskiego i Mühlsteina⁷².

Ocena postaw moralnych wymienionych kilkakrotnie polityków polskich nie należy do zakresu tej pracy. A gdy idzie o Wieniawę, to warto podkreślić jego rozsądek, nieupieranie się przy otrzymanym stanowisku oraz godne zachowanie. Stanowisko zajęte przez Wieniawę wobec opisywanych wydarzeń było w pewnym sensie kontynuacją polityki zapoczątkowanej jeszcze w Rzymie, polegającej na dążeniu do dialogu i kompromisu z przeciwnikami politycznymi, a nie pogłębianiu różnic. Warto podkreślić, że Wieniawa w swych decyzjach nie kierował się

69. *Ibidem*, str. 65.

70. Witold Bobiński we „Wspomnieniu o Prezydencie Raczkiewiczu” (*Zeszyty Historyczne* nr 47, Paryż 1979, s. 129) napisał: „Ta nominacja była błędem politycznym nie ze względu na osobę Wieniawy (którego znałem i którego ceniłem), ale z uwagi na negatywną reakcję nowego rządu. Ta reakcja była łatwa do przewidzenia, zaś na domiar złego nasi politycy w Paryżu nie cofnęli się przed zwróceniem się do rządu francuskiego z prośbą, aby nominacji Wieniawy nie uznał”.

71. Sam Noël z dużą przesadą stwierdził w swych wspomnieniach, że to właśnie na jego interwencję prezydent Mościcki zrezygnował z desygacji Wieniawy. L. Noël, „Polonia Restituta. La Pologne entre deux mondes”, Paris 1954, s. 156.

72. A. Mühlstein, *op. cit.*, s. 66.

emocjami czy względami osobistymi. Dobrze to widać zwłaszcza w przypadku nominacji gen. Sikorskiego na dowódcę wojska polskiego we Francji. Decyzję taką podjął, zgodnie z przysługującymi mu uprawnieniami, ambasador Łukasiewicz, lecz uczynił to po naradzie z Wieniawą, który bez zastrzeżeń poparł taki projekt⁷³. A przecież wiedział chyba o roli Sikorskiego w pozbawieniu go urzędu i nonsensownych opowiastkach o alkoholizmie. A jeśli nawet o tym nie wiedział, to już z całą pewnością nie były Wieniawie nieznane afiliacje polityczne Sikorskiego⁷⁴.

Miał wiele racji E. Raczyński pisząc: „Wieniawa czy inny, rzecz nie tak szalenie ważna, także z powodu tradycyjnego «typu» naszych prezydentów (...). Nie chodziło mi o personalia, ale przede wszystkim o fakt, że z klęski naszej w polu umieściliśmy tylko i przede wszystkim imponderabilia: naszą państwowość, sojusze, konstytucję. A tymczasem nasz własny sojusznik potraktował jeden z naszych skarbów jako błahy, nic nie znaczący. Trzeba pamiętać, że było to dwa dni przed kapitulacją Warszawy, kiedy stolica płonęła od końca do końca i każdy z nas był w stanie wrażliwości graniczącej z histerią⁷⁵”. Ale, niestety, nie wszyscy to rozumieli.

Nominacja i zaprzysiężenie Raczkiewicza uczyniły dalszą obecność Wieniawy w Paryżu zbędną. 1 października wziął udział w nabożeństwie odprawionym w intencji pomyślności nowego prezydenta⁷⁶, a następnie wspólnie z prałatem W. Meysztowiczem i radcą ambasady przy Watykanie Stanisławem Janikowskim powrócił pociągiem do Rzymu. Jak podkreślał W. Meysztowicz, Wieniawa był mimo klęski pełen nadziei na lepsze jutro dla kraju⁷⁷. Z uwagi na jego czynną, żywą naturę ważne było tworzenie wojska polskiego we Francji, w czym Wieniawa w pośredni, aczkolwiek bardzo znaczący sposób uczestniczył.

9 września premier Daladier podpisał z ambasadorem Łukasiewiczem umowę, w myśl której w obozie w Coëtquidan

73. J. Łukasiewicz, *op. cit.*, s. 358; na poparcie Wieniawy dla Sikorskiego zwrócił uwagę Leszek Moczulski w pracy „Wojna polska”, Londyn 1987, s. 480; warto wspomnieć, że autor powoływanej pracy określił Wieniawę jako „człowieka wyjątkowej inteligencji i rzadkiej kultury” (s. 480).

74. Trudno więc odmówić słuszności Kajetanowi Morawskiemu, który pisząc o perypetiach związanych ze zmianą na stanowisku prezydenta i udziale w nich Wieniawy stwierdził, że był to „(...) incydent, który zresztą nie przynosi najmniejszej ujmy pamięci samego nominata”. K. Morawski, „Wspólna...”, s. 94.

75. E. Raczyński, *op. cit.*, s. 54.

76. Z dziennika Jana Szembeka, oprac. Bogdan Grzełowski, cz. 2, *Kierunki* nr 8, 21.II.1988.

77. W. Meysztowicz, *op. cit.*, s. 339.

rozpoczęto tworzenie dywizji polskiej. W jej skład mieli wejść Polacy znajdujący się na terenie Francji. Szybko jednak ujawnił się problem braku kadr. Francuzi nie wyrazili bowiem zgody na wstępowanie do wojska Polaków zatrudnionych w przemyśle zbrojeniowym. Z drugiej zaś strony Polacy mieszkający we Francji w większości nie przechodzili szkolenia wojskowego. W tej sytuacji niezwykle istotne stało się umożliwienie przebywającym na Węgrzech i w Rumunii żołnierzom polskim przedostanie się do Francji. Rzut oka na mapę wystarczy aby przekonać się, że musieliby oni przejeżdżać przez terytorium Włoch, jakkolwiek by było, sojusznika hitlerowskich Niemiec.

Wieniawa, który doskonale zdawał sobie sprawę ze złożoności sytuacji, postanowił najpierw wysondować opinię Ciano. Zdecydował się przy tym nadać projektowanej operacji charakter wybitnie cywilny, przedstawiając ją jako ewakuację do Francji polskich „robotników z południowej Polski, którzy pod naporem wojsk niemieckich i sowieckich przeszli granice Rumunii i Węgier”⁷⁸. Poleciał też M. Romeyco, aby w tym duchu przeprowadził dyskretny sondaż na terenie włoskiego Sztabu Generalnego.

Obydwie próby wypadły doskonale. Ciano zresztą sam zaczął rozmowę z Wieniawą stwierdzeniem, że już dobrze zna problem polskich „robotników” i że nie widzi żadnych trudności, a nawet wysłał odpowiednie instrukcje na Węgry i do Rumunii oraz wzmacnił obsadę włoskich tam konsulatów, gdyż nie są przygotowane do wydawania takiej ilości wiz. Ciano prosił jedynie o to, by owi „robotnicy” nie stwarzali problemów natury politycznej i turystycznej. Ustalono również, jakimi liniami kolejowymi będą Polacy podróżować. Równie życzliwie do projektu odniósł się zastępca szefa Sztabu Generalnego gen. Mario Roatta, który w latach 1926-1929 pełnił funkcję *attaché* wojskowego w Warszawie⁷⁹.

Jak na przedstawicieli kraju będącego najbliższym sojusznikiem Niemiec, Ciano i gen. Roatta zajęli dość niespodziewane stanowisko. Zwłaszcza, że dla nikogo nie ulegało wątpliwości, iż polscy żołnierze, którzy przedostaną się do Francji, będą dalej walczyć przeciwko Niemcom. Wydaje się, że jest to dość interesujący przyczynek do stosunków polsko-włoskich i włosko-niemieckich w tym czasie⁸⁰. Oczywiście nie należy zapominać, że było

78. Cyt. za M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 142.

79. *Ibidem*, s. 143-144.

80. Jeszcze przed wojną Polską zamówiła we włoskiej firmie „Bracia Casulich” 6 nowoczesnych wodnopłatowców. Przed 1 września był gotów tylko jeden z nich i ten odleciał do Polski. Niespodziewanie w końcu maja 1940 roku, kiedy Francja stała w obliczu klęski, a Włochy gotowały się do przystąpienia do wojny, jeden z właścicieli włoskiej firmy zwrócił się do M.

to możliwe głównie dzięki osobistym stosunkom Wieniawy i Romeyki z Włochami⁸¹.

Tranzyt przez Włochy rozpoczął się w październiku i trwał mniej więcej do kwietnia. Początkowo były to przejazdy indywidualne, przeważnie oficerów, wyposażonych w dokumenty i bilety kolejowe. Później sytuacja się nieco skomplikowała, gdyż podróżujący w grupach liczących po 50-100 osób żołnierze nie mieli wyglądu ani turystów, ani robotników. Zdarzały się również przypadki „dzikiej” ewakuacji żołnierzy, którzy w obawie przed internowaniem zjawiali się na granicy włoskiej bez pieniędzy, biletów a nawet dokumentów.

Kolejnym kłopotem był chroniczny brak pieniędzy, które jeśli nawet jednak przychodziły z Paryża, to z dużym opóźnieniem i w niewystarczającej ilości. I tu znowu pomocy udzieliły władze włoskie, które zgodziły się przewozić polskich żołnierzy na kredyt. Po prostu Polacy otrzymywali kredytowe bilety kolejowe, a w dodatku na granicznej stacji kolejowej Postumia oczekiwały zawsze dwa „polskie” wagony osobowe doczepione do pociągu jadącego do Mediolanu⁸².

Przerzut polskich wojskowych przez Włochy trwał prawie pół roku. Zostali wyewakuowani praktycznie wszyscy polscy wojskowi z Rumunii, którzy następnie znaleźli się w Grecji, we Francji i na Bliskim Wschodzie. Akcja ta nabrała takich rozmiarów, że wywołała poważną interwencję niemiecką. Na szczęście było to już przy końcu operacji.

Wspomniałem powyżej, że zajęcie się tak ważną sprawą miało duże znaczenie dla psychiki Wieniawy. Dostrzegł to M. Romeyko pisząc: „Wieniawa w ogóle odżył, widział teraz potrzebę istnienia, działania placówki, a nie ograniczenia się do jedynie płacziwej reprezentacji, chwilowo pokonanego w wojnie państwa⁸³”.

Ważna dla ambasadorskiej działalności Wieniawy myśl wyszła spod pióra Kazimierza Koźniewskiego: „(...) w pierwszych miesiącach wojny Wieniawa był jednym z tych naszych ambasadorów — a nie było ich tak wielu — którzy natychmiast

Romeyki z pytaniem, kiedy Polacy odbiorą pozostałe samoloty. Doszło do tego, że utworzono w Portugalii fikcyjne towarzystwo, które po „kupieniu” z Włoch wodnopłatowców „odsprzedało” je władzom polskim. A o wszystkim poinformowany był Mussolini. (M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 239-240). Tym razem jednak nie było to dziełem Wieniawy, który o wszystkim dowiedział się od Romeyki.

81. Zasługi Wieniawy na tym polu dostrzegł nawet niechętny mu O. Terlecki; por. tegoż „Prezydent Wieniawa”, *Życie Literackie* nr 43, 24.VIII.1971.

82. M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 146.

83. *Ibidem*, s. 145.

bez żadnego wzdragania oddali swoje dyplomatyczne możliwości w służbę nielegalnych przerzutów pieniędzy, kurierów, poczty do okupowanej Warszawy. (...) pomoc dla rodzącej się wówczas polskiej konspiracji była najwyższym prawem naszego patriotyzmu. I właśnie Wieniawa od pierwszej chwili to znakomicie rozumiał. Wypada dodać, że szefem ówczesnej tajnej placówki przerzutowej z Rzymu na Kraj był mecenas Jerzy Kurcjuś (...), który — choć przed wojną należał do przeciwników politycznych sanacji — wysoko oceniał tę właśnie postawę ambasadora Wieniawy⁸⁴.

Nie dla każdego jednak swego projektu udawało się Wieniawie uzyskać akceptację Ciano. Kiedy bowiem zaczęli docierać do Włoch pierwsi uchodźcy cywilni, Wieniawa prosił przyjaciela o zgodę na ich krótkoterminowe pozostawienie w Italii, w drodze do Francji. Ciano jednak zaprotestował, obawiając się, że „cała Polska” zjedzie do Włoch, stwarzając tym samym niepożądany problem uchodźców. Ostatecznie stanęło na tym, że konsulat włoski w Warszawie będzie wydawał wizy tylko na polecenie Palazzo Chigi, a polska ambasada każdorazowo zagwarantuje, że dana osoba opuści Włochy po krótkim pobycie⁸⁵.

Działając na tym nowym polu, Wieniawa otoczył opieką przybyłego do Rzymu pod koniec 1939 roku syna polskiego dyplomaty, Władysława Günthera. Sprowadził również i opiekował się rodziną Wojciecha Korfantego. Szczególnego znaczenia nabiera zaś fakt, że Wieniawa przyczynił się także do sprowadzenia z Polski żony gen. Sikorskiego, Heleny, ukrywającej się w obawie przed poszukującym jej gestapo. Stało się tak, mimo że otoczenie gen. Sikorskiego, nie mając zaufania do Wieniawy, usiłowało ukryć przed nim akcję sprowadzenia pani Sikorskiej. Interpelowany w tej sprawie płk Romeyko sprzeciwił się stanowczo takiemu pomysłowi. Faktem jest natomiast, że generałowa po przybyciu do Rzymu wyraziła w rozmowie z płk. Romeyką stanowcze życzenie, by nie powiadamiać ambasadora o jej obecności⁸⁶.

Niewielu było jednak ludzi, którzy tak jak Wieniawa zapomnieliby o wcześniejszych animozjach i pretensjach. Brakowało ich również w otoczeniu gen. Sikorskiego. Okazało się wręcz, że mimo podejmowanych przez siebie wysiłków, Wieniawa stał się obiektem niewybrednych ataków i intryg. Doniesiono bowiem premierowi, że Wieniawa usiłuje prowadzić samo-

84. Kazimierz Koźniewski, List do Redakcji, *Polityka* nr 3, 17.I.1970.

85. M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 148.

86. *Ibidem*, s. 176-179.

dzielną politykę, konspiruje z Beckiem, dąży do utworzenia nowego rządu, a nawet wstrzymuje transporty żołnierzy udających się przez Włochy do Francji! Wszystkie te zarzuty wykrzyczał płk. Romeyko gen. Sikorski. Temu pierwszemu udało się jednak sprawę wyjaśnić i na pewien czas załagodzić sytuację⁸⁷.

Wieniawa dowiedziawszy się o wszystkim był przygnębiony. Z drugiej jednak strony nie zgodził się z propozycją Romeyki, by pojednać się z Naczelnym Wodzem. Wieniawa wprawdzie stwierdził, że „dla współczesnej służby ojczyzny dziś potrzebna jest lojalność, wspólny wysiłek”, ale dodał też, iż Sikorski był największym wrogiem Komendanta, który zwłaszcza od zamachu majowego miał go w największej pogardzie. Z tego też powodu nie widzi możliwości nawiązania z premierem stosunków osobistych i powrotu do sympatii i szacunku⁸⁸.

Szczęśliwą okolicznością był natomiasat dla Wieniawy fakt, że Włosi nie uznaliby żadnego innego ambasadora mianowanego na jego miejsce. Zdawano sobie przy tym sprawę z faktu, że chyba nikt nie miał tak dobrych stosunków w Rzymie, jak dotychczasowy ambasador. O korzyściach zaś z tego płynących przekonano się w trakcie przerwania żołnierzy polskich do Francji. Z podobnych zresztą powodów pozostawiono na stanowisku ambasadora Turcji innego piłsudczyka, M. Sokolnickiego.

W tym czasie Wieniawa nie zaniechał również pisania swych raportów dla rządu, który wprawdzie nie urzędował już w Warszawie lecz w Angers, a do tego składał się z ludzi co najmniej niechętnych ambasadorowi. J. Lechoń wspominał, że i wówczas raporty Wieniawy charakteryzowały się logiką i umiejętnością przewidywania⁸⁹. A spraw, które należało poruszyć, było coraz więcej. Oprócz żołnierzy napływali bowiem do Włoch również uchodźcy cywilni, których należało otoczyć opieką. Zebranych pewnego dnia urzędnikom ambasady Wieniawa oświadczył, że czuje się bardziej ambasadorem Polaków niż Polski i drzwi jego gabinetu są otwarte o każdej porze dnia dla każdego obywatela polskiego. I nie będzie robił różnic w

87. *Ibidem*, s. 180-182; S. Schimitzek zanotował w swych wspomnieniach, że doszły do niego pogłoski, jakoby wojskowe otoczenie J. Becka próbowało z Bukaresztu nawiązać kontakty z krajem celem stworzenia tam podziemnej organizacji w rodzaju POW. Ludzie ci nie dysponowali jednak żadnym nazwiskiem, które by mogło pociągnąć za sobą masy w Polsce. Postanowiono wobec tego przekonać do pomysłu Wieniawę. W tym celu do Rzymu wyjechali T. Schaetzel, bracia Jędrzejewiczowie, Wiktor Drymmer i inni (S. Schimitzek, „Na krawędzi Europy. Wspomnienia portugalskie 1939-1946”, W-wa 1970, s. 104-105).

88. M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 183-184.

89. J. Lechoń, „Wieniawa”.

traktowaniu prostej kobiety czy hrabiny⁹⁰. Podejmował również interwencje o charakterze zbiorowym, jak choćby prosząc usilnie Ciano o pomoc w sprawie aresztowanych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niestety, tym razem „widział tylko zaafektowaną twarz Ciano, wyrażającą i pogardę do Niemców, lecz jednak i wyraz bezsilności własnej⁹¹”. Ambasador zorganizował za to wysyłkę paczek dla jeńców polskich znajdujących się w oflagach. Podobno w oflagu II-E Neubrandenburg paczki docierały jeszcze w półtora roku po likwidacji ambasady, a do innych oflagów aż do 1943 roku⁹².

Do końca swego pobytu we Włoszech Wieniawa pozostał w dobrych stosunkach z Ciano. Kiedy jednak ten wygłosił w senacie przemówienie, w którym upadek Polski tłumaczył zamieszkiwaniem jej jedynie przez 17 milionów Polaków, Wieniawa zarzucił mu, że jest największym mordercą na świecie, gdyż w jednym zdaniu wymordował 7 milionów Polaków⁹³. Częściej jednak bywało tak, że Wieniawa opowiadał swemu przyjacielowi o codziennej martyrologii Polski znajdującej się pod bestialskim jarzmem hitlerowskim⁹⁴.

Pora chyba na próbę podsumowania działalności ambasadorskiej Wieniawy. Próbę, gdyż całkowita ocena jest chyba niemożliwa. I to z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że wymagałoby to analizy skutków działań Wieniawy, a tych przecież wszystkich nie znamy. Wiele z nich, będąc wynikiem poufnych rozmów, pozostało poza zasięgiem bezpośredniej obserwacji, a przez to nie pozostawiło śladów w postaci przekazów źródłowych. Po drugie, oceny takiej można by dokonać m.in. porównując osiągnięcia Wieniawy z osiągnięciami innych polskich dyplomatów. A nie sprzyja takiemu zabiegowi choćby to, że Wieniawa swój urząd sprawował tylko przez kilkanaście miesięcy. Trzeba by również uwzględnić różnice, w jakich przyszło polskiemu przedstawicielstwu dyplomatycznym pracować. Należy pamiętać i o tym, że jako ambasador Wieniawa ściśle realizował linię wytyczoną przez ministra J. Becka. Jedynie w tym kontekście można ocenić metody, jakimi posługiwał się w swych działaniach Wieniawa.

Wybitny polski dyplomata omawianego okresu E. Raczyński napisał: „W ocenie wartości i znaczenia przedstawicielstw zagranicznych liczą się nie daty i nie styl (...) ale ludzie. (...)”

90. M. Romeyko, „Wspomnienia...”, s. 153.

91. *Ibidem*, s. 156.

92. Waldemar Łysiak, „Wyspy bezludne”, Kraków 1987, s. 187.

93. G. Ciano, *op. cit.*, s. 183.

94. *Ibidem*, s. 197.

Dyplomata przygotowany wszechstronnie, władający płynnie i możliwie bez akcentu językiem kraju, w którym przebywa, a przede wszystkim pracujący usilnie nad tym, by zrozumieć i uświadomić sobie jego tętno i aby poglądy i wzruszenia własnego społeczeństwa i rządu uczynić zrozumiałymi — to wciąż jeszcze cenne ogniwo międzynarodowego porządku⁹⁵”.

W wydanej w 1716 roku książce „O sposobach układania się z władcami, czyli o pożytku negocjacji, o wyborze ambasadorów i posłów oraz o własnościach niezbędnych by pełnić te funkcje udanie” Franciszek de Callières przedstawił swój wizerunek idealnego ambasadora-dyplomaty. Nie może on być szpetny, jeżeli pije, to musi umieć nie tracić przytomności, a raczej innych do tego doprowadzać, powinien umieć zjednywać sobie kobiety, mieć równe usposobienie, łatwość obejścia i przystępność, cechować go musi odwaga, stanowczość, a nawet znajomość historii⁹⁶.

Przytoczenie tych dwu charakterystyk pozwala z większym przekonaniem odpowiedzieć na pytanie postawione na wstępie do tego rozdziału: czy Wieniawa stworzył własny model dyplomaty? Powinna to być odpowiedź twierdząca. Okazuje się bowiem, że znajdujemy w nim wszystkie cechy nowoczesnego dyplomaty wyróżnione przez E. Raczyńskiego jak i te, którymi powinien był charakteryzować się dyplomata XVIII-wieczny. Wieniawa umiał pracować w zaciszu własnego gabinetu, odbywać poważne rozmowy na wysokim szczeblu, ale potrafił też na posadzkach salonów towarzyskich nawiązywać liczne znajomości, a jako gawędziarz i *causeur* robić dobrą propagandę swego kraju. O efektach w ten sposób osiągniętych już pisałem.

Na plus Wieniawie jako ambasadorowi należy zapisać niezwykle sumienne wywiązywanie się z nałożonych nań zadań oraz stosowanie nowoczesnych metod prowadzenia propagandy. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że w tym samym czasie w Polsce wyspecjalizowane instytucje, a więc prasa i radio, o metodach prowadzenia skutecznej, masowej propagandy wiedziały tylko ze słyszenia.

Słów kilka należy poświęcić raportom pisany przez Wieniawę z Rzymu. Stały się one obiektem częstej krytyki, a wręcz druzgocącej ocenie poddał je S. Cat-Mackiewicz⁹⁷. Stwierdził mianowicie, że raporty Wieniawy dyskwalifikują go „(...) całko-

95. E. Raczyński, „Rola dyplomatów”, *Wiadomości* nr 47, Londyn 29.XI.1969.

96. Por. Maria Ossowska, „Ethos rycerski i jego odmiany”, Warszawa 1973, s. 140-144.

97. S. Cat-Mackiewicz, „Zielone...”, s. 18.

wicie jako dyplomatę w poważnym tego słowa znaczeniu". Koronnym dowodem Cata był fakt, że w jednym ze sprawozdań z rozmowy z Ciano Wieniawa w 106 wierszach przytacza własne wypowiedzi, a tylko w 21 wierszach wypowiedzi swego rozmówcy. Ponadto Cat-Mackiewicz sugeruje, że pominął Wieniawa to, co w rozmowie było najistotniejsze, a co przytoczył w swych pamiętnikach Ciano⁹⁸. Otóż miał on powiedzieć, „że niezależnie od tego, co się stanie, Polska zapłaci koszty konfliktu” i „żadna pomoc angielsko-francuska w pierwszej fazie wojny nie jest możliwa⁹⁹”.

Przyjrzyjmy się bliżej zarzutom Cata. Przede wszystkim zdziwienie budzi fakt, że bardziej zawierzył pamiętnikom Ciano, pisanim w jakiś czas po kontrowersyjnej rozmowie i odpowiednio przykrojonym niż raportowi Wieniawy, pisanemu nazajutrz po spotkaniu z Ciano¹⁰⁰. Czytając raport Wieniawy trudno oprzeć się wrażeniu, że opisał dosłownie niemal całą rozmowę z Ciano, ten zaś do swych pamiętników wybrał akurat fragment opuszczony przez Wieniawę. A fragment ten jest dla Ciano bardzo pochlebny, gdyż charakteryzuje go jako polityka trzeźwego o wręcz profetycznych zdolnościach. A swoją drogą, skąd Ciano mógł wtedy wiedzieć, iż pomoc angielsko-francuska dla Polski nie będzie możliwa? Z kolei zarzut dotyczący owych 106 wierszy Wieniawy i 21 Ciano jest trochę naciągnięty. Jeżeli bowiem przyjmujemy, że Wieniawa rzeczywiście opisał dosłownie całą rozmowę, to trudno mu stawiać zarzut, iż mówił więcej od swego rozmówcy. A przytoczenie w raporcie wypowiedzi Ciano miałyby się z celem, gdyż byłyby wówczas wyrwane z kontekstu, a przez to być może nie do końca zrozumiałe.

Zresztą Cat, gdyby chciał być obiektywny, dodałby, że Wieniawa relacjonując w raporcie z 31 sierpnia 1938 roku swą rozmowę z Mussolinim, własne wypowiedzi przytoczył w 7 wierszach, a Duce w 8. Z kolei charakteryzując rozmowę z Ciano odbytą 20 września 1938 roku Wieniawa nie przytacza ani jednego swojego słowa, a wypowiedź Ciano w 14 wierszach. Tak więc i na ten problem można spojrzeć z zupełnie różnych punktów.

Przytoczmy wobec tego kilka innych opinii na temat raportów Wieniawy. Na przykład J. Szembek w liście do Romana Dębickiego z 12 lipca 1939 roku użył wobec nich określenia

98. Chodzi o raport z 16.V.1939 roku; por. „Z raportów...”, s. 45-49.

99. Cyt. za Cat-Mackiewicz, „Zielone...”, s. 18.

100. J.W. Borejsza („Mussolini...”, s. 255) zwrócił uwagę że to właśnie relacje Wieniawy a nie zapiski w „Dzienniku” Ciano pokrywały się z oryginalnymi włoskimi dokumentami dyplomatycznymi, sporządzonymi na gorąco.

„ciekawe i wnikliwe¹⁰¹”. Pochlebne opinie relacjom Wieniawy wystawili współcześni polscy badacze: S. Sierpowski oraz J.W. Borejsza, który napisał: „Raporty Wieniawy, całkowicie nieznane we Włoszech, a wprowadzone w obieg naukowy jedynie w Polsce, zasługują na baczna uwagę. Zestawione z włoskimi dokumentami dyplomatycznymi, z instrukcjami Ministerstwa Kultury Ludowej dla prasy, z papierami Józefa Becka i wiceministra spraw zagranicznych Jana Szembeka pozwalają udzielić odpowiedzi na wiele istotnych pytań, dotyczących rzeczywistej postawy Mussoliniego, Ciano i ich przybocznych wobec konfliktu niemiecko-polskiego i nadciągającej wojny¹⁰². Myślę, że cytat powyższy wyczeruje temat raportów Wieniawy.

Nie mam oczywiście zamiaru bronić każdej wypowiedzi Wieniawy czy przeciwstawiać się każdemu zarzutowi przeciw niemu skierowanemu. Miał na przykład rację Cat-Mackiewicz gdy pisał, że kiedy na uwagę Ciano, iż Anglia jest od Polski daleko, Wieniawa odpowiedział, że „wasz sojusznik Mandzuko jest od was jeszcze odleglejszy”, zabrzmiało to co najmniej niepoważnie. Rzecz jest w czym innym. Chodzi mi o uczciwe przedstawienie działań Wieniawy. Być może wówczas nie będziemy co rusz znajdować sformułowań w rodzaju tego, którego użył O. Terlecki charakteryzując konsultacje Wieniawy z Beckiem w styczniu 1939 roku: „Przypomnieli sobie obaj młodzieńcze lata, conieco wypili (skąd ta informacja, skoro wszyscy, którzy stykali się z ambasadorem Wieniawą-Długoszowskim zaświadcza, że nie brał on alkoholu do ust?), uporządkowali Europę podług najlepszych życzeń, po czym ambasador, bardzo ze spotkania zadowolony, ale i trochę zatroskany, powrócił do Rzymu, a minister, omijając Paryż, skorzystał z zaproszenia do Berchtesgaden¹⁰³”.

A propos współpracy Wieniawy z Beckiem. Kiedy w maju 1939 roku stosunki polsko-niemieckie gwałtownie zaostrzyły się, Beck zaczął przemyślać nad objęciem przez siebie urzędu premiera, chcąc zatrzymać jednocześnie tekę ministra spraw zagranicznych. W związku z tym w liście do Wieniawy z 10 maja pytał: „(...) czy w pewnych okolicznościach widziałbyś dla siebie możliwość objęcia stanowiska podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (...)”. Beck dodał, że gdyby Wieniawa jako kierownik MSZ zechciał mu pomóc, to „(...) wtedy spałbym w spokoju, przeznaczając 10 minut rozmowy dziennie z Tobą na tematy zagraniczne i mając wolne ręce do innych

101. List ten w: *Niepodległość* t. XV, s.80.

102. J.W. Borejsza, *op. cit.*, s. 246-247.

103. O. Terlecki, „Pułkownik Beck”, Kraków 1985, s. 248.

spraw¹⁰⁴”. Wieniawa w liście z 16 maja wyraził zgodę, namawiając jednocześnie przyjaciela do kierowania rządem.

Nie kwestionuje się dziś kompetencji Becka jako ministra spraw zagranicznych, dlatego jego propozycja złożona przyjacielowi jest ważnym przyczynkiem do oceny Wieniawy jako polityka i dyplomaty.

Okres ambasadorski zamknął pewien rozdział w życiu Wieniawy, życia bardzo czynnego, intensywnego, a przez to różnorodnego. Wyjazd z Rzymu w maju 1940 roku oznaczał również zupełne zerwanie kontaktów z krajem, za którym mimo rozlicznej korespondencji, wyjazdów i wizyt rodaków Wieniawa bardzo tęsknił. Te dwa fakty sprawiły, że w zasadzie do końca życia Wieniawa nie otrząsnął się z nostalgii i marazmu. Rozpoczął się ostatni i najtragiczniejszy etap jego życia.

W. DWORZYŃSKI

104. AAM, Ambasada Rzym, sygn. 24, k. 306-309 (Beck do Wieniawy 10.V.1939), sprawa odwołania Wieniawy z Rzymu nie pozostała tajemnicą dla pracowników polskiego MSZ. Wiedział o tym np. J. Szembek, o czym świadczy zapis w jego „Dzienniku” pod datą 30.V. DTJS, t. IV, s. 615. Beck jednak wezwał Wieniawę do Warszawy na początku czerwca, by usłyszeć od niego sprawozdania z sytuacji panującej we Włoszech. W efekcie narady postanowił nie odwoływać ambasadora, zlecił mu natomiast zachowywanie w stosunku do sfer oficjalnych jak największej rezerwy. Miał Wieniawa natomiast wpływać na sfery towarzyskie i wojskowe. *Ibidem*, s. 617, 634.

Tadeusz WYRWA

LIKWIDACJA AMBASADY R.P. PRZY WATYKANIE W LATACH 1958 i 1972

W roku 1989 doszło do wznowienia stosunków dyplomatycznych między Polską a Stolicą Apostolską. Nieliczne artykuły i wzmianki, jakie ukazały się na ten temat w prasie polskiej, ograniczały się przeważnie do informacji o nawiązaniu tych stosunków i przypomnieniu o zerwaniu konkordatu przez reżim komunistyczny we wrześniu 1945 roku. Pomija się na ogół fakt, że polska placówka dyplomatyczna przy Watykanie, która istniała nieprzerwanie od 1919 roku, najpierw jako poselstwo, a od zawarcia w 1925 roku konkordatu jako ambasada, przetrwała — zredukowana co prawda przez Kurię Rzymską — do 1972 roku. Koleje losu tej placówki po 1945 roku odzwierciedlają jednocześnie los emigracji polskiej i ewolucję polityki Watykanu wobec państw rządzonych przez komunistów.

Kilka tygodni przed wybuchem wojny w 1939 roku zaczyna się pontyfikat Piusa XII. Rząd polski akredytuje przy Stolicy Apostolskiej ambasadora Kazimierza Papée, który składa listy uwierzytelniające dnia 24 lipca 1939 i piastuje to stanowisko do zlikwidowania przez Watykan Ambasady R.P. Papée jest więc najpierw ambasadorem Polski Dwudziestolecia, później Polski walczącej podczas drugiej wojny światowej i w końcu zniewolonego przez komunistów narodu. Dzięki zdecydowanej antykomunistycznej postawie Piusa XII zachowanie Ambasady R.P. nie napotykało na trudności.

W 1958 r. Pius XII zapadł ciężko na zdrowiu. W liście z dnia 6 października 1958 do generała Andersa amb. Papée pisał: „Dzisiejszy smutny dzień może mieć fatalne skutki także dla dalszej egzystencji naszej Ambasady. Wróciłem właśnie z Castel

Gandolfo, gdzie byłem informować się o stanie zdrowia Papieża w imieniu własnym i korpusu dyplomatycznego (z uwagi na starszeństwo w Watykanie, amb. Papée był dziekanem Korpusu — T.W.). Jest chwilowa poprawa, ale nikt nie ludzi się co do tego, że stan zdrowia jest bardzo ciężki”.

„W razie nieszczęścia — zwraca dalej uwagę amb. Papée — obejmuje rządy w czasie *interregnum* św. Kolegium Kardynałów pod przewodnictwem dziekana, Kardynała Tisserant. Dawniej żądano w tym wypadku od ambasadorów listów uwierzytelniających — wobec św. Kolegium. Za ostatniego *interregnum*, po śmierci Piusa XI, po raz pierwszy od tego zwyczaju odstąpiono. Miejmy nadzieję, że byłoby tak i tym razem. Ale może powstać problem nowych listów uwierzytelniających wobec nowego Papieża — oby tak nie było — i co wtedy? Kto mi je wystawi? Nawet gdyby chodziło tylko o depeszę potwierdzającą dalszy ciąg misji, kto ją wyśle? Bo na to trzeba głowy państwa, a Watykan dokumentem samej Rady Trzech może się nie zadowolić. Może zażądać formalnego dokumentu od Prezydenta R.P., a więc od p. Augusta”.

„Może więc wyniknąć taka sytuacja — ubolewa następnie amb. Papée — że uznawana dotąd przez Stolicę Apostolską Ambasada może to uznanie utracić, gdyż nie będzie komu z naszej strony jej egzystencji potwierdzić. Byłoby to absurdalne i smutne, ale logiczną konsekwencją naszego rozłamu i ostateczną kompromitacją emigracji wobec kraju, gdzie tylko reżim by taką wiadomość przyjął z radością. Społeczeństwo natomiast nie darowałoby tego emigracji. Czy nie można by więc w tak ważnej sprawie, gdzie interes jest wspólny obu poróżnionym stronom, porozumieć się i wystosować, w razie potrzeby, jakiś wspólny dokument? Albo pozwolić p. Augustowi go wystosować?... Czy w tym wypadku pp. Starzewski i Zawisza² nie mogliby się porozumieć?...”.

1. Kierownictwo emigracji politycznej było wówczas rozbite na dwa ośrodki: jednym z nich była tzw. Tymczasowa Rada Jedności Narodowej z organem reprezentacyjnym — Radą Trzech, złożoną z gen. Andersa, T. Arciszewskiego i amb. E. Raczyńskiego. Drugi ośrodek, zwany „Zamkiem”, zgrupowany był wokół prezydenta Augusta Zaleskiego i jego rządu. Ówczesne rozbitcie emigracji wyrządziło niepowetowane do dzisiaj szkody sprawie polskiej. Amb. Papée za swoją władzę zwierzchnią uznawał Radę Trzech.

2. Jan Starzewski sprawował funkcję ministra spraw zagranicznych z ramienia Rady Trzech, a Aleksander Zawisza spełniał taką samą funkcję w rządzie prezydenta Zaleskiego.

3. Zob. Archiwa Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego (IPMS), Sygnatura: Ambasada R.P. w Watykanie 1930-1970, A.44.122/53.

Dnia 19 listopada 1958 ks. Walerian Meysztowicz, radca kanoniczny, odbył rozmowę z kardynałem Tardinim, sekretarzem Stanu, w czasie której ten ostatni po raz pierwszy wysunął sprawę likwidacji Ambasady przy Watykanie. W związku z tym trzy dni później doszło do spotkania amb. Papée z mgr. Tardinim. Po rozmowie, odbytej dnia 22 listopada, amb. Papée sporządził dwa sprawozdania, oba ze wzmianką „tajne”, na jednym jest nadto zaznaczone „osobiste” i przeznaczone dla ministra Jana Starzewskiego z Rady Trzech⁴.

Według tych sprawozdań mgr Tardini potwierdził, że Stolica Apostolska ma zamiar „zrezygnować” z Ambasady R.P., wysuwając następujące argumenty:

1. Niemożność złożenia przez amb. Papée listów wierzYTELNYCH.

2. Konieczność uniknięcia presji reżimu na Kościół w Polsce.

3. Negatywna opinia Episkopatu polskiego odnośnie pozostawienia Ambasady R.P. przy Watykanie.

W odpowiedzi amb. Papée podkreślił, że nie ma *communis opinio doctorum* w sprawie przedkładania nowych listów przy zmianie suwerena i zdania na ten temat są podzielone. Nadto amb. Papée oświadczył, iż w każdej chwili może złożyć nowe listy, które ma ze sobą w teczce, a jeżeli zarzucono by, że jest rozłam wśród kierowniczych władz polskich na uchodźstwie, to „w tej sprawie obie strony są zgodne, a wyraz temu dały obie, nadsyłając mi listy”. Mgr Tardini zapytał wówczas: „Ale które [listy] w takim razie należałoby uważać za miarodajne?”.

W dalszym ciągu rozmowy amb. Papée dowodził, że poza względami moralnymi za utrzymaniem Ambasady przemawiają także względy prawne. Istnienie tej Ambasady nie jest bowiem tylko wyrazem międzynarodowej kurtuazji, ale opiera się również na artykule 3 konkordatu, który został wypowiedziany jedynie przez reżim komunistyczny. Na twierdzenie ks. Tardiniego, że gdy zlikwiduje się Ambasadę nie będzie już ona dłużej drażnić komunistów, amb. Papée zapytał: „Czy brak przedstawicielstwa Czechosłowacji przy Watykanie wpłynął na polepszenie losów Kościoła w tym kraju?”. Na pytanie to mgr Tardini nie odpowiedział. Co do opinii Episkopatu polskiego, który miał być przeciwny utrzymaniu Ambasady R.P., Papée nadmienił, że Episkopat ten jest w małym stopniu zorientowany w sprawach międzynarodowych, a nawet w sprawach wewnętrznych reprezentacja polska w Rzymie jest nieraz lepiej poinformowana od nich, podkreślając, „że zresztą nie wszyscy biskupi i księża polscy

4. *Supra*

mówią to samo”. Na końcu swego sprawozdania, w ogólnych wnioskach, amb. Papée pisze: „Nie mamy już niestety wątpliwości co do tego, komu zawdzięczamy obecny zamach na istnienie Ambasady”, ale nie precyzuje jednak dokładnie kogo ma na myśli.

Wybór Jana XXIII papieżem (1958-1963) stanowi, jak wiadomo, punkt zwrotny w polityce Watykanu wobec państw pod panowaniem komunistów. Nowy Papież, w swoim dążeniu do „otwarcia na Wschód”, szukał możliwości kompromisu ze światem komunistycznym. Jeden z historyków papieżstwa przypomina, że wyrazem realizmu Jana XXIII „w traktowaniu spraw wschodnich była odmowa akredytacji tzw. przedstawicieli rządów emigracyjnych przy Watykanie, co dotknęło także ambasadora rządu emigracyjnego polskiego Kazimierza Papée⁵”.

Pierwsze kroki Watykanu zmierzające do likwidacji Ambasady R.P. i Poselstwa litewskiego nie były zbyt zdecydowane, czy też może tylko celowo wykazano pewne wahania co do definitywnego załatwienia tej sprawy. W liście z 30 grudnia 1958 amb. Papée pisał⁶ do ministra Zawiszy, że nie otrzymał jeszcze żadnego pisma o likwidacji Ambasady, ale fakty wskazują na to, że Watykan wykonuje swój zamiar, by przestać uznawać przedstawicielstwo Polski. Amb. Papée ubolewa, że „nie zaproszono nas na audiencję noworoczną u Papieża; inne placówki obecnie te audiencje odbywają... Skasowanie Ambasady rozszerza pole manewru Watykanu z Sowietami: to jedyny motyw watykański, jaki umiem dostrzec. Wygodnie jest Sekretariatowi Stanu mówić, że nie Watykan, a Prymas skasował poselstwo Lechistanu”. W liście z 3 stycznia 1959 do Adama Mikuckiego z Londynu amb. Papée podkreślał, że „ważne są w tej chwili reakcje publiczne. Litwini z całego świata wysłali do Watykanu około dwóch tysięcy telegramów przeciwko kasowaniu ich poselstwa⁷”.

W *Osservatore Romano* z dnia 5/6 stycznia 1959 został zamieszczony komunikat stwierdzający, że Ambasada R.P. i Poselstwo Litwy będą istniały nadal, ale zmianie ulegną tytuły szefów obydwu tych misji dyplomatycznych, którzy mają jednak figurować tak na liście dyplomatycznej, jak i w *Annuario Pontificio*. Komunikat w *Osservatore Romano* uspokoił Polaków, do czego głównie przyczyniła się prasa emigracyjna. *Orzeł Biały* z

5. Zygmunt Zieliński, *Papięstwo i papieże dwóch ostatnich wieków 1775-1978*, Pax, Warszawa 1983, str. 556.

6. Zob. IPMS, A.44.133/53.

7. *Supra*.

Londynu, w numerze z 15 stycznia 1959, wyrażając zadowolenie z zainteresowania prasy europejskiej dla tego wszystkiego twierdził, iż „jest to dowód, że każde pociągnięcie w sprawie polskiej wywołuje natychmiast poruszenie opinii światowej. Jest to dowód, że sprawa polska posiada znaczenie węzłowe i kluczowe w Europie. Z tym wszyscy powinni się liczyć⁸”. Przykład pobożnych życzeń i nawet w tym wypadku najbliższa przyszłość wykazała, że było właśnie odwrotnie do tego, co dane czasopismo usiłowało twierdzić.

Według amb. Papée „przyczyny, które spowodowały kryzys [w związku z zamiarem skasowania przedstawicielstw Polski i Litwy] nie mogą być omawiane ani ujawnione: są one poza nami. Można o nich mówić jedynie ogólnikowo, stwierdzając, że na samym początku pontyfikatu nie było jeszcze normalnego podziału funkcji pomiędzy najwyższymi czynnikami w Watykanie i że nie dająca się uniknąć w tych warunkach niejasność i mglistość, oraz związana z nią słabość, były przyczyną zajęcia pozycji, których potem utrzymać nie było można⁹”. Niejasność, czy też ściślej dwuznaczność zajętych pozycji istniała niestety nadal.

Dnia 17 stycznia 1959 amb. Papée złożył wizytę substytutowi Sekretariatu Stanu, mgr Dell'Acque. W sprawozdaniu z tej wizyty¹⁰ amb. Papée pisze, że udał się do mgr. Dell'Acqua celem omówienia nowych warunków, w jakich ma wykonywać swoją funkcję. Zwraca uwagę, iż „byłoby pożądane, by nowy stan rzeczy został możliwie szybko zafiksowany w liście dyplomatycznej i *Annuario Pontificio*. Wobec niepewności, jaka się wywiązała, nikt nie wie, jak się do nas odnosić”. Następnie przypomina, że „zostaliśmy skreśleni z listy oficjalnych zaproszeń, komunikatów i okólników”, co stanowi „także jeden z przykładów nienormalnego, niejasnego i pełnego dwuznacznych sytuacji stanu rzeczy, jaki zapanował wokół polskiej Ambasady”. Jednocześnie Papée oznajmił, że wie „z pewnego źródła, że to Prymas Polski zażądał kasacji Ambasady R.P. przy Watykanie”.

Amb. Papée prosił już od dawna sekretarza Stanu, Tardiego, o audiencję u Papieża Jana XXIII. Audiencja doszła do skutku dnia 29 stycznia 1959, później niż amb. Papée się spodziewał. Charakterystyczny jest również fakt, że *Osservatore Romano* nie zamieściło o niej zwykłego nawet komunikatu, jak to było w zwyczaju w podobnych wypadkach. Z audiencji tej Papée napisał sprawozdanie¹¹, z którego przytaczam najważniejsze ustępy.

8. *Orzeł Biały* nr 3, 15 stycznia 1959, Londyn, str. 1.

9. IPMS, A.44.122/54.

10. *Supra*.

11. *Supra*.

Papież sam zaczął mówić o sprawie Ambasady R.P., oświadczając, iż: „jest nam bardzo przykro, że trzeba było zrobić to, co się stało...”. Amb. Papée zapytał następnie: „Ojciec św., co obiecuje sobie Stolica Apostolska uzyskać od reżimu warszawskiego w zamian za pomniejszenie tej Ambasady?...” Papież niezbyt pewnie powiedział, że lepiej „ich” nie irytować. „Stanowisko ks. Prymasa jest takie trudne, że trzeba starać się mu pomóc”. Amb. Papée zaznaczył z kolei „że reżimu się tym nie ugłaszczcie, natomiast już wywołuje się głęboką rozterkę w duszach Polaków na emigracji i w kraju”, dodając następnie, iż wie, „że ks. Prymas nie podejmował inicjatywy zniesienia Ambasady”.

W *post-scriptum* sprawozdania amb. Papée pisze: „Dnia 31 stycznia br. został przyjęty na audiencji u Papieża Poseł Litewski Girdvainis. W ciągu 10 minut trwania audiencji Papież nie dał mu przyjść do słowa i sam cały czas mówił. Gdy Girdvainis chciał coś wtrącić, Papież powiedział: 'niech już Pan pozwoli, że ja będę mówił' — i mówił dalej. Wszystko co powiedział odnosiło się do sprawy Poselstwa: że żałuje, że to trzeba było zrobić, ale że 'powinniście do nas mieć zaufanie' i że wszystko dobrze się skończy (?)”.

Dwa tygodnie później, nawiązując jeszcze, w sprawozdaniu do min. Starzewskiego z dnia 14 lutego 1959, do swojej audiencji u Jana XXIII, amb. Papée pisał: „Wydaje się, że postawa tak zwanego realizmu politycznego, jaką zajął nowy Pontyfikat, pozwala mu [Janowi XXIII] na empiryczne traktowanie problemu stosunków ze sferą wpływów sowieckich. Konieczność współżycia katolików z komunistami na pewnych terenach, pojmowana jako fakt dokonany, narzuca z kolei naturalną tendencję do poprawy tego współżycia; tu już zaczyna się równia pochyła... Wchodzimy w okres, który wymagać od nas będzie największej czujności i bacności wobec możliwych wypadków”.

Złożony jest problem postawy, jaką zajął w tym wszystkim Prymas Wyszyński. W rozmowie amb. Papée z mgr. Tardinim, sekretarzem Stanu, w dniu 22 listopada 1958, o której była mowa, mgr. Tardini oznajmił, że Episkopat polski był przeciwny utrzymaniu Ambasady R.P. przy Watykanie, a więc logicznie byłoby to za sprawą Prymasa Wyszyńskiego. Amb. Papée kilkakrotnie później podkreślał, że Prymas Wyszyński nie miał z tym nic wspólnego. W rozmowie z 17 marca 1959 amb. Papée powiedział do mgr. Tardiniego: „Ks. Kardynał Prymas [Wyszyński] tak był zaskoczony reakcją kraju i emigracji, że dał mi znać

kilku drogami, że on żadnej inicjatywy w sprawie kasacji czy redukcji Ambasady nie podejmował”, na co mgr Tardini odpowiedział w języku francuskim: „on nie mógł” [*il ne pouvait pas*]¹².

Dla lepszego, przynajmniej częściowo, zrozumienia tej sytuacji warto przytoczyć ustęp ze sprawozdania z dnia 13 stycznia 1959, gdzie amb. Papée pisze: „powinniśmy jednak przy tym wszystko zrobić, by uniknąć wciągania najwyższych naszych autorytetów, przeciwstawiania emigracji krajowi lub Ambasady ks. Prymasowi. Takie stawianie sprawy — a tendencje do takiej łatwizny niestety istnieją — byłoby i fałszywe i jak najbardziej szkodliwe. Wiemy pozytywnie, że katolicy-niepodległościowcy tak samo myślą w kraju, jak i na emigracji; nie mamy żadnych dowodów, by obciążać ks. Prymasa¹³”. Dowodem tego, co myślał na ten temat Prymas Wyszyński są zapewne jego słowa z kazania, jakie wygłosił dnia 18 sierpnia 1959 roku w Malborku: „Maryja to jedyny nasz Ambasador przy Stolicy św. w Rzymie¹⁴”. Trudno tutaj coś więcej wiedzieć. Osobiście, mimo że jestem praktykującym katolikiem, nie mam żadnego rozeznania w niebiańskim korpusie dyplomatycznym.

Jedno jest pewne, a mianowicie, że w prasie i w różnych publikacjach Europy Zachodniej nie omieszkało powoływać się na Prymasa Wyszyńskiego odnośnie postawy Watykanu wobec Ambasady R.P. Brytyjski *Times* np. pisał wtedy: „Co do stanowiska, jakie ma zająć Watykan wobec przedstawicielstwa polskiego konsultowano Prymasa Wyszyńskiego, który prawdopodobnie wystąpił z tego rodzaju sugestią... Odejdzie p. Papée ma zapewne ułatwić kardynałowi Wyszyńskiemu stosunki z władzami (komunistycznymi) w Warszawie”. Ale *Times* dodaje następnie, że „tego rodzaju racje polityczne nie istnieją dla wytłumaczenia usunięcia posła litewskiego Girdvainisa¹⁵. Kilka lat później jeden z historyków francuskich utrzymywał również, że „inicjatywę tej decyzji (likwidacji Ambasady R.P. przy Watykanie) przypisuje się interwencji kardynała Wyszyńskiego... który uważał, że uznanie rządu polskiego na uchodźstwie stanowi wrogą działalność wobec Polski, która w trudnych warunkach usiłuje zachować swój katolicyzm¹⁶”.

12. *Supra*.

13. *Supra*.

14. Zob. *Tygodnik Powszechny*, Kraków, 25 września 1959.

15. Według *Orla Białego* nr 1, 1 stycznia 1959, Londyn, str. 1.

16. Maxime Mourin, *Le Vatican et l'U.R.S.S.*, Payot, Paris 1965, str.

Powracając do procedury zmieniającej charakter Ambasady R.P. przy Watykanie, to zostało ustalone, że na liście dyplomatycznej i w *Annuario Pontificio* znajdować się będzie jedynie nazwisko amb. Papée jako kierownika, *geranta* spraw Ambasady. W związku z tym stanem rzeczy, dnia 9 lutego 1959 roku amb. Papée odbył rozmowę w Sekretariacie Stanu z mgr. Samoré. W czasie tej rozmowy, z której amb. Papée sporządził jak zwykle sprawozdanie, była oczywiście mowa o tytule zarządzającego sprawami Ambasady R.P. W sprawozdaniu tytuł ten podany jest w języku francuskim: *gérant des affaires*. Otóż „celowo został pominięty tytuł *chargé d'affaires* czy *chargé des affaires*, gdyż zawiera on w sobie pochodne ustalenie funkcji „bierne”, jak się wyraził mgr. Samoré, podczas gdy chodziło o określenie ich „czynne”, nie ustalające związku czy zależności, których w obecnych warunkach Stolica Apostolska nie może uznać (!)”. Wywód być może jasny dla fachowców z tej dziedziny...

Jeśli chodzi o amb. Papée, to głównym tematem rozmowy z mgr. Samoré było to, że nie zamierzano uwzględniać na przyszłej liście dyplomatycznej i w *Annuario Pontificio* na 1959 rok pracowników dyplomatycznych Ambasady R.P. i Poselstwa Litwy. Sprawa dotyczyła ks. Waleriana Meysztowicza, radcy kanonicznego, i Leona Siemiradzkiego, *attaché* honorowego Ambasady R.P., oraz St. Łozorajtisa jr., sekretarza Poselstwa litewskiego. Mgr. Samoré potwierdził, że nie zostaną oni umieszczeni na liście. Amb. Papée wysunął zarzut, że „w takim razie Sekretariat Stanu wchodziłby jednostronnym aktem w wewnętrzne sprawy Ambasady R.P. i Poselstwa Litewskiego. Mgr. Samoré odpowiedział, że tak jak nie jest możliwe uznanie dawnych listów wierzytelnych Ambasadora, tak samo nie jest możliwe uznanie dawnych nominacji jego współpracowników”. Amb. Papée podkreślił raz jeszcze, że „skład Ambasady jest naszą sprawą wewnętrzną i Sekretariat Stanu winien się ograniczyć do jego zarejestrowania w liście dyplomatycznej”. Mgr. Samoré odpowiedział, że rzecz jest już przesądzona i nic nie może zrobić¹⁷.

Po rozmowach w Sekretariacie Stanu, najpierw z mgr. Samoré i później z substytutem mgr. Dell'Acqua, amb. Papée wysłał pismo z dnia 14 lutego 1959 do ministra Jana Starzewskiego w Londynie, gdzie donosił, że rozmowy te nic nie dały, gdyż decyzje dotyczące zredukowania Ambasady zapadły na najwyższym szczeblu. Zachowana jednak została polska reprezentacja dyplomatyczna i amb. Papée żywi nadzieję, że Ambasada „doczeka lepszych czasów i *restitutio in integrum*. Sytuacja, w jakiej się znajdujemy, zmusza nas do czasowego pogodzenia

17. Zob. IPMS, A.44.122/54.

się z tym stanem faktycznym”. Dalej amb. Papée pisze, „że odpowiedzialność za to co się stało przerzucano tu sobie nawzajem. Ks. Prymas [Wyszyński] dał nam znać, że on nie podejmował żadnej inicjatywy. Sekretariat Stanu mówił o 'Episkopacie', a poza tym wobec ks. Prymasa wysunął fakt istnienia aż trzech rządów polskich¹⁸, jako okoliczność przemawiającą za cofnięciem nam uznania¹⁹”.

W marcu 1959 wyszedł z druku *Annuario Pontificio*. Rocznik papieski nie zawierał już niczego, o czym nie wiadomo by wcześniej. Ambasada formalnie istniała nadal, ale bez ambasadora. Sprawami Ambasady miał zarządzać Kazimierz Papée, jako jej kierownik z tytułem *Gerente gli Affari dell'Ambasciata*. Nadto na liście dyplomatycznej nie figurował żaden z współpracowników amb. Papée. Taki sam tytuł, *Gerente gli Affari della Legazione*, otrzymał minister Stanisłao Girdvainis dla Poselstwa litewskiego²⁰. Niezależnie od jego nowej funkcji Papée został upoważniony do zachowania tytułu *l'Ambassadeur de Pologne*, ale oczywiście nie sprawował już godności dziekana korpusu dyplomatycznego przy Stolicy Apostolskiej.

Odnośnie zmian, jakie zaszły wówczas w stosunku do Ambasady R.P., zwięźle ujął to min. Jan Starzewski z Londynu, który — gdy dowiedział się o powziętej przez Watykan decyzji tych zmian — pisał do amb. Papée w liście z dnia 16 stycznia 1959 roku: „Jestem zdania, że zaszło coś więcej niż nieistotna poprawka w tytule Szefa Ambasady. Formuła *gerente gli affari* stoi właściwie poza obrębem prawa międzynarodowego i określa zasadniczo stanowisko agenta dyplomatycznego o kompetencji wyznaczonej przez ośrodek przyjmujący a nie wysyłający danego przedstawiciela. Ambasada, której istotą jest głowa misji, została w swym charakterze prawnym dotkliwie obniżona. Nadto podstawy jej trwałości są znacznie mniejsze²¹”.

Pismem z dnia 25 marca 1959 min. Starzewski prosił amb. Papée o przesłanie mu projektu noty, jaką Tymczasowa Rada Jedności Narodowej w Londynie zamierzała wysłać do Sekretariatu Stanu w Watykanie w sprawie zredukowania pozycji Ambasady R.P. W liście z 7 kwietnia 1959, z zaznaczeniem: „ściśle tajne”, amb. Papée pisał do min. Starzewskiego, że w nocy tej winno być stwierdzone, że „decyzja Stolicy Apostolskiej:

18. Chodzi tu zapewne o dwa ośrodki polityczne na emigracji, o których była już mowa, oraz o reżim komunistyczny w Warszawie.

19. IMPS, A.44.122/54.

20. Zob. *Annuario Pontificio per l'Anno 1959*, Città del Vaticano 1959, str. 1114 i 1116.

21. IPMS, A.44.122/54.

1. Wyszła na korzyść reżimu.
2. Nie pomogła w niczym Kościołowi w Polsce.
3. Osłabiła pozycję katolików opierających się w kraju komunizmowi.
4. Wywołała zamęt, zamieszanie i głęboki żal w szeregach emigracji (ten punkt powinien być specjalnie podkreślony).
5. Nie wzmocniła więzi istniejącej między narodem polskim a Stolicą Apostolską²².

●

Ambasada R.P. przy Watykanie istniała w tym zredukowanym stanie do 1972 roku. Od kilku już lat groziło jej definitywne zamknięcie. Ironią losu jest i to, że został również zagrożony jej byt materialny. W liście z dnia 13 stycznia 1970 roku do Michała Bojczuka, prezesa Skarbu Narodowego w Chicago, amb. Papée pisze, że z listu dr. Karola Ripy dowiedział się o intencji Bojczuka przyścia z pomocą materialną Ambasadzie. Następnie wyznaje: „Przez okres przeszło 20 lat walczę stale z trudnościami finansowymi, a w najbliższej przyszłości zmuszony będę zlikwidować jedyny samochód Ambasady (który zrobił prawie 400.000 km) z braku środków pieniężnych na jego utrzymanie. Dziś, kiedy nawet najmniejsze, nowopowstałe placówki dyplomatyczne państw afrykańskich posiadają kilka nowoczesnych samochodów, brak tego środka lokomocji, koniecznego dla wykonywania mojej pracy dyplomatycznej, pozbawi tę Ambasadę środka lokomocji i wydatnie zmniejszy jej zewnętrzny prestiż... Do związania końca z końcem brakuje mi obecnie około 6.000 dolarów rocznie...²³”.

W liście z dnia 11 marca 1970 roku Władysław Zachariasiewicz, działacz polonijny w USA, pisze do amb. Papée, w odpowiedzi na jego list, że został zredagowany apel do blisko 200 osób, starannie wyselekcjonowanych, z prośbą o pomoc materialną. Jednocześnie podkreśla, iż zgadza się całkowicie z amb. Papée, „że Polonię amerykańską stać na utrzymanie placówki przy Watykanie — sęk jednak w tym, że dla stałości takiej akcji powinna tym się zająć jakaś poważniejsza organizacja polonijna (np. Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Chicago) względnie nasi zawodowi *exile leaders* na tym terenie. Niestety ci ostatni rozczarowali mnie (nie pierwszy zresztą raz) swoimi 'dobrymi' radami, że to jest odpowiedzialność Londynu, że zamiast wydawać na Stypułkowskiego [przedstawiciela pol-

22. *Supra.*

23. Zob. IPMS, A.44.52/25.

skiego Londynu w Waszyngtonie — T.W.] powinno się te pieniądze przeznaczyć na Ambasadę przy Watykanie, etc. Moje argumenty, że w międzyczasie naszej placówce grozi poważne niebezpieczeństwo, nie bardzo przejmowały moich przyjaciół z tej grupy”.

Do listu załączony jest wspomniany wyżej apel, podpisany przez: Stanisława Gierata, Ignacego Nurkiewicza, Bolesława Wierzbiańskiego i Władysława Zachariasiewicza. W apelu mowa jest o „rozpaczliwej sytuacji materialnej tej jedynej i ostatniej niezależnej polskiej placówki dyplomatycznej w Wolnym Świecie”. W związku z tym „grono osób podpisanych pod niniejszym apelem-listem zdecydowało się na podjęcie doraźnej i jednorazowej akcji dla zapobieżenia groźbie likwidacji Ambasady polskiej przy Watykanie”. Sygnatariusze apelu wyjaśniają, że akcja ich „nie koliduje ani nie konkuruje z polskim Londynem, który robił co mógł, by utrzymać placówkę watykańską, jednak środki [powinno chyba być ośrodki? — T.W.] londyńskie nie są w stanie dziś zagwarantować [bytu] tej ostatniej Wolnej Ambasady”. W końcowym ustępie sygnatariusze piszą: „Apel nasz pragniemy zachować w dyskrekcji... Chodzi nam bowiem o zachowanie powagi Ambasady R.P. przy Watykanie²⁴”. Trudno o wymowniejszy przykład „powagi”, z jaką Polonia w USA i ośrodki emigracji polskiej w Londynie starały się zapewnić materialny byt ostatniej na Zachodzie oficjalnej reprezentacji Polski niepodległej sprzed 1939 roku.

Przeszło dwa lata później, dnia 19 października 1972 roku, sekretarz Stanu w Watykanie, kardynał Villot, zawiadomił amb. Papée, że Stolica Apostolska uważa jego kierownictwo sprawami polskimi przy Watykanie za skończone. Emigracja polska, skora do różnych deklaracji i protestów, tym razem zamilkła. *Orzeł Biały* w Londynie nie zamieścił najmniejszej wzmianki o definitywnej likwidacji Ambasady. Jedyne amb. Papée wystosował list do kard. Villot, opublikowany na łamach paryskiej *Kultury*, w którym ubolewa nad zaistniałym stanem rzeczy²⁵.

Stało się to za pontyfikatu Pawła VI (1963-1978). Ogólnie jest przyjęte — i słusznie — że Paweł VI był kontynuatorem polityki kompromisu z państwami rządzonymi przez komunistów, zapoczątkowanej przez Jana XXIII. Pomija się jednak przeważnie milczeniem, że polityka ta, zwłaszcza jeśli chodzi o Pawła VI, wywodzi się w dużym stopniu z atmosfery, jaka zapanowała po wojnie w środowisku watykańskim: przerażenie potęgą sowiecką, co fatalnie zaciążyło na postawie Stolicy

24. *Supra*.

25. Zob. *Kultura* nr 12/303, grudzień 1972, str. 95-97.

Apostolskiej w stosunku do reżimów komunistycznych. Przykładem tej atmosfery jest ówczesny substytut Sekretariatu Stanu, G.B. Montini, przyszły Papież Paweł VI, który — ogarnięty wtedy strachem przed Rosją — nie okazał nawet w czasach okupacji niemieckiej, jak pisał amb. Papée, „tak głębokiego defetyzmu i gotowości do ulegania złu, związanej z tak pełną świadomością, że prawo jest po przeciwnej stronie²⁶”. Pesymizm dostojników Kurii rzymskiej nie ułatwił sytuacji Kościołowi w Polsce, nie wzmocnił wiary w zwycięstwo wspólnej sprawy²⁷, a późniejsza likwidacja Ambasady R.P. przy Watykanie była jedynie tego wszystkiego konsekwencją.

Tadeusz WYRWA

26. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 87, str. 222.

27. Zob. „Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL” w *Zeszytach Historycznych* nr 82, str. 59-85.

Kajetan BIENIECKI

FRANTIC

Loty wahadłowe, którym Amerykanie nadali kryptonim *Frantic*, były lotami dwukierunkowymi, mającymi na celu strategiczne bombardowanie ze zwiększonym nasileniem niemieckich ośrodków przemysłowych.

W normalnych lotach w celu bombardowania obiektów strategicznych samoloty po akcji powracały do bazy wyjściowej.

W lotach wahadłowych natomiast do bazy wyjściowej powracały, wykonując w międzyczasie jeszcze jedno, nawet czasem kilka bombardowań i to różnie położonych obiektów. Zamiast wrócić na macierzyste lotnisko po pierwszej akcji samoloty lądowały w bazach, gdzie uzupełniały paliwo i skąd zabierały nowy ładunek bomb na następną akcję. Do wykonania takich lotów Amerykanom konieczne były bazy lotnicze w ZSSR, gdzie ich bombowce mogłyby lądować, uzupełnić paliwo i ponownie zostać załadowane bombami, aby w drodze powrotnej móc znów bombardować cele. Z operacją *Frantic* łączy się bombardowanie ośrodków przemysłowych w Polsce oraz amerykańska pomoc powstańcom w Warszawie.

Koncepcję lotów wahadłowych na wypadek wojny wysunęli najpierw Polacy w czasie rozmów sztabowych polsko-angielskich, odbywających się w Warszawie pod koniec maja 1939 roku, ale jej nigdy nie urzeczywistnili¹. Koncepcję tę natomiast wprowadzili w życie Brytyjczycy w lotach specjalnych do Francji. Zaopatrywali oni Francję w broń trasą północną i trasą południową. Niejednokrotnie stosowano loty wahadłowe, co w dużej

1. *Zeszyty Historyczne* Nr 50 (1979), str. 32-33.

mierze uniezależniło zrzućy od pogody. Samoloty startujące z Tempsford, po dokonaniu zrzutu, lądowały w Blidzie w Algierze i odwrotnie. O lotach wahadłowych myśleli również i Amerykanie. Temat ten poruszył Maj. Gen. John Dean na konferencji ministrów spraw zagranicznych w Moskwie 20 października 1943 roku². Choć korzyści były obopólne, Stalin zgodził się na te bazy dopiero w lutym 1944 roku pod naciskiem Harrimana i Roosevelta. Powstały one między Charkowem a Kijowem na lotniskach oddalonych od siebie o 80 km: w Połtawie i Mirgorodzie dla bombowców, a w Piriatynie dla myśliwców. Pierwsze samoloty amerykańskie lądowały tam dopiero w pierwszych dniach czerwca 1944 roku. Niecałe trzy tygodnie później, 21 czerwca, Niemcy w nocnym dwugodzinnym ataku zbombardowali lotnisko w Połtawie, a 22 czerwca w Mirgorodzie. Zniszczyli w sumie 56 samolotów, w tym 53 Boeingów B-17³ — „latających fortéc”, bo tak nazywano czteromotorowe bombowce z uwagi na kaliber i ilość n.k.m. Obrona przeciwlotnicza sowiecka pozostawiała więc wiele do życzenia. Zastanawiający jest również fakt, skąd się tak szybko o tym amerykańskich bazach dowiedzieli Niemcy.

W myśl zawartej umowy każde bombardowanie wahadłowe było wspólnie z góry omawiane i uzgadniane. W rezultacie tych operacji Sowietci rozysłali ze strategicznych bombardowań celów, położonych na swoim teatrze operacyjnym. Dla Amerykanów natomiast był to raczej precedens, bo ich ostatecznym celem były bazy lotnicze na dalekim wschodzie Rosji, skąd mogliby bombardować skuteczniej Japonię. O bazy te zabiegali u Stalina⁴.

Operacji lotniczych w ramach *Frantic* przeprowadzono w sumie 23. Z baz włoskich w Apulii startowano 9 razy, w tym 2 razy bez bomb, z Anglii 4 razy, a z baz w Sowietach 10 razy. Operacje te wykonały amerykańskie jednostki lotnicze 8 i 15 Floty. Przebieg ich był następujący:

Na cztery dni przed inwazją dnia 2 czerwca 1944 roku pierwszą operację wykonały jednostki 15 Floty. Z baz w Apulii pod eskortą 69 Mustangów P-51 startowało 130 fortéc B-17, które zbombardowały stację rozdzielczą i fabrykę lokomotyw w Debreczynie na Węgrzech. Amerykanie musieli się dużo spodziewać po tej pierwszej operacji, bo wziął w niej udział Lt. Gen. Ira Eaker, dowódca MAAF'u. Zaraz po wylądowaniu w Połtawie udekorował on *Legion of Merit with Citation* sowieckiego oficera łącznikowego gen. A.R. Perminowa. W drugiej operacji 6 czerwca pod eskortą

2. Harriman W. Averell & Abel Elie, *Special Envoy to Churchill and Stalin 1941-1946* (dalej Harriman), Hutchison of London, 1976, str. 239.

3. US Air Force Historical Research Center, Maxwell AFB, Alabama (dalej USAF) Rolka A5689 *USSAFE-Warsaw Dropping Operation*, klisza 0346.

4. Harriman — str. 341.

47 myśliwców P-51 startowało 112 fortec B-17 na bombardowanie lotnisk w Gałaczu w Rumunii, po czym lądowały one w bazach w ZSSR. Operację *Frantic 1* zakończono 11 czerwca bombardowaniem lotnisk w Fokszanach w Rumunii, na którą to wyprawę pod eskortą 50 myśliwców P-51 startowało 127 fortec B-17. Samoloty po operacji lądowały w bazach włoskich w Apulii⁵.

Frantic 2 rozpoczęły startujące 21 czerwca z Anglii jednostki 8 Floty bombardując Ruhland, Elsterwerdę (obie miejscowości położone 45 km na północ od Drezna) i Białą Podlaską. Na operację tę startowały, pod eskortą 70 Mustangów, 163 fortece B-17. Zawróciło ich 18, stracono 3, a dalsze 53 fortece, jak już wspomniano, zniszczyli Niemcy na lotnisku w Połtawie. W drodze powrotnej do Włoch 26 czerwca, pod eskortą 57 Mustangów, startowały z ZSSR już tylko 72 fortece B-17 na bombardowanie rafinerii w Drohobyczu. Zrzucano na nią 140.6 ton bomb. Następną operację wykonano 2 lipca samymi tylko myśliwcami P-51, które w liczbie 45 wystartowały na „wymiatanie” rejonu Budapesztu i po akcji wróciły do baz w Apulii. W dzień później, tj. 3 lipca, 57 fortec B-17, pod eskortą 42 myśliwców P-51, wystartowało na bombardowanie stacji rozdzielczej w Aradzie w zachodniej Rumunii. Na stację zrzucano 154.5 ton bomb. Samoloty wróciły do Włoch. *Frantic 2* zakończyło 5 lipca 71 fortec B-17, pod eskortą 50 myśliwców P-51, w drodze z Włoch do Anglii bombardując stację rozdzielczą w Beziers w południowej Francji i zrzucając na nią 173 tony bomb⁶.

Operację *Frantic 3* przeprowadzono samymi myśliwcami 15 Floty w trzech fazach. 22 lipca w drodze z Włoch do ZSSR 76 Lightningami P-38 i 58 Mustangami P-51 zaatakowano Buzau w południowej Rumunii. 25 lipca startowało z ZSSR 39 Lightningów P-38 i 39 Mustangów, a po ataku na Mielec wróciły one do ZSSR. Następnego dnia wystartowało z baz w ZSSR 55 Lightningów P-38 i 47 Mustangów P-51 i po ataku na Ploeshti i Bukareszt lądowały one we Włoszech⁷.

Frantic 4 miał już miejsce w okresie Powstania Warszawskiego. Dnia 4 sierpnia myśliwce 15 Floty, startujące z Włoch w sile 45 Lightningów P-38 i 45 Mustangów P-51, po ataku na Fokszany wylądowały w ZSSR. W drodze powrotnej do Włoch 6 sierpnia myśliwce te w sile 26 Lightningów P-38 i 29 Mustangów P-51 atakowały Ploeshti i Bukareszt⁸.

Tego samego dnia w operacji *Frantic 5* wystartowało z Anglii 75 fortec B-17 pod eskortą 64 Mustangów P-51 8 Floty

5. USAF — Rolka A5689, klisze: 0316, 0319, 0328, 0336.

6. USAF — Rolka A5689, klisze: 0348, 0363, 0377 i 0384.

7. USAF — Rolka A5689, klisze: 0401, 0405 i 0409.

8. USAF — Rolka A5689, klisze: 0415, 0419.

na bombardowanie warsztatów Focke-Wulfa w Rumii k/Gdyni, zrzucając na nie 103 tony bomb. Samoloty lądowały w ZSSR. Następnego dnia 60 fortec B-17 wystartowało z ZSSR i pod eskortą 36 Mustangów P-51 zbombardowało rafinerię w Trzebini. Samoloty lądowały w ZSSR. Dnia 8 sierpnia 73 fortece B-17, pod eskortą 63 Mustangów P-51, w drodze do Włoch zbombardowały Buzau i inne cele w Rumunii. A w drodze powrotnej do Anglii 12 sierpnia 73 fortece B-17 pod eskortą 61 Mustangów zbombardowały lotnisko w Tuluzie, zrzucając na nie 144 tony bomb⁹.

Operacja *Frantic 6* początkowo związana była z pomocą dla powstańców w Warszawie. Wymaga ona pewnego wprowadzenia. O amerykańską pomoc lotniczą dla Warszawy zwrócił się już 4 sierpnia szef Sztabu N.W. gen. Kopański do Col. Palmera, przedstawiciela OSS¹⁰ w W. Brytanii. Gen. Kopański poruszył tę sprawę również na konferencji z Lt. Gen. Carl Spaatzem, dowódcą amerykańskiego strategicznego lotnictwa w Europie. Ten odniósł się pozytywnie do polskiej prośby. Sztab jego przystąpił niezwłocznie do przygotowania wyprawy¹¹. Na polecenie prezydenta Raczkiewicza z podobną prośbą zwrócili się 6 sierpnia do Sztabu Generalnego USA w Waszyngtonie: płk Leon Mitkiewicz, przedstawiciel N.W. i ambasador Jan Ciechanowski¹². O amerykańską pomoc lotniczą zabiegał usilnie również Naczelnny Wódz gen. Sosnkowski, gdy tylko wrócił z Włoch do Anglii¹³. Na skutek tych nalegań Amerykanie obiecali udzielić pomocy, uzależniając ją jednak od zgody sowieckiej, koniecznej w lotach wahadłowych. Zwrócono się więc do Moskwy 13 sierpnia¹⁴. Wybór udzielenia pomocy dla Warszawy metodą lotu wahadłowego podyktowany był nie tyle zasięgiem samolotów, ile skróconym czasem przebywania samolotów nad terytorium nieprzyjacielskim.

A jak myśleli amerykańscy generałowie lotnictwa, odzwierciedlają ich depesze. Lt. Gen. Ira Eaker w osobistym telegramie 139 z 13 sierpnia do Lt. Gen. Carla Spaatza pisał:

„(...) The CCS have suggested that we restudy my original decision that heavy bombers of the Fifteenth Air Force should not be employed to drop supplies to the Polish Partisans in the Warsaw Area in daylight.

9. USAF — Rolka A5689, klisze: 0425, 0433, 0437 i 0451.

10. *Office of Strategic Services* (amerykański SOE).

11. Kopański Stanisław, *Wspomnienia wojenne*, Veritas, Londyn 1961, str. 329, 333.

12. Mitkiewicz Leon, *W najwyższym sztabie zachodnich aliantów*, Veritas, Londyn 1971, str. 199-202.

13. Babiński Witold, *Przyczynki historyczne do okresu 1939-1945*, Świderki, Londyn 1967, str. 389-408.

14. USAF — Rolka A5689, klisza 0548.

I have this morning again gone over this matter with Twining and our operational people here and have sent the following message to Arnold: «REUR 4376 August 12, I have again today in conjunction and cooperation with General Twining made a complete restudy of the practicability of daylight dropping of supplies to the Poles in the Warsaw Area by the use of heavy bombers of the Fifteenth Air Force. It is definitely and completely agreed here that it is an impracticable operation. In fact it is not operationally feasible.

The distance of 770 miles prohibits the use of fighter cover in the target area. It is beyond the range of heavy bombers without the use of the bomb bay tanks. These we do not have in sufficient quantity. We have already planned to employ the night effort of the special operations Unit to the maximum for this purpose and this is all we can reasonably do. Further, all our resources are planned for the support of Dragoon in immediate future. My I urge that you present this view to the CCS most strongly and thus avoid heavy losses and the poor execution of an operationally inadvisable mission».

Please do what you can to stand by us on this decision if it comes to you. (...) ¹⁵”

15. USAF — Rolka A5689, klisze 0544, 0545.

„(...) Komitet Szefów Sztabów zasugerował, abyśmy przestudiowali moją pierwotną decyzję, żeby ciężkie bombowce 15 Floty Powietrznej nie były użyte do zrzutów zaopatrzenia dla polskich partyzantów na teren Warszawy. Dzisiaj rano jeszcze raz z Twiningiem [dowódca 15 Floty Powietrznej — K.B.] i ze swoim sztabem po powtórny przestudiowaniu tej sprawy wysłałem następującą depeszę do Arnolda [dowódca amerykańskiego lotnictwa z siedzibą w Waszyngtonie — K.B.]: «Na twoją 4376 z 12 sierpnia jeszcze raz dzisiaj wspólnie z generałem Twiningiem przestudiowałem praktyczną stronę dokonania za dnia zrzutu zaopatrzenia dla Polaków w Warszawie ciężkimi bombowcami 15 Floty Powietrznej. Zgadzą się tutaj wszyscy definitywnie i całkowicie, że jest to niepraktyczna operacja. W rzeczywistości jest ona operacyjnie niemożliwa. Odległość 770 mil [1239 km — K.B.] uniemożliwia użycie myśliwców w rejonie celu. Odległość ta jest poza zasięgiem ciężkich bombowców bez dodatkowych zbiorników w komorach bombowych. [Niezgodne z prawdą. Liberatory leciały z Włoch do Warszawy bez dodatkowych zbiorników, o czym świadczą rozkazy do lotów 178 Sqdn. — *Public Record Office*, Londyn, sygn. AIR-27/1125 — K.B.]. Nie mamy ich w wystarczającej ilości. Zaplanowaliśmy natomiast do maksimum operację nocną dla oddziału specjalnego i to jest wszystko co możemy uczynić w tym celu. [Mowa o pierwszej wyprawie południowoafrykańsko-brytyjsko-polskiej 28 samolotami do Warszawy w nocy z 13/14 sierpnia, którą dopiero zorganizowano na osobistą interwencję Churchilla gdy przyjechał on do Włoch 11 sierpnia na rozmowy z Tito — K.B.]. Poza tym wszystkie dostępne dla nas siły przeznaczone są w najbliższej przyszłości do wsparcia *Dragoon*. [Operacja desantowa na francuskiej Riwierze i ofensywa wzdłuż doliny Rodanu, rozpoczęta 15 sierpnia jako działanie pomocnicze lądowania w Normandii — K.B.]. Usilnie nalegam o przedstawienie naszego stanowiska Komitetowi Szefów Sztabów, przez co unikniemy dużych strat i złe wykonane zadanie operacyjnie niewskazane».

Proszę zrobić co możesz i poprzyj nas w tej decyzji, jeśli zwrócą się do ciebie. (...)” [tłumaczenie z angielskiego — K.B.]

Spaatz poparł Eakera, zawiadamiając go o tym i wysyłając tego samego jeszcze dnia następującą depezę do amerykańskiej Misji Wojskowej w Moskwie z kopią do dowódcy 8 Floty:

„(...) *Dropping armament supplies to Poles in Warsaw area is in mind. We propose to use Frantic six for this purpose. Force to be composed of approx. seven zero bombers and one hundred fighters. Five zero of the bombers would drop supplies and the remainder bomb an airfield in immediate Warsaw vicinity. Want Russian concurrence of bombing one of three airfields and crossing lines at 500 feet or immediately south on afternoon of one five or one six August. Will follow soon with flight plan and regular advance notice. Highest authorities are interested. Please reply fast and if possible indicate which airbase Russians prefer we bomb. (...)* ¹⁶”

Następnego dnia sztab lotniczy przedstawił depezę dwa plany z gotowością wykonania 16 sierpnia. Plan A zawierał dane techniczne na bombardowanie lotniska k/Króleweca [N 54°34' E 20°37']. Plan B — zrzuty na Warszawę¹⁷. Tym amerykańskim zamiarom sprzeciwili się stanowczo Sowieci i oba plany odrzucili 15 sierpnia. Sowiecka odmowa pisemna z 16 sierpnia brzmiała:

„(...) *The Soviet Government cannot, of course, object to English or American aircraft dropping arms in the region of Warsaw, since this is an American and British affair. But they decidedly object to American or British aircraft, after dropping arms in the region of Warsaw, landing on Soviet territory, since the Soviet Government does not wish to associate itself directly or indirectly with the adventure in Warsaw. (...)* ¹⁸”

16. USAF — Rolka A5689, klisza 0548.

„(...) Mamy zamiar rzucić uzbrojenie Polakom na teren Warszawy. W tym celu proponujemy użyć *Frantic* sześć. Siły będą składać się z około siedmiu bombowców i stu myśliwców. Pięć bombowców zrzuci zaopatrzenie, a reszta zbombarduje najbliższe lotnisko koło Warszawy. Chcę mieć zgodę rosyjską na zbombardowanie jednego z trzech lotnisk lub jednego bardziej na południe oraz współrzędne przekroczenia linii na wysokości 500 stóp po południu piętnastego albo szesnastego sierpnia. Plan i normalną zapowiedź lotu wyślę wkrótce. Najwyższe czynniki są tym zainteresowane. Odpowiedzcie szybko i jeśli możliwe wskażcie, które lotnisko chcą Rosjanie abyśmy zbombardowali. (...)” [tłum. z angielskiego K.B.]

17. USAF — Rolka A5689, klisza 0549.

18. Harriman, str. 340.

„(...) Rząd sowiecki oczywiście nie może sprzeciwić się zrzucaniu broni przez samoloty angielskie lub amerykańskie na teren Warszawy, gdyż jest to sprawa amerykańska i brytyjska. Stanowczo jednak sprzeciwia się, aby amerykańskie albo brytyjskie samoloty, po zrzuceniu broni na teren Warszawy, lądowały na terytorium sowieckim, ponieważ rząd sowiecki nie życzy sobie, aby bezpośrednio lub pośrednio był związany z awanturą w Warszawie. (...) [tłum. z ang. K.B.]

Gen Spaatz przedstawił 16 sierpnia misji w Moskwie jeszcze następne trzy plany *Frantic 6*, pomijając w każdym z nich pomoc dla Warszawy¹⁹. Plany te Sowietci również odrzucili, więc generałowie zawiesili loty wahadłowe na blisko miesiąc. Odbiciem ich myślenia jest rozmowa, jaką 7 września 1944 roku miał w Białym Domu z Hopkinsem Maj. Gen. F.L. Anderson, zastępca Spaatza:

„(...) The U.S. Government would be seriously jeopardizing its relationships with the Russian Government if we pushed our demands to drop those supplies and use Russian bases. We have been used as tools by the British in this matter to the detriment of the relationship between Russia and the United States. Even if the Russian permitted us to conduct this operation, our chances of contributing to the Poles in Warsaw were very small. (...) The whole situation had the makings of a serious international incident of the greatest future consequences to the United States, with little if any chance of help resulting to the Poles. (...)”²⁰”

Po przewlekłych rokowaniach dyplomatycznych Sowietci udzielili z dużą niechęcią zgody na lot do Warszawy dopiero 10 września 1944 roku²¹.

Dzień później wznowiono loty wahadłowe. W operacji *Frantic 6 77* fortec B-17 pod eskortą 64 Mustangów P-51 wystartowało 11 września z Anglii na bombardowanie fabryki w Chemnitz²², zrzucając na nią 586 bomb 500-funtowych. Samoloty lądowały w ZSSR. W drodze powrotnej do Włoch 13 września 75 fortec B-17, pod eskortą 62 Mustangów P-51, wystartowało na bombardowanie fabryki MAVAG w Diósgyör (6 km na południowy zachód od Miskolc) na Węgrzech, zrzucając na nią 690 sowieckich bomb 250-kilogramowych z wysokości 24.000 stóp.

Wracając do Anglii samoloty bez bomb wystartowały z Włoch dwukrotnie. 15 września zawrócono z powodu złych

19. USAF — Rolka A5689, klisza 0554.

20. USAF — Rolka A5689, klisza 0561.

„(...) Rząd US nadwerży poważnie swoje stosunki z rządem rosyjskim, jeśli będziemy nalegać na te zrzuty z zaopatrzeniem i na użycie sowieckich baz. Brytyjczycy w tej sprawie używają nas jako narzędzia do pogorszenia stosunków między Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Nawet gdyby Rosjanie zgodzili się na przeprowadzenie tej operacji, to szanse udzielenia pomocy Polakom w Warszawie są nikłe. Cała sytuacja jaka się wytworzyła stała się międzynarodowym incydem, bardzo poważnym w skutkach dla Stanów Zjednoczonych, dając małą albo żadną szansę pomocy Polakom. (...)”
[tłum. z angielskiego K.B.]

21. USAF — Rolka A5689, klisza 0563.

22. Obecnie Karl Marx Stadt.

warunków atmosferycznych i dopiero w dwa dni później 70 fortet B-17 i 57 Mustangów P-51 wylądowało w swoich bazach w Anglii. Tak zakończyła się operacja *Frantic 6*²³.

W czwartek 14 września w ramach operacji *Frantic 7* miały lecieć z Anglii do Warszawy 72 bombowce. Z powodu mgły nie mogły jednak startować myśliwce, więc wyprawę odwołano o godz. 07.25. Melodią, zapowiadającą tę wyprawę i nadaną przez radio BBC, był skoczny polski taniec „Jeszcze jeden mazur...”, a jej odwołaniem żonierska piosenka „Piechota...”²⁴.

W piątek 15 września 110 bombowców 8 Floty²⁵ wprawdzie wystartowało pod osłoną 150 myśliwców, ale z powodu złej pogody na trasie zawróciły one o godz. 07.58 do baz²⁶. Wróciły również myśliwce. W dzienniku działań 355 Grupy Myśliwskiej pod datą 15 września czytamy:

„(...) Rozkaz do lotu 570. Zadanie: eskorta *Frantic*. D-ca Lt. Col. Stewart. Start o godz. 10.01. Lądowanie godz. 13.15. Startowało 64, wcześniej lądowało 2. Grupa 355 była jedną z trzech eskortujących 110 B-17 w specjalnej operacji ze zrzutami. Wszystkie samoloty zaniechały zadania na skutek złej pogody. Grupa nasza znajdowała się między Emden a Bremą gdy została odwołana przez *Colgate* o godz. 11.20 (...)” [tłum. z angielskiego K.B.]²⁷.

Przygotowania do wyprawy scharakteryzował cichociemny rtm. Adam Mackuś w meldunku do gen. Tatara z dnia 16 września:

„(...) Będąc od szeregu dni w kontakcie z d-twem 3 dyw. bombowej (...) stwierdziłem, że z niewiadomych powodów z lotniska w Framlingham (390 Grupa Bombowa K.B.) zabrano 130 spadochronów (...) Jakiegoś celowego sabotowania nie dopa-

23. USAF — Rolka A5689, klisze 0461-0478, 480 i 491.

24. Studium Polski Podziemnej, Londyn (dalej SPP) sygn. 2.3.5.17.2 — *Dziennik czynności Wydz. „S” — Operacja amerykańska*, str. 1-5.

25. *Ordre de bataille* 8 Floty z 15 sierpnia 1944 roku: 1 Dywizja à 4 wingi po 3 grupy bombowe. Razem 12 grup bombowych, w sumie około 432 fortet B-17. 2 Dywizja à 4 wingi po 3-4 grupy bombowe. Razem 13 grup bombowych, w sumie około 468 Liberatorów B-24. 3 Dywizja à 5 wingów po 2-3 grupy bombowe. Razem 14 grup bombowych, w sumie około 504 fortet B-17. Samoloty myśliwskie: 3 wingi po 4-5 grup. Razem 14 grup myśliwskich, w sumie około 288 Thunderboltów P-47, 78 Lightningów P-38 i 702 Mustangi P-51. 8 Flota dysponowała również jednostkami rozpoznawczymi szkoleniowymi i innymi. — USAF, Rolka A5533 „3rd Bomb Division *Frantic Mission*”, klisze 0447, 0448.

26. USAF — Rolka A5689, klisza 0495, także SPP sygn. Sk 16/7 — *Dziennik adiutanta Bazy 11, por. Jerzego Zubrzyckiego*, 15.9.44.

27. USAF — Rolka B0313 „355th Fighter Group”, klisza 1005.

trują się. (...) Sekcja polska SOE w Londynie jest przygotowana tylko na akcję sabotażowo-dywerysjną, umie pracować w przetrzutach pojedynczych, nigdy zaś masowych. (...) na masowe przetrzuty kierownictwo sekcji nie jest przygotowane fachowo. Psychicznie — niechlujstwo, brak umiejętności dowodzenia, leniwość. Wyprawę traktują jako wydarzenie psujące im normalny ustalony porządek. (...) Zagadnienie przerasta przygotowanie fachowe i poziom intelektualny obecnego kierownictwa polskiej sekcji SOE (...) ²⁸”

Nie mając żadnych ku temu podstaw, gen. Tatar ingerował w najdrobniejsze szczegóły wyprawy. Bez wiedzy dowódcy Polskiego Lotnictwa AVM Iżyckiego wyznaczył S/L Króla, aby ten jako nawigator poleciał w jednym z samolotów amerykańskiej wyprawy. Nie rozumiał bowiem, że Warszawa była łatwym do odnalezienia celem. Dzięki powstańczej fonicznej radiostacji BŁYSKAWICA lotnicy mogli robić na nią namiary radiowe, co ułatwiało nawigację. Z tych zamiarów radiowych korzystali w lotach do Warszawy Południowoafrykańczycy, o czym świadczą ich *Sortie Reports*. Wysłaniu S/L Króla do Warszawy sprzeciwił się gen. Sosnkowski, który w liście z 15 września do gen. Tatara wyraził swoje zastrzeżenie:

„(„) jeśliby na bazie (...) zidentyfikowano nazwisko mjr. Króla, mogłyby stąd wyniknąć komplikacje polityczne i konsekwencje dla mjr. K. bardzo nieprzyjemne osobiście. (...) proszę (...) o zrewidowanie swego wniosku. Odwołanie mjr. K. łatwo jest wytłumaczyć Amerykanom, podając szczerze istotne motywy (...) ²⁹”

Wreszcie w poniedziałek 18 września o świcie między godz. 05.55 a 06.20 wystartowało z lotnisk południowo-wschodniej Anglii 110 Boeingów B-17 — „latających fortec” — 13 wingu z 3 Dywizji Bombowej. Wyprawa amerykańskich fortec uformowała szyk bojowy na wysokości 4.000 stóp nad nadbrzeżnym

28. SPP sygn. 2.3.5.17.2 — List Mackusa do Z-cy Szefa Sztabu N.W. 9611 z 16.9.44.

Szefem sekcji polskiej SOE w Anglii był wtedy Maj. M.J.T. Pickles. Nie znam nazwisk pozostałych 3 członków sekcji, gdyż nie natrafiłem na nie w dostępnej mi dokumentacji. Sekcja ta zresztą nie odegrała większej roli w organizowaniu zrzutów do Polski. Wbrew angielskim obietnicom zaprzestano dokonywania zrzutów trasą północną z Anglii do Polski. Stało się to z chwilą przeniesienia pod koniec 1943 roku polskiej Eskadry 1586 do basenu Morza Śródziemnego. Powstał tam wtedy nowy ośrodek SOE. (Threlfall, Klauber, Morgan, Truszkowski).

29. Instytut Historyczny i Muzeum gen. Sikorskiego, Londyn, sygn. LotA.V./11/2i — List Sosnkowskiego do z-cy szefa Sztabu 1214 z 15.9.44.

miastem Southwold w Suffolk o godz. 07.30, skąd w odstępach dwuminutowych Grupy Bombowe 95, 100 i 390, stopniowo wznosząc się na wysokość 14.000 stóp, obrwały kurs na Warszawę. Poszczególne dywizjony tych grup prowadzili „pathfinderzy” — zwiadowcy z 335 PFF (*Pathfinding Force*). Leciano szykiem bojowym *box*: czoło stanowiły dwie trójki lecące jedna za drugą. Z prawej strony leciała trójka na wyższym poziomie, a z lewej strony trójka na niższym. Te dwanaście samolotów tworzyło dywizjon A. Tak samo uszeregowane następne dywizjony B i C leciały za nim. Całość tę tworzyła 95 Grupa Bombowa. Prowadził ją Capt. Miller³⁰.

Za 95 Grupą w odstępie dwuminutowym — co w odległości równało się około 10 km — takim samym szykiem leciała 100 Grupa Bombowa, którą prowadził Lt. Col. T.S. Jeffrey. Z braku miejsca w formacji z grupy tej zaraz na początku lotu o godz. 07.59 zawróciły do bazy dwie zapasowe fortece: Boeing 4231987 Furrera i Boeing 4297673 Delaney'a. Okazało się jednak, że zrobili to przedwcześnie, bo w godzinę i szesnaście minut później, zanim jeszcze doleciało do brzegów Szlezwik-Holsztynu, lecący na prawym skrzydle w pierwszej trójce Boeing 4231066 McCoy'a musiał opuścić formację i zawrócić do bazy z powodu wady silnika³¹.

Na ostatku w odstępie dwuminutowym za 100 Grupą Bombową leciała 390 Grupa Bombowa, którą prowadził Maj. W.J. Jones³².

W planach operacyjnych sztabowcy lotniczy rozkazem do lotu Nr 183 oznaczyli Warszawę jako cel GY-4874³³, na który w trzech rejonach, A, B i C, nie przekraczając szybkości 150 mil/godz. fortece miały dokonać zrzutu w następujący sposób: na rejon A — Mokotów — czoło fortec 95 Grupy (18 samolotów), na rejon C — Żolibórz — prawe i lewe trójki 390 Grupy (18 samolotów), na rejon B — Śródmieście — pozostałe fortece 95, 100 i 390 Grupy (72 samoloty)³⁴. Rejony te oznaczono białymi stumetrowymi prześcieradłami na ulicach i dachach domów.

Wyprawę fortec wyprzedził o 20 minut samotnie lecący rozpoznawczy samolot *Mosquito* z 325 wingu, który informował ją o warunkach atmosferycznych na trasie lotu, a który lądował w Poławie. Trasa fortec z Southwold prowadziła Morzem Pół-

30. USAF — Rolka B5482 „3rd Bomb Division — Mission Reports”, klisze 1772, 1775, 1777 i 1791.

31. USAF — Rolka B5482, klisze 1803, 1804, 1805, 1809, 1811.

32. USAF — Rolka B5482, klisze 1840-1844.

33. USAF — Rolka A5993 „Eight Air Force — Mission Reports”, klisza 0092.

34. USAF — Rolka A5993, klisza 0221.

nocnym, następnie koło Szlezwiku, a potem niedaleko duńskiego miasta Maribo na wyspie Lolland i dalej wzdłuż Morza Bałtyckiego. Wybrzeże przekroczone nieco na północ od Koszalina, kierując się stamtąd przez Chełmno na Warszawę. Trasa wynosiła 1360 km i Boeingi B-17 pokonały ją w czasie 5.03 godzin³⁵.

Fortece eskortowały 154 Mustangi P-51 z 4, 361 i 355 Grupy Myśliwskiej. Dwie pierwsze grupy myśliwców stanowiły eskortę penetrującą, a ostatni eskortę penetrującą i odprowadzającą.

43 Mustangi P-51 z 361 Grupy Myśliwskiej wystartowały o godz. 07.41 pod dowództwem Capt. Duncana i zaatakowały lotnisko Jagel, położone 8 km na południe od Szlezwiku, niszcząc w powietrzu 4 niemieckie samoloty a na ziemi 3 i uszkadzając dalsze 6, tracąc przy tym Mustanga 4413949 Lt. C.A. Arrantsa z 374 Sqdn. Eskortowały one fortece do godz. 10.44 i wróciły znad Kołobrzegu do bazy, lądując na lotnisku w Anglii o godz. 13.30³⁶.

39 Mustangów P-51 z 4 Grupy Myśliwskiej wystartowało o godz. 07.25 i pod dowództwem Lt. Howe'a broniło fortec od Helgolandu aż do Chojnic przed ewentualnym atakiem myśliwców. Zaobserwowano jedynie 12 patrolujących nieprzyjacielskich samolotów, w tym jeden odrzutowy, które fortec jednak nie zaatakowały. Z 4 i 361 Grupy 9 maszyn wróciło wcześniej do baz³⁷.

Eskortę fortec, po 4 Grupie Myśliwskiej, która zawróciła znad Chojnic o godz. 11.18 lądując w Anglii o godz. 14.32 przejęły Mustangi 355 Grupy Myśliwskiej w sile 64 maszyn, gdyż 8 wcześniej zawróciło. Mustangi tej grupy startowały o godz. 08.24 i dowodził nimi początkowo dowódca grupy Lt. Col. Stewart, a następnie Maj. Marshall³⁸.

Na całej trasie formacja fortec nie spotkała się z niemiecką obroną przeciwlotniczą. Dopiero w rejonie Łomianki-Dąbrowa na wschodnim krańcu Puszczy Kampinoskiej lecąca na przodzie 95 Grupa Bombowa otrzymała mało celny pierwszy ogień artylerii przeciwlotniczej, a nad samym miastem bardzo silny. Naliczono około 45 strzelających ciężkich dział 88 mm³⁹.

35 Boeingów B-17 95 Grupy Bombowej zrzuciło na miasto o godz. 12.41-12.45 420 zasobników z wysokości 14.000-15.500 stóp. Aby utrzymać się w formacji, z powodu defektu z prawe-

35. USAF — Rolka A5993, klisze 0092, 0199, 0223.

36. USAF — Rolka A5993, klisze 0013, 0121, 0198; także National Archives, Waszyngton (dalej NA) — Missing Aircrew Reports (dalej NACR) Nr 9010.

37. USAF — Rolka A5993, klisze 0013, 0198.

38. USAF — Rolka A5993, klisze 0012, 0198; Rolka B0313, klisza 1005.

go zewnętrznego silnika, prowadzący drugą trójkę w dywizjonie A Boeing 42102951 Edwardsa zrzucił ładunek koło Chełmna. Wszystkie fortece 95 Grupy wylądowały w Połtawie o godz. 16.14-16.19. Połowa z nich była postrzelana. Na 18 trafionych pociskami maszyn 6 było poważnie uszkodzonych⁴⁰.

33 Boeingi B-17 100 Grupy Bombowej zrzuciły na miasto 388 zasobników o godz. 12.41-12.46 z wysokości 17.000-17.200 stóp. Jedna forteca, jak już wspomniano, zawróciła. Boeingowi 4231986 Ransoma zacięły się wyrzutniki, a Boeingowi 42106986 Lundquista zaplątały się spadochrony. 35 fortec lądowało w Mirgorodzie o godz. 16.03-16.20. Navigator Lt J.D. Carpenter, który leciał w pierwszej fortecy dywizjonu C, w meldunku z 23 września ocenił pułap 17.000 stóp jako za wysoki na dokładny rzut zasobników bez opóźniaczy na spadochronach i sugerował użycie ich w przyszłości⁴¹.

Na końcu formacji leciała 390 Grupa Bombowa. 40 km na północny zachód od Warszawy w rejonie Nasielska grupę tę zaatakowało z południowego wschodu o godz. 12.30 około 40 jednosilnikowych niemieckich myśliwców i próbowało ją rozbić. Wywiązała się walka między myśliwcami. Amerykanie zestrzelili 4 ME-109 i uszkodzili dalsze 3 ME-109. Capt. H.W. Brown z 354 Sqdn., który zestrzelił jednego ME-109, a drugiego ME-109 uszkodził, ostrzelał również na lotnisku ciężarówkę wiozącą żołnierzy i uszkodził JU-87 (Stuka). Niemcy zestrzelili dwa Mustangi: 4413675 Lt. R. Petersa i 42103317 Lt. J.W. Vigny, który poległ. Jego Mustang P-51C spadł koło wsi Kątne, położonej 5 kilometrów na północny zachód od Nasielska⁴². Dwa FW-190 i osiem ME-109 przedarło się przez zaporę Mustangów i zaatakowało z chmur fortece. Boeingowi 4338175 1/Lt. F.E. Akinsa⁴³ od pocisków zapalił się prawy wewnętrzny silnik i urwał się lewy poziomy statecznik. Forteca wyrzuciła ładunek na dziko, opuściła formacje i zniżając lot do 8.000 stóp, eksplodowała o godz. 12.46 w rejonie Pelcowizny [N 52°17' E 21°00'].

39. USAF — Rolka A5993, klisze 0066, 0067; także SPP sygn. 2.3.5.17.2 — Notatka z rozmowy mjr. Sulińskiego i por. Patkowskiego w War Room 3 Dywizji Bombowej z dn. 27.9.44.

40. USAF — Rolka A5482, klisze 1764, 1769-80, 1797.

41. USAF — Rolka B5482, klisze 1764, 1767, 1803-05, 1809, 1811, 1813-14.

42. USAF — Rolka A5993, klisze 0012, 0248; Rolka B0313, klisze 1005-06; NA — MACR Nr. 9238, 9239.

43. Załogę Boeinga 4338175 stanowili: piloci 1/Lt. F.E. Akins, 2/Lt F.D. Shaw, naw. F/O E. Berenson, bomb. 2/Lt M.S. Merrill, r/o T/Sgt M.L. Shook, górny strz. S/Sgt F.P. De Cillis, prawy boczny strz. S/Sgt J.D. Christy, lewy boczny strz. S/Sgt P.F. Haney, dolny strz. S/Sgt G.A. Mac Phee i tylny strz. S/Sgt W.P. Shimshock.

Zanim nastąpiła eksplozja, z płonącej fortecy ratowali się na spadochronach: S/Sgt J.D. Christy, T/Sgt M.L. Shook i S/Sgt W.P. Shimshock. Dwaj pierwsi wrócili później do Stanów, a trzeciego, który wylądował w Dąbrowie ze złamaną nogą, po krótkim przesłuchaniu rozstrzelali Niemcy⁴⁴.

Boeing 42102677 Johnstona prowadził drugą trójkę dywizjonu B, dopóki Niemcy nie odstrzelili mu mechanizmu kontrolującego stery. Opuścił wtedy formację i radiem nawoływał myśliwców o pomoc. Eskortowany przez cztery Mustangi lądował szczęśliwie w Brześciu⁴⁵.

Boeing 44?315 z dywizjonu B, lecący w lewej trójce na prawym jej skrzydle, wypadł z formacji, gdy 20 mm pocisk trafił w kabinę i ranił śmiertelnie pilota 1/Lt P.R. Hibbarda. Odłamki pocisku raniły nawigatora 1/Lt J.P. Stovalla, który stracił przytomność. Tylny strzelec S/Sgt R.E. Underwood był również ranny i to bardzo ciężko. Drugi pilot opanował maszynę i mimo że pociski odstrzeliły kable od prawego steru, wylądował szczęśliwie w Mirgorodzie. Pięć dalszych fortec było mocno postrzelanych. Dwie zostawiono w Poławie, a trzy w Mirgorodzie, gdzie mechanicy naprawili je w ciągu następnych pięciu dni. Mimo ataku myśliwców i ognia artylerii przeciwlotniczej 33 Boeingi B-17 zrzuciły na miasto 362 zasobniki o godz. 12.42-12.49 z wysokości 13.800-15.000 stóp. Dwie fortece 448265 Hedricka i 4231932 1/Lt E. Moody'ego lądowały z zasobnikami w ZSSR. Fortece 390 Grupy lądowały w Mirgorodzie i Poławie o godz. 16.47-17.25.

Nawigator 1/Lt J.B. Wity, który leciał w pierwszym samolocie dywizjonu B, napisał w raporcie z 22 września, że gdyby na Warszawę nalatywano od południowego zachodu, a nie od północnego zachodu, uniknięto by ognia artylerii w 75 %⁴⁶. 62 Mustangi P-51 lądowały w Piriattynie o godz. 16.15.

W dotychczasowych publikacjach szereg autorów podaje, że Amerykanie zrzucili na Warszawę 1284 zasobniki. Rachunek ten oparty jest na przemnożeniu 107 fortec przez 12 zasobników i nie jest ścisły. Niektóre bowiem z fortec załadowano po 11, 10, a nawet po 6 zasobników i nie wszystkie z nich dokonały zrzutów. W rzeczywistości 101 fortec zrzuciło w sumie 1170 zasobni-

44. USAF — Rolka B0425 „390th Bomb Group”, klisza 1735; Rolka B5482, klisze 1840-43, NA — MCR Nr 10205; SPP — sygn. 2.3.5.17.2 Depesza z Wandy 07 147/1 i 147/2 z 23.9.44 i 24.9.44; *Armia Krajowa w dokumentach*, (dalej AKwD), t. IV, Studium Polski Podziemnej, Londyn 1977, str. 391, Dep. 1880 Lawina do Warty z 25.9.44.

45. USAF — Rolka B5482, klisza 1844.

46. USAF — Rolka B5482, klisze 1764, 1768, 1840-46, 1860; Rolka A5689, klisza 0510; Rolka B0425, ramka 1736.

ków przy stracie jednej fortecy i trzech myśliwców. Ładunek był imponujący: 2987 Stenów, 390 rkemów, 102 Piaty, 7070 granatów, 10 min, 7.3 ton plastyku, 3.2 ton lontów. Do tego dochodziła amunicja, żywność i leki⁴⁷.

Odbiór zasobników kwitował gen. Bór depeszą 1867 z 20 września, skierowaną do gen. Sosnkowskiego i premiera Mikołajczyka:

„(...) Ogółem podjęto 228 containerów w większości z bronią i amunicją, z czego 77 spadło na przedpole podjęto w walce. 32 pozostaje na przedpolach z niemożnością podjęcia bez poważniejszego uderzenia. 28 utracono wskutek przestrzelenia spadochronów zapalającymi pociskami c.k.m. (...)”⁴⁸

Na ogólną liczbę 1170 wyrzuconych zasobników przez 101 fortec spadło na cel zaledwie 288 zasobników (228+28+32=288), co stanowiło 25%. Tereny miasta utrzymane w rękach powstańców były wtedy zbyt małe, a rzut bez użycia spadochronów z opóźniaczami okazał się mało precyzyjny. Około 3% spadochronów nie otworzyło się, reszta spadała do ziemi blisko siedem minut. Część zasobników spadła do Wisły, część na Pragę, zajęta już przez wojska sowieckie. Większość zrzutu dostała się Niemcom⁴⁹.

Mimo, że wynik amerykańskiej dziennej wyprawy z zaopatrzeniem był nikły, to jednak okazał się dużym sukcesem na tle strat, ponoszonych w lotach nocnych trasą południową. Spodziewano się wysokich strat 40%.

Istniały zatem techniczne możliwości nie tylko zaopatrzenia powstańców w dzień trasą północną, ale i bombardowania celów w mieście bez uciekania się do lądowań na terytorium sowieckim. Sukces amerykańskiej wyprawy w niczym nie zmienił sytuacji powstańców i stał się pomocą symboliczną. Z powodu braku zgody sowieckiej na lądowanie samolotów w bazach amerykańskich na terytorium sowieckim zbyt długo odwiekana pomoc amerykańska nadeszła za późno.

Niemcy w dzienniku działań 9 Armii odnotowali:

„(...) około godz. 11.00 zameldowano działalność ofensywną w południowo-wschodniej części Lasów Kampinoskich. (...) W godzinę później zameldowano lot 250 amerykańskich bombowców.

47. USAF — Rolka B5482, klisza 1853; Rolka A5689, klisza 0539.

48. SPP sygn. 2.3.5.1.6 - Dep. Lawina do N.W. i Premiera 1867 z 20.9.44.

49. AKwD, t. IV, str. 346, 362-363.

Według pewnych źródeł mają one dokonać zrzutu wojsk spadochronowych. Okazało się, że były to zrzuty z zaopatrzeniem. (...) A.O.K. 9 reaguje, skierowując natychmiast 2 pułk grenadierów pancernych z dywizji pancernej 'H.G.', będącej jeszcze w odwodzie do rejonu Lasów Kampinoskich, na północny-zachód od Warszawy. (...)”⁵⁰”.

Wyprawą amerykańską do Warszawy nie byli więc Niemcy zaskoczeni. Nie tylko zaalarmowali 2 pułk grenadierów pancernych, ale poderwali około 40 myśliwców, które krążyły na dużej wysokości, jakby czekały na tę wyprawę. Ciekawe, skąd Niemcy o niej wiedzieli?

We wtorek 19 września 93 fortece B-17, pod eskortą 55 Mustangów P-51, wystartowały z ZSSR na bombardowanie stacji rozdzielczej w Szolnok na Węgrzech, zrzucając na nią 191 ton bomb. Samoloty wylądowały potem w bazach w Apulii, skąd 22 września wystartowało do Anglii 91 fortec B-17 bez bomb, 50 Mustangów P-51 i 2 Mosquity. W Anglii wylądowały jednak tylko 84 fortece, 47 Mustangów i 2 Mosquity, gdyż 2 Mustangi wylądowały we Francji a 1 Mustang i 7 fortec wróciło do Włoch⁵¹. Na tym locie zakończono serię operacji lotów wahadłowych, którym nadano kryptonim *Frantic*.

Planowano wprawdzie dokonać jeszcze jednego zrzutu dla powstańców 72 fortecami w operacji *Frantic 8* w dniu 28 września, ale Sowieci odmówili na to swojej zgody. O pomoc amerykańską zabiegał 25 września premier Mikołajczyk. W liście do amerykańskiego ambasadora w Londynie J.G. Winanta prosił o zrzuty dla Warszawy i sugerował użycie opóźniaczy przy spadochronach. Prośbę o zrzuty u amerykańskiego ambasadora ponowiła 27 września polska ambasada. W piątek 29 września zatelefonował nawet Churchill do Andersona, bo Spaatz wtedy w Londynie nie było, z prośbą o amerykańskie zrzuty dla Warszawy⁵².

Interwencje widać poskutkowały, bo zrzutów miano dokonać w niedzielę 1 października, ale z powodu złej pogody wyprawę przełożono najpierw na poniedziałek 2 października, a następnie na wtorek 3 października. Sowieci nie wyrazili jednak zgody na lot 2 października⁵³.

Mikołajczyk listem z 3 października zawiadomił Winanta o upadku powstania i prosił o amerykańskie zrzuty do Okręgu

50. *Zeszyty Historyczne* Nr 15 (1969), str. 117.

51. USAF — Rolka A5689, klisze 0510, 0518.

52. USAF — Rolka A5689, klisze 0521, 0597-98, 0613-14.

53. USAF — Rolka A5689, klisza 0630.

Radom-Kielce. Podobny list napisał również do Andersona⁵⁴. Dwa dni później, 5 października, Anderson odmówił Mikołajczykowi pomocy amerykańskiej, podając jako powód zamknięcie baz amerykańskich w ZSSR⁵⁵.

I rzeczywiście tego dnia odjechał z Połtawy długi pociąg do Tabrizu w Persji, skąd kolumny samochodowe przez pustynię dowiozły amerykański sprzęt i warsztaty lotnicze do Kairu na czekający tam statek do Liverpoolu⁵⁶. Taki był koniec lotniczej współpracy amerykańsko-sowieckiej. Złudne okazały się rachuby amerykańskich mężów stanu i generałów lotnictwa na bazy lotnicze na dalekim wschodzie Sowietów, przydatne do bombardowania Japonii. Stalin, mimo obietnic, nigdy się na nie nie zgodził.

Kajetan BIENIECKI

54. USAF — Rolka A5689, klisza 0642-43.

55. USAF — Rolka A5689, klisza 0644.

56. McFarland Marvin W., *Air Power and the Warsaw Uprising (August-September 1944)*, The Air Power Historian, Vol. III. October 1956, str. 194.

WYWIADY

„ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Jan CIECHANOWSKI

NOTATKI Z ROZMÓW Z GEN. TADEUSZEM PEŁCZYŃSKIM

Gen. Tadeusz Pełczyński (1892-1985) — ps. „Grzegorz”, „Robak” — był jednym z najwybitniejszych sztabowców Wojska Polskiego i Armii Krajowej, który wywarł zasadniczy wpływ na jej dzieje oraz decyzję wywołania Powstania Warszawskiego.

Tadeusz Pełczyński od sierpnia 1914 roku służył w Legionach Polskich w 6 pułku piechoty, wchodzącym w skład Pierwszej Brygady. Po kryzysie przysięgowym w 1917 roku został internowany w Beniaminowie. Od listopada 1918 roku Pełczyński służy w odrodzonym Wojsku Polskim i bierze udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W latach 1921-23 kończy Wyższą Szkołę Wojenną i zostaje oficerem dyplomowanym. W tym samym czasie należy do tajnej organizacji wojskowej „Honor i Ojczyzna” — znanej również pod nazwą „Strażnica” — założonej przez gen. Władysława Sikorskiego za zgodą Marszałka Józefa Piłsudskiego, do której należało szereg wybitnych oficerów i generałów Wojska Polskiego, którzy mieli oddziaływać na jego oblicze ideowe i moralne. Od maja 1927 roku był pełniącym obowiązki szefa, a od 1929 roku szefem Oddziału Drugiego Sztabu Głównego. W marcu 1932 roku został dowódcą 5 pułku piechoty, a w październiku 1935 roku ponownie szefem Oddziału Drugiego Sztabu Głównego. Funkcję tę pełnił do stycznia 1939 roku. W czasie kampanii wrześniowej dowodził piechotą dywi-

zyją 19 dp, a po jej zakończeniu wstąpił do konspiracji. Od lipca 1940 roku do kwietnia 1941 roku pełnił funkcję komendanta okręgu lubelskiego Związku Walki Zbrojnej. W lipcu 1941 roku został mianowany szefem Sztabu Komendy Głównej ZWZ, a następnie AK. Stanowisko to zajmował do upadku Powstania Warszawskiego w październiku 1944 roku. Po aresztowaniu gen. Stefana Grot-Roweckiego powierzono mu równocześnie funkcję zastępcy dowódcy Armii Krajowej. Był on więc głównym doradcą gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, który objął dowództwo AK po gen. Grocie-Roweckim w lipcu 1943 roku. W listopadzie 1943 roku został mianowany generałem brygady.

Gen. Pełczyński był jednym z głównych autorów Powstania Warszawskiego, w czasie którego stracił jedyne syna Krzysztofa.

Po upadku powstania przebywał wraz z gen. Borem-Komorowskim w niewoli niemieckiej. Po uwolnieniu z niewoli w maju 1945 roku wraz z gen. Borem-Komorowskim udał się do Londynu.

Od lipca do listopada 1945 roku był szefem sztabu gabinetu Naczelnego Wodza gen. Bora-Komorowskiego, a następnie do listopada 1947 roku przewodniczącym Komisji Historycznej przy Sztabie Głównym w Londynie. Po demobilizacji pozostał w Anglii, gdzie był jednym z założycieli Koła AK i Studium Polski Podziemnej w Londynie. Zmarł 3 stycznia 1985 roku.

Jego relacja rzuca wiele nowego światła na dzieje Armii Krajowej, szczególnie zaś na sprawę decyzji podjęcia walki o Warszawę. Przebieg tych rozmów, przy których byli obecni p. Halina Czarnocka i prof. Janusz Zawodny, podaje głównie na podstawie notatek p. Haliny Czarnockiej znajdujących się w Studium Polski Podziemnej — SPP w Londynie (Kol 13/23) oraz własnych.

Jan CIECHANOWSKI

JAN CIECHANOWSKI: — *Czy Naczelnny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, wyznaczył gen. Leopolda Okulickiego¹ przed jego skokiem do kraju na zastępcę Dowódcy Armii Krajowej?*

GEN. TADEUSZ PEŁCZYŃSKI: — Początkowo tak planował, ale gen. Tatar² doradził mu, aby Okulickiego wyznaczył tylko na zastępcę Szefa Sztabu Komendy Głównej AK. Przy Roweckim³ zastępcą był Komorowski, a Szefem Sztabu „Grzegorz”. Przy „Borze” było inaczej. „Bór” nie chciał mieć osobnego

1. Gen. Okulicki skakał do Kraju w nocy z 21 na 22 maja 1944 roku.

2. Gen. Stanisław Tatar („Tabor”) — zastępca Szefa Sztabu Głównego do Spraw Krajowych.

3. Gen. Stefan Grot-Rowecki — pierwszy dowódca AK.

zastępcy. Stąd Szef Sztabu był również zastępcą dowódcy AK. Okulicki nie miał zadania zorganizowania Kwatery Głównej dla Naczelnego Wodza⁴.

J.C.: — *Słyszałem o tym i był list Naczelnego Wodza do Premiera Mikołajczyka z 9 stycznia 1944 roku, aby przygotował mu za wiedzą aliantów możliwość przybycia do Polski. Była również depesza Naczelnego Wodza do dowódcy AK w tej sprawie i odpowiedź, że gen. Sosnkowski nie mógłby w kraju sprawować swej funkcji jako Naczelny Wódz.*

T.P.: — Trzeba znaleźć te depesze.

J.C.: — *Czy gen. Okulicki mówił o stosunku aliantów do Polski i AK i ewentualnej pomocy?*

T.P.: — Wszystko mówią depesze. W Komendzie Głównej panował sceptycyzm do aliantów, a depesze mówią wszystko czarne na białym.

J.C.: — *Czy Okulicki był lojalny w stosunku do KG AK?*

T.P.: — Zupełnie i całkowicie. Był pierwszym zastępcą Szefa Sztabu.

J.C.: — *Pobóg-Malinowski⁵ pisze na podstawie relacji Sawickiego⁶, że Okulicki krytykował kwalifikacje gen. Bora-Komorowskiego?*

T.P.: — Nic podobnego.

J.C.: — *Czy Okulicki był za linią polityczną Mikołajczyka?*

T.P.: — Okulicki przyjął stanowisko dowódcy AK: prowadzić walkę z Niemcami, a próby Mikołajczyka stosować do Sowiec.

4. W roku 1944 Naczelny Wódz, gen. K. Sosnkowski, często rozważał możliwość swego przylotu do Kraju celem bezpośredniego objęcia dowództwa nad Armią Krajową. O szczegóły w tej sprawie patrz: Jan Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie*, Warszawa 1984, str. 277 i dalsze.

5. O szczegóły patrz: Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza Historia Polski*, tom III, Londyn 1986, str. 611-612.

6. Gen. Kazimierz Sawicki — komendant lwowskiego obszaru AK (1941-43) i komendant Komórki „Prusy Wschodnie” (1943-1944).

W tej sprawie przeczytajcie wypowiedzi Delegata Rządu⁷, dowódcy AK i RJN. Naczelnny Wódz wyrażał się o Mikołajczyku sceptycznie, ale uważał go za premiera. A Okulicki nie różnił się od nas w Kraju. Okulicki był bliższy ludowcom niż Narodowej Demokracji i PPS. Możliwe, że z ludowcami rozmawiał.

J.C.: — *Jaką funkcję przy Okulickim pełnił Bokszczanin?*

T.P.: — Bokszczanin nie mógł się zdobyć na zajęcie żadnego stanowiska. Nie potrafił podjąć decyzji, ale był bardzo dobrym oficerem⁸. Bokszczanin został ściągnięty na następcę Tataru w marcu 1944 roku, gdy Tatar szykował się do odlotu do Londynu i zdał mu szefostwo operacji. Ale ta próba nie udała się.

J.C.: — *Jakie względy skłoniły KG AK do wysłania Tataru do Londynu?*

T.P.: — Na to pytanie odpowiem później, po rozmowie z „Borem”.

J.C.: — *Czy to prawda, że jeszcze w 1943 roku Tatar przedstawił KG AK elaborat, w którym domagał się zrezygnowania z teorii dwóch wrogów?*

T.P.: — Tak. Były na ten temat kilka razy dyskusje, w których zarysowało się stanowisko Tataru zgodne ze stanowiskiem Kirchmayera⁹ — oficera oddziału operacyjnego.

J.C.: — *Czy Tatar i Kirchmayer jesienią 1943 roku ujawnili swój nowy stosunek do Rosji?*

T.P.: — Tak. Logika Tataru, ale logika gra tylko pewną rolę w polityce. Tatar płakał, gdy chciał przestawić linię AK na ugodową wobec Rosji. Odrzuciliśmy sugestie Tataru. Był też człowiek, który nam nawet proponował „lewicowy spiszek” — Rzepecki? Gdy zarysowała się przewaga Rosji w końcowej fazie

7. Jan Stanisław Jankowski („Soból”).

8. W sprawie stanowiska płk. dypl. J. Bokszczanina w tej kwestii patrz: Jan Ciechanowski, *op. cit.*, str. 353 i dalsze.

9. Płk dypl. Jan Rzepecki „Prezes” — szef Oddziału Informacji i Propagandy KG AK. O szczegóły w tej sprawie patrz: Jan Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Warszawa 1956, str. 287 i dalsze.

wojny, nie było dla nas żadnego dobrego wyjścia. Sytuacja była tragiczna. Każde wyjście było złe, ale nie mogliśmy pójść na zaniechanie walki.

J.C.: — *Jak odnosiło się Dowództwo AK do zarządzeń i rozkazów Naczelnego Wodza w okresie listopad 1943 — lipiec 1944?*

T.P.: — Znajdziecie w depezach. Ponieważ zarysował się konflikt między Naczelnym Wodzem i Rządem w Kraju, odczuwaliśmy rozterkę. Wyciągnęliśmy wniosek, że musimy bardziej samodzielnie pobierać decyzje w Kraju. Stosunek nasz do Instrukcji Rządu i Naczelnego Wodza dla Kraju¹⁰ z października 1943 roku wyraża depeza z listopada 1943 roku, otrzymana w Londynie na początku stycznia 1944 roku. Depesza ta mówiła, że zmieniamy instrukcję i będziemy się ujawniać wobec wkraczających Rosjan. Ta nasza zmiana została zaakceptowana przez Londyn w lutym w poprawce do instrukcji październikowej. W 1943 roku, gdy Sowiety zerwały stosunki dyplomatyczne, czuliśmy, że na kraj przesunęła się odpowiedzialność za dalsze losy Polski, ale musieliśmy działać w porozumieniu z naszymi władzami w Londynie.

J.C.: — *Kiedy Pan Generał zaczął osobiście rozpatrywać możliwość walki o Warszawę?*

T.P.: — W połowie lipca zaczęła powstawać myśl walki o Warszawę, a decyzja zapadła 21-22 lipca, po zamachu na Hitlera 20 lipca. Komenda Główna podjęła tę decyzję. Od 22 lipca Dowódca AK szedł na omawianie tej sprawy z Delegatem Rządu. Dowódca AK postanowił przedstawić konieczność tej sprawy Delegatowi Rządu. 25 lipca decyzja była już uzgodniona z Delegatem Rządu, który również był wicepremierem. Potem chodziło już tylko o termin rozpoczęcia walki, ale i ten rozkaz został wydany przy Delegacie Rządu.

J.C.: — *Kto był głównym zwolennikiem walki o Warszawę?*

T.P.: — Uchylam się od odpowiedzi na to pytanie. Dowódca AK powziął decyzję i on ponosi odpowiedzialność, a ja go w tym popierałem.

10. O szczegóły w tej sprawie patrz: J. Ciechanowski, *op.cit.*, str. 247 i dalsze.

J.C.: — *Jakiego zdania był Okulicki?*

T.P.: — Stał na stanowisku walki — i w rozmowie we trzech referował to¹¹.

J.C.: — *Czym to motywował?*

T.P.: — Wolę mówić o moich motywach. Okulicki używał argumentów patriotycznych, niepodległościowych, żołnierskich, chciał uczynić jasnym stanowisko Polski.

J.C.: — *Jaki wpływ na decyzję wstępną Dowódcy AK miała sytuacja na froncie?*

T.P.: — Zasadniczy wpływ wojskowy. Od sytuacji na froncie uzależniony był moment rozpoczęcia walki i zdeterminowanie elementów taktycznych.

J.C.: — *Jaki wpływ na decyzję podjęcia walki o Warszawę miał zamach na Hitlera 20 lipca 1944 roku?*

T.P.: — Poważny. Wykazał, że u góry aparat kierowniczy wrze, a w sercu wojska jest rozkład, że pozycja Hitlera jest z powodu rozwoju wypadków załamana. Nie wykluczaliśmy, że zamach będzie miał kolosalne skutki — nawet załamanie się Niemiec. Dlatego zarządziliśmy czujność do powstania powszechnego, bo były rachuby na możliwość rychłego załamania się Niemiec.

J.C.: — *Jaki wpływ na decyzję Dowódcy AK podjęcia walki o Warszawę miało aresztowanie płk. „Wilka”¹² i internowanie wileńskich oddziałów AK?*

T.P.: — Potwierdziło wrogi stosunek Rosji do walki naszego rządu i do Armii Krajowej i wykazało bezwzględnie oszukańczy stosunek Sowietów do nas. Ale miało i drugi wydźwięk — to było na terenie, który sowieciarze uważali prawnie za swój. Przypuszczano, że inaczej mogą się zachować za linią Curzona. Nie wykluczaliśmy tego.

11. O szczegóły w tej sprawie patrz: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 340 i dalsze.

12. Płk Aleksander Krzyżanowski („Wilk”) — komendant Okręgu Wileńskiego AK. W sprawie internowania płk. Wilka patrz: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 321 i dalsze.

J.C.: — *Czy wypadki w Wilnie pobudzały do podjęcia decyzji walki o Warszawę?*

T.P.: — One nie były przeprowadzone w skali dostatecznej — nie miały oddźwięku w świecie. Ale nie należy łączyć tych walk z walką o Warszawę. Walka o Wilno już była zmianą planu „Burza”.

J.C.: — *A jaki był wydźwięk wypadków wileńskich w świecie?*

T.P.: — Gdyby było wiadomo w świecie, że te walki AK były wyrazem polskiego stanowiska — aktywności wojska polskiego! Tymczasem pisano, że oddziały sowieckie zajęły Wilno i że partyzantka litewska wzięła w tym udział.

J.C.: — *Jaki wpływ miało utworzenie PKWN na decyzję podjęcia walki?*

T.P.: — Można to wyrazić jednym słowem: podniecający.

J.C.: — *Czy jako jeszcze jeden argument, który przemawiał za walką?*

T.P.: — Tak, za naszą walką.

J.C.: — *Czy wyjazd Mikołajczyka do Moskwy podniecał Dowództwo AK do podjęcia walki?*

T.P.: — To jest kwestia dat — czy 21 i 22 lipca wiedzieliśmy o tym. Trzeba sprawdzić. W tym czasie otrzymywaliśmy depe-
sze z Londynu w 6 do 12 godzin po ich nadaniu. Dnia 27 lipca dostaliśmy depe-
szę, że rząd nas upoważnia do podjęcia powstania powszechnego.

J.C.: — *Ale 25 lipca Dowódca AK depekuje do Londynu: „Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę”.*

T.P.: — Depeszą z 26 lipca, którą otrzymaliśmy 27 lipca, rząd odpowiada na naszą depe-
szę z 21 lipca¹³.

J.C.: — *Czy Dowództwo AK rozumiało powstanie w Warszawie jako powstanie powszechne?*

13. O szczegółach w tej sprawie patrz: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 347.

T.P.: — Walka o Warszawę miała się odbyć w ramach „Burzy” — a poza tym był stan czujności do powstania powszechnego, co rząd potwierdził, chociaż Mikołajczyk trochę przekreślił uchwałę rządu. Tymczasem Naczelny Wódz odsunął się na bok — na boczny kierunek operacyjny.

J.C.: — *Jaki wpływ na podjęcie walki o Warszawę miały apele sowieckie?*

T.P.: — Nie miały wpływu na decyzję podjęcia walki, ale miały wpływ na nasze przekonanie, że Moskale wejdą do Warszawy i że nasze wystąpienie o Warszawę będzie się zbiegało z ich interesami.

J.C.: — *A jaki wpływ na decyzję miało zarządzenie niemieckie z 27 lipca stawienia się 100.000 ludzi do robót fortyfikacyjnych?*

T.P.: — Miało wpływ. Spodziewaliśmy się, że mogą przyjść dalsze zarządzenia ostrzejsze i wywołanie na siłę.

J.C.: — *A czy miało wpływ na termin wybuchu walki?*

T.P.: — Nie. Miało wpływ na samodzielne zarządzenie przez „Montera”¹⁴ alarmu dla jego oddziałów.

J.C.: — *Pobóg-Malinowski pisze, że ma list „Montera”, który mówi, że zarządził alarm za wiedzą gen. Bora-Komorowskiego.*

T.P.: — Niech Pan pyta o to „Bora”. „Bór” potem alarm odwołał. Ja nic o tym nie wiedziałem.

J.C.: — *Czy nastroje miasta miały wpływ na decyzję?*

T.P.: — Tak. Ludziom się wydawało, że Niemcy się z Warszawy wycofują. Ludzie byli przygotowani do ostatecznego wystąpienia. Ocenialiśmy, że Warszawa jest żądna walki w końcowym momencie załamania się Niemców w Warszawie.

J.C.: — *Czy Dowództwo AK liczyło się z możliwością wywołania powstania przez komunistów?*

14. Płk dypl. Antoni Chruściel („Monter”) — komendant Warszawskiego Okręgu AK.

T.P.: — Nie. Ja tego na warsztacie nie miałem. Rozumowałem, że ta słabizna dojdzie do głosu w Warszawie tylko w wypadku, gdybyśmy my nie zaczęli walki. Gdyby oni podjęli walkę, a nie my, zasililiby ich wystąpienia nasi ludzie.

J.C.: — *Co Dowództwo AK wiedziało o siłach niemieckich w rejonie Warszawy i w samej stolicy?*

T.P.: — To, co podaliśmy w trzecim tomie¹⁵. 73 dywizja na przyczółku wschodnim już naruszona. Dowódca dywizji dostał się do rosyjskiej niewoli. Wiedzieliśmy, że przyływały do Warszawy jednostki dywizji „Viking” i Hermann Göring — to były kawałki tych dywizji. Trzy-cztery niepełne dywizje z 2-ej armii¹⁶. Niepełne dywizje pancerne i piechoty¹⁷.

J.C.: — *Co Dowództwo AK wiedziało o siłach sowieckich idących na Warszawę?*

T.P.: — Sądzieliśmy, że były to najlepsze siły sowieckie, których zadaniem było zajęcie Warszawy. Lewe skrzydło sowieckie szło na Warszawę, a prawe też zamierzało to zrobić. Zajęcie Warszawy przez siły sowieckie było kwestią najbliższych dni. Uważałem to za pewnik, bo leżało to w politycznym i wojskowym interesie Sowietów. Nasza akcja była polską akcją zsynchronizowaną z ogólną akcją sowiecką. Tymczasem toczące się niemiecko-sowieckie walki pancerne ustały.

J.C.: — *Jakie warunki operacyjne miały towarzyszyć decyzji taktycznej?*

T.P.: — Atak sowiecki na przyczółek warszawski — podejście pod Warszawę. Dwoma uderzeniami: pierwszym frontowym na przyczółek, drugim oskrzydającym spod Magnuszewa¹⁸. Rozkazy sowieckie przed wybuchem powstania nakazywały zajęcie Warszawy — Rokossowski dostał rozkaz zajęcia Pragi na początku sierpnia — podają to źródła sowieckie. Dlaczego uważaliśmy, że

15. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, tom III, *Armia Krajowa*, Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, Londyn 1950, str. 694 i dalsze.

16. Powinno być chyba 9-tej armii.

17. W rzeczywistości siły niemieckie w rejonie Warszawy były o wiele silniejsze. O szczegóły patrz: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 366 i dalsze.

18. Patrz też: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 360 i dalsze.

w politycznym interesie Moskwy było zajęcie Warszawy? Bo była ona pierwszą stolicą europejską, której zajęcie zapowiadali. To był moment propagandowy — wybawiciele Polski! — atut i podbicie serc polskich patriotyczną defiladą.

J.C.: — *Czy brak walki ze strony polskiej uważano za samobójstwo polityczne?*

T.P.: — Tak. Wstyd na wieki. Doprowadziłoby to jedynie do usadowienia się PKWN w Warszawie, bez naszego w tym udziału! A my byśmy zdezerterowali z pola walki. Tu grały imponderabilia.

J.C.: — *To znaczy, że Dowództwo AK i Delegatura Rządu nie chciały oddawać pola bez walki?*

T.P.: — Nasz stosunek do Sowietów oni sami spowodowali.

J.C.: — *Czy Dowództwo AK planowało jakieś akcje antysowieckie, gdyby zaczęły się aresztowania?*

T.P.: — Przewidywaliśmy obronę zbrojną: że nie damy się rozbroić bez sprzeciwu zbrojnego.

J.C.: — *Czy Powstanie Warszawskie miało być próbą zmuszenia Stalina do określenia jego stosunku do rządu w Londynie, Delegatury Rządu i AK?*

T.P.: — Pytanie trochę demagogiczne. Ale to był moment, który miał być próbą, jakie jest ostateczne stanowisko Stalina do polskich tendencji niepodległościowych i elementów niepodległościowych w Kraju i za granicą.

J.C.: — *A jeśli chodzi o Zachód?*

T.P.: — Tego charakteru nie miał. Myśmy widzieli na naszej drodze kierownictwo sowieckie. Zachód był daleko. Zachód to był odcinek rządu polskiego.

J.C.: — *Czy powstanie było próbą ułatwienia Mikołajczykowi prowadzenia rozmów dyplomatycznych na Zachodzie i Wschodzie?*

T.P.: — Całość „Burzy” na Wschodzie i w Środkowej Polsce była zgodna ze stanowiskiem rządu. Poza tym — jeśli Sowietci mają nas tępić, to lepiej, by to robili otwarcie przy naszej jawnej postawie, niż żeby wylapywali nas cichcem i wydusili cicho. Uważaliśmy, że gdy Rosja będzie wkraczać na teren Polski, to nie mogą natrafić tylko na swoich sługusów i agentów, a poza tym na bierną masę. Ale na czynnik prawowity, niepodległościowy — na zorganizowany wyraz polskich dążeń do niepodległości. To samo też miało mieć miejsce w Warszawie.

J.C.: — *To znaczy, że — jak podaje tom III Armii Krajowej, str. 580¹⁹ — „dając Sowietom minimalną pomoc wojskową, stwarzamy im jednak trudność polityczną”?*

T.P.: — Stwarzaliśmy trudności polityczne, bo wszyscy wiedzieliśmy, że Sowietci chcą nas przekreślić. Czynniki polskie chciały podkreślać swoją wolę do bytu niepodległego. Były nadzieje, że sowieciarze dotrzymają zasad Karty Atlantyckiej i swoich zobowiązań. Jeśli Sowietci nas uznają — dobrze. Jeśli nie, będą nas aresztować — ale na oczach wszystkich, a nie cichcem. W stosunku do historii to jest element trwały.

J.C.: — *Czy liczone w takim wypadku, że Zachód będzie protestował?*

T.P.: — Tak. Bo na co innego mogliśmy liczyć? Czy w tym przejawiała się nasza wiara w nasze sojusze? Muszę potwierdzić, że tak. Wierzyliśmy, że one mają jeszcze jakąś wagę i siłę.

J.C.: — *Jest depesza Dowódcy AK do Naczelnego Wodza mówiąca, że „komuna planuje ogłoszenie rządu w Kraju natychmiast po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski centralnej”²⁰. Czy powstanie można uważać za próbę uniemożliwienia tego Sowietom?*

T.P.: — Mieliliśmy tendencję, by być na miejscu i reprezentować nasze cele wojenne i zasady ideologiczne do końca, a nie wycofywać się z pola walki pod zagrożeniem nieprzyjaciela. Pamiętajmy, że AK była organizacją wojskową — żołnierską. Przy zagrożeniu nie opuszcza się pozycji ważnych, w naszej psychice

19. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, tom III, *op.cit.*

20. *Armia Krajowa w dokumentach, 1939-1945*, tom III, Londyn 1976, Nr 639, str. 483.

było zakodowane, że Kraj musi być przez Sowiety zdobyty, a nie zajęty.

J.C.: — Mam wrażenie, że od listopada 1943 roku Dowództwo AK stało na stanowisku, że tylko zdecydowane działanie, akcja może dać coś pozytywnego. A brak akcji był uważany za samobójstwo ideowe i polityczne.

T.P.: — Chodziło nam o stanowisko historycznie czyste. Jeżeli nie możemy zachować stanu posiadania — to musimy zachować dobre imię. Chcieliśmy obronić wartości i elementy moralne, jeśli nie można bronić elementów materialnych.

J.C.: — Pan Generał kilka razy powiedział, że przy podejmowaniu decyzji walki o Warszawę względy ideologiczne przeważały?

T.P.: — Grały ogromną rolę! To były główne dążenia, które również były celami politycznymi — bardzo konkretnymi. Ideologia i działanie polityczne. Churchill powiedział, że gdyby doszło do inwazji niemieckiej, to Anglicy walczyliby choćby bez broni o każdy kamień — to były sformułowania ideologiczne narodu brytyjskiego.

J.C.: — Czy „Burza” i Powstanie Warszawskie były działalnością polityczną skierowaną przeciwko Rosji?

T.P.: — Nie. Rosja to tak ustawiła i taką tezę lansuje. Błędem jest przesunięcie punktu ciężkości — że myśmy się jakoby ustawiali do walki z Rosją. Oni byli agresywni, a nie my. Oni mącą w głowach. Nie można iść za ich tezą. Ten moment nie istniał na Zachodzie przy wyzwaniu Paryża.

J.C.: — Cała korespondencja Grot-Rowecki — Sikorski i Bór-Komorowski — Sosnkowski mówi, że jeśli Rosja będzie agresywna, to AK będzie się bronić²¹.

T.P.: — Tak — to zależy od agresora. Rosjanie uważają teorię dwóch wrogów za głupstwo. Teoria dwóch wrogów w Polsce to nie nasz wymysł, to nasza historia i nasze do tego się ustosunkowanie. Komuniści nawet okres 1939-1941 uważają za zbawienny dla Polski. Oni mają takie stanowisko: ponieważ Polacy

21. O szczegółach patrz: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 216 i dalsze.

nie zgodzili się, aby związać się z Rosją przeciw Niemcom — to Rosjanie musieli się zabezpieczyć i odsunąć bazę wypadową Niemców.

J.C.: — *Czy walka AK z Niemcami miała być próbą obrony niepodległości zagrożonej przez Stalina?*

T.P.: — Nie.

J.C.: — *To znaczy, że żeby stawić opór Rosji, trzeba się bić z Niemcami. Inaczej mówiąc — czy AK walcząc zbrojnie z Niemcami, politycznie broniła niepodległości zagrożonej przez Moskwę?*

T.P.: — Tak. Z Niemcami jesteśmy od początku w wojnie w Kraju i za granicą. Nasi sprzymierzeńcy również walczą z Niemcami. Z Niemcami walczymy do końca. To jest zagadnienie proste. Zagadnienie sowieckie jest bardzo skomplikowane. W stosunku do Sowietów zagrażających naszemu bytowi niepodległemu — mamy postawę, że musimy tego bytu bronić. Podejmując walkę z Niemcami, Armia Krajowa broniła niepodległości zagrożonej przez Rosjan. Gdyby Moskale byli naszymi sprzymierzeńcami, to nie byłoby tak wielkiego powstania. Gdyby Rosjanie wkraczali w innej formie — to nie zrobilibyśmy takiej akcji jak Powstanie Warszawskie w takich warunkach.

J.C.: — *To znaczy, że czym większa nieprzyjazność Rosji, tym większe ofiary dla zadokumentowania postawy AK? Czy nie wystarczyło sięgnąć do historii rozbiorów i powstań? Gen. Sikorski w 1942 roku chciał naszej bojowej postawy na granicy z 1939 roku — zajęcia Wilna, Lwowa, jeśli Sowietci będą wkraczać do Polski bez uzgodnienia z rządem polskim. Tu chyba nie chodziło o antykomunizm? Chyba chodziło o walkę z Rosją, zaborczą bez względu na jej charakter?*

T.P.: — Tak. Przecistawialiśmy się podbojowym tendencjom Rosji.

J.C.: — *Czy Pan General zgodziłby się, że ustrój przyszłej Polski nie był wyraźnie zarysowany?*

T.P.: — Owszem. Dużo było pracy i sporo wody. Niemniej zamierzano odejść od konstytucji kwietniowej, wprowadzić szereg nowych ustaw celem wprowadzenia ustroju demokratycznego

i szerokich reform społecznych. Myślano też o utworzeniu silnego rządu na drodze ustrojowej, opartego na silnych partiach politycznych.

J.C.: — Czy *Powstanie Warszawskie* było próbą nawiązania do naszych tradycji powstańczych?

T.P.: — To nie było planowane. Pewne fazy się powtarzają i tradycje powstańcze tkwiły w narodzie — to uławiło nam przeprowadzenie naszych planów.

J.C.: — Czy w czasie przedpowstaniowych odpraw KG AK zarzucano gen. „Borowi” kunktatorstwo à la Skrzynecki?

T.P.: — Tak. Rzepecki²² stawiał ten zarzut. Mówił do „Bora”: „Zaczynajcie, bo inaczej będziecie Skrzyneckim”.

J.C.: — Czy powstanie miało być „plebiscytem” na rzecz rządu i władz podziemnych?

T.P.: — Nie potrzebowaliśmy tego.

J.C.: — Czy gen. Zygmunta Berlinga można traktować jako dezertera?

T.P.: — Jeśli Berling cichcem opuścił Armię Polską w Rosji — to jest dezerterskim. Jeśli jawnie — i pełnił służbę w Armii Polskiej — ale złożył deklarację, że zostaje, to nie jest dezerterskim.

J.C.: — Dlaczego walkę zbrojną w AK łączono ze sprawą przeprowadzenia reform społecznych?

T.P.: — Odbывał się marsz ku radykalizmowi społecznemu i chodziło o ujęcie tego. Ponadto zaprzeczanie tendencjom postępowym szłoby na rękę propagandzie komunistycznej, ale tego nie należy upraszczać. Depesza gen. „Bora”, że jeśli nie ogłosimy reform społecznych, to masy pójda do PPR — to jest skrót²³.

J.C.: — Czy nastroje i nastawienie społeczeństwa miały wpływ na decyzję podjęcia walki o Warszawę?

22. Patrz również: „Notatka z rozmowy z płk. dypl. Janem Rzepeckim”, *Zeszyty Historyczne* Nr 27/1974.

23. O szczegóły patrz: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 347-349.

T.P.: — Nie. Raczej decydujący był przebieg i rozwój sytuacji na froncie w lipcu 1944 roku.

J.C.: — *Jak Komenda Główna AK oceniała własne możliwości przed podjęciem walki o Warszawę?*

T.P.: — Sądziłem, że walka nie będzie długo trwała, gdyż uważałem, że w interesie sowieckim było dość szybkie zajęcie Warszawy. Z rozwoju sytuacji na froncie wynikało, że Rosjanie będą się starali zająć Warszawę atakiem frontalnym od wschodu i z lewego skrzydła. Uważałem to za realną podstawę naszej decyzji i rozumowałem, że walka nie będzie trwała długo. Przypuszczałem, że pierwszym szturmem zajmiemy większą część miasta wraz z nie bardzo mocno obsadzonymi obiektami niemieckimi i że walka przejdzie następnie w walkę o mocniejsze obiekty. Nasze siły oceniałem jako liczne, mocne duchem, działające w terenie nam sprzyjającym zarówno ze względu na nastroje ludności jak i topografię miasta, tylko źle uzbrojone.

J.C.: — *Czy Pan Generał przewidywał, że walka będzie ciężka?*

T.P.: — Tak, przypuszczałem, że w czasie walk będziemy mieli momenty łatwe i trudne, ale że będzie to walka krótka, kilka dni — najwyżej jeden tydzień.

J.C.: — *Jak Pan Generał oceniał siły niemieckie pod Warszawą?*

T.P.: — Tak, jak w III tomie²⁴.

J.C.: — *Czy Komenda Główna AK przypuszczała, że Armia Czerwona zajmie Warszawę pierwszym uderzeniem z marszu?*

T.P.: — Niekoniecznie, ale i tak w parę dni Warszawa mogła być zajęta natarciem frontalnym — lub z obejścia z przyczółka pod Magnuszewem, położonym o 50 km od Warszawy.

J.C.: — *Czy Pan Generał spodziewał się walki o charakterze policyjnym — tak jak w 1918 roku — czy też walki twardej?*

T.P.: — Sądziłem, że będzie walka. To sowieciarze teraz twierdzą, że KG AK myślała, że będzie tak jak w 1918 roku.

24. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej, op.cit.*, str. 699 i dalsze.

J.C.: — *Czy Dowództwo AK przypuszczało, że Niemcy będą się bronić w Warszawie, czy też wycofają się pod pierwszym naporem Armii Czerwonej?*

T.P.: — Liczyłem się z tymi dwiema hipotezami. Wisła była naturalną barierą, przeszkodą dla Sowietów, a pomocą dla Niemców.

J.C.: — *Ku której hipotezie przychylił się Pan General?*

T.P.: — Nie powiem, bo nie wiem. Ale byłem przekonany, że Rosjanie zajmą Warszawę ze względów politycznych i wojskowych.

J.C.: — *Co byliby, gdyby Rosjanie zajęli Warszawę i zaczęli nas rozbrajać?*

T.P.: — Była myśl dość przemyślana — ale nie plan — która przybierała formę planu. Sądziliśmy, że w takim wypadku pewna część naszych sił stawiałaby opór.

J.C.: — *Jak Pan General oceniał brak broni i amunicji? Czy można było tym wyposażać oddziały i walczyć?*

T.P.: — Fakty odpowiadają na to pytanie²⁵.

J.C.: — *Czy Dowództwo AK liczyło się ze zdobyciem broni i amunicji w pierwszym natarciu?*

T.P.: — Tak.

J.C.: — *A ze zrzutów — już w czasie walki?*

T.P.: — Nie. Głównym źródłem broni był nieprzyjaciel. Byliśmy narodem rozbrojonym.

J.C.: — *Czy liczone się z przybyciem do Warszawy Brygady Spadochronowej?*

T.P.: — Chciano, aby przybyła, ale wielkich nadziei na jej przybycie nie było.

25. Patrz również: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 426 i dalsze.

J.C.: — Czy ewentualne przybycie Brygady Spadochronowej do Warszawy było operacyjnie i taktycznie rozpracowane?

T.P.: — Nie.

J.C.: — Czy liczone się ze wsparciem lotniczym na rzecz powstania?

T.P.: — Tak. Był to okres zrzutowy z Włoch południowych. Ze względu na krótkość nocy loty te dochodziły do Pilicy. Wierzyliśmy, że walka w Warszawie spowoduje wydłużenie tych lotów, zresztą i noce stawały się coraz dłuższe.

J.C.: — W pierwszym okresie były również zadania bombardowania obiektów niemieckich?

T.P.: — Nie było takiego zapewnienia. Walkę uważaliśmy za tak ważną, że żądaliśmy wszelkiego wsparcia, które było kiedykolwiek przewidywane dla działań w kraju.

J.C.: — Czy Pan General liczył się z możliwością, że walka o Warszawę skończy się niepowodzeniem?

T.P.: — Chyba się liczyłem, bo 31 lipca, kiedy Jankowski²⁶ zapytał, co będzie, gdy Moskale nie wkroczą do Warszawy, odpowiedziałem: no to wtedy Niemcy nas zgnotą i to szybko.

J.C.: — Jaki wpływ na wszczęcie walki 1 sierpnia miał meldunek „Montera”?

T.P.: — Bardzo duży. „Monter” miał duży wpływ na dwa bardzo ważne momenty: zmianę godziny „W” z godzin nocnych na godzinę 17-tą oraz podjęcie walki 1 sierpnia. „Monter” meldował w swym ostatnim meldunku, że przyczółek niemiecki [pod Pragę — JC] jest rozbity oraz że Rosjanie kładą ogień na krawężniach Pragi i że czołgi sowieckie są pod Pragę.

J.C.: — Czy „Monter” sam to widział?

T.P.: — Nie. Przywiózł te wiadomości i był przekonany, że

26. Jan Stanisław Jankowski — Delegat Rządu na Kraj.

trzeba zaczynać, bo Moskale mogą być w Warszawie za kilkanaście godzin.

J.C.: — *Czy ten meldunek „Montera” był przesadzony? Czy odpowiadał prawdzie?*

T.P.: — Nie był przesadzony, bo teraz źródła sowieckie to podają: że 31 lipca dowódca 73 niemieckiej dywizji piechoty obsadzającej przyczółek dostał się wraz ze sztabem do niewoli, oraz że Rosjanie byli na bliskich podejściach do Pragi. „Monter” nie wysłał tego z palca.

J.C.: — *Ale później przyszedł płk Iranek-Osmecki²⁷ i meldował inaczej.*

T.P.: — Wcześniejszy meldunek Iranka był o armii sowieckiej. Trzeba Iranka zapytać, z czym przyszedł 31 sierpnia po decyzji i po wyjściu „Montera”.

J.C.: — *Płk Iranek-Osmecki meldował, że przyczółek niemiecki się trzyma i że pojawiła się dywizja „Hermann Göring”.*

T.P.: — Meldunek „Montera” taktycznie był bliższy i ważniejszy — on był dowódcą terenowym odcinka bojowego i miał dobre rozpoznanie bojowe. Szef Oddziału Drugiego zbierał wiadomości z szerszego terenu²⁸.

J.C.: — *Kiedy płk Bokszczanin widział się z Panem Generałem po raz ostatni?*

T.P.: — Nie pamiętam. Trzeba napisać do Bokszczanina²⁹.

J.C.: — *A jak sprawa się przedstawiała z daniem 12 godzin*

27. Płk dypl. Antoni Iranek-Osmecki („Heller”) — szef Oddziału Drugiego KG AK.

28. O szczegóły w tej sprawie patrz: Jan Ciechanowski, *op.cit.*, str. 392-394.

29. O szczegóły w tej sprawie patrz: Jan Ciechanowski, „Notatka z rozmowy z płk. dypl. Januszem Bokszczaninem”, *Zeszyty Historyczne* Nr 27/1974 oraz Jan Ciechanowski, „Płk Janusz Bokszczanin o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim”, *Zeszyty Historyczne* Nr 86/1988.

czasu Delegatowi Rządu na zorganizowanie się administracji cywilnej w uwolnionym uprzednio mieście?

T.P.: — Gen. „Bór” rozmawiał z Delegatem Rządu — jego pytajcie.

J.C.: — *Dziękuję Panu Generalowi za rozmowę.*

Rozmawiał Jan CIECHANOWSKI

CI, CO ODESZLI

Andrzej ZAHORSKI

TADEUSZ ŁEPKOWSKI (21 I 1927 — 16 XII 1989)

W pełni sił twórczych zmarł w Warszawie Tadeusz Łepkowski, historyk i działacz polityczny. Ojciec jego, Jan, uczestnik walk o niepodległość, zasłużony w wojnie 1920 r., był w latach 1937-1939 wicewojewodą poznańskim. Na wiadomość o wtargnięciu do Polski Armii Czerwonej 17 IX 1939 r. rodzina Łepkowskich opuściła kraj i po krótkim pobycie w Rumunii udała się do Francji, gdzie Tadeusz Łepkowski uczęszczał do polskiego liceum w miejscowości Villard de Lans i po uzyskaniu matury, w latach 1945-1946, rozpoczął studia historyczne w Uniwersytecie w Grenoble. Po powrocie do Polski w sierpniu 1946 r. kontynuował studia na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie uzyskał magisterium w 1949 r., doktorat zaś w 1955 r. W 1953 r. podjął pracę w Instytucie Historii PAN i pracował tu do końca życia, osiągając kolejne tytuły naukowe. Profesorem zwyczajnym został w 1978 r.

Po przyjeździe do Polski odnosił się do sytuacji politycznej z rezerwą, która z biegiem lat malała. W wyniku własnych przemyśleń i argumentów kolegów, w kręgu których się znalazł, doszedł do wniosku, że komunizm jest ideą twórczą i że Polska rządzona przez komunistów uzyskała wielką szansę rozwoju. W wyniku tego rozumowania wstąpił w 1949 r. do ZMP i PZPR. Bardzo jeszcze młody, pełen entuzjizmu sądził, że marksizm pozwala zrozumieć przeszłość i określić bezzębnie przyszłość ludzkości.

Przy tym nastawieniu wielką tragedią była dlań decyzja władz PZPR o usunięciu go z partii w 1951 r. Według rozumowania bezdusznych ludzi aparatu partyjnego było rzeczą oczywistą, że pozby-

wają się z szeregów partii syna „dygnitarza sanacyjnego”, który nie odciął się wystarczająco wyraźnie i pokazowo od swych rodzinnych korzeni. Nie był dyspozycyjny, co traktowano jako wielką wadę. Usunięcie z partii było dla Tadeusza Łepkowskiego wielką tragedią osobistą, czuł się bowiem nadal związany z ideą komunistyczną i decyzję tę potraktował jako bolesną pomyłkę dotyczącą go osobiście, nie zaś jako przejaw rozkładu systemu rządzenia. Przy tym nastawieniu jest rzeczą zrozumiałą, że po dojściu Gomułki do władzy, gdy zaproponowano mu ponowne wstąpienie do partii, zgodził się i przez następne 12 lat był jej członkiem (1956-1968). Jednakże euforia lat młodzieńczych minęła bezpowrotnie, pojawiły się wątpliwości i wahania. Czas jakiś ideowym przywódcą komunizmu wydawał mu się Fidel Castro, ale i ten ideał runął. Druzgocący cios zaś przyniosły wydarzenia 1968 r., kiedy posłużono się hasłami antysemitycznymi, wzmocniono aparat represyjny i rozpętano historię nacjonalistyczną. Kiedy wojska Układu Warszawskiego wtargnęły do Czechosłowacji, uznał, że jest to koniec jego dotychczasowego wyznania wiary i złożył legitymację partyjną.

Rozbrat z partią pogłębiał się w czasie rządów Gierka. Łepkowski z oburzeniem obserwował korupcję i dążenie do bogacenia się członków kierownictwa partii i rządu. Już w 1980 r. związał się z „Solidarnością” i pracował w tym ruchu polityczno-związkowym z wielkim zaangażowaniem. Stan wojenny nie przerwał tej działalności, tylko że przybrała ona wówczas charakter zakonspirowany.

Tadeusz Łepkowski jeździł z odczytami do wielu miast, wygłaszał je przy licznych audytorium. Po legalizacji „Solidarności” nadal intensywnie uczestniczył w jej pracach. Jako członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego walczył z naciskami władz partyjnych zmierzających do ograniczenia działalności Towarzystwa, przede wszystkim zaś z ich zamiarami niedopuszczenia do Zjazdu Powszechnego Historyków Polskich w 1984 r., który mimo szynkan, grózb i prób zastraszenia odbył się w Poznaniu w planowanym terminie, przy wielkiej frekwencji, z udziałem historyków — czołowych działaczy opozycji. Poruszono wówczas w referatach i dyskusji tematykę zabronioną przez cenzurę¹.

Bibliografia prac Tadeusza Łepkowskiego drukowanych do 1987 r., nie zawierająca pozycji kwestionowanych przez cenzurę, wynosiła 359 pozycji². Ważnym wątkiem jego zainteresowań

1. Zjazd ten przemilczany lub tendencyjnie, z małymi wyjątkami, relacjonowany w prasie krajowej (zob. np. Marian Łabuz, *Fakty z 19 września 1985*, artykuł „Jak w Oliwie”), został obiektywnie omówiony w *Zeszytach Historycznych* nr 72, Paryż 1985, w artykułach: Ze ta (Maria Podhorska) „Parę słów o Powszechnym Zjeździe Historyków” oraz Tokayuki Ito, „Zapis z XIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich”.

2. Bibliografię tę zawiera książka wydana ku jego czci, ofiarowana mu z okazji 60-lecia, pt. „Narody. Jak powstawały i jak wybijały się na niepodległość”, Warszawa 1989.

naukowych były dzieje polityczne i społeczno-gospodarcze Polski pierwszej połowy XIX w., ze szczególnym uwzględnieniem Królestwa Polskiego (1815-1830) oraz powstania listopadowego. Przedstawiając zmagania polsko-rosyjskie lat 1830-1831 wskazał, że z powstania wyrosła Wielka Emigracja, która Polakom ukazała „potęgę niepodległego słowa i nieskrępowanej myśli”.

Przez blisko trzydzieści ostatnich lat głównym zadaniem badawczym Tadeusza Łepkowskiego była historia nowożytna Ameryki Łacińskiej. Podjął wiele wątków współczesnych i politycznych tego kontynentu, opisał dzieje Antyli (Warszawa 1964), Meksyku (Wrocław 1986). Zainicjował i jako redaktor naczelny i współautor doprowadził do wydania trzech obszernych tomów: „Dzieje Ameryki Łacińskiej od schyłku epoki kolonialnej do czasów współczesnych”, Warszawa 1977-1989. Na specjalną uwagę zasługuje jego praca, ważna w literaturze światowej, pt. „Haiti. Początki państwa i narodu”, Warszawa 1964, gdzie wskazał, że jest to fenomen w dziejach, bo wyrosło tu niezależne państwo w wyniku buntu niewolników. Przybliżył czytelnikowi polskiemu wielu bohaterów walk o wolność Ameryki Łacińskiej, pisząc ich biografie (między innymi Benito Juarez, 1970 i Simon Bolívara, 1976).

Tadeusz Łepkowski zapoczątkował w polskiej historiografii badania nad dziejami Ameryki Łacińskiej. Stworzył własną szkołę złożoną z historyków młodego pokolenia, którzy tę problematykę podjęli i kontynuują badania.

W pracach Tadeusza Łepkowskiego przewija się problem, który go stale pasjonował, a mianowicie badania procesów narodotwórczych, i to zarówno w odniesieniu do własnego narodu, jak i w stosunku do narodów Ameryki Łacińskiej. Jedną z najciekawszych jego książek, „Polska — narodziny nowoczesnego narodu 1764-1870” (Warszawa 1967) przynosi głęboką analizę struktur społeczno-gospodarczych i politycznych w procesie wyłaniania się narodotwórczych treści w naszym kraju. W zestawieniu z innymi państwami podkreślił Łepkowski ważną rolę szlachty w tej dziedzinie oraz oddziałujący na psychikę społeczną problem walki o niepodległość.

Tadeusz Łepkowski całym sercem uczestniczył w bieżącym życiu politycznym kraju. Z bystrej obserwacji i troski o przyszłość Polski, z głębokiej refleksji nad historią ojczyzny powstały prace opublikowane w drugim obiegu oraz za granicą. Zwrócić uwagę na niektóre myśli zawarte w dwóch zbiorach jego artykułów i esejów: „Rozważania o losach polskich” (Londyn 1987) oraz „Uparte trwanie polskości. Nostalgie, trwanie, nadzieje, wartości” (Londyn 1989), gdzie analizując przyczyny wydarzeń 1980 r. uznał, że trzeba się ich dopatrywać w narastającej sprzeczności między służalczą wobec ZSSR postawą aparatu partyjnego a znaczną większością społeczeństwa, która żądała niepodległości. Uważał, że władze godząc się na sowiecki protektorat mogą doprowadzić do tego, że za jakieś pięć-

dziesiąt lat będzie zbiorowisko ludzi źle mówiących po polsku, ale nie będzie narodu polskiego. Wzywał do walki o Niepodległą i zapowiadał, że mimo różnych ciężkich zmaganiń zakończyć się ona musi zwycięstwem.

Odszedł jeden z najwybitniejszych współczesnych historyków polskich.

Andrzej ZAHORSKI

Z.S. SIEMASZKO

KS. PRAŁAT STANISŁAW BĘŁCH

Ks. Bęłch urodził się w licznej rodzinie 19 stycznia 1904 r. we wsi Różanka koło Rzeszowa. Dwaj spośród jego braci (Józef i Pius) byli księżmi i dwie siostry zakonnicami. On sam został wyświęcony w diecezji przemyskiej w 1928 r. Przed wojną spełniał szereg funkcji, między innymi był kapelanem harcerek, a następnie kierował pracą Akcji Katolickiej, co skłoniło go do wycofania się na wschód przed wkraczającą armią niemiecką we wrześniu 1939 r.

Był zdecydowanym zwolennikiem poglądów Dmowskiego, ale nigdy nie należał do Stronnictwa Narodowego, czy też do Obozu Narodowo-Radykalnego.

Jeszcze przed wybuchem wojny doszedł do wniosku, że wychowanie młodzieży polskiej powinno być poważnie zmienione, że należy ograniczyć elementy emocjonalne, a wprowadzić więcej logiki, więcej rozumowego podejścia i osobistej odpowiedzialności za opinie i czyny. Te wnioski wynikały chyba w pierwszym rzędzie stąd, iż różne ośrodki wychowawcze zarówno przed wojną jak i w czasie wojny opierały głoszone zasady przede wszystkim na wierności takim czy innym poglądom oraz „wodzom”, którzy znają wszystkie sprawy i odpowiedzi na wszystkie pytania. Prawie nikt nie wyjaśniał młodzieży przedwojennej i wojennej, że trzeba obserwować, zbierać dane, rozważać, wyciągać wnioski, postępować zgodnie z tymi wnioskami i ponosić osobistą odpowiedzialność za swoje postępowanie. Takich metod wychowawczych nie stosowano. A powszechnie przyjęte zasady wierności wychowywały świetnych wykonawców, nic więc dziwnego, że młodzi Polacy świetnie walczyli i ginęli za sprawę, natomiast nie wychowywały świadomych ludzi i kierowników. Dlatego w polskim środowisku, zarówno w kraju jak i na emigracji, powstał po wojnie tak wielki marazm.

Wybuch wojny rzucił ks. Belcha najpierw do Francji, gdzie został kapłanem wojskowym, a potem przez Półwysep Pirenejski do W. Brytanii. Będąc krótki czas w Hiszpanii, spotkał tamtejszych księży, którzy tak jak on ubolewali nad metodami wychowawczymi w Hiszpanii. Powstała stąd pewna zażyłość.

Wkrótce po przybyciu do Szkocji ks. Belch został przeniesiony na długoterminowy urlop i przybył już w lipcu 1940 do Londynu, gdzie z miejsca zaangażował się w wydawanie tygodnika *Jestem Polakiem* oraz książek o charakterze religijnym. Miało to być przeciwagą liberalnych *Wiadomości Polskich*. Do spełnienia tej funkcji został ks. Belch delegowany przez bpa Gawlinę. Pierwszym redaktorem tygodnika *Jestem Polakiem* został młody działacz narodowy ze Lwowa, Jerzy Pańciewicz, ale wkrótce funkcję tę objął ks. Belch. Jednocześnie został opiekunem duchowym Polskiego Czerwonego Krzyża, gdzie jego obowiązkiem było wydawanie kalendarzyka PCK.

Zatarg o *Jestem Polakiem* rozpoczął się od tego, że w numerze 10 tego tygodnika, z początku października 1940, ukazał się artykuł krytykujący wystąpienie w prasie angielskiej Jerzego Szapiry, ówczesnego pracownika Min. Informacji i Dokumentacji¹. Na skutek tego zatargu gen. Sikorski zakazał 18 października 1940 rozprzestrzeniania *Jestem Polakiem* na terenie jednostek wojskowych w W. Brytanii. Jednocześnie ks. Belch został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska redaktora, ale w dalszym ciągu *Jestem Polakiem* wydawał. W tym czasie Stanisław Mackiewicz pisał, iż patriotyzm upadł tak nisko wśród Polaków w Londynie, że dopiero „jakiś wikary z Przemysła” (cytuje z pamięci) musi przypominać o obowiązkach wobec Ojczyzny.

Ostatecznie w kwietniu 1941 cenzura brytyjska, najprawdopodobniej na skutek interwencji władz polskich, ostatecznie uniemożliwiła dalsze wydawanie *Jestem Polakiem*.

W kilka miesięcy po zamknięciu *Jestem Polakiem* zawarty został układ Sikorski-Majski z 30 lipca 1941. Na skutek tego powstało wiele nowych spraw, między innymi zapotrzebowanie na modlitewniki i obrazki święte dla obywateli polskich w ZSSR. Zadanie to powierzono ks. Belchowi, który w dalszym ciągu prowadził akcję wydawniczą w ramach Katolickiego Funduszu Wydawniczego. Ks. Belch doszedł do wniosku, iż wysyłki dewocjonalii do ZSSR stwarzają możliwości szerzenia wiary wśród Rosjan, na co uzyskał zgodę polskich władz katolickich w Londynie. W wyniku tej inicjatywy ambasador Kot pisał 7 kwietnia 1942 do MSZ w Londynie co następuje.

Otrzymałem w wagonie przysłanym z Murmańska zawierającym towary awizowane pismem MSZ z 16 grudnia 1941 jedną skrzynię dewocjonalii znakowaną Poles Amb. pochodzącą z Czerwonego Krzyża. Przy rozpakowaniu skrzyni znaleziono m.in. obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej i

1. O innym wystąpieniu Szapiry w prasie angielskiej o rok wcześniej pisze ambasador Racyński w swych wspomnieniach (str. 50).

Ostrobramskiej z niedopuszczalnym na tutejsze stosunki napisem po rosyjsku i modlitwą za cierpiącą Rosję. Zarządziłem natychmiastowe spalenie tych obrazków.

Proszę zarządzić, by w przyszłości takich wysyłek nie organizowano, gdyż może to wywołać wysoce niepożądane skutki dla swobody nabożeństw. Nie można się tu bawić w propagandę religijną wśród Rosjan. (*Listy*, str. 299)

Możliwe, że część tych obrazków dotarła do rosyjskich odbiorców, gdyż Kot pisze, iż dalsze skrzynie zawierające te obrazki „znajdują się w różnych wagonach wysłanych do różnych miejscowości” (str. 300). Nie ma jednak śladów reakcji sowieckiej na rozprzestrzenianie tych obrazków wśród Rosjan.

W Londynie natomiast wybuchła z tego powodu awantura. Zwierzchnicy duchowni, którzy uprzednio poparli propozycje ks. Bełcha, teraz umyli ręce. (Ks. Bełch nie chciał mi powiedzieć, kim byli ci zwierzchnicy, ale nie mógł to być bp Gawlina, który wyjechał z Londynu już pod koniec stycznia 1942 w drodze do Sowietów).

Obok pracy wydawniczej rozpoczął ks. Bełch pracę duszpasterską w zachodnim Londynie. W tym czasie, pomimo że na studia otrzymywali odkomenderowania z wojska jedynie protegowani lub wyjątkowi szczęściarze, zebrała się w Londynie grupa studentów, dla których ks. Bełch wygłosił pierwsze rekolekcje przed Wielkanocą 1943. Jednocześnie, zgodnie ze swym zamiłowaniem do logicznego myślenia, założył przy Brompton Oratory w lutym 1943 Koło Tomistyczne, na którym wygłaszał tygodniowe wykłady i przygotowywał skrypty. Niektórzy twierdzili, iż podejście ks. Bełcha do tych zagadnień było nieco amatorskie, gdyż nie miał dostatecznego przygotowania. Nie jestem w stanie ocenić tych opinii.

Wreszcie, biorąc pod uwagę fakt, iż w owym czasie miały miejsce z polskiej strony ataki na Watykan z powodu jego rzekomej proniemieckiej postawy, ks. Bełch wydał latem 1943 swą książkę „Papiestwo i Polska”². W książce tej w dość niewybredny sposób wyraził się o polskiej służbie wywiadowczej, do czego mogła przyczynić się wigilijna wizyta brytyjskiego kontrwywiadu MI 5 w 1940 r., zaaranżowana przez polski kontrwywiad. Na skutek tej wypowiedzi znalazł się ks. Bełch przed obliczem o połowę od siebie drobniejszego gen. Kukiela, który swym dyszkantem krzyczał:

— Każę Księdza zamknąć!

O ile sobie przypominam, incydent ten zakończył się częściowym odwołaniem przez ks. Bełcha wypowiedzianych opinii.

W okresie powojennym ilość Polaków w W. Brytanii, a szczególnie w Londynie, zaczęła gwałtownie wzrastać. Liczne rzesze

2. Niedawno wydana książka — Owen Chadwick, *Britain and the Vatican during the Second World War* — naświetla zagrożenie i bezsilność Watykanu w czasie ostatniej wojny.

przybywały z Włoch, ze Śr. Wschodu, z Afryki, z Indii, jak również z kontynentu europejskiego. Wśród nich, a szczególnie wśród przywódców, panowało przekonanie, że pobyt w W. Brytanii będzie krótkotrwały i nastąpi powrót do kraju, do czego według jednych miały doprowadzić mające nastąpić w PRL wybory, a według innych trzecia wojna światowa. Ks. Bełch natomiast dochodził coraz bardziej do przekonania, że pobyt w W. Brytanii będzie długoterminowy, jeżeli nie stały, i dlatego przystąpił do tworzenia organizacji o trwałszym charakterze, co niektóre środowiska miały mu za złe.

Już w 1945 założył Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie (PKSU) Veritas, które miało dwa koła — seniorów i studenckie. Jednocześnie został mianowany przez min. Folkierskiego kapelanem akademickim.

W maju 1946 roku doprowadził do otwarcia jedynej wówczas w Londynie polskiej bursy studenckiej pod nazwą Hospicjum św. Stanisława przy 21 Earl's Court Square, gdzie sam zamieszkał. W styczniu 1947 uroczystego poświęcenia Hospicjum dokonał kardynał arcybiskup Westminsteru Griffin w obecności bpa Gawliny. Jednocześnie ks. Bełch doprowadził do założenia Katolickiego Ośrodka Wydawniczego (KOW) Veritas, który wraz z Hospicjum tworzył założoną w 1947 r. Fundację Veritas (Veritas Foundation). Później ks. Bełch został honorowym prezesem tej instytucji.

Istniejące po wojnie szkolnictwo średnie zarówno wojskowe, jak i cywilne, zostało objęte przez Committee for the Education of Poles in Great Britain. Natomiast polskie władze, a w szczególności min. oświaty, nie podjęły żadnych kroków w celu stworzenia polskich szkół niezależnych od władz brytyjskich. I kiedy w latach 50-tych władze brytyjskie przystąpiły do likwidacji polskiego szkolnictwa, pozostały w W. Brytanii jedynie dwie średnie polskie szkoły — Pitsford Hall dla dziewcząt i Fawley Court dla chłopców — powstałe z inicjatywy prywatnej, a ściślej kościelno-zakonnej. Do powstania obu tych szkół, a szczególnie Pitsford, przyczynił się ks. Bełch. Wadą obu szkół było to, iż miały charakter internatowy i mieściły się z dala od wielkich ośrodków polskich. Obie szkoły zostały zamknięte głównie z powodu niedostatecznej liczby kandydatów na początku lat 80-tych.

Istniały też problemy wyższego szkolnictwa, z którym ks. Bełch był związany. Młodzi Polacy i Polki mieli możliwość studiowania otrzymując brytyjskie stypendia, albo w specjalnym, do tego celu stworzonym Polish University College w Londynie (który przygotowywał do egzaminów University of London), albo też na uniwersytetach brytyjskich. Ale władze brytyjskie przyznające stypendia uważały, iż Polacy powinni specjalizować się głównie w zawodach technicznych, architekturze i ekonomii, więc niechętnie udzielały stypendiów na studia humanistyczne lub medyczne. Poza tym uniwersytety brytyjskie były przepelnione i nie uznawały w pełni polskich matur. Żądały one dodatkowych egzaminów wstępnych z kilku przedmiotów

(a co najmniej od eks-żołnierzy z angielskiego), co poważnie utrudniało dostanie się na studia szczególnie tym, którzy dopiero co przybyli z 2 Korpusem z Włoch lub z niewoli niemieckiej (wśród nich powstańcy warszawscy). Poza tym, z punktu widzenia katolickiego, istniała obawa — zresztą, jak się potem okazało, niesłuszna — że na protestanckich czy też agnostycznych uniwersytetach brytyjskich młodzież polska może zareagować tak, jak Zygmunt Nowakowski zetknąwszy się ze światem anglosaskim.

W tej sytuacji Veritas rozpoczął starania o ulokowanie młodych Polaków i Polek na wydziałach humanistycznych i medycznych w pierwszym rzędzie (choć nie zawsze) na uniwersytetach, które uznawały polską maturę, w krajach katolickich, głównie w Irlandii, Holandii i Hiszpanii. Selekcję kandydatów na te studia przeprowadzał Veritas (zresztą w sposób nieco elitarny). Ci, których zaaprobował Veritas i przyjęły uniwersytety wymienionych krajów, dostawali brytyjskie stypendia. W ten sposób na przykład ukończyło medycynę w Irlandii szereg młodych ludzi praktykujących obecnie w W. Brytanii.

I oto kiedy mogło się wydawać, że ks. Belch był u szczytu swych osiągnięć, zrezygnował on ze swej dalszej działalności w Londynie i w listopadzie 1948 r. wyjechał do St. Zjednoczonych. Na początku swego pobytu tam nawiązał kontakt z księżmi Marianami i przekonał ich o konieczności zorganizowania w Anglii gimnazjum dla chłopców, co zostało wkrótce zrealizowane pod kierownictwem ks. Jarzębowskiego w Fawley Court koło Henley³. Ale w zasadzie w USA poświęcił się ks. Belch pracy doktorskiej na temat doktryny Pawła Włodkowica, dotyczącej stosunków międzynarodowych, którą on zaprezentował na soborze w Konstancji (1414-18). Swą pracę przedstawił na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie i uzyskał doktorat. Praca ta była napisana po angielsku i została wydana w 1965 r. przez holenderską firmę specjalizującą się w dziełach historycznych pt. *Paulus Vladimiri and His Doctrine*.

W tym czasie rozpoczął również ks. Belch wydawanie po raz pierwszy po polsku *Summy Teologicznej* św. Tomasza z Akwinu, obejmującej 34 tomy, z których sam przetłumaczył trzy tomy, a jego brat Pius (dominikanin) 14 tomów. Pozostałe tomy tłumaczyli księża z Polski, Anglii i St. Zjednoczonych. Skompletowanie całości zajęło 24 lata. Równoległe do wydawania *Summy Teologicznej* pracował ks. Belch nad *Opera Omnia* Pawła Włodkowica i podobno skompletował większy zbiór niż ktokolwiek przed nim, jednak jak dotychczas nie znalazł się wydawca.

3. Warto nadmienić, że Fawley Court miał już uprzednio polskie powiązania, gdyż pod koniec wojny znajdowała się tam radiostacja „Wawer”, która „na fonie” dyktowała zaszyfrowane telegramy głównie do kraju, a częściowo do obozów jenieckich w Niemczech.

Ks. Bełch wyjechał do kraju w drugiej połowie 1987 r. i zamieszkał w domu księży-emerytów swojej, przemyskiej diecezji. Zmarł w Krośnie 3 czerwca 1989 r.

Z.S. SIEMASZKO

Bibliografia i niektóre prace ks. Bełcha

- Ks. Stanisław Bełch, *Papiestwo i Polska*, F. Mildner, Londyn 1943.
Ks. Stanisław Bełch, *Paulus Vladimiri and his Doctrine Concerning International Law and Politics*, Moutton&Co., The Hague 1965.
Ks. Stanisław Bełch, *Prace Historyczne*, tom I, KOW Veritas, Londyn 1965.
Ks. Stanisław Bełch, *Św. Stanisław Biskup Męczennik Patron Polaków*, KOW Veritas, Londyn 1977.
Paulus Vladimiri, *Opera omnia*, opracował ks. S. Bełch — maszynopis.
Św. Tomasz z Akwinu, *Summa Teologiczna*, 34 tomy, redaktor ks. Stanisław Bełch (przekłady: ks. Pius Bełch OP — 14 tomów, ks. Feliks Bednarski OP — 9 tomów, ks. Stanisław Piotrowicz — 4 tomy, ks. Romuald Kostecki OP — 3 tomy, ks. Stanisław Bełch — 3 tomy i ks. Andrzej Głazewski — 1-tom, KOW Veritas, Londyn 1962-86.

DOKUMENTY

Gen. Izydor MODELSKI

WOJSKOWE PRZYCZYNY KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ

(Próba syntezy)

(Część II)

2) Okres maj 1935 — marzec 1939

Schedę po Pierwszym Marszałku objął generał dywizji Śmigły-Rydz. Nawiasem tylko przypominam, że fakt ten zaskoczył wojsko i Naród. Wszyscy byli pewni, że następcą będzie generał Sosnkowski. I starszy wiekiem i starszeństwem, miał opinię człowieka mądrego, spokojnego, zrównoważonego i dalekowzrocznego, który raczej dąży do zgody wszystkich Polaków na prawach ogólnej równości, niż do dyktatury jednej partii. Naród już był zmęczony rządami policyjnymi, różnymi „hockami klockami”, napadami przez „nieznanych sprawców” itd. Naród Polskę wyobrażał sobie inną, lepszą. Orientował się przy tym doskonale w katastrofalnym położeniu wewnętrznym, nie wierzył trwałości „paktu nieagresji” z Niemcami. Instynkt mu mówił, że „póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”. Naród czuł wewnątrz i podświadomie, że wielka rozprawa z Niemcami się zbliża. Cała prasa niemiecka, nawet w tym okresie, dyszała do nas — czasami tylko źle ukrywana — nienawiścią. *Bund Deutscher Osten*

nadal działał. Artykuły i przemówienia o *blutende Grenzen* nadal się pojawiały. Mniejszość niemiecka na terenie Polski organizowała się wojskowo, o czym nasze władze doskonale wiedziały, a i ludność polska z artykułów prasy opozycyjnej.

Głupi tylko albo zły Polak mógł nie widzieć bezpośredniego niebezpieczeństwa niemieckiego.

Naród, przyzwyczajony od wielu lat, że Pierwszy Marszałek dzierżył w swoim ręku pełnię władzy, również politycznej, mimo woli wyczuwał, że jego następca, choć wbrew konstytucji, takie samo mniej więcej zajmie stanowisko w życiu państwowym. Podchodząc do zagadnienia realnie, rozumiał, że w danych warunkach nieprawdopodobną jest kandydatura tego Generała, którego miał ciągle na ustach i którego znał doskonale za jego wartości dowódczych, wykazanych w najcięższych chwilach poprzedniej wojny, z jego rozumu politycznego, charakteru i energii, wykazanych w najcięższym bodaj kryzysie wewnętrznym na przełomie 1922 roku, jak i z jego głośnych na cały świat dzieł naukowych, pisanych za granicą, i z artykułów na temat przyszłej wojny, pełnych głębokich myśli, wskazań i ostrzeżeń, publikowanych w *Kurierze Warszawskim*.

Naród nie widział w tym kierunku realnych możliwości, więc zwrócił swój wzrok na osobę generała Sosnkowskiego.

Nominacja generała Rydza-Śmigłego na stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych była zaskoczeniem tak wojska, jak i społeczeństwa i wywołała liczne dyskusje i komentarze. Puszczono pogłoskę, że Generalnym Inspektorem miał na życzenie „Zamku” zostać generał Dąb-Biernacki, i że „pułkownik” Sławek przeforsował osobę generała Rydza-Śmigłego. Więc wojsko było zadowolone, że Generalnym Inspektorem został generał Rydz-Śmigły, a nie generał Dąb-Biernacki.

Dla ogółu Polaków osoba generała Rydza-Śmigłego była w tym momencie kartą niezapisaną.

Wierzono, że zerwie z dotychczasowymi metodami w Państwie i w wojsku. Miał kredyt zaufania społeczeństwa. Naród ...i wojsko czekało długo i cierpliwie na wyniki dodatniej pracy nowego Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, którego — nie wiadomo z jakiej przyczyny i na jakiej podstawie prawnej — zaczęto nazywać w czasie pokojowym „Naczelnym Wodzem”. Niestety, biedny Naród Polski znów został zawiedziony.

Wybitny piłsudczyk, legionista pierwszej brygady i poważny oficer dyplomowany tak oto pisze:

„...Po śmierci Józefa Piłsudskiego nikt nie miał zastrzeżeń do gen. dyw. Śmigłego-Rydza jako Naczelnego Wodza. Predestynowała go na to stanowisko jego przeszłość dowódcza od

dowódcy baonu przez kolejne szczeble aż do dowódcy Armii włącznie. Nieszczęście jednak chciało, że jeszcze za życia Józefa Piłsudskiego grupa ludzi, mających dużo środków do rozporządzenia wytworzyła nastrój, że jest to nie tylko następca na stanowisku Naczelnego Wodza, ale również Wodza Narodu. Było to wynikiem myśli tej grupy o totalizmie polskim. W ślad za tym poszły również pewne posunięcia ze strony Głowy Państwa: słynny okólnik premiera o drugiej osobie w Państwie. Ukoronowaniem tej propagandy stało się 10.XI.1935, gdy w kilka miesięcy po śmierci J. Piłsudskiego gen. dyw. Śmigły-Rydz został mianowany marszałkiem. Ludzi z poczuciem taktu i skromności nappełniło to niesmakiem. Brano tu chyba wzór z Niemiec, gdzie Hitler swego *Partei-Genosse* kpt. Göringa zamianował marszałkiem, bo nie z Francji, w której Joffre i Foch musieli najpierw wygrać decydujące bitwy.

Tymczasem oficjalny Wódz Narodu musiał się zajmować Narodem, a nie wyłącznie wojskiem. Musiał więc powołać O.Z.N., który w ciągu trzech lat nie odegrał żadnej roli w konsolidowaniu narodu (Hitler zrobił to w ciągu jednego dnia). Musiał brać udział w jakichś niepoważnych przedsięwzięciach: to oddawanie pierwszego strzału na zawodach kobiecych, to przyjmowanie karabinów na F.O.N. od małych miasteczek, to chodzenie na zebrania korporacji młodzieży akademickiej, to wreszcie udział w uroczystościach dla jakiegoś Pyrza, o którym dotąd nic w Polsce nie wiedziano..." (L.dz.652/40).

Trudno się zgodzić z autorem powyższych uwag, że „...oficjalny Wódz Narodu musiał się zajmować Narodem, a nie wojskiem...”. Przecież poważny człowiek, zajmujący jakieś stanowisko, zdaje sobie sprawę ze swoich obowiązków. Jeżeli ich nie wypełnia bez reszty, to albo jest karygodnie lekkomyślny, albo karygodnie nieobowiązkowy i niesumienny, albo anormalny i bez charakteru, gdyż bezwolnie ulega wpływom i naciskowi złego otoczenia. — Gdyby zwykły oficer nie pilnował dniem i nocą swego plutonu, baterii czy dywizjonu, to by został zupełnie słusznie zdyskwalifikowany i usunięty z wojska. Im wyższe zaś stanowisko, tym większa odpowiedzialność.

Pomijając zaś wszystkie inne pobudki do sumiennego wykonywania swych obowiązków, jak patriotyzm, dobry przykład itd., jest w tym zagadnieniu, według mego zdania, jeszcze jeden aspekt.

Kto pobiera ze Skarbu Państwa gażę, a nie wykonuje swoich obowiązków z całej duszy i z całego serca, do granic swych sił fizycznych, jest równy pospolitemu złodziejowi.

Inny wysoki oficer, również dyplomowany, tak widział rzeczy:

„...W roku 1935 umiera Marszałek Józef Piłsudski.

Następca wyznacza gen. Rydza-Śmigłego.

Naród, który dość ma już rządów mafii, obiecuje sobie wiele, myśli, że ustanie podział Polaków na kategorie i brygady, że wszyscy staną się równi i zaczną dla Polski pracować. Lecz złudzenie jest krótkie, nadzieje płonne. U trumny Marszałka Piłsudskiego rozwiewają się. Gdy gen. Sikorski, zapominając nienawiści, jakiej padł ofiarą, pierwszy wyciąga rękę do zgody i zwraca się o wyznaczenie mu miejsca w kondukcje pogrzebowym, jest odpowiedź, że dla niego miejsca nie ma. To znaczy, że do rządów kliki nikt wejść nie może.

Sztucznie tworzy się wokół nowego marszałka legendę, tworzy się z niego bohatera i człowieka opatrnościowego, bez podstaw ku temu w tym, co dotychczas zdziałał. I gdy marszałek upaja się zaszczytami i honorami, jakich jest odbiorcą, a przy nim cała góra, Polską rządzi dalej klika. Lecz o Polsce, o obronie kraju, o zmianach zachodzących w Europie nikt nie myśli. Wtedy nawet w tej kompanii sejmowej, jednostki widzą, że jest źle. Powstaje cały szereg dobrych Polaków, dla rządu — odszczepieńców, z krytyką. A więc trzeba sejm rozwiązać i wybrać jeszcze powolniejszy. Rozwiązać łatwo. Ale w społeczeństwie nawet tak cierpliwym, jak polskie, zaczyna być głośno, że jest źle, że dość Ozonu i Naprawy, bo dorobku z ich rządów Narod nie widzi żadnego. Rząd hasła do wyborów nie widzi żadnego. Rezultatów pracy też nie ma żadnych. Mimo więc ordynacji przez siebie wymyślonej wynik jest niepewny. By więc przy władzy zostać, by przeforsować przy wyborach Ozon, tracący grunt pod nogami, trzeba jakiegoś atutu. Wbrew więc interesom Polski rząd dalej prowadzi politykę proniemiecką.

Zaiste jest nie do pojęcia, jak rząd nasz zamiast stać na stanowisku nienaruszalności traktatu, któremu Polska granice swe zawdzięczała, zamiast mobilizować nad granicą Prus, mobilizuje nad granicą Czech. Rozbiera razem z Niemcami Czechy, co rok potem pozwala Niemcom starym szlakiem gorlickim na Polskę uderzyć i o zwycięstwie zdecydować.

Do wyborów jest chwilowy efekt, społeczeństwo mami się, twórca i patron Ozonu otoczony jest aureolą zwycięstwa...”
(L.dz.594/39).

W końcu opinia jednego z dowódców Wielkich Jednostek:

„...Marszałek Śmigły-Rydz objął stanowisko po nieskazitelnej przeszłości wojskowej i niepodległościowej, mając pośród społeczeństwa oraz wojska ogromny kredyt moralny, toteż jego nominacja spotkała się z ogólnym aplauzem.

W bardzo jednak krótkim czasie ten sam ogół zaczął szeptać, że Naczelnego Wodza otoczył mur, przez który przedostać się mogą ludzie specjalnie wyselekcjonowani, a wieści tylko odpowiednio ułożone.

Mur ten wybudowało jego bezpośrednie otoczenie, scementowało pochlebstwem i ukoronowało buławą marszałkowską.

Ogół zaczął szeptać, że Naczelnny Wódz wszedł do polityki czynnej i wcześniej czy później zostanie przez nią zgrany. Zaufanie do Naczelnego Wodza zaczęło topnieć.

Mowy Naczelnego Wodza przybierały coraz bardziej ton dyktatorsko-bojowy i tak pomалу Naczelnny Wódz stał się NIEOMYLNYM.

Rodzony brat nieomylności, SYSTEM wprowadzony przez otoczenie i oparty na *bluff*ie, osiągnął swój szczyt w hasła: SILNI, ZWARCI, GOTOWI.

Nie znam i nie mogę sądzić planów operacyjnych Naczelnego Wodza... Wiem tylko, jak one wyglądały w wykonaniu...

Ale jednego nigdy nie zrozumiałem: jak i dlaczego, i to w tak brzydki sposób, porzucił nas właśnie wtedy, kiedy Wódz Naczelnny był tak bardzo potrzebny...” (L.dz.1683/40).

Naczelnym zadaniem i obowiązkiem Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych było: stać na straży obronności Rzeczypospolitej.

Generał Rydz-Śmigły jako długoletni Inspektor Armii powinien się być doskonale orientować w stopniu gotowości czy raczej braku gotowości naszych Sił Zbrojnych i całego organizmu państwowego do wojny. Znał też niewątpliwie niesłychany już naówczas wysiłek organizacyjny i zbrojeniowy Trzeciej Rzeszy. Przygotowania wojskowe Sowietów, prowadzone na wielką skalę, też musiały niepokoić sąsiadów. *Mein Kampf* był pouczającą lekturą, a dzień 30 czerwca 1934 roku oraz remilitaryzacja Nadrenii i jednostronne wypowiedzenie przez Hitlera klauzul wojskowych (część V) traktatu wersalskiego dla nas groźną przestrogą, że Hitler nie zna żartów, uznaje traktaty i paktety tylko jako *chiffon de papier*, które go tak długo tylko obowiązują, dopóki służą jego zamiarom.

Miał więc nowy *Generalny Inspektor zadanie*, miał *analizę położenia* ewentualnego nieprzyjaciela i położenia własnego. Wniosek mógł być tylko jeden: *państwo jest bezpośrednio zagrożone w swym istnieniu, bo nie jest gotowe do wojny*. Czasu jest bardzo mało. *W najlepszym wypadku* jeżeli

Hitler dotrzyma „pakt nieagresji”, jest czas do roku 1943, więc lat osiem, czyli okres bardzo krótki na zorganizowanie zaniedbanego państwa i wojska tak, aby obrona nasza mogła być skuteczna. W najgorszym wypadku wojna może być zaraz, za miesiąc, za rok. Czyli: każdy dzień pokoju jest nam podarowany przez Opatrzność. Trzeba więc każdy dzień wykorzystać na dozbrojenie i reorganizację. Trzeba pracować — według planu — 24 godziny na dobę, aby ratować, co się jeszcze da uratować. — Narzucała się z powyższych elementów *decyzja* jasna, logiczna i jedyna:

— wprząc cały Naród do wytężonej pracy obronnej. W tym celu powołać co najtęższe charaktery i umysły na kierownicze stanowiska w Państwie, w wojsku i w przemyśle,

— zreorganizować wojsko według potrzeb i wymagań nowoczesnej wojny i je uzbroić należycie,

— przygotować plany wojny na papierze i w terenie, przygotować wyższych dowódców,

— pracować tak, jakby wojna miała wybuchnąć lada dzień,

— znaleźć środki na uzbrojenie „choćby pod ziemią”, w myśl hasła *si vis pacem, para bellum*, czyli:

„W wojnie o lubym rozmyślaj pokoju,

A — nim zatrąbią — gotuj się do boju!”

Powyższe rozumowanie nie jest stworzone *ad hoc*. Podczas mej czteroletniej pracy w G.I.S.Z. takie mniej więcej przesłanki myślowe były częstym tematem moich rozmów z kolegami i przełożonymi. Przyczyną tych rozmów była świadomość, że się źle dzieje.

Jakie mogło i musiało być *wykonanie* (w wojsku):

1) przede wszystkim dobór odpowiednich charakterem i kwalifikacjami fachowymi ludzi na najwyższe i inne kierownicze stanowiska w wojsku,

2) stwierdzenie, jakiego nam wojska potrzeba pod względem ilości Wielkich Jednostek, rodzaju Wielkich Jednostek i ilości uzbrojenia, organizacji służb itp., przygotowanie i rozmieszczenie zasobów oraz potrzeb transportowych, ilości i jakości wojska pancernego, ciężkiej i najcięższej artylerii i lotnictwa,

3) przygotowanie planów operacyjnych na mapach i w terenie na wszystkie ewentualności, to jest wojny z Niemcami w różnych hipotetycznych wariantach, tak samo wojny z Rosją, a nawet wojny na dwa fronty,

4) wnioski z punktu 2) dałyby podstawę: do reorganizacji Naczelnych Władz Wojskowych (rozdział kompetencji między

G.I.S.Z. i Sztabem Głównym oraz przywrócenie praw dowódców operacyjnych dowódcom Korpusów) — do realnej, planowej pracy G.I.S.Z., M.S. Wojsk. i Sztabu Głównego oraz Korpusów.

Takiej pracy Marszałek Rydz-Śmigły nie wykonał.

Przed wszystkim nic nie zmienił w obsadzie najwyższych władz wojskowych ani też nie zmienił samej organizacji. Nie powołał do czynnej służby generała Władysława Sikorskiego, a generała Kazimierza Sosnkowskiego odsunął nieomal zupełnie, powierzając mu jedynie fortyfikacje Polesia i przewodnictwo Komitetu Uzbrojenia (ale też z zastrzeżeniem ostatecznej własnej decyzji). Napięta między Generalnym Inspektorem a generałem Sosnkowskim stosunki były znane całemu wojsku i z żalem komentowane. Mówiono otwarcie, że znów sprawy osobiste biorą górę nad sprawami Polski. Nadal różne miernoty zajmowały wysokie stanowiska, a różne nowe miernoty na nie powoływano.

Tu się wysuwa na pierwszy plan Minister Spraw Wojskowych, generał dywizji Tadeusz Kasprzycki. Gdy jeszcze w maju 1935 roku wiadomość o tej nominacji dotarła do G.I.S.Z., jeden z wyższych oficerów dyplomowanych powiedział przy mnie do grona kolegów: „Generał Kasprzycki w Ministerstwie, to jakby się słonia wpuściło do składu porcelany. Wszystko, co jest, niszczy i zdeorganizuje. Niczego nie stworzy, bo na to jest za leniwy. Zarozumialec i pyszałek, który ma pstro w głowie i ciągle będzie męczył wojsko nieważnymi i nieprzemysłanymi zmianami. Faktycznie niczym nigdy nie dowodził, na wojsku się nie zna i zrobił karierę na pierwszej kadrowej, którą dowodził tylko kilka dni — bo to 'spryciarz'”. (ppłk dypl. piech. St. Sp. Ps.).

Wyższy oficer dyplomowany, pilsudczyk, były oficer pierwszej brygady legionów tak pisze o generale Kasprzyckim:

„...Już wprost jako skandal była uważana przez poważnych oficerów osoba Ministra Spraw Wojskowych. Przy niewątpliwej inteligencji cała przeszłość wojskowa (trzy dni dowodzenia kampanią kadrową oraz półtora roku dywizji z przerwami) nie mogły mu dawać należytego zrozumienia i odczucia wojska. Nurzanie się jego w nadmiarze prac pozawojskowych (Huculszczyzna, Góry, Lasy, Ziemia Wschodnie), najważniejsze dla generała w stanie spoczynku, odrywały go od spraw ściśle wojskowych, sprawiając, że rozkazy ministerialne opóźniały się w dojściu na czas do wojska, decyzje zmieniały się bardzo często.

Jeśli dodać do tego jego osobiste afery matrymonialno-miłosne, będące przedmiotem kpin lub plotek całej Polski oraz przedsięwzięcie handlowe z pensjonatem na Gubałówce, budowanym przy pewnej pomocy sprzętu wojskowego, to stwierdzić trzeba, że świecznikowi, na którym stał, blasku bynajmniej nie dodawał.

Przy takim ministrze nie mogły stanąć do pomocy duże autorytety. Jeśli się trafili czy na stanowiskach bezpośrednio mu podległych, czy na pośrednio podległych ludzie uczciwi lub utalentowani, to nie było to wynikiem jego doboru, lecz przypadku lub pewnego automatyzmu, w którym przy częstych zmianach musiało się znaleźć trochę ludzi właściwych, jak na przykład płk Prugar na Departamencie Piechoty, płk Cępa — jako dowódca łączności, gen. Kossakowski — jako dowódca saperów, może gen. Skuratowicz na Departamencie Kawalerii. Obok tego jednak występowały tak fatalne zjawiska w doborze ludzi, jak gen. Kozicki jak dowódca broni panc. lub płk Filipkowski jako zastępca Szefa Administracji Armii..." (L.dz.652/40).

W całej Polsce głośno było o skandalach — nie tylko miłosnych — generała Kasprzyskiego. W G.I.S.Z. na ucho sobie szeptało, że Marszałek chce go usunąć, ale „Zamek” go trzyma. Taki argument nie był przekonywujący i do reszty psuł opinię Marszałka, któremu po cichu dodawano już różne epitety. Wojsko pracowało i milczało na zewnątrz. Ale swoje myślało i do reszty traciło zaufanie... do Marszałka. Zimą 1938/39, gdy już atmosfera polityczna była w Europie niesłychanie napięta, gdy już „ślepy musiał widzieć i głuchy słyszeć”, że wojna się zbliża milowymi krokami, Minister generał Kasprzyski, gdy był powinien pracować dniami i nocami dla wojska i Państwa, by choć w części nadrobić swe zaniedbania ostatnich lat czterech, uważał czas za stosowny, i zajęcie [za] godne munduru generalskiego, aby za kulisami sceny teatralnej puszczać reflektory na swą kochankę i dyskutować z reżyserem i aktorami, czy tak będzie „efektowniej” wyglądać jego bogdanka, czy też inaczej. Latem 1939 roku widywano go z ulicy Krakowskie Przedmieście przesiadującego godzinami w mundurze z orderami z tą panią w oknie kawiarni Loursa i zadawano sobie pytanie, czy w tym okresie zbliżającej się wojny Minister Spraw Wojskowych nie ma za dnia ważniejszych i pilniejszych zajęć. On też jako Minister dał w lipcu 1939 roku wszystkim polskim generałom remunerację po 2.500 złotych, również różnym wyższym oficerom w M.S.Wojsk., biurze G.I.S.Z., Sztabu Głównego i w zmobilizowanych dowództwach Armii remuneracje, w nieznaney mi bliżej wysokości. Pewien kapitan dyplomowany podał w swym spra-

wozdaniu, że on otrzymał 50 złotych i że mu jest wiadomo, że sztabowi oficerowie otrzymali znacznie wyższe sumy.

Minister Kasprzycki w kompletnym braku poczucia odpowiedzialności, w zupełnie niezrozumiałym dla ludzi honoru zapomnieniu: co wolno, a co nie wolno był hojnym dla innych (i prawdopodobnie dla siebie) nie z własnej kieszeni i to w chwili, gdy dziesiątki tysięcy ubogich Polaków składało swój ciężko zapracowany grosz jako dobrowolną ofiarę na dozbrojenie Armii. *Trudno znaleźć w bogatym języku polskim odpowiednie słowo dla napiętnowania takiej ohydy.* Wiadomo również, że balet Parnella otrzymał z kasy M.S.Wojsk. 20.000 złotych na wyjazd za granicę, że *teatr, w którym występowała kochanka Pana Ministra, Kajzerówna, otrzymywał z kasy M.S.Wojsk. tyle tysięcy złotych, ile ona pobierała gaży. To już jest chyba pospolite złodziejstwo grosza publicznego, a wobec braku pieniędzy na dozbrojenie zbrodnia na żywym ciele Narodu, która woła głośno o pomstę do nieba.*

Jeden w wyższych dowódców pisze:

„...Społeczeństwo wiedziało o afiszowaniu się Ministra Spraw Wojskowych z artystką i o małżeństwie tej pary bezpośrednio po samobójstwie pani ministrowej. Społeczeństwo знаło w przybliżeniu kwotę długów w knajpach warszawskich generała Wieniawy-Długoszowskiego, które były płacone z funduszu dyspozycyjnego... Wiem z ust generała Cehaka, że gdy starał się jako Szef Departamentu Artylerii uzyskać od generała Kasprzyckiego 6.000 złotych na szkolenie oficerów rezerwy artylerii przeciwlotniczej, oświadczył mu Minister, że nie ma na to pieniędzy. W czasie tej rozmowy wszedł do gabinetu Ministra mecenas Paschalski i poprosił generała Kasprzyckiego o 10.000 złotych na 'Strzelca'. Otrzymał tę sumę w obecności generała Cehaka bez targu...” (L.dz.2795/40)

„...Wydawano wiele pieniędzy na 'Strzelca', P.W. i W.F., zamiast oprzeć tę pracę na czynniku społecznym, cenne pieniądze przeznaczając na lotnictwo, artylerię przeciwlotniczą, broń pancerną...” (L.dz.652/40)

Poniższe uwagi na temat trwonienia pieniędzy przez wysokich dygnitarzy wojskowych, sanacyjno-legionowych, obejmują częściowo również okres sprzed maja 1935 roku.

„...Co gorsze jednak, to to, że właśnie w wojsku na najwyższych szczeblach zaczęło się trwonienie pieniędzy. Ba, gdyby je trwoniono na nadmierną ilość wystrzeliwanych naboju, to...”

Uwagi te przypominam tutaj powtórnie, gdyż dosadnie ilustrują stosunki moralne w wysokich kołach sanacyjno-legionowych.

To samo mniej więcej pisze o tym okresie niezliczona ilość innych oficerów. Charakter tej pracy nie pozwala na przytaczanie ich wszystkich. Sądzę atoli, że już powyższe dostarczają wystarczający materiał dla prokuratora. Pewien wyższy oficer dyplomowany, który podczas kampanii jesiennej dowodził pułkiem, tak ujmuje swe oskarżenie:

„...Gen. Kasprzycki, Minister Wojny, jest odpowiedzialny za:

- brak uzbrojenia,
- brak zaopatrzenia,
- zgodę na wywóz w roku bieżącym około 1.000 armat przeciwlotniczych do Anglii, gdy wiadomym było, że sprzętu tego nie mamy¹,
- za opuszczenie Warszawy już dnia 6.IX. nie z Ministerstwem, lecz z przyjaciółką, matką i synem w żałobie po żonie generała, która w marcu odebrała sobie życie właśnie z powodu tej przyjaciółki...” (L.dz.594/39).

Skala win Ministra Kasprzyckiego jest według mego i też ogólnego zdania, popartego niezbitymi dowodami, znacznie większa.

Jeden z polskich *generałów, dowódca Wielkiej Jednostki, wyraża swój pogląd, który jest chyba poglądem wszystkich zdrowo myślących Polaków:*

„...Postępowanie takie musi być dotliwie ukarane i podane do powszechnej wiadomości, by Polska wiedziała, że zbrodnie zostały ukarane. Leży to w interesie dobra przyszłej Polski, bowiem nieukaranie tych ludzi byłoby zachętą do podobnych poczynań w przyszłej Polsce...” (L.dz.442/40).

Ale sam generał Kasprzycki, nawet już po katastrofie wrześniowej, swej winy nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć. Toteż zuchwałością tylko nazwać można fakt, że późną jesienią 1939 roku prosił pisemnie generała Władysława Sikorskiego o powołanie go do Wojska Polskiego we Francji.

Na „wieczną rzeczy pamiątkę” przytaczam poniżej odpowiedź Naczelnego Wodza, gdyż w lapidarnych słowach ujmuje to wszystko, co przytłaczająca większość Polaków w kraju i na emigracji czuje w swych sercach:

1. W tym miejscu nie komentuję uwag o ilości wywiezionego sprzętu. Zagadnienie to dokładnie omówię w jednym z dalszych rozdziałów.

M.S.Wojs.
Gabinet Ministra
L.dz.l/tj./G.M.

Paryż, 30 listopada 1939 r.

Do Pana Generała Dywizji
T. Kasprzyckiego
Baile Herculane

List Pana Generała z dnia 11.XI.39 wywiera na mnie wrażenie, że Pan Generał nie zdaje sobie sprawy, jaki jest stosunek Wojska i społeczeństwa do Jego osoby.

Opinia w Wojsku, na emigracji, w Kraju, widzi w Panu jednego z głównych sprawców naszej klęski. Powołać Pana do służby czynnej w nowym Wojsku Polskim nie mogą. Pan jest odpowiedzialny za nieprzygotowanie Narodu i Wojska do wojny nowoczesnej, a więc i za poniesioną przez nas klęskę, która nie jest wolna od hańby. Niech Pan Generał pozostaje w Baile Herculane. Ojczyzna nie chce jego usług, Jego zjawienie się wśród Wojska mogłoby wywołać odruchy, do których nie wolno mi dopuścić.

MINISTER SPRAW WOJSKOWYCH
i WÓDZ NACZELNY

(-) Sikorski, gen. dyw.

Generał Kasprzycki również nie przejął się ogromem nieszczęścia Polski. Jeden z oficerów starszych, który przebywał w Rumunii w obozie dla internowanych polskich generałów w Baile Herculane, podał, że generał Kasprzycki „...rozbawiony i roześmiany bawił się w piłkę i gonił po trawniku... z panną Kajzerówną”. (kpt.art.J.S.)

Tej samej jesieni wielu oficerów polskich w kraju i za granicą, przytłoczonych niebywałą tragedią Polski, popełniło samobójstwo. Innym serca pękły z rozpaczy, umierali ze zgrzyoty (akta byłego Biura Rejestracyjnego).

Marszałek Śmigły-Rydz tylko jedną przeprowadził w tym okresie zasadniczą zmianę personalną. Na Szefa Sztabu Głównego wyznaczył generała Stachiewicza, odsyłając generała Gąsiorowskiego do 7.D.P. do Częstochowy, aby „wreszcie też czymś dowodził”. Na tle osoby generała Gąsiorowskiego postać generała Stachiewicza jaśniej chlubnie. Z tego punktu widzenia zmiana ta była niewątpliwie dużym krokiem naprzód i zmianą korzystną i na lepsze.

Generał Wacław Stachewicz był przede wszystkim bardzo pracowitym i innym pracować nie przeszkadzał. To było jego główną i na tak niesłychanie wysokim i odpowiedzialnym stanowisku jedyną niestety zaletą. Ale do tego właśnie stanowiska

zupelnie nie dorosl. Braklo mu wyobrazeni, aby przewidziec, jak bedzie przyszla wojna wygladac, choc mogl tej wyobrazeni dopomoc lektura bardzo bogatej na ten temat literatury woj-skowej. Braklo mu zrozumienia dla broni nowoczesnej jak pan-cerna, lotnictwo i artyleria ciężka. Dlatego nie tylko sam ich nie forsował, ale utrącal osobiście usilne projekty innych generałów (generala Piskora: o broni pancernej, generała Przedzrymir-skiego: memoriał z jesieni 1938 roku o natychmiastową zamianę dwudziestu pułków kawalerii na oddziały przeciwpancerne, gene-rała Millera: memoriał o katastrofalnym stanie artylerii i środ-kach i sposobach zaradczych, konkretny i realny projekt). Braklo mu zrozumienia i wycucia istotnego polozenia i bezposredniej groźby wojny do tego stopnia, że jeszcze... 1 września rano, gdy go oficer służbowy Sztabu Głównego zbudził wiadomością, że Niemcy bombardują Polskę i przekroczyli na całej długości naszą granicę, nie chciał tej wiadomości uwierzyć i był nią wyraź-nie zaskoczony. Należał bowiem do tych, co „nie wierzyli w wybuch wojny”, zapominając czy nie wiedząc, że do żołnierza nie należy wiara czy niewiara w wybuch wojny, ale że jego obo-wiązkiem naczelnym jest być zawsze gotowym do wojny. Goto-wym na każdym szczeblu i na każdym stanowisku, to jest zawsze pracować tak, jakby wojna miała wybuchnąć jutro. Gotowym do wojny, to znaczy nie tylko mieć wojsko zorgani-zowane i uzbrojone, ale również wszystkie plany, jak rozwinięcia początkowego, bitwy „granicznej”, dalszego prowadzenia wojny pod względem operacyjnym, zaopatrzenia materiałowego, prze-mysłowego itd., i to zawsze w kilku wariantach, odpowiadają-cych kilku przynajmniej hipotezom.

W lipcu 1871 roku wszedł Bismarck do pokoju Moltkego i powiedział: „Ekscelencjo, wojna z Francją!” — Opowiadają, że Moltke zdjął okulary, obrócił się spokojnie w fotelu i wskazując palcem na szafę z aktami powiedział: *Exzellenz, drittes Schubfach links!*

Tak mógł powiedzieć Szef Sztabu Generalnego, który przez długie lata sam setki razy przemyślał i ze współpracownikami rozpatrzył wszystkie elementy i hipotezy przyszłej wojny i potem wraz z całym korpusem oficerów Sztabu Generalnego decyzje swe opracował w formie całokształtu planu wojny. Plany były gotowe, dowódcy byli gotowi, wojsko było gotowe. Dla-tego Moltke mógł powiedzieć: „Trzecia szuflada na lewo”.

Ani generał Stachiewicz, ani żaden z jego poprzedników (od maja 1926 roku) takiej odpowiedzi dać nie mógł, bo pla-nów wojny nie było, o czym jeszcze będzie mowa w rozdziale o przygotowaniach planów wojny.

I to jest najistotniejsze i najgroźniejsze oskarżenie wszystkich szefów Sztabu Głównego od maja 1926 roku, a najbardziej generała Stachiewicza.

Obowiązki swoje pojmował generał Stachiewicz bardzo ciasno, zajmując się przy tym częstokroć drobnymi sprawami, które niżsi referenci, a przede wszystkim szefowie działów mogli załatwić we własnym zakresie.

Był przy tym zarozumiały, apodyktyczny, nieprzystępny na przeciwną argumentację.

Zazdrosny niesłuchanie o swoją władzę, odsunął G.I.S.Z. od wszelkiej pracy operacyjnej, a z Ministerstwem prowadził znany całemu wojsku spór kompetencyjny na szkodę wojska i państwa.

Mając ogromny wpływ na Marszałka, mógł on się przyczynić do wielu zmian na lepsze, choćby właśnie pod względem wyznaczenia innego Ministra, współpracy z Ministerstwem, przygotowania wyższych dowódców, usunięcia z awansu różnych miernot i szkodników itp.

Tajemnicą generała Stachiewicza pozostanie, jak sobie wyobrażał przeprowadzenie skutecznej obrony w naszym położeniu strategicznym... 39 Wielkimi Jednostkami piechoty i to słabo uzbrojonej, ze słabą liczebnie artylerią, bez czołgów, lotnictwa i artylerii przeciwlotniczej.

Jak Szef Sztabu miał tyle do roboty, że starczyłoby jej dla kilku generałów o genialności generała Prądzyńskiego czy Chrzanowskiego.

Mimo to był jeszcze „Generałem Inspekcjonującym”. Cel tej funkcji — powierzonej Szefowi Sztabu — jest już zupełnie niezrozumiały. Ktoś twierdził, że dlatego, aby jako Szef Sztabu Głównego miał też „rękę na pulsie” życia wojska. Jest to argument zupełnie nieprzekonujący, a nawet niepoważny. Kto jak kto, ale chyba Szef Sztabu Głównego *miał zawsze prawo i obowiązek inspekcjonowania wyszkolenia* (a przy tej sposobności i uzbrojenia i wyposażenia) wojska, szczególnie na ćwiczeniach międzygarnizonowych, międzydywizyjnych i wielkich ćwiczeniach jesiennych.

Inspekcjonowanie zaś jednej tylko dywizji piechoty przez Szefa Sztabu Głównego nie mogło dać ani jemu dostatecznie jasnego poglądu na całość wyszkolenia Armii, ani też jego inspekcja nie mogła dać jednej Wielkiej Jednostce żadnych realnych korzyści.

Generał Stachiewicz wreszcie z „tajemnicy wojskowej” zrobił taki dogmat, że w końcu nawet z generałów i wysokich oficerów dyplomowanych nikt już nic nie wiedział ani o organizacji wojska, ani o jego stanie materiałowym i zasobach, ani o zamierzeniach na przyszłość, ani wreszcie o realnych planach na

wypadek wojny. Nasi oficerowie znali lepiej wojsko niemieckie i rosyjskie i ich możliwości, niż nasze własne Wojsko Polskie. „Tajemnica” była jedną z przyczyn klęski jesiennej 1939 roku. Tragiczne to zagadnienie omówię w osobnym rozdziale na dalszych stronach niniejszego.

Oficer sztabowy i dyplomowany, który kilka lat pracował w Sztabie Głównym, a od roku 1935 w G.I.S.Z., tak opisuje stosunki w tym okresie panujące:

„...Po roku 1935, a głównie od chwili mianowania na stanowisko Szefa Sztabu Głównego generała Stachiewicza, środek ciężkości wszelkich prac mob. i operacyjnych stopniowo przechodził na Sztab Główny, który powoli powracał do swej zasadniczej roli, a w G.I.S.Z. ograniczano się jedynie do prac odcinkowych, przy czym stopniowo i w tym pracach aparat G.I.S.Z. był krępowany i odsuwany od pracy w ogóle, co szczególnie się zaznaczyło z chwilą mianowania płk. dypl. Jaklicza na Szefa Oddziału III Sztabu Głównego. Gdy w roku 1938 płk dypl. Jaklicz został II zastępcą Szefa Sztabu Głównego, wówczas już wszelkie zagadnienia operacyjne zostały przesunięte do Sztabu Głównego, a w G.I.S.Z. zapanowało prawie bezrobocie. O jakiegokolwiek współpracy trudno było mówić, gdyż Sztab Główny otaczał się tajemnicą służbową i nie dopuszczał prawie oficerów G.I.S.Z. do prac zarówno w planowaniu jak i w studiach, pozostawiając Inspektorom Armii jedynie inspekcjonowanie i prace wykonawcze planów odcinkowych.

W wyniku tego oficerowie do zleceń dla 'wschodu' i 'zachodu' stopniowo tracili swój dominujący charakter, a nawet doszło do tego, że płk dypl. Głabisz i ja meldowaliśmy parokrotnie swe prośby o przeniesienie do pułków, motywując je brakiem jakiegokolwiek pracy. Prośby nasze zostały przyjęte z tym, że mamy „sobie odpocząć”, bo wkrótce otrzymamy pracę. Rozumiejąc słuszność rozłożenia prac na cały Sztab Główny, oczekiwaliśmy, że zostanie nam powierzona inna rola, np. rozgrywanie strony przeciwnej celem ułatwienia Panu Marszałkowi oceny pracy Sztabu Głównego (stąd powstały moje studia koncentracji sowieckiej). Do chwili wybuchu wojny jednak żadnej pracy nie otrzymaliśmy...

...Po roku 1935, gdy Sztab Główny stopniowo powrócił do swojej pracy, a Ministerstwo zostało personalnie odłączone, wówczas G.I.S.Z. stał się jakby zbędnym organem wiszącym w powietrzu, bo nie był przystosowany ani do kierownictwa ani do kontroli nad Sztabem Głównym i M.S.Wojsk., które pracowały samodzielnie, bez kontroli i nawet często bez koordynacji.

W tych warunkach agendy Sztabu Głównego, a więc przygotowanie wojny i jej plan, nie były ani przez nikogo kontrolowane, czy sprawdzane, ani też nie były uzgadniane z agendami M.S.Wojsk., to jest budżetem, szkoleniem i organizacją pokojową wojska i państwa. W nowoczesnych warunkach przygotowania i prowadzenia wojny, osoba jednego człowieka nie jest w stanie skontrolować i skoordynować wszystkich planów i prac Sztabu Głównego i M.S.Wojsk., a właśnie do pomocy i pracy w tym kierunku aparat G.I.S.Z. nie był ani dostosowany, ani przygotowany, ani nawet powoływany..." (L.dz.1533/40).

Inny wyższy oficer dyplomowany pisze następująco:

„...Jednocześnie w obsadzie personalnej na kierowniczych stanowiskach organizacyjnych nic na lepsze nie poszło. Może z wyjątkiem Sztabu Głównego, w którym gen. Gąsiorowski zastąpił daleko lepszy umysł i pracowitość — gen. Stachiewicz, który jednak, jak mówili koledzy ze Sztabu, już w czasie akcji zaolziańskiej wykazał, że ma „nerwy”. Osobiście mam gen. Stachiewiczowi do zarzucenia „tajemnicę wojskową”, która dopiero w ostatnich tygodniach przed wojną dostarczyła materiałów o wojsku niemieckim, a która jednocześnie tak wszystko co nasze konspirowała przed własnymi żołnierzami, że w czasie wojny i oficerowie nawet nie umieli odróżnić własnego samolotu od niemieckiego, co doprowadziło do tragicznych zestrzeliwań własnych nielicznych lotników...” (L.dz.652/40).

W końcu głos pułkownika dyplomowanego, który podczas kampanii był dowódcą pułku:

„...Gen. Stachiewicz, Szef Sztabu, jego zastępcy i szefowie oddziałów w swym zakresie, ponoszą odpowiedzialność za:

— brak planu wojny i operacji, czego wyrazem jest to, że dywizje, niby perły na szyi kobiety, zostały rozproszkowane na granicach Polski, naturalna zaś linia obrony, Biebrza, Narew, Wisła do Wyszogrodu, Bzura, Pilica i Karpaty nie została przeprowadzona nawet fragmentarycznie,

— za zarządzenie mobilizacji ogólnej mimo, że wiadomym było, że dla wszystkich obowiązanych do stawiennictwa nie ma ani uzbrojenia, ani umundurowania, ani pomieszczenia, co powiększyło tylko chaos,

— za zlekceważenie otrzymanych wiadomości o ogólnej mobilizacji w Prusach Wschodnich (dnia 9.VII widziałem w O.II afisz niemiecki, powołujący poborowych do 50-go roku życia w

terminach od 9.VII do 16.VIII) i koncentracji w lipcu nad granicą wschodnią i Słowacji większości niemieckiej armii.

— za niezarządzenie w wykorzystaniu tych wiadomości powołania we wcześniejszym terminie tej ilości rezerwistów, na jaką broń była, i nieprzeprowadzenie transportów operacyjnych w tym czasie,

— za zupełne odstąpienie granicy wschodniej,

— za zupełne niefunkcjonowanie służb zaopatrzenia, zdrowia i transportów,

— za fałszywą polską doktrynę w Armii, nie liczącą się z postępem techniki,

— za brak kierowania operacjami,

— za opuszczenie posterunku, gdy Armia się jeszcze biła...” (L.dz.594/39).

Marszałek Rydz-Śmigły zgodził się na nominację i w dalszym ciągu godził się z działalnością Ministra generała Kasprzyckiego. Sam też powołał generała Wacława Stachewicza na stanowisko Szefa Sztabu Głównego.

Obie nominacje, jak to wykazałem powyżej, nie były szczęśliwe. Obie były szkodliwe dla Polski, choć indywidualna wina obu generałów jest zupełnie odmienna.

Innych zasadniczych zmian na stanowiskach Inspektorów i innych kierowniczych Marszałek Śmigły-Rydz nie przeprowadził. Pozostałych więc generałów scharakteryzuję przy omawianiu ich wyznaczenia na stanowiska dowódców w przededniu wojny i ich działalności na tych stanowiskach podczas kampanii.

Tutaj jeno, dla uwypuklenia tego, jak wojsko i społeczeństwo oceniało naszych przyszłych na wojnie dowódców — kilka wyciągów ze sprawozdań:

Pewien generał pisze:

„...w połowie sierpnia był u mnie w Grudziądzu gen. bryg. Krzisch i zobrazował mi stan personalny wyższych dowódców jak i stan materialny (techniczny) Armii w jak najczarniejszych barwach. Mówił, że większość bardzo wysoko postawionych generałów to ignoranci wojskowi. Wiedziałem, że wielu postawionych generałów nie dorosło do swego stanowiska, ale uważałem wówczas, że Krzisch przesadza, że zrobił się nie tylko pesymistą, lecz już defetystą. A jednak miał rację...” (L.dz.407/39).

Pewien zaś pułkownik:

„...Na pytanie kolegów, jak oceniam nasze wojsko — zwy-

kle odpowiadałem: wojna przyszła wykaże wartość wojska, a przede wszystkim będzie to egzamin dla naszego dowództwa, o poziomie którego odzywałem się bardzo pesymistycznie. Znałem doskonale wewnętrzne stosunki w korpusie oficerskim... Ponadto stykałem się z kolegami poza służbą i były mi znane zdumiewające pokojowe wyczyny poszczególnych dowódców w czasie manewrów, świadczące o ich poziomie intelektualnym i moralnym..." (L.dz.484/39).

Anonimowy autor uwag „U źródeł polskiej niemocy wojskowej” pisze:

„...Najbardziej charakterystyczną cechą górnej warstwy były wielkie przeskoki w karierze wojskowej. Nasi generałowie przeszli po wojnie polsko-rosyjskiej przez tzw. weryfikację, która wynagrodziła ich prawdopodobnie hojnie wysokimi szarżami. Jako jeden z bardziej drastycznych, ale nie odosobnionych wypadków, można by przytoczyć nazwisko dość znanego generała, który będąc jeszcze na jesieni 1920 roku porucznikiem, został pułkownikiem już w 1924 roku. Taka błyskawiczna i nigdzie niespotykana kariera miała tę niedogodność, że oficer, przeskakując kilka szczebli, stawał się z otrzymaniem stopnia zwykłym dyletantem. Oczywiście można to było nadrobić dalszym szkoleniem samego siebie, co jednak wymaga pracowitości, której notorycznie brakowało naszym generałom. W czasie pokoju i przy naszej organizacji wojska ambicje ich zaspokajały zwykle generalskie dystynkcje.

W wyniku góra wojska znała się dość dobrze i — co było bardzo charakterystyczne — interesowała się szczególnie i z zamiłowaniem taktyką drużyny, plutonu, kompanii. Na tych bowiem szczeblach zażyło wielu naszych generałów przygód wojennych. Natomiast znali się znacznie gorzej na taktyce broni połączonych, a na wyższych szczeblach dowodzenia zawadzili. Zastraszające braki ujawniły się pod tym względem od szeregu lat prawie na wszystkich manewrach i grach wojennych. Szczególnie wyraźnie wystąpiły braki w operacyjnym wyszkoleniu wyższych dowódców. Generalny Inspektor i Szef Sztabu Głównego zdawali sobie sprawę z tej wielkiej bolączki wojska, tylko nie wiadomo w jakiej mierze. W każdym razie Generalnemu Inspektorowi albo nie starczyło energii, albo nie doceniał w całej rozciągłości tego zagadnienia, albo też wreszcie, co jest prawdopodobne, nie miał dość czasu, aby radykalnie przeciąć narastający z roku na rok wrzód. Ale dobro wojska i dobro państwa wymagało mocnej decyzji, odrzucenia względów koleżeństwa, wspólnej służby legionowej itp. O zbyt wielkie rzeczy chodziło. Należało

usunąć generałów, których impotencja operacyjna była znana i nieuleczalna, trzeba było natychmiast wznowić centrum wyższych studiów wojskowych nieczynne już od 1933 roku i powindować jego program na szczebel operacyjny, natomiast zaniechać uprawiania na nim — jak to było praktykowane — taktyki na szczeblu piechoty dywizyjnej, trzeba było wreszcie radykalnie zmienić tematy wielkich gier wojennych, na których zbyt wiele czasu poświęcano rozgrywaniu takich drobiazgów jak np. działanie oddziału wydzielonego wysuniętej kawalerii dywizyjnej, nocnego wypadu itp.

Obok słabego wykształcenia operacyjnego, górę naszego wojska charakteryzowało lekceważenie warunków czasu i przestrzeni. Odbijało się to bezpośrednio na sztabach, którym zadawano do wykonania prace w fantastycznie krótkich terminach. W skutkach doprowadzało to do marnej i denerwującej pracy „po łebkach”, która po krótkim czasie okazywała się błędna w wykonaniu, a często nawet w założeniu. Wówczas plody pośpiesznej, nocnej, wieczorowej, świątecznej pracy wielu oficerów składano *ad acta* albo też zaczynało wszystko od początku. Ten dziwny pośpiech, stałe zdenerwowanie, przerzucanie się od jednego pomysłu do całkiem innego i powierzchowność wykonania były najbardziej charakterystyczną cechą naszych generałów. Niepokój ten udzielał się i sztabom i jak zwykle spadał całym ciężarem dopiero na karki oddziałów, bądź w formie ustawicznych zmian w rozkazach, przepisach, regulaminach, bądź też na ćwiczeniach w terenie w formie nieprawdopodobnie długich i szybkich marszów, błyskawicznych natarć, natychmiastowej gotowości artylerii itp. Wszystko uspokajało się dopiero wówczas, gdy powstał ogólny chaos, w którym już nikt nie mógł się zorientować.

Ta nerwowa działalność naszych generałów nie była i nie mogła być naszym hamowana. W naszym wojsku tylko dowódca miał przywilej decydowania i rozkazywania. Sztab był tylko wykonawcą woli dowódcy. Założeniem takiej zasady jest, że dowódcy znajdują się na odpowiednim poziomie charakteru i wykształcenia. Ta sama zasada jest jednak zabójcza wszędzie tam, gdzie dowódca jest niedołągą. Toteż np. w niektórych armiach w okresie wojny światowej szefowie sztabów byli współodpowiedzialni za przeprowadzenie operacji, ponieważ dowódcami byli dość często ludzie wyniesieni na te stanowiska bardziej z powodu swego wysokiego pochodzenia, niż prawdziwych zalet dowódczych. Ponadto dowódca pobierał decyzję po wysłuchaniu ogólnej oceny położenia, przedstawionej przez szefa sztabu, czy też szefów oddziałów sztabów. W ten sposób utrudniano powzięcie pośpiesznej, przypadkowej i nerwowej decyzji dowódcy.

Wprowadzono czynnik rozumowy, który powinien reprezentować sztab, do czynnika woli, który jest głównym atrybutem dowódcy. Ta sprawa była u nas wprawdzie w teorii przyjęta, jednak w praktyce rzadko przestrzegana. Nawet w Wyższej Szkole Wojennej nie stanowiła niezłomnej zasady, lecz była stosowana tylko od święta.

Można by z tego wyciągnąć łatwo pośpieszny wniosek, że w takim razie musieliśmy mieć dowódców zdolnych do samodzielnych błyskawicznych i wspaniałych decyzji. Nic podobnego. Na ogół mieliśmy pod tym względem dwa typy generałów. Jedni — i tych była przynajmniej większość — nie byli wcale zdolni do pobrania jakiejś możliwej decyzji przynajmniej w położeniach bardziej trudnych. Generał takiego typu przyciśnięty jednak do muru musiał się wreszcie zdecydować. Wówczas mógłby sztab dojść do głosu, ale brak metody pracy doprowadzał zazwyczaj do tego, że dowódca wołał zaufać jakiejś bardziej impulsywnej jednostce i ona stawała się pokątnym, a więc nie odpowiedzialnym radcą generała. Innym znowu typem był dowódca, który strzelał decyzjami jak z karabinu maszynowego. Było to jeszcze gorsze w skutkach, takie decyzje były bowiem odruchami, które przystoją drużynowemu, dowódcy plutonu, rzadziej dowódcy kompanii, a już nigdy na wyższych szczeblach. Decyzja dowódcy armii wypływa z szeregu najróżniejszych czynników, które trzeba przede wszystkim uchwycić, a później zanalizować. Dowódca armii odpowiadający na otrzymany meldunek natychmiastowym odruchowym rozkazem powinien dobrowolnie odmłodzić się skuteczną metodą leczniczą i powrócić na stanowisko, które zajmował u progu swej kariery wojskowej.

Ogólnie, góra naszego wojska byli to nerwowie improwizatorzy, pozbawieni solidnych podstaw wyszkolenia...”

Mógłbym takich głosów przytaczać bez liku. Ale te chyba wystarczą.

Toteż nie dziw, że człowiek cywilny, z dala stojący od wojska i nie wtajemniczony w „tajemnice” operacyjne i inne wojskowe, oceniał naszych generałów, jak poniżej:

„...nasuwają się słowa nestora polskiej publicystyki, Władysława Studnickiego, w rozmowie ze mną w czasie wyborów do senatu na jesieni 1938 roku: „...durne nasze generały myślą wojnę wygrać...” Jak proroczco spełniły się te słowa wielkiego Polaka, który według opinii reżimu ówczesnego, nie był godzien w Polsce Niepodległej krzesła senatora...” (L.dz.484/39).

Realnych danych do stwierdzenia, *jakiego nam wojska po-*

trzeba² i jakich planów wojny (w najszerszym tego słowa znaczeniu), aby się skutecznie obronić w wojnie z Niemcami³ mogła dostarczyć wielka gra wojenna, rozegrana osobiście przez Generalnego Inspektora z Inspektorami Armii, Szefem Sztabu Głównego, Komendantem W.S.Woj. i co najwybitniejszymi generałami spośród dowódców korpusów, Wielkich Jednostek piechoty i kawalerii oraz przy współudziale co najwybitniejszych oficerów dyplomowanych. Założenie do tej gry — opracowane przez Oddział III Sztabu Głównego — opierałoby się na wiadomościach Oddziału II odnośnie Niemców i na rzeczywistych możliwościach mobilizacyjnych wojska polskiego w roku 1935.

Tylko taka gra wojenna mogła dać nieoceniony wprost materiał: — dla stwierdzenia słuszności zasadniczej koncepcji strategicznej, powziętej przez Generalnego Inspektora i dla wprowadzenia ewentualnych zmian i poprawek. Jeżeli hr. Schlieffen obliczył, że musi mieć taką a nie inną ilość Wielkich Jednostek w korpusach i armiach na prawym skrzydle, aby móc w odpowiednim czasie sforsować (*überrennen*) Belgię i zepchnąć armię francuską na Marnę i dalej na południe, to nie tylko sam to wykombinował w długiej pracy myślowej i na mapach, ale przede wszystkim sprawdzał całość koncepcji jak i różne fragmenty planu na niezliczonych grach wojennych, które sam prowadził, a rozgrywał z przysłymi dowódcami armii, korpusów i Wielkich Jednostek, i oficerami Sztabu Generalnego. Równocześnie ze stwierdzeniem słuszności zasadniczej koncepcji i ewentualnym wprowadzeniem do niej zmian, taka gra wojenna dostarczyłaby dopiero odpowiedzi: ile armii, korpusów, dywizji i broni pozadywizyjnych Polska potrzebuje w chwili wojny, aby móc przeprowadzić skuteczną obronę, więc też: jakie wojsko Polska musi mieć w czasie pokoju, aby zdołało potrzebną armię wystawić. Nie jest to tematem tej pracy, więc nie rozprawiam tej myśli dalej. Ale każdy fachowiec wie, że dopiero taka gra wojenna dostarczyłaby dane zasadnicze do opracowania planów wojny (początkowego rozwinięcia, pierwszej bitwy tak zwanej „granicznej”, dalszego prowadzenia wojny według kilku wariantów zależnie od różnych hipotez). Z planów wojny mogły dopiero wynikać: plan koncentracji, plan rozwinięcia, plan mobilizacyjny, plan transportów, plan fortyfikacji itd., itd. — nie zapominając o dalszych pochodnych: jak plan budownictwa (na przykład dworce, szkoły), plan rozbudowy

2. Pod względem ilości Wielkich Jednostek, rodzaju Wielkich Jednostek, jakości i ilości uzbrojenia, organizacji sztabów, służb, przygotowania i rozmieszczenia zasobów oraz potrzeb transportowych i ilości i jakości wojsk pancernych, ciężkiej i najcięższej artylerii i lotnictwa.

3. Dotyczy to oczywiście również wojny z Rosją, Litwą itd.

przemysłu, plan rozmieszczenia zasobów itd., itd. — I G.I.S.Z. i Sztab Główny i M.S.Wojsk. i korpusy miałyby rzetelnej roboty, realnej pracy na lat kilka. W miarę rozwoju nowych broni nowe gry wojenne dostarczałyby nowych danych do wprowadzenia zmian w opracowanych już planach.

Ale tej gry wojennej Marszałek Rydz-Śmigły nigdy nie przeprowadził.

Toteż „... G.I.S.Z. nic nie miał do roboty, a Oddział III Sztabu Głównego zajmował się fragmentami wojny na wschodzie, a M.S.Wojsk. pracowało z dnia na dzień, bez myśli przewodniej i planu, jakby Polska leżała na odludnej wyspie...”

Przygotowaniu kampanii jesiennej poświęcam osobny rozdział na dalszych stronach. Ale już tutaj stwierdzam, że w ogóle *plan wojny z Niemcami nie był nigdy opracowany, a „plan op.”, jak go nazywa pułkownik Jaklicz, zaczął Sztab Główny opracowywać w marcu 1939 roku.*

Taka gra wojenna pozwoliłaby poza tym nie tylko przyszłym dowódcom Armii, Korpusów i Wielkich Jednostek oraz oficerom dyplomowanym poznać *o co chodzi, i gdzie, co, i jak, i w jakim czasie* ma być, ale dałaby również możliwość Generalnemu Inspektorowi poznać zdolność, wartość i przydatność przyszłych dowódców i oficerów dyplomowanych, a niedających się usunąć. Ta gra i następne przyczyniłyby się dodatkowo do poznania się wzajemnego i zgrania sztabów, którego brak tak fatalnie zaciążył na przebiegu kampanii jesiennej.

Niestety takiej gry wojennej Marszałek Rydz-Śmigły nigdy nie przeprowadził. Toteż *nic nie było przemyślane, nic nie przygotowane, wszystko było w czasie pokoju blagą i bluffem, praca G.I.S.Z. i Sztabu Głównego nieuczciwą, przygotowanie do wojny od marca 1939 roku nieudolną improwizacją.*

Wynik: niestłuchana i hańbiąca klęska, Polska przegrała wojnę, zanim ta wojna w ogóle wybuchła.

Niemcy to dobrze wiedzieli. Gdyby Polska była przygotowana do wojny, prawdopodobnie wojny by Niemcy nie rozpoczęli.

Gdyby ją rozpoczęli, wynik mógł być jednak zupełnie inny: długotrwałe walki, skrwawienie się nieprzyjaciela, operacyjnie pięknie rozegrana, ewentualne pertraktacje lub uderzenie sprzymierzonych.

Że tak nie było, jest winien Marszałek Rydz-Śmigły.

Scheda, jaką objął po Marszałku Józefie Piłsudskim, może być tylko okolicznością łagodzącą, nigdy uniewinnieniem.

Może od maja 1939 roku do września 1939 roku nie było można uzbroić Wojska Polskiego tak, jakby to było możli-

we, gdyby już od maja 1926 roku do wybuchu wojny przezbrajano wojsko stale w nowoczesną broń, „jakby wojna mogła jutro wybuchnąć”.

Nie ulega kwestii (o czym jeszcze będzie mowa później), że nawet (w okresie 1935-1939) bynajmniej nie zrobiono wszystkiego, co było możliwe, aby wojsko polskie lepiej uzbroić. I pod tym względem zaniedbania były skandaliczne, a spowodowane były nie tyle brakiem pieniędzy, co raczej niestychaną lekkomyślnością, bez troską i brakiem poczucia obowiązku czy też niepojętym brakiem zrozumienia Generalnego Inspektora, Ministra i — częściowo — Szefa Sztabu Głównego.

Jeżeli atoli w brakach uzbrojenia argument pieniężny jest częściowo przynajmniej słuszny i musi być brany pod uwagę, dla obiektywnie sprawiedliwej oceny, o tyle brak planów wojny, brak przygotowania dowódców, brak reorganizacji Naczelných Władz Wojskowych, brak przygotowania sztabów do pracy wojennej i brak eliminacji miernot i szkodników i kompletne nieróbstwo w tej dziedzinie tak Generalnego Inspektora jak i Szefa Sztabu Głównego są już nie skandalem, ale zbrodnią wobec Polski. Te prace — patrząc w skali państwowej — nic nie kosztowały pieniędzy. Wymagały jeno troszkę poczucia obowiązku i osobistej pracy.

Z powyższego jeden tylko może być wniosek: przez karygodną lekkomyślność, przez brak poczucia odpowiedzialności, którą zbyt lekko traktował — Marszałek Rydz-Śmigły nie spełnił swego jedynego prawdziwego obowiązku, jaki wziął dobrowolnie na siebie w maju 1935 roku: nie przygotował wojska polskiego i Państwa do wojny.

Oto uwagi oficerów:

„...Marszałek Śmigły-Rydz ponosi odpowiedzialność za:

- złą organizację naczelnego dowództwa,
- nieprzygotowanie wojny polegające na braku planu wojny i braku uzbrojenia,
- niedowodzenie armią i opuszczenie jej, tak że Hitler w swej mowie gdańskiej mógł powiedzieć: Naczelný Wódz Polaków zostawił kobiety i dzieci, by Warszawy broniły, a sam skrył się do Rumunii.

Jest przepis w marynarce, że gdy okręt tonie, kapitan nie może opuścić statku, jak długo choć jeden mąż załogi lub pasażer jest na statku. To samo obowiązuje i każdego dowódcę. Gdy oddział cofa się w niebezpieczeństwie, dowódca cofa się ostatni.

Pomijając już całe zaniedbanie w przygotowaniu wojny, pomijając niedowodzenie, bo to trzeba umieć, gdy miało się tak

bezagraniczny kredyt u narodu, należało ratować to, co jest dla każdego człowieka możliwe: honor. Stanać przy tych resztkach armii, może obecność tego bożyszczka byłaby bodźcem jakiejś Samosierry, stanać i przejść z ostatnim żołnierzem granicę, bijąc się. To by jeszcze dało tę pociechę narodowi, że pomylił się w zdolnościach, nie zawiódł się na człowieku..." (L.dz.594/39).

Mimo wszystko, w tym okresie maj 1935 — marzec 1939 niewątpliwie praca ruszyła na wielu odcinkach wojskowych, między innymi w dziedzinie planu mobilizacji, w organizacji nowych jednostek oraz wyposażenia wojska w broń przeciwpancerną, działka i działa przeciwlotnicze oraz nowe typy samolotów.

Po prostu przestał działać czynnik, który „nie pozwalał pracować”. Nie chcąc bynajmniej ujmować zasługi w tej dziedzinie ani Marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu, ani generałowi Stachiewiczowi, ani wreszcie ich najbliższym współpracownikom, twierdzą jednak, że nie może to znów być specjalnym tytułem do chwały dla wyżej wymienionych naczelnych władz wojskowych, gdyż praca w tej dziedzinie była nie tylko ich zwykłym obowiązkiem, ale poza tym była wykonywana niesłuchanie popołnie i w stopniu zupełnie niedostatecznym i w stosunku do poprzednich zaniedbań, gwałtownych potrzeb i powagi chwili, więc krótkości czasu.

Dzisiaj dla usprawiedliwienia win sanacji pewne koła szafują szeroko argumentem, że takie mocarstwa, potęgi finansowe i przemysłowe, jak Anglia i Francja, też nie były uzbrojone i też nie były gotowe do wojny.

Nie wchodząc tutaj w analizę słuszności czy niesłuszności takiego twierdzenia o nieuzbrojeniu Anglii i Francji, jako zagadnienia do niniejszego tematu nie należącego, stwierdzam jedynie, że to jest *argument użyty obtudnie i świadomie fałszywie* dla wybielania reżimu sanacyjnego.

Nasze władze miały jedno zadanie i jeden obowiązek: bronić naszej z takim trudem odzyskanej niepodległości.

Chodzi więc o odpowiedź na pytanie: czy *nasze* władze spełniły *swój* obowiązek wobec naszego Narodu i naszego Państwa.

Nadzieje, które w wojsku wzbudziły zupełnie już wyraźnie w 1936 roku widoczne wyniki pracy zbrojeniowej, zaczęły szybko opadać wobec żółtawego tempa tej pracy jak i pracy organizacyjnej, wobec zupełnie wyraźnej bezplanowości wszystkich nieomal posunięć materiałowych i personalnych oraz wobec chronicznego braku decyzji i braku zmian na lepsze w najżywotniejszych zagadnieniach wojska. W bezustannych na ten temat rozmowach oficerów zawodowych wszystkich stopni,

tak w sztabach jak i w pułkach, głośno już podkreślano groźny i z dniem każdym groźniejszy wzrost potęgi militarnej Trzeciej Rzeszy, a naszych okropnych braków we wszystkich dziedzinach w wojsku. Ten sam korpus oficerów zawodowych, na który dzisiaj bezkarnie na terenie emigracyjnym rzucają kalumnie publicyści tacy, jak Pruszyński, Zbyszewski i inni, a patronuje im i gościny udziela w subsydiowanym przez Rząd Polski piśmie pan Zygmunt Nowakowski, do reszty podrywając autorytet władzy i dyscyplinę resztek wojska polskiego za granicą, ten sam korpus oficerów zawodowych widział, co się dzieje w Państwie i w wojsku, był bezsilny, nic nie mógł zmienić, i to było i jest jego tragedią. Czemu p. Pruszyński wtenczas nie pisał i nie krzyczał, jeżeli wszystko widział? W obawie przed Berezą należy chyba szukać przyczyny!

Na grach aplikacyjnych rozgrywano w tym okresie z początku trzydzieści sześć działek przeciwpancernych jako wyposażenie polskiej dywizji piechoty, w końcu trzydzieści trzy, po dziewięć na pułk piechoty i sześć jako oddział w dyspozycji dowódcy dywizji, a każdy z uczestników gry wiedział, że żadna z dywizji tego oddziału nie ma. Tak też dywizje wyruszyły na wojnę. Brak tego odvodu przeciwpancernego w ręku dowódcy dywizji zaciążył fatalnie na przebiegu działań podczas kampanii jesiennej.

W 1938 roku major dyplomowany artylerii Jan Milewski ogłosił w *Przeglądzie Artyleryjskim* cykl artykułów pod tytułem „Bezbronność artylerii w walce z czołgami”, w którym, na podstawie żmudnych obliczeń szybkości bojowej czołgów, szybkostrzelności naszych dział różnego kalibru, szybkości lotu pocisku, prawdopodobieństwa trafienia i innych jeszcze danych, jak na przykład regulaminy niemieckie, oraz powołując się na bogatą w tej dziedzinie literaturę zagraniczną, zwłaszcza niemiecką, udowodnił, że artyleria polska zostanie nieomal bezkarnie zniszczona przez czołgi niemieckie i wysunął postulat, że każda bateria artylerii polskiej, a zwłaszcza baterie haubic i baterie ciężkie, winny otrzymać dla własnej samoobrony organicznie przynajmniej po dwa działka przeciwpancerne. W przeciwnym razie artyleria polska nie tylko nie będzie mogła spełnić swego zasadniczego i regulaminowego zadania „torowania w walce drogi własnej piechocie i zwalczania nieprzyjaciela”, ale sama zostanie — nieomal bezużytecznie — zniszczona. Autor przytoczył też regulamin niemieckiego oddziału przeciwpancernego dywizji, którego jednym z zasadniczych zadań było „osłonić własną artylerię przed bronią pancerną nieprzyjaciela”.

Cykl tych artykułów nie odniósł — w naszej byłej rzeczy-

wistości muszę niestety powiedzieć „oczywiście” — żadnego skutku.

Za to jeden z młodych kapitanów dyplomowanych artylerii, który naonczas wojnę znał tylko z opowiadania, odpowiedział na łamach tegoż *Przeglądu Artyleryjskiego* artykułem, który zaczynał się od słów: „Major dyplomowany artylerii Jan Milewski szerzy defetyzm, a kończył się twierdzeniem: „Niemców pobijemy, gdyż... górujemy nad nimi duchem i... wyszkoleniem”.

Sapienti sat!

Przytoczyłem powyższy epizod tylko dlatego, aby scharakteryzować i w tej dziedzinie stosunki przedwojenne w wojsku polskim. Nie był to bowiem odosobniony wypadek. Taki sam los spotkał artykuły wielu innych oficerów, nieraz wybitnych fachowców w danej dziedzinie, jak podpułkowników Mossora i Koperskiego o broni pancernej, podpułkownika Ciałowicza i pułkownika Arciszewskiego o artylerii itp.

Armata polowa 02/26, czyli dawna połówka rosyjska, 3 calowa, przerurowana na amunicję 75 mm, w którą była uzbrojona artyleria pułkowa piechoty i artyleria konna, była już dziełem przestarzałym i mocno zużyтым, poza tym brakło tych armat na uzupełnienie artylerii konnej. Toteż — o ile się nie mylę — w roku 1937 zapadła decyzja wycofać armaty polowe 02/26 z piechoty i dać każdemu pułkowi piechoty jedną baterię czterodziałową armat polowych francuskich 75 mm, wzór 1897. Działa te miano uzyskać przez „haubizację” drugich dyonów w pułkach artylerii lekkiej. Lecz starych haubic 14/19 już brakło, a nowych polskiej konstrukcji, których model fabryczny był gotowy, tak samo zresztą jak model fabryczny nowej polskiej armaty polowej, fabryki starachowickie nie wyrabiały, gdyż Ministerstwo nie dało zamówień mimo, że wszystkie Ksusy i inne komisje dawno już je uznały za bardzo dobre i przyjęły dla wojska polskiego. Skutek był ten, że w kilku zaledwie pułkach artylerii lekkiej zamieniono w II dywizjonie armaty na haubice, a piechota armat francuskich 75 mm nie otrzymała. Nie mieliśmy też żadnych łuf zapasowych do dział francuskich.

Wystarczyło przestudiować dzieło naczelnego dowódcy artylerii francuskiej podczas pierwszej wojny światowej, gen. Herra, lub takiej samej osobistości i z tej samej wojny, ale z wojska niemieckiego, pułkownika Bruchmüllera, aby zrozumieć wagę tego zagadnienia.

Amunicji artyleryjskiej mieliśmy „na jedną do dwóch wielkich bitew” lub „na cztery do sześciu tygodni” (w cudzysłowie zwroty, użyte w memoriale generała Millera o stanie artylerii do Generalnego Inspektora na przełomie 1938/39, w końcu którego

było takie oto stwierdzenie stanu faktycznego: „Pod względem nowoczesności sprzętu artyleria polska jest wśród armii europejskich na ostatnim miejscu, za Jugosławią i Rumunią”).

Jedyna fabryka toluolu była... na Górnym Śląsku. Drugą budowano... pod Łodzią. Miała ona rozpocząć produkcję, i to na skalę niewspółmiernie małą w stosunku do potrzeb artylerii polskiej, dopiero w 1940 roku.

O motoryzacji artylerii polskiej nie ma w ogóle co mówić. I pułk artylerii motorowej w Stryju miał stary, rozklekotany zupełnie sprzęt francuski Citroëna z wojny 1914-1918. Bezskutecznie nowomianowany dowódca pułku, podpułkownik dyplomowany artylerii Tadeusz Popławski, błagał osobiście i w meldunkach pisemnych (na przełomie 1938/1939) o nowy sprzęt motorowy. Dowództwo Broni Pancерnej... dwa lata prowadziło doświadczenia nad ogumieniem kół dział, przeznaczonych do trakcji motorowej, wydało na ten cel przeszło 300.000 złotych, aby w końcu dojść do wniosku, że zagadnienie to już od kilku lat doskonale rozwiązały artylerie francuska i niemiecka. Spóźniony ten wniosek nie miał już praktycznego znaczenia choćby z braku czasu na zmotoryzowanie artylerii, przynajmniej ciężkiej. Ze sprawozdań z kampanii jesiennej wynika, że artyleria polska z powodu bomb lotniczych, ognia artylerii i ognia czołgów traciła masowo konie i nie była częstokroć w stanie doprowadzić sprzętu na pole bitwy, co decydowało o jej wyniku, lub sprzętu z tegoż pola bitwy wyciągnąć, co znów powodowało brak artylerii w następnych bitwach. *Manewr sprzętem artyleryjskim, tak ważny dla artylerii liczebnie słabszej, w tych warunkach nie był w ogóle możliwy. Zasadniczym błędem było to, że studiami nad motoryzacją artylerii zajmowało się... Dowództwo Broni Pancерnej* i na ten cel miało pewną sumę w budżecie. W tych warunkach zagadnienie motoryzacji artylerii nie mogło oczywiście ruszyć z miejsca, choćby z braku zainteresowania artylerią ze strony broni pancерnej. To tylko jedna z ilustracji kultu niefachowości, również w wojsku polskim. Drugą może być fakt, że zakupem sprzętu optyczno-mierniczego, pomiarowego i aparatów centralnych dla artylerii zajmowało się... Dowództwo Wojsk Łączności.

Poprzestaję na kilku powyższych jaskrawych przykładach, gdyż tak zagadnienia artylerii jak i pozostałych broni będą przedmiotem osobnego, obszernego opracowania. Tu wystarczy stwierdzić: gdyby nawet wszystkie inne czynniki nie zawiodły i wojna nie była się w Polsce zakończyła w przeciągu czterech tygodni, to w każdym razie prowadzenie wojny obronnej skutecznie przez dłużej niż sześć-osiem tygodni było niemożliwe z powodu braku sprzętu artyleryjskiego, łuf zapasowych, zapalników

i amunicji oraz niemożności zaopatrzenia się w tej dziedzinie w kraju. Czy dowóz zza granicy w wypadku przedłużającej się kampanii w Polsce był w stanie zaspokoić nasze niesłychane braki w dostatecznej mierze, jest zagadnieniem odrębnym.

Polskie Zakłady Inżynierii w latach 1938/39 fabrykowały trochę motocykli, odnawiały stary sprzęt pancerno-motorowy. Zamówień na czołgi nie miały. Polscy inżynierowie konstruktorzy w teje fabryce twierdzili, że każdy ich projekt „choćby najidealniej odpatrzony z modeli angielskich, amerykańskich czy niemieckich”, odrzucało Dowództwo Broni Pancernej M.S. Wojsk.

Inżynierowie ci posunęli się nawet — w marcu 1939 roku — do twierdzenia, że „ktoś w Ministerstwie, w Dowództwie Broni Pancernej, sabotażuje zamówienia, to jest wyrób czołgów i działa świadomie na szkodę wojska polskiego” oraz że „w samym P.Z.Inż. na wybitnym stanowisku w najtajniejszej komórce jest zatrudniony jakiś inżynier, narodowości rosyjskiej, który wszystkim wydaje się podejrzanym”.

Panowie ci zawiadamiali o stanie faktycznym i o swoich spostrzeżeniach *per procura* zastępcę Szefa Oddziału II, pułkownika dyplomowanego piechoty Józefa Englichta, lecz ten ich krok nie odniósł żadnego skutku.

General Piskor, który broń pancerną inspekcjonował, docenił jej ważność i ją forsował. Ale projekty jego utracił *general Stachewicz* „którego zdanie na posiedzeniach Ksus przeważało”.

General Dąb-Biernacki „...oświadczył na rozprawie sądowej w Szkocji, że był przeciwnikiem lotnictwa i broni pancernej” (Notatka z 17.VI.1941 r. i akta rozprawy).

Pewien *general*, dowódca Wielkiej Jednostki, wyraża swą opinię następująco:

„...Nie wiadomo dlaczego u nas idea rozwoju broni pancernej nie została energicznie podjęta, podobno jak wszystko z powodu braku pieniędzy (nasuwa się przy tym nieodparte pytanie — czy mieliśmy tyle pieniędzy, by zapłacić za to, co się stało, gdy całą Polskę zniszczono, nie licząc zupełnie zmarnowania tak wspaniałego kapitału zaufania, jaki reprezentował cały naród polski) — utarł się przy tym pogląd, że pocisk zwycięża pancerny — trzeba więc iść w kierunku broni przeciwpancernej, mimo, że *Rembertów* reprezentował inny pogląd — owszem, broń przeciwpancerną tak, ale i broń pancerną, bo bez niej nie ma działań ofensywnych w nowoczesnej wojnie — naturalnie i przede wszystkim silnego lotnictwa.

Tymczasem myśmy zdecydowanie nie poszli w żadnym z

tych kierunków. Owszem, bezpośrednio przed wojną sprzedaliśmy Rumunii za 40 milionów złotych działka ppanc. Oficer z Rembertowa wchodził w skład tej komisji (mjr Bilik)...” (L.dz. 442/40).

Najkapitałniejsze pomysły i wynalazki, które w innych armiach natychmiast by wykorzystano, a autorów ich czy wynalazców hojnie wynagrodzono pieniędzmi i ozdobiono orderami, u nas albo ginęły na „drodze urzędowej”, albo je oficjalnie odrzucono, albo przeciwdziałano — dla prywaty — ich realizacji w sposób potajemny, albo wreszcie poddawano je próbom kilkuletnim i w ten sposób nie zostały nigdy uprzystępnione wojsku.

Było tak z wynalazkiem kapitana Stróżyńskiego (drewniany pocisk 75 mm, którego oś podłużną stanowiła lufa polskiego karabinu Mauzera wz. 98. Bez jakichkolwiek innych zmian czy przeróbek było można strzelać dla sprawdzenia sprawności obsługi i pracy celowniczego zwykłą amunicją karabinową do poruszających się modeli czołgów czy innych celów z dział 75 mm).

Było tak też ze „skrzynką” wynalazku kapitana Jankowskiego, która w sposób automatyczny w przeciagu kilkunastu sekund dawała te same wyniki dla strzelania artyleryjskiego jak kilkudziesięciminutowa praca nad „Arkuszem obliczeń”.

„...przed 4 lata w Rembertowie skromny kpt. Kula z Komisji Doświadczalnej (obecny tutaj w Paryżu) wynalazł bezkonkurencyjny granat ppancerny, który do początku wojny nie ujrzał światła dziennego — mimo poczynionych zupełnych doświadczeń i gotowości do produkcji. O tym dowiedziałem się bezpośrednio przed wojną. Przyczyna tkwi w tym, że kpt. Łopatto, pracujący w Instytucie Technicznym Uzbrojenia, miał też ambicje wynalazcy granatu ppanc., zresztą nieudanego i dlatego celowo nie dopuścił do produkcji granatu kpt. Kuli.

Granaty te byłyby ogromnie wzmocniły walkę z bronią pancerną. Kpt. Kula miał jeszcze cały szereg innych wynalazków bardzo udatnych i potrzebnych armii, jak np. zakręty sygn. — demonstrowane w Rembertowie — nie wiadomo również dlaczego nie zostały wprowadzone w życie. Jak mógł oficer (kpt. Łopatto) pełnić funkcję referenta spraw w I.T.U., w których osobiście być zainteresowany. Konstruktorem granatu, którego popierał kpt. Łopatto, był urzędnik I.T.U. niż. Maciejewski. W rezultacie armia pozostała bez granatu ppanc. na wojnę.

Przecież kpt. Łopatto w interesie dobra Polski, zwłaszcza że groźba wojny nad nami wisiała, powinien był głowę skłonić przed wynalazkiem kolegi i natychmiast dążyć do produkcji, tym bardziej, że miał takie zalecenia...” (L.Dz.442/40).

Jeszcze w roku 1935 Ksus zdecydował szybkie zaopatrzenie pułków piechoty w moździerz 150 mm. Postulaty zostały postawione. Konstruktorzy nadzwyczajnie je rozwiązali. Model fabryczny, przy próbnym strzelaniu w Zielonce przewyższał wszelkie oczekiwania. Siła pocisku była znacznie większa niż pocisku 155 mm francuskiej haubicy. Trafny strzał w mojej obecności w Zielonce (latem 1938 r. — daty nie jestem pewien) przebił schron kilkumetrowej grubości z grubych bierwion wraz z dwumetrowym nasypem piasku lotnego. Schron ten nasi saperzy z Modlina budowali dwa tygodnie. Wszystkie komisje przyjęły ten moździerz. Tylko Pan Minister... nie miał widocznie czasu na wykonanie uchwał Ksus, zatwierdzonych przez Generalnego Inspektora. Toteż przemysł nie dostał zamówień.

O tym właśnie moździerzu pisze pewien Generał:

„...Otóż taki moździerz był gotów całkowicie do produkcji już przed dwoma laty. Opowiadał mi o tym z wielką goryczą kierownik komisji doświadczalnej ppłk dypl. Dmytrek jeszcze na parę miesięcy przed wojną.

Wiadomą rzeczą było, że ogniowo pułk piechoty niemiecki był silniejszy znacznie jeśli chodzi o dotację artylerii pułkowej, ponadto rozporządzał właśnie moździerzami 170 mm — poza tym, jeśli chodzi o k.m., ten był mocniejszy nieco, bo każda kompania piechoty rozporządzała organicznie dwoma k.m. — natomiast nasz c.k.m. technicznie był lepszy.

Chodziło więc o to, że naszemu pułkowi bardzo były potrzebne takie moździerz jako ostateczny dyspozycyjny środek ogniowy dowódcy pułku w natarciu.

Pan Minister Spraw Wojskowych, gen. Kasprzycki, na dwa czy też półtora miesiąca przed wojną kazał urządzić sobie pokaz strzelania z tego moździerza na poligonie w Rembertowie i ostatecznie dopiero wtedy kazał uruchomić produkcję — ale w najlepszym wypadku pierwsza seria produkcji mogłaby się być okazać dopiero w styczniu 1940 r. Według oceny ppłk. dypl. Dmytraka. To samo mogłoby się być stać dwa lata wcześniej...” (L.dz. 442/40).

Tak jak wystawienie „Suma” na wystawie w Paryżu było błagą i bluffem, tak samo generał Kasprzycki, będąc w maju 1939 roku, opowiadał Francuzom cuda o naszym dziale 155 mm „Starachowice”. Model fabryczny takiego działka rzeczywiście istniał. Rozwiązanie konstrukcyjne bardzo udane. Podczas próbnych strzelań w obecności generała Przedzrymirskiego oraz generała Millera i podpułkownika Ciałowicza osiągnięto największą donośność 28 kilometrów przy idealnie małym rozrzucie, co nale-

zy uważać za rezultat doskonały. Ale przejście na fabrykację seryjną wymagałoby około ośmiu-dziesięciu miesięcy pracy, a wypuszczenie pierwszej serii dobrego jednego roku. Najwcześniej więc w 1941 roku wojsko polskie mogło otrzymać pierwsze działa tej produkcji. Ale generał Kasprzycki w taki sposób przedstawił podczas konferencji z generałem Gamelin fakt fabrykowania tych dział przez nas, że jeden z generałów francuskich spytał się, *czyby Polska kilku takich dział nie mogła odsprzedać Francji* (opowiadał ppłk dypl. art. Jan Ciałowicz).

Tak samo było w lotnictwie:

„...Przewidywanie ilości samolotów, potrzebnej do obrony kraju, należy do kompetencji Sztabu Głównego. On też ponosi część odpowiedzialności za niedostateczne zaopatrzenie naszej armii. Ilości samolotów zamawiane były stale za mało. Dziś żaden z oficerów Sztabu Głównego nie podpisałby się na pewno pod decyzją, że 200 Karasiów wystarczy na polskie potrzeby. Sztab nie może w tym wypadku powoływać się na trudności budżetowe, raz dlatego, że 500 Karasiów nie kosztowałyby nawet dwa razy tyle co 200, a po wtóre dlatego, że wszyscy twierdzili zgodnie, że 200 jest cyfrą aż nadto wystarczającą, czego dowodem może być fakt, że dodatkowe zamówienie na 50 Karasiów w roku 1937 fabryka otrzymała dopiero wtedy, gdy pracowała 3 dni w tygodniu i zaczęła masowo zwalniać pracowników...

Podobna sytuacja wytworzyła się w roku 1939 i tu *należy specjalnie podkreślić winę Sztabu Głównego, który mimo informacji swego Oddziału II unieruchomił produkcję jednej właściwie fabryki na około 9 miesięcy przed wojną oraz zezwolił na wywóz za granicę czterdziestu kilku samolotów P.Z.L. 43, które stanowiły jedyny realny dorobek fabryki za ten okres. Unieruchomienie P.Z.L. W.P.1. odbyło się w ten sposób, że przerwano produkcję Łosiów, którą przerzucono do W.P.2. w Mielcu, polecając fabryce warszawskiej przygotować się do serii dwóch nowych typów Sum i Jastrząb. Tak ani jedna ani druga wytwórnia nie wyprodukowały w roku 1939 właściwie nic. Mielec wypuścił co prawda 4 czy 5 Łosiów, ale zmontował je przeważnie z części wykonanych w Warszawie w roku 1938 — Warszawa zaś przygotowywała serię Jastrzębi i Sumów, przy czym stałe przerzucanie głównego nacisku z jednego typu na drugi zwiększało nieporządek i opóźniało i tak trudną robotę związaną z uruchomieniem nowej serii. Prawdziwym celem takiej polityki ze strony D-twa Lotnictwa była chęć wprowadzenia w błąd rządu i społeczeństwa, o czym najlepiej może świadczyć*

wystawienie jedyne go prototypu samolotu Sum na wystawie w Paryżu oraz montowanie w Mielcu Łosiów, by w maju popisać się produktywnością tej wytwórni, co oczywiście byłoby niemożliwym, gdyby trzeba było tam uruchomić nową serię. Należy z całą stanowczością stwierdzić, że wobec stanu rzeczy zwiększenie ilości godzin pracy w W.P.I. było wykluczone i nie dałoby żadnych wyników, fabryka była chora na zmianę typów. Gdyby natomiast prowadzono dalej produkcję Łosiów, to ze względu na dużą wprawę oraz przy użyciu dwóch zmian po 10 godzin można było wypuszczać przez wszystkie miesiące od marca do sierpnia minimum po 20 sztuk miesięcznie Łosi, robiąc jednocześnie około 15 Karasi miesięcznie...

Wynika z tego jasno, że nikt nie umiał objąć całości zagadnienia..." (L. dz.495/39).

A przecież rozmach w rozbudowie lotnictwa niemieckiego był znany:

„...Meldunek o powyższym planie (rozbudowy lotnictwa niemieckiego) wraz z planem i omówieniem przesłany został Szefowi Sztabu Głównego...

...O powyższych zamierzeniach (Niemiec podwojenia ilości eskadr do końca 1936 r., to jest wystawienia 96 eskadr) poinformowane zostały wszystkie nasze naczelne władze...

...Z rozkazu Szefa Sztabu Głównego na wiosnę 1936 r. w związku z ogólną rozbudową niemieckich sił zbrojnych zarządzone zostało opracowanie 'Studium rozbudowy sił zbrojnych rzeszy niemieckiej'... W studium powyższym przewidywaliśmy możliwość wystawienia przez Niemcy do końca 1938 r. około 220 eskadr, w tym około 110 eskadr bombowych...

...Opracowanie powyższe otrzymali Szef Sztabu Głównego i Generalny Inspektor Sił Zbrojnych... Wiadomości jednak w całości wzięte pozwalały na dokładne ustalenie niemieckiego potencjału sił powietrznych..." (L.dz.43/40).

O „piątej kolumnie” będzie mowa w jednym z dalszym rozdziałów. Ale w związku z lotnictwem warto tu właśnie przytoczyć następującą wiadomość, która dotyczy przemysłu lotniczego:

„...inż. Jarmicki Zygmunt..., pracując w P.Z.L. udzielił mi w roku 1939 kilku informacji, z których zrobiłem użytek służbowy, ale również bez rezultatu. Między innymi kierownikiem działu produkcji w P.Z.L. był inż. Nowakowski Zygmunt, który świetnie orientował się w przemyśle niemieckim, miał żonę

Niemkę i podobno w domu mówił po niemiecku. Moja prośba o sprawdzenie tego osobnika przez O.II Sztabu Głównego została pominięta, a tymczasem inż. Nowakowski po przekroczeniu granicy rumuńskiej wyjechał zaraz do Bułgarii, gdzie podobno z miejsca objął posadę w fabryce lotniczej (przemysł lotniczy bułgarski jest całkowicie w rękach niemieckich)..." (L.dz.1533/40).

Przez taką kłamliwą reklamę, jak: wystawienie „Suma” w Paryżu, opowiadanie tamże generała Kasprzyckiego o dziale 155 mm polskiej konstrukcji, pokazy generała Składkowskiego posłom w podwórzu sejmu czołgów i innego sprzętu i w takim samym duchu prowadzoną przez kilka lat nieuczciwą propagandę prasową z fotografiami zawsze tego samego czołgu, czy tych samych kilku samolotów na niebie, czy tego samego działu motorowego 220 mm, wprowadzono rozmyślnie w błąd opinię zagraniczną odnośnie naszego faktycznego uzbrojenia, a usypiano czujność Narodu. RWM-T.III.3 tak dziecinnymi metodami nie dało się oszukać.

Poniższy wyciąg z uwag bezimiennego autora pod tytułem „U źródeł polskiej niemocy wojskowej” przytaczam nieomal w całości, gdyż nie tylko potwierdza wyżej opisane braki naszego uzbrojenia i wyciąga z nich wnioski taktyczne, ale poza tym stwierdza, że były pieniądze na znacznie bogatsze uzbrojenie, tylko wydawano je zbrodniczo na cele, nie mające nic wspólnego z obroną Państwa, oraz że zaniedbano wielu rzeczy, które nie wymagały żadnych wkładów pieniężnych, jak na przykład pewna reorganizacja wojska. Są to też podstawowe tezy niniejszej pracy.

„...Dochodzimy do zagadnienia, które może interesuje najbardziej powszechną opinię. Jakie było uzbrojenie naszego wojska? Czy prawdą jest, że mieliśmy pod tym względem ogromne braki? Czy to możliwe, skoro cały naród składał tak duże ofiary na dozbrojenie wojska, a czynniki tak zwane miarodajne zapewniały niezmiennie, że wszystko jest w porządku?

Otóż trzeba stwierdzić, że wszystkie głosy ostrzegawcze od interpelacji sejmowych posła Arciszewskiego począwszy, a na publikacjach Cata-Mackiewicza skończywszy, były słuszne i stan naszego uzbrojenia zupełnie nie odpowiadał określeniom: „wielkie mocarstwo wojskowe”, „jedna z największych potęg wojskowych Europy” i innym tym podobnym zestawieniom słów bez treści, którymi karmiono nasze społeczeństwo usypiając czujność narodu, a często nawet własne obawy.

Uzbrojenie naszego wojska w roku 1939 różniło się tylko

niewiele od stanu uzbrojenia w chwili zakończenia wojny 1920 roku. Zapewne wówczas mieliśmy broń bardzo różnorodnych typów, ale istota pozostawała właściwie ta sama. W uzbrojeniu piechoty jedyną pełnowartościową nowością było 9 działek przeciwpancernych, które miał nasz pułk piechoty w roku 1939, a których nie miał w roku 1920. W artylerii stan uzbrojenia polepszył się tylko nieznacznie. W roku 1920 każda nasza czteropułkowa dywizja rozporządzała jednym pułkiem artylerii lekkiej i jednym trzybaterijnym dywizjonem artylerii ciężkiej⁴, podczas gdy w roku 1939 każda trzypułkowa dywizja rozporządzała pułkiem artylerii lekkiej i i jednym dwubaterijnym dywizjonem ciężkim⁵. Artylerii najcięższej nie mieliśmy prawie zupełnie tak samo w roku 1920 jak i w roku 1939. Uzbrojenie kawalerii pozostało bez zasadniczych zmian. W wyższych związkach taktycznych sprawa przedstawiała się tak, że dywizja piechoty w roku 1939 była słabsza o jeden pułk piechoty, co wynikało z przejścia na organizację trójkową, nieco silniejsza pod względem artylerii lekkiej i słabsza pod względem artylerii ciężkiej. Poza tym miała jedną baterię 40 mm działek przeciwpancernych⁶, których nie miała w ogóle w roku 1920. Broni pancernej i lotnictwa nie miały nasze dewizje ani w roku 1920, ani w roku 1939, z tym jednak, że w roku 1939 dowódcy armii rozporządzali pewną ilością lotnictwa towarzyszącego i łącznikowego, które rozdzielali pojedynczymi plutonami między dywizje i brygady kawalerii.

Jak widać, *postęp był bardzo skromny i nie pozostawał w żadnym stosunku do tego, co się działo na całym świecie po zakończeniu wojny światowej, a szczególnie od roku 1935, w którym rozpoczął się wielki wyścig zbrojeń w Europie. Najczulszymi brakami naszych dywizji w roku 1939 była wielka, stanowczo już za wielką słabość pod względem czynnej obrony przeciwlotniczej i przeciwpancernej oraz pod względem artylerii ciężkiej.*

Jako czynny środek obrony przeciwlotniczej miały nasze dywizje po jednej 4-plutonowej baterii działek 40 mm. W założeniu plutony miały być 2-działowe, jednak z powodu braku sprzętu były w rzeczywistości tylko 1-działowe, co znacznie obniżało ich skuteczność. Taka bateria nie mogła żadną miarą

4. Moja uwaga: baterie po 4 działa = d.a.c. 12 dział.

5. Moja uwaga: baterie po 2 działa = d.a.c. 4 działa.

6. Moja uwaga: 1) nie wszystkie dywizje piechoty miały baterie plot. np. nie miały takiej baterii 24. i 30.D.P., oraz dywizje rezerwowe; 2) pozostałe dywizje piechoty aktywne miały przeważnie tylko baterię z 2 dział, gdy etatowo bateria Boforsa dla możliwości skutecznego działania miała organizacyjnie przewidziane 8 dział (= 4 plutony po 2 działa).

zapewnić swej dywizji dostatecznej ochrony od nalotów nieprzyjacielskich lotnictwa, tym bardziej, że w naszym wojsku było to szczególnie trudne do zorganizowania, ze względu na ogromną długość kolumn prawie wyłącznie o pociągu konnym. Ta słabość czynnej obrony przeciwlotniczej powodowała, że poruszenia w dzień były u nas wykluczone z wyjątkiem marszów przez gęste i duże lasy. Nawet natarcia dzienne były niezmiernie trudne do przeprowadzenia, ponieważ całe tyły dywizji, poczynawszy od stanowisk artylerii, były narażone na prawie nieskrępowane działania lotnictwa nieprzyjacielskiego.

Słabość naszych dywizji pod względem obrony przeciwpancernej polegała na braku zmotoryzowanej dywizyjnej kompanii przeciwpancernej. Wskutek tego dowódca dywizji zaalarmowany o pojawieniu się na pewnym kierunku lub też o natarciu nieprzyjacielskiej broni pancernej był zupełnie bezradny. Mógł być tylko biernym widzem, ponieważ nie miał szybkiego, ani zresztą żadnego w ogóle środka przeciwpancernego, aby go rzucić na zagrożony kierunek i powstrzymać, a przynajmniej zadać dotkliwie straty nadjeżdżającej broni pancernej przeciwnika. Ten brak, z którego zdawano sobie dobrze sprawę przed wojną, zaważył bardzo wiele na niekorzystnym przebiegu walk naszej piechoty z nieprzyjacielskimi czołgami.

Pod względem artylerii ciężkiej wszystko wydawało się w porządku, ale tylko na pierwszy rzut oka. Dywizja miała swój dywizjon ciężki, co powinno było zapewnić jej niezbędne minimum ognia artylerii bardziej dalekonośnej i większego kalibru. Rzeczywistość jednak była taka, że ze względu na brak zasobów i ze względów oszczędnościowych, dywizjony ciężkie były dwubateryjne; przy czym jedna bateria była uzbrojona w armaty 105 mm, a druga w haubice 155 mm. *Był to zespół dokładnie taki sam, jakby kto sprzął gorącego konia z wolem.* Do zupełnie czego innego używa się bowiem sprzętu 105 mm, a do czego innego 155 mm. *Dowódca takiego dywizjonu mógł więc działać tylko pojedynczymi bateriami na różne cele, czyli w najgorszy sposób, jaki można sobie wyobrazić. Zamiast bowiem skupiać ogień, musiał go już w założeniu rozpraszać.*

Tak wyglądały braki w dywizji, a były one jeszcze większe na szczeblu armii. Zapewne niewielu ludzi w Polsce wie, że nasze armie w roku 1939 nie miały prawie zupełnie broni pancernej. Dowódca armii otrzymywał zwykle jedną kompanię czołgów rozpoznawczych, z którą właściwie nie wiadomo było co robić. Były to tak zwane czołgi „T.K.,” lub popularnie zwane „tankietki”, o bardzo słabym opancerzeniu, nikłych możliwo-

ciach przekraczania przeszkód i słabym uzbrojeniu.⁷

Czołgi te nie nadawały się w ogóle do współdziałania z piechotą, a mogły być użyte, i to z różnymi zastrzeżeniami, tylko do rozpoznania. Zresztą także drugi typ naszych czołgów, tzw. Vickersy, były sprzętem zbyt lekkim i nie nadawały się do współdziałania z piechotą w natarciu na pozycję główną nieprzyjaciela, lecz mogły być użyte dopiero po przełamaniu jej przez piechotę, czyli nadawały się właściwie tylko do wykorzystania powodzenia odniesionego siłami piechoty. Ostatecznie dowódca armii w roku 1939 był pod względem broni pancерnej prawie w takim samym położeniu, jak w roku 1920, a może w jeszcze gorszym, bo kompania pełnowartościowych na owe czasy czołgów Renault zapewniała bezwzględne powodzenie tam, gdzie została wprowadzona, natomiast kompania czołgów „T.K.” lub Vickersów, którą rozporządzał w roku 1939 nasz dowódca armii, nie mogła mu w niczym pomóc.

Nielepiej przedstawiało się położenie pod względem lotniczym. Dowódca armii w roku 1939 rozporządzał jedną eskadrą rozpoznawczą, jednym dywizjonem myśliwskim i pewną ilością eskadr towarzyszących i plutonów łącznikowych. Po rozdzieleniu lotnictwa towarzyszącego i łącznikowego pomiędzy dywizję i brygadę, pozostawało mu lotnictwo myśliwskie i rozpoznawcze. Miało to swoje znaczenie, i lotnictwo to, choć niewielkie, ale używane rozsądnie mogło przynieść i zresztą przynosiło znaczne korzyści. Ale nie mogło ono w niczym zmienić faktu, że przewaga lotnictwa nieprzyjacielskiego była wprost druzgocąca i nasze lotnictwo musiało się ograniczać do sporadycznych wypadów, to znaczy mogło działać tylko ukradkiem, podczas gdy bezspornym władcą w powietrzu był przeciwnik. Poza tym dowódca armii nie rozporządzał zupełnie lotnictwem bombardującym. Mógł się wprawdzie zwracać po nie w każdym poszczególnym wypadku do Naczelnego Wodza, ale trudne warunki łączności uniemożliwiały w praktyce uzyskanie interwencji tego lotnictwa w należytych czasach. Zresztą mieliśmy w ogóle tak mało lotnictwa bombardującego i Naczelnym Wódz był tak pod tym względem skrupowany, że użycie tego lotnictwa na korzyść dowódcy armii mogło nastąpić tylko zupełnie wyjątkowo. W przeciwieństwie do tego nasi dowódcy armii z roku 1920 rozporządzali zwykle kilkoma samolotami, co zapewniało im w ówczesnych warunkach zupełną swobodę rozpoznawania w powietrzu.

W czasie wojny polsko-rosyjskiej nie odczuwano w ogóle potrzeby artylerii przeciwlotniczej wobec zupełnej słabości lot-

7. Moja uwaga: był to przeważnie sprzęt wyszkoleniowy, stary.

nictwa po obydwóch stronach walczących. W roku 1939 było to zagadnienie niezmiernej wagi. Widzieliśmy, jak wygląda czynna obrona przeciwlotnicza w dywizjach. Na szczeblu armii stan ten był równie beznadziejny. Dowódca armii miał wprawdzie trochę plutonów 40 mm i zwykle kilka kompanii karabinów maszynowych przeciwlotniczych, ale to starczyło zaledwie na bardzo słabą obronę dwóch, najwyżej trzech obiektów. Słabość ta nie była tylko ilościowa, ale i jakościowa. Nasze działka 40 mm sięgały w teorii do wysokości 2.500 metrów, w rzeczywistości do 2.000 metrów. Karabiny maszynowe do 1.000 metrów. Czyli do wysokości 2.000 metrów wżwyż nieprzyjacielskie lotnictwo miało pełną swobodę działania, co wystarczyło do wykonania bardzo skutecznego bombardowania. Ilościowo sprawa przedstawiała się tak katastrofalnie, że np. nie starczyło broni przeciwlotniczej do obrony tak ważnego węzła komunikacyjnego, jakim było Kutno. Na tym węźle opierało się zaopatrywanie i ewakuacja dwóch armii oraz tak ważnych obszarów, jak Wybrzeże, Pomorze i Wielkopolska. Węzeł był bezkarnie bombardowany i zniszczenie go miało daleko idące skutki dla Naczelnego Wodza i armii działających na Pomorzu i w Wielkopolsce.

Do tych braków trzeba dodać niewystarczającą ilość artylerii dyspozycyjnej, zwłaszcza ciężkiej. Dowódca armii rozporządzał zwykle tylko jednym dywizjonem ciężkim i kilkoma dywizjonami lekkimi, podczas gdy każde większe działanie na szczeblu armii wymagałoby co najmniej kilku dywizjonów ciężkich. Było to tym bardziej konieczne, gdy się zważy zupełny brak broni pancernej i lotnictwa bombardującego oraz słabe wyposażenie naszych dywizji w organiczną artylerię ciężką.

Wreszcie trzeba z największym naciskiem podkreślić, że prawie całe wojsko z małymi wyjątkami było o ciągu konnym. Dlatego kolumny były przesadnie długie i mało zwrotne. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie artylerii i służb, które częściowo miały nawet jednokonne wozy, co dwukrotnie powiększało długość kolumn. To przeciążenie wojska konnymi zaprzęgami odbijało się bardzo ujemnie na jego zdolności marszowej i w warunkach wojny ruchowej musiało niekorzystnie zaważyć na przebiegu działań.

Ogólne braki w uzbrojeniu i organizacji składały się na bardzo charakterystyczną i niesłychanie ujemną właściwość naszego wojska. *Było ono tylko w niewielkim stopniu zdolne do działań zaczepnych*, ponieważ miało za mało artylerii ciężkiej i lotnictwa, a broni pancernej nie posiadało prawie zupełnie;

— było prawie bezbronne wobec lotnictwa nieprzyjacielskiego i dlatego nie miało koniecznej swobody poruszeń;

— było za mało odporne na działania nieprzyjacielskiej

broni pancernej, wskutek czego czuło się ciągle niepewnie, walczyło i żyło pod ustawiczną groźbą zaskoczenia, co czyni natarcie niepewnym i pozbawia go niezbędnego rozmachu;

— manewrowało powoli, ponieważ z wyjątkiem kawalerii wszystkie poruszenia musiałyby być wykonywane marszem w tempie 4 km/godz., a w nocy nawet 3 km/godz.

Nasze wojska było więc narzędziem bardzo jednostronnym, zdolnym tylko do obrony⁸. *Był to chory organizm porażony jakby jednostronnym paralizem.*

Wyjaśniliśmy stan faktyczny. Szukajmy przyczyn:

Niewątpliwie jesteśmy biednym narodem i nie mogliśmy sobie pozwolić na olbrzymie zbrojenie tak, jak to robiły inne państwa w Europie. Jest to oczywiście najważniejsza przyczyna. Są jednakże jeszcze inne.

Przed wszystkim zaczęto u nas zdawać sobie późno sprawę ze stanu naszej siły zbrojnej. Dopiero po śmierci Marszałka Piłsudskiego stało się jasne, że położenie wojskowe Polski uległo wielkiej i niekorzystnej zmianie. Po wojnie 1920 r. Polska była jeszcze przez długi czas istotnie wielką potęgą wojskową wobec nielicznej i niewystarczająco uzbrojonej Reichswehry i zdeorganizowanej rosyjskiej siły zbrojnej. Uspilo to naszą czujność. Naraz stało się zupełnie jasne, że w uzbrojeniu naszego wojska istnieją ogromne braki. Posypały się spontaniczne ofiary społeczeństwa. Z rozkazu Generalnego Inspektora szły one na budowę C.O.P., a wojsku ofiarowywano broń i sprzęt wyciągnięty z magazynów mobilizacyjnych. Uzbrojenie wojska nie korzystało więc bezpośrednio z ofiarności narodu, natomiast miało z niej korzystać w dalszej przyszłości w formie uporządkowanego i celowo rozmieszczonego przemysłu. Było więc tu dość grube nieporozumienie. *Intencje ofiarodawców były inne, a sposób rozporządzenia się ich monetą inny.* Ostatecznie pokazało się, że wycucie położenia przez społeczeństwo było słuszne, gdyż czas nagiął i lepsze było jedno działko przeciwpancerne ale zaraz, niż za te same pieniądze kawałek muru w budynku fabrycznym, który miał rozpocząć masową produkcję ale w nieziszczalnej przyszłości. Oczywiście, że taka krytyka jest dzisiaj bardzo łatwa. *Była już zresztą łatwa po zajęciu Czechosłowacji,* ponieważ w owym czasie stało się widoczne, że obszar C.O.P. jest bardzo zagrożony i jego terenowe rozmieszczenie jest niekorzystnie pomyślane. Chodzi jednak o to, czy w ogóle idea C.O.P. była słuszna z wojskowego punktu widzenia.

8. Moja uwaga: według mego zdania wojsko nasze z braku silnej artylerii przeciwlotniczej, dostatecznej ilości dział ppanc. i artylerii ciężkiej nie było — w polu — zdolne nawet do obrony. Zdanie moje potwierdza studium przebiegu kampanii jesiennej w Polsce.

Rozmieszczenie naszego przemysłu było tego rodzaju, że wszystkie wielkie zakłady i największe zasoby surowców były rozmieszczone w bezpośrednim pobliżu lub w bliskości naszej zachodniej granicy. Te warunki godziły się dobrze z wojną przeciwko wschodniemu sąsiadowi, natomiast były wprost nie do zniesienia w razie wojny z sąsiadem zachodnim. W takim wypadku jedynym korzystnym rozmieszczeniem naszego przemysłu był w każdym razie nie obszar C.O.P., lecz obszar na wschód od Wisły i Sanu. Organizując bowiem rzecz tak ogromną jak C.O.P., należało popatrzeć w daleką przyszłość. Nie wolno nam było marzyć, że w razie wojny z Niemcami uda się nam utrzymać na zachodnim przedpolu Wisły i Sanu. Trzeba było przyjąć jako bardziej prawdopodobne, że wobec wielkiej przewagi nieprzyjaciela zostaniemy zepchnięci na wschodnie brzegi tych rzek. Jednak obszar na wschód od Wisły i Sanu jest nadzwyczaj niedogodny, ponieważ jak wiadomo brak tam wszelkich surowców. I oto wybrano obszar środkowy, który miał tę niezwykłą dogodność, że mógł służyć tak samo celom wojny z Rosją, jak i z Niemcami. Pod względem surowców obszar C.O.P. był wprawdzie w dość trudnych warunkach, ale w każdym razie w daleko lepszych niż obszary na wschód od Wisły i Sanu.

Jednakże w niepojęty wprost sposób przeoczono, że cała ta kalkulacja jest błędna w założeniu. Nie mieliśmy bowiem sił, aby prowadzić wojnę na dwa fronty. W takim najbardziej niekorzystnym wypadku sprawa zaopatrywania w czasie wojny zacieśniała zresztą swe ostre kanty, ponieważ wojna mogła być tylko krótkotrwała. Dwufrontowa wojna nie był to więc problem dla naszego przemysłu, ale dla naszej polityki. W takiej — powiedzmy po prostu — katastrofie nasz przemysł nie miał nic do powiedzenia. W każdym razie C.O.P. nie polepszał naszego położenia w wypadku wojny z Niemcami, przesuwając nasz przemysł ku wschodowi, co mogło nie być korzystne w razie wojny z Rosją, a w niczym nie polepszało położenia w razie równoczesnej wojny z obydwoma sąsiadami. Na wypadek wojny z Niemcami nie było innego wyjścia, jak przede wszystkim tworzenie zawczasu rezerw zaopatrzenia, a w drugim rzędzie rozbudowa pewnych ośrodków przemysłowych we wschodniej połaci kraju i gromadzenie przy nich niezbędnych zapasów surowców.

Ostatecznie C.O.P. pochłonął ogromne pieniądze, a nie tylko w niczym nie poprawił stanu naszego uzbrojenia, lecz przeciwnie, przyczynił się decydująco od zwolnienia tempa dozbudowania wojska.

Zaniedbania w uzbrojeniu były ponadto spowodowane jeszcze innymi przyczynami.

Trzeba przyznać, że lubimy patrzeć przez różowe okulary, może dlatego, że *bezpośrednim logicznym następstwem jest stan beztróskiego lenistwa*⁹. Toteż zwyczajem przyjętym przez pewne organy naszego wojska było stałe pomniejszanie w raportach wartości wojska naszych sąsiadów. *Równocześnie mieliśmy niezwykłą skłonność do daleko idącego przeceniania własnych sił*. W ten sposób osiągaliliśmy błogą, aczkolwiek tylko papierową, równowagę nawet z takim uzbrojeniem, jakie posiadaliśmy w danej chwili.

I jeszcze jedną przyczyną było ogólne przecenianie wartości moralnych na wojnie. Nikt nie zaprzecza, że wartości te mają rozstrzygające znaczenie i najlepszy czołg w rękach tchórzów lub niedołęgów jest bez wartości, ale wysoka wartość moralna wojska może tylko do pewnego stopnia wyrównać różnice w uzbrojeniu i zaopatrzeniu. Jest rzeczą dowiedzioną, że szermierka wartościami moralnymi kończy się tam, gdzie nia ma szans powodzenia. Kto pomimo to chciał nadużywać tej kruchej broni, doczeka się tym większego załamania, im mocniejsze w niej pokładał nadzieje¹⁰.

...Przy różnych sposobnościach mieliśmy już możliwość zauważyć, że organizacja naszego wojska nie odpowiadała warunkom, w jakich miała się toczyć przyszła wojna. Wiedzieliśmy to na różnych szczeblach dowodzenia, od naczelnych władz wojskowych zaczawszy, a skończywszy na dywizjonie artylerii ciężkiej. Pozostaje jeszcze pytanie, czy uparte trwanie w takiej przestarzałej organizacji było złem koniecznym, z którego nie można było się wydobyć ze względów budżetowych, czy też wynikało z błędnego poglądu na sprawę.

Powszechnie wiadomo, że nie mogliśmy sobie pozwolić na wielkie zmiany w naszej organizacji wojska. Nie było na to środków. Ale mogliśmy sobie pozwolić na *wcale ważne ulepszenia, które mogły spowodować widoczną poprawę*.

W budżecie wojskowym można było jednak poczynić pewne oszczędności i z wielką korzyścią dla wszystkich. Pomimo opowiadań budżet nie był zapięty na ostatni guzik i było w nim sporo niepotrzebnych, a nawet szkodliwych luzów. Słynne *remunera*cje, które tyle krwi napsuły naszemu korpusowi oficerskiemu i podoficerskiemu, a służyły w pierwszym rzędzie

9. Jest to zdanie autora, słuszne, o ile dotyczy rządów kliki pomajowej. Ale według mego zdania Naród polski nie zasługuje na to, aby mu przypisywać „beztróskie lenistwo”.

10. Moja uwaga: toteż pod wpływem bombardowania lotniczego i natarć czołgów, wobec których żołnierz nasz był prawie bezbronny oddziały nasze, nawet aktywne dywizje, rozlatywały się, po krótkim tylko oporze (np.: 1, 2, 3, 6, 7, 8, 10, 12, 13, 19, 20, 29, 36 D.P.)

na polepszenie warunków bytu tym, którzy byli najlepiej, bardzo dobrze i dobrze uposażeni, zasługiwały na te natychmiastowe, bezwzględne skreślenia. Tajemnicze i w wielu wypadkach lekkomyślne przenoszenie oficerów, którym trzeba było za to płacić, należało ograniczyć do [przypadków] naprawdę niezbędnych¹¹. Przenoszenie oficerów z tak zwanym „pozostawieniem dotychczasowego dodatku służbowego”, należało natychmiast wstrzymać jako niesprawiedliwe i niepotrzebne¹². Różne zasiłki wypłacane z Gabinetu Ministra należało wstrzymać dla tych samych przyczyn, co remuneracje. Tak zwane ryczałty samochodowe wszelkiego rodzaju otrzymywane przez oficerów nie rozporządzających służbowymi samochodami należało skasować jako ukrytą formę powiększenia uposażenia¹³. Nadmierne, a jak na nasze stosunki bardzo wysokie wydatki na podróże służbowe należało wydatnie zmniejszyć. Uposażenia na wyższych i najwyższych szczeblach należało poddać rewizji i zmniejszyć. Oczywiście nie jest to wszystko i trudno wyliczać wszystkie inne możliwości w naszym budżecie. Jedno jest pewne. *Mógł je tylko przeprowadzić Minister z żelazną ręką i świadomy swej odpowiedzialności wobec całego narodu, i wobec historii*. Natomiast można było sobie darować tak ważne, ale należące do innych resortów zagadnienia, jak *narciarstwo, hucutów, teatr i szlachtę zagrodową* (oraz 20.000 zł. rocznie jako subwencję dla cywilnego teatru, w którym występowała kochanka Ministra Kasprzyckiego).

Zagadnienie unowocześnienia naszego wojska nie dawało się jednak rozwijać tylko przy pomocy mechanicznych skreśleń budżetowych. Wymagało bardziej radykalnych chwytów.

Charakterystyczną organizacyjną cechą naszego wojska był nadmiar piechoty i kawalerii w stosunku do innych broni. W piechocie zaznaczało się to szczególnie wyraźnie po utworzeniu dużej ilości brygad obrony narodowej, które składały się wyłącznie z batalionów piechoty. Można przyjąć, że przeciętnie na jedną dywizję piechoty, użytą w osłonie, wypadały trzy bataliony

11. Przykład: kpt. S., pod każdym względem pierwszorzędnym oficer, lecz z przekroczoną granicą wieku, zostaje przeniesiony z jednego końca Polski na drugi po to, aby w swoim nowym miejscu przydziału dowiedzieć się, że został przeniesiony w stan spoczynku.

12. Przykład: ppłk, otrzymujący wysoki dodatek służbowy w Warszawie, zostaje przeniesiony na prowincję na stanowisko zastępcy dowódcy pułku „z pozostawieniem dotychczasowego dodatku służbowego”. W wyniku pobierał uposażenie większe od swego dowódcy pułku.

13. Przykład: pierwszy oficer sztabu inspektora armii otrzymywał 200 zł. miesięcznie jako ryczałt samochodowy, przy czym albo jeździł samochodem inspektora armii, za co płacił inspektor ze swego wysokiego ryczałtu samochodowego, albo jeździł na tramwajem, taksówką, autobusem lub piechotą jak każdy zwykły osobnik.

obrony narodowej. Można więc było w czasie pokojowym zredukować pułki piechoty do dwóch batalionów zamiast trzech. Następną oszczędnością powinno być całkowite zniesienie naszej kawalerii, dla której pomimo zdania wielu fanatyków i kochliwych panienek nie ma miejsca na nowoczesnym polu walki. Należało więc zrezygnować z różnych niekoniecznie potrzebnych, a kosztownych informacji w rodzaju flotyli pańskiej lub batalionów balonów obserwacyjnych, których możliwość użycia w przyszłej wojnie stała pod znakiem zapytania.

Mieliśmy więc pewne możliwości reorganizacji wojska bez podwyższania budżetu wojskowego. Trzeba się jednak było oderwać od raz ustalonego schematu. Ani liczbą dywizji piechoty, ani też szablonowym mnożeniem batalionów piechoty, ani wreszcie defiladami galopujących szwadronów kawalerii nie mogliśmy się kusić o powodzenie, lecz tylko wojskiem zorganizowanym i uzbrojonym specjalnie do celów, które chcieliśmy w tej wojnie osiągnąć...”

A jeden z wyższych oficerów dyplomowanych pisze:

„...Wyruszyliśmy na wojnę z wojskiem z 1914 r. z drobnymi dodatkami technicznymi. Marszałek Piłsudski stworzył wielkie kompanie po 220 ludzi i tak zostało do końca. Była u nas fałszywa opinia, że mamy dużo ludzi, więc chciano tymi ludźmi zastąpić maszyny.

Nie doceniano znaczenia techniki tak dalece, że dopiero w ostatnich latach zaczęto szkolić personel techniczny. Nie doceniano roli, jaką odegra maszyna. Nie przygotowano więc tych maszyn: — lotnictwa i broni pancernej. Chociaż wiadano, że obaj nasi sąsiedzi stawiają na maszynę, nie zrobiono dostatecznego wysiłku, by przygotować środki do zwalczania maszyn. Nie mogli się nasi wodzowie wygrzebać w wrażeń 1920 r., a za mało studiowali, by pracą myślową dojść do właściwych wniosków.

Nieszczęściem naszego wojska było to, że nigdy nie miało wodza, który by cały swój czas jemu poświęcił. Marszałek Piłsudski siłą rzeczy musiał się zajmować wszystkim, Śmigły-Rydz zabrał się do polityki. A wojsko to wielki ogrom pracy. Kto więc szkolił dostatecznie energicznie wyższych dowódców, kto zmuszał ich do studiów i rozwiązywania zagadnień, które ich czekają na wojnie?... ” (L.dz. 751/39).

Na zakończenie charakterystyki całego tego dramatycznego zagadnienia, niedostatecznego z winy sanacji stanu uzbrojenia naszego wojska w dniu 1 września 1939 roku, przytaczam jeszcze

ponizej wyciąg z protokołu komisji byłego biura Rejestracyjnego w Paryżu z dnia 18 marca 1940 roku. Komisja ta składała się z samych fachowców, oficerów i inżynierów uzbrojenia.

„Braki UZBROJENIA poszczególnych broni:

1) Brak dostatecznej ilości:

- a) działek przeciwpancernych,
- b) specjalnej broni przeciwpancernej małego kalibru.

Uzasadnienie:

a) W dn. 1.IX.1939 r. ogólna ilość działek ppanc. 37 mm wz. 36 będących na uzbrojeniu wynosiła około 1300 sztuk (ścisłość tej liczby ocenia się na plus minus 10 %; jest ona raczej przesadzona).

Praktycznie cała ilość powinna była być w Wielkich Jednostkach (działek tych było w składnicy zaledwie kilkanaście — 11). Przeciętnie więc dywizja piechoty miała 27-36 działek jako maksimum. Nie podobna ustalić obecnie dokładnie, czy dywizje były wyposażone w tę broń równomiernie. Raczej nie, bo podobno były D.P. posiadające po 48 działek, a niektóre rezerwowe nie miały ich wcale. W każdym razie nasza D.P. miała średnio mniej niż połowę tej ilości działek, jaką miała niemiecka D.P.¹⁴

Ten stan rzeczy pogarszało jeszcze to, że dywizje zajmowały często olbrzymie odcinki, a więc ilość działek na 1 km frontu była znikoma, oraz to, że nie mieliśmy zupełnie szybkich ruchomych zmotoryzowanych jednostek (batalionów, dyonów, ba-

14. Moja uwaga: obliczenie działek ppanc. przez Komisję jest według mego zdania zbyt optymistyczne. Od ilości 1300 działek ppanc. należy odliczyć 11 B.K. z 18 działek ppanc. = 198 i 11 działek, które zostały w składnicach. Wynosi to: $1300 - 209 = 1091$. Dywizji piechoty mieliśmy 39, bo choć dwie nie zdołały się zebrać i walczyć jako dywizje, to jednak pułki tych dywizji (44-ta i 45-ta) zostały zmobilizowane i walczyły w składzie innych Wielkich Jednostek. Jeżeli więc pozostała ilość 1091 działek ppanc. podzielimy przez 41 (bo 39 dywizji piechoty i 2 brygady motorowe), to wypadła przeciętnie teoretycznie jedna Wielka Jednostka — 26 działek. Wiemy, że wszystkie aktywne dywizje piechoty miały po 27 działek, więc dodając po jednym działku ppanc. każdej aktywnej dywizji piechoty, zabrakło oczywiście tych 30 działek ppanc. na wyposażenie przynajmniej jednej dywizji piechoty rezerwowej. Poza tym na polu walki nigdy tylu działek ppanc. nie było, gdyż według planu transportów gen. Szychowskiego, działka ppanc. jechały ostatnim transportem każdego pułku piechoty. (Fakt ten można by zaliczyć do nieświadomego popierania działalności piątej kolumny.) Ponieważ zaś transporty szły mieszane, np. jeden baon każdego pułku, sztab dywizji piechoty, część artylerii, drugie baony piechoty itp., toteż część tych ostatnich transportów z działkami ppanc. nigdy nie dojechała na pole walki. Ten fakt był między innymi przyczyną katastrofy 3-ej i 12-ej D.P.

terii), pozostających w dyspozycji wyższych dowódców, którymi to jednostkami można było zatykać przerwy wykonane przez broń ppanc. npla.

b) 3600 kb. ppanc. „Ur”, które posiadaliśmy (przewidziane było po 1 kb. na pluton piechoty) nie oddawały tych usług, jakie oddać mogły przy zwalczaniu lekkich czołgów, bo nie nauczono się z nimi obchodzić (zbrodniczy nakaz trzymania ich w skrzyni do ostatniej chwili, dla zachowania „tajemnicy wojskowej”).

2) *Brak artylerii przeciwlotniczej i brak przyrządów potrzebnych do kierowania jej ogniem.*

Uzasadnienie:

a) mieliśmy ogółem 300 armat 40 mm plot. wz. 36 (ściśłość tej liczby plus minus 5%), z czego w składnicach około 18 sztuk. Mniej niż połowa tych działek miała dalmierze (mieliśmy około 140 dalmierzy 1,5 m.). *Nie mieliśmy ani jednego szybkościomierza.* W ten sposób nawet ten skromny zasób armat był bardzo źle wykorzystany (strzelanie na oko).

116 armat stanowiło organiczną artylerię Wielkich Jednostek (31x4+11x2), czyli mniej więcej połowa.

Reszta, najslabiej wyposażona w dalmierze, broniła tyłów, wobec braku lotnictwa myśliwskiego do obrony Kraju (wyjątek — pierwsze dni w Warszawie) była to ilość wręcz znikoma.

b) *Mieliśmy tylko 9 baterii 75 mm armat plot.* Współczesnych (4 baterie wz. 35 ruchome i 6 półstałych). Mogliśmy wystawić jeszcze 3-4 baterie wz. 37, bo były działa, ale za to nie było przyrządów centralnych (3 przyrządy centralne leżały w tym czasie bez użytku w składnicy Dowództwa Floty na skutek „zatargu prestiżowego”¹⁵).

- c) — 20 baterii półstałych à 4 działa,
- 3 baterie samochodowe fr. à 4 działa,
- 2 działa przyczepkowe fr. wz. 17.

Sprzęt stary, bez przyrządów i prawie żadnej wartości.

Uwaga: Artyleria plot. Dowództwa Wybrzeża (zresztą znikoma) jest tu pominięta (7 baterii 75 mm wz. 22/24 à 2 działa, w tym tylko jedna bateria z przyrządem centralnym).

3) *Brak karabinów i wyposażenia do nich.*

Uzasadnienie:

a) *Mieliśmy ogółem kb. i kbk. wszystkich wzorów ok.*

15. Moja uwaga: w lipcu 1939 roku dobiegały końca pertraktacje z jakimś Węgrem... o wybudowanie fabryki „uproszczonych” aparatów centralnych w Polsce.

1.450.000 (cyfra raczej za wysoka). Z tej ilości pozostało w Dęblinie i wpadło w ręce npla *około* 200.000¹⁶.

Ostry brak karabinów odczuwał się już w końcu sierpnia wszędzie. Rzesze młodych i zdrowych ludzi błagały na tyłach o karabiny, ale kb. nie było.

b) Oddziałom, które wyruszyły na front, pozostaliśmy między innymi dłużni:

- około 160.000 bagnetów,
- około 130.000 żabek do bagnetów,
- około 120.000 potrójnych ładownic skórzanych,
- około 1.000 pistoletów do naboju sygnałowych,

itd., itd. — ogółem brakowało nam wyposażenia na sumę około 9 milionów złotych. Było to spowodowane systemem budżetowania, wprowadzonym przez Sztab Główny, wskutek którego zakup kb. nie był zsynchronizowany z zakupem bagnetów, ładownic itp.; przyczyną tej sprawy było także zlekceważenie jej przez Szefa Dep. Uzbr.

4) *Najśłabsza artyleria spośród wojsk krajów Europy.*

Uzasadnienie:

Rozporządzaliśmy ogółem (bez artylerii plot., artylerii ppanc. i artylerii różnych wzorów nietypowych):

Artyleria lekka

(bez nielicznych dział nietypowych różnych wzorów)

75 a.p. wz. 77	ok. 1.370
75 a.p. wz. 02/26	ok. 500
100 mm hb. różnych wzorów ..	840 (cyfra raczej przesadzona <i>in plus</i>)

Razem ok. 2.710

(z tego w składnicach ok. 345 dział, w ośrodkach zapasowych ok. 200)

Artyleria ciężka

(bez wzorów nietypowych)

105 mm a. wz. 13	ok. 116
105 mm a. wz. 29	ok. 160
155 mm hb. wz. 17	ok. 440
120 mm a. wz. 78/ ⁰⁹ / ₁₀ /31	ok. 36

Razem ok. 752

(cyfra raczej za wysoka o około 20%; z tego w składnicach około 73 dział, w ośrodkach zapasowych 60 dział).

16. Moja uwaga: 9 września 1939 roku w Lublinie, dokąd przybyłem z rozkazami Marszałka dla generała Piskora, mówił również mnie o 200.000 karabinów w Dęblinie generał Smorawiński, prosząc przeze mnie Marszałka o umożliwienie wywiezienia ich.

Artyleria najcięższa

220 mm moździerz wz. 32 27¹⁷

Broń towarzysząca

(bez granatników 46 mm)

81 mm moździerz Stockesa wz. 28, 30, 31 ok. 840

Podane wyżej ilości sprzętu artyleryjskiego *umożliwiały* nam danie każdej dywizji piechoty (jako *przeciętne* maksimum):

1 p.a.l. 36 dział lekkich

1 d.a.c. 6 dział ciężkich

3 baterie piechoty 12 dział lekkich¹⁸

Razem 54 działa

Jeżeli uważać za artylerię także moździerz Stockesa 81 mm, to D.P. rozporządzała jeszcze 18 moździerzami, czyli razem 72 działa.

Ponadto miały być sformowane jako artyleria dyspozycyjna Naczelnego Wodza:

a) 10 d.a.l à 12 dział 75 mm i 100 mm,

b) 6 p.a.c. (podług gen. Krziszcha) lub

22 d.a.c. (podług płk. Jaklicza) o nieznanym składzie¹⁹

c) 3 d.a.najc. à 9 moździerzy wz. 32

Przyjmijmy dla ilustracji naszego niskiego wyposażenia wojska w artylerię ilość artylerii w dywizji piechoty, gdyż artyleria dyspozycyjna N.W. mogła brać udział w akcji tylko sporadycznie. *Obliczymy ilość dział na 100 walczących piechurów, którą to ilość dla krótkości nazwiemy współczynnikiem gen. Herra* (patrz Artyleria gen. Herr).

Zakładam, że nasza D.P. miała w stanie bojowym ok. 15.000 walczących piechurów. Nie przyjmujemy dla obliczenia tego współczynnika artylerii ppanc. (27-36 działek ppanc. i artylerii plot.), gdyż bronie te powstały skutkiem zjawienia się na polu walki zupełnie nowych i specyficznych celów.

Obliczmy współczynninnik Herra dla dwóch wypadków:

a) wliczamy do artylerii D.P.: 1 p.a.l., 1 d.a.c., i 3 baterie

17. Moja uwaga: z tego 1 lufa zniszczona na wstrzelanie tabel strzelniczych, o czym już pisałem powyżej.

18. Moja uwaga: osobiście nie jest mi wiadomym i też dotychczas nie stwierdziłem w aktach byłego Biura Rej., aby którykolwiek pułk piechoty miał więcej niż dwa działa wz. 02/26 w plutonie artylerii.

19. Moja uwaga: słuszną jest raczej „6 p.a.c. gen. Krziszcha”. Były to dowództwa pułku + 1 d.a.c., czasem + 2 d.a.c. Wynosi to plus minus 9-10 d.a.c. pozadywizyjnych. 22 d.a.c. podane przez płk. Jaklicza wydają się fantazją.

p.p. à 4 działa — czyli 54 działa na D.P.²⁰

b) do artylerii tej zaliczymy także 18 moździerzy 81 mm, czyli razem 72 działa na D.P.

Współczynnik gen. Herra wyniesie:

— przy założeniu a) — 3,6 dział na 1.000 piechurów,

— przy założeniu b) — 4,8 dział na 1.000 piechurów.

Otóż w roku 1918 współczynnik ten wynosił na froncie zachodnim 9-17, a nawet 19. Napoleon szedł na podbój Rosji mając przeciętnie 4-5 dział na 1.000 piechurów. *Niższość nasza jest oczywista. A przecie przyjęliśmy wypadek najbardziej bogatego uposażenia D.P. w artylerię (12 dział 75 mm jako artylerię 3 p.p., gdy większość p.p. miała tylko po 2 działa, a nie po 4; poza tym dywizje rezerwowe d.a.c. nie posiadały).*

Trzeba tu podkreślić fakt, że bardzo dużo jednostek artyleryjskich w ogóle nie wzięło udziału w walce, gdyż zostały one rozbite przez lotnictwo w transportach kolejowych²¹.

5) *Złe rozmieszczenie składnic w terenie, nie dostosowane do wojny z Niemcami i centralizacja sprzętu w składnicach.*

Uzasadnienie:

Główne składnice uzbrojenia: Dęblin, Stawy, Palmiry i Regny zostały unieruchomione wskutek bombardowań lub zajęte przez npla w pierwszych dniach wojny. Palmiry i Dęblin zawierały wszystkie zapasy broni artylerii i piechoty. Już w dn. 10-12 września wydosłanie ze składnicy Dęblin 15.000 kb. okazało się niewykonalnym zadaniem (choćby było tam około 200.000 kb. i kbk²²).

Składnice: Poznań, Toruń, Gałówek (pod Łodzią), Kraków i Kłaj, oddane do dyspozycji odnośnych dowódców armii, też nie mogły spełnić swego zadania zaopatrywania armii w amunicję.

Koncentracja sprzętu uniemożliwiała armiom uzupełnienie broni, a etapom — jej otrzymanie.

Tak zemścił się system groszowych oszczędności, dla których zarządzono centralizację sprzętu w r. 1934/35 (płk Maciejowski za zgodą Sztabu Głównego)”.

20. Moja uwaga: polska aktywna D.P. miała najwyżej 48 dział (36 p.a.l., 6 p.p., 6 d.a.c.). Nie wykluczam że może jedna czy druga D.P. miały rzeczywiście 54 działa. Ale za to cały szereg D.P. miał tylko 46 dział, bo były d.a.c.'e po dwie baterie po 2 działa.

21. Moja uwaga: ten sam fakt podkreślałem już wyżej przy omawianiu motoryzacji artylerii polskiej.

22. Moja uwaga: oraz — według posiadanych ale niesprawdzonych informacji — około 3.000 kb. ppanc.

Moja uwaga: Już tutaj dodać należy, że ta „centralizacja” za wiceministra i Szefa Administracji Armii Sławoj-Składkowskiego położyła nasze wojsko w dniu 1 września 1939 roku na obie łopatki. *Centralizacja jest jedną z ważniejszych przyczyn naszej klęski.*

Jeden z generałów pisze:

„... istniało kilka zasadniczych błędów..., którym uparcie hołdowano, nie licząc się z nakazami, które łatwo było czerpać z historii ubiegłych wojen i nie licząc się z tym, co powinna dyktować taka fantazja przeciętnie inteligentnego umysłu.

a) Przede wszystkim należało się liczyć z tym, że wojna, która nas czekała będzie wojną zaskoczenia, a więc mobilizacja w strefie nadgranicznej musi być możliwie szybka i wyzyskująca możliwie silnie rezerwuar tamtejszych ludzi. Poza tym musi ona być szybka również w całym kraju. By była szybka, musi być możliwie szeroko rozłożona w terenie na jak najwięcej jednostek mobilizujących i oparta o magazyny gęsto w terenie rozłożone. (Tym systemem wyprzedzili Niemcy Francuzów w 1870 r.). Wielokrotnie tego argumentu używałem w stosunku do moich przełożonych, względnie do organów M.S. Wojsk. występując w obronie filli składnic materiałów uzbr., int., san., tab. itp. istniejących przy D.O.K., jak również w obronie baonów zapasowych pułków, sprzeciwiając się tworzeniu ośrodków zapasowych dywizji.

Filie składnic mat. przy D.O.K. przeżyły tylko do 1933 r., kiedy wbrew mojej opinii przeprowadził reorganizację służb na stopie pokojowej gen. Langner. Było to jedno z fatalniejszych pociągnięć naszej armii. Filie składnic polikwidowano, nastąpiła głośna centralizacja bez myśli o wojnie, a z myślą o wygodzie administracji pokojowej i tu moim zdaniem leży źródło klęski naszej w zaopatrzeniu naszym i w amunicję i w materiał sanitarny w minionym miesiącu naszego wojowania. (Relację na ten temat pewnie będzie mógł złożyć gen. Masny, podobnie jak mjr Sergiusz Szymański, który jako int. dypl. pracował jakiś czas w Sztabie Głównym).

Piękne zamiary dostarczenia tych materiałów w chwili mobilizacji do jednostek mobilizujących, czy już zmobilizowanych, spaliły na panewce z powodu załamania się jeszcze przed wojną transportu kolejowego. Kiedy przyszły tęgie naloty, których ofiarą padł między innymi centralny magazyn mat. san. na Powązkach — nie było już gdzie indziej tego materiału. Toteż zjawienie się dnia 15 września płk. lek. Sokołowskiego z Rumunii z poleceniem zakupu w tym kraju samochodów sanitarnych i

kilku milionów opatrunków jest dowodem lenistwa myśli oficerów za to odpowiedzialnych, którym nie chciało się wiedzieć, że gdzie jak gdzie, ale w Rumunii tego kupić nie mogli.

To samo dotyczy sprzętu uzbrojenia. Z chwilą przekroczenia przez Niemców linii rzeki Wisły, sprawa wojny była bezapelacyjnie przez nas przegrana, byliśmy bowiem bez amunicji nie tylko artyleryjskiej, ale i piechoty. Magazyny centralne, których wywiezienie było niemożliwością, dostały się w ręce wroga.

Muszę tu podkreślić fakt niezwykle, że służba intendencji mimo tych wszystkich trudności stanęła na wysokości zadania²³. Wojsko wychodzące na front było zaopatrzone wspaniale i, o ile warunki bojowe pozwalały, miało co jeść. Zaopatrzenie w broń szwankowało, tak że 2-go lub 3-go dnia wojny d-ca O.K. Kraków zwrócił się do wojewódzkiego komendanta policji o karabiny dla batalionu obrony narodowej. Niestety, policja żadnymi zapasami broni nie dysponowała.

Uważam poza tym za karygodny błąd stworzenie ośrodków zapasowych. Było to głupstwem ze względu na trudność zakwaterowania, dowodzenia, szkolenia, a co najważniejsze głupstwem ze względu na lotnictwo, przed którym trudno było ukryć masę kilkunastu tysięcy ludzi.

b) Do końca nie były wyzyskane takie organizacje, jak straż graniczna — w pasie przyfrontowym i policja państwowa w całym kraju do zmobilizowania jakiejś jednostki, a w każdym razie wchłonięcia w siebie możliwie dużej ilości rezerwistów, którzy zresztą jak Polska długa i szeroka napraszali się, by ich brać. Policja tylko dzięki moim ustawicznym molestowaniom zmobilizować mogła 30.000 rezerwistów dla wzmocnienia posterunków i wystawienia kompanii ochrony linii kolejowej. A przecież każda kompania rez. policji, których zorganizowałem 13, mogła bez wielkiego trudu rozwinąć się w batalion, z jedną kompanią zmotoryzowaną, względnie można było wystawić 4 kompletnie zmotoryzowane bataliony świetnej piechoty. Z władz wojskowych mówili ze mną na ten temat generał Głuchowski i Regulski. Sprawa upadła w lipcu 1939 r., kiedy wszystkie kompanie i szwadrony musiałem z polecenia Ministerstwa oddać do dyspozycji poszczególnym wojewodom na zatrąę.

c) Podobno II Oddział wiedział o koncentracji niemieckiej i o niej meldował szefowi sztabu i p. Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi. Znany mi jest wniosek, który z tej koncentracji Oddz. II wyciągnął. A to:

23. Moja uwaga: w działaniach wojennych wykazali oficerowie int. najwięcej inicjatywy w dostosowywaniu się do zmieniających się szybko sytuacji i warunków.

tki, a w każdym

1. Niemcy nie mają doświadczonej kadry oficerskiej, która byłaby zdolna dowodzić wielkimi jednostkami,

2. Sprzęt niemiecki, zwłaszcza pancerny, jest lichej, jeśli chodzi o lotnictwo — grubo gorszy od naszego, jeśli chodzi o motory, to te po 100 km marszu niezdolne są do dalszego marszu.

3. Pancerze na niemieckich wozach zwyczajnie kule naszych karabinów z łatwością przebijają.

4. Niemcy o tym wszystkim wiedząc na prawdziwą wojnę z nami nie pójdą, a jeśli pójdą, będą pobici.

Niestety, wierzył w to i Szef Sztabu Głównego, którego po powrocie z Niemiec informowałem o tym, co widziałem w dziedzinie lotnictwa, broni pancernej i motoryzacji armii, a szczególnie oddziałów S.S. Zwracałem mu również uwagę na dynamikę młodzieży niemieckiej, która nie jest już stadem i jest gotowa do wszelkich poświęceń dla Hitlera, któremu wierzy.

Szef Sztabu Głównego zlekceważył moje relacje — dał mi do zrozumienia, że wszystko to wie, ale nasze kule przechodzą przez czołgi niemieckie jak przez ciasto, motory są do niczego, a naród niemiecki ma dość parad i jest już przemęczony. Poza tym w gronie oficerów swoich wyrazić się miał, że „Zamorskiego nie można puszczać za granicę, bo wraca i szerzy defetyzm”.

Takimi nastrojami karmiono też, niestety, ufne społeczeństwo, doprowadzone do stanu oglupienia w tym względzie, równego chyba stanowi mas ludności rosyjskiej, przed wojną rosyjsko-japońską 1904 r., kiedy wołano *szapkami zakidajem...* (L.dz.994/A/40).

Wpływ braku dostatecznego uzbrojenia naszego wojska na przebieg kampanii charakteryzuje jeden z generałów następująco:

„... Wojnę przegraliśmy dlatego, że nie mieliśmy lotnictwa bombowego, myśliwskiego, broni panc. i artylerii plot. To jest podstawowa i zasadnicza przyczyna.

Wojna nigdy by nie była przegrana — wojny przede wszystkim nigdy by nie było, gdybyśmy to wszystko mieli.

Istnieje dlatego straszliwe pytanie, czy nas stać było na: stratę całej armii, całego przemysłu wojennego, zniszczenia materialne całej Polski i na zniszczenie tego spontanicznego zapasu wojennego całej Polski — tego wspaniałego kapitału moralnego, jaki reprezentował cały naród, — a nie stać nas było *na 10 miliardów zł., rozłożonych na parę lat.* Dziś przecież zapłaciliśmy setkami miliardów — nie licząc życia ludzkiego i tego wstydu,

który oczy wypala — za armia polska — ta armia jedna z najdzielniejszych — w ciągu 3 tygodni przestała istnieć...” (L.dz.442/40)

Okres ten — maj 1939 r. — okres rządów w wojsku Rydza-Śmigłego, Szefa Sztabu generała Stachewicza i Ministra Spraw Wojskowych generała Kasprzyckiego, cechuje poza wszystkim powyższym jeszcze zupełny brak dalekowzroczności, wyobraźni, przewidywań. Zbliżała się do nas „milowymi krokami” wojna, a z nią wobec beztroski naszych władz — katastrofa.

Jeden z generałów pisze:

„... Nie mówię tego teraz dlatego, że jest się mądrym po szkodzie — ale dlatego, że cały szereg lat temu o tym się dość powszechnie mówiło w tzw. niższych kołach wojskowych — ale nikt istotnie nie przypuszczał, że naprawdę mamy oczy zamknięte na to, co się robi na zachodzie. Nikt przecież w całym narodzie nie wierzył w fakt nieagresji...

Czy tego nie można było przewidzieć? Było to stanowczo wiadome nam dokładnie — jak wygląda stan zbrojeń Niemiec. O przyszłej wojnie pisała przecież szeroko prasa zagraniczna — właśnie niemiecka — że decydującą rolę odegra lotnictwo i broń panc., a przede wszystkim lotnictwo, które już w pierwszych godzinach wojny zbombarduje lotniska, obiekty przemysłu wojennego, węzły kolejowe i że mobilizacja zostanie zablokowana itd., i że skutecznie z tym może walczyć tylko lotnictwo własne i silna o.p.l., o. ppanc. i własna broń panc.

U nas słyszało się tylko wciąż że nie mamy pieniędzy, że stać nas tylko na broń ppanc. i tę będziemy rozwijać. Tymczasem tej broni też nie rozwinęliśmy — odwrotnie — jak meldowałem poprzednio, sprzedaliśmy za 40 milionów zł. armat ppanc. Rumunii przed samą wojną — granat ppanc. doskonały, od 4 lat gotów, wskutek podłych intryg nie ujrzał w ogóle światła dziennego, a tak bardzo mógł się w naszych warunkach walki przydać.

Wszystkie inne błędy, które miały miejsce, były tylko pochodnymi tych podstawowych braków...” (L.dz.442/40)

A inny generał:

„... Z myślą o tej gdzieś w najdalszej przyszłości czekającej nas wojnie budowano C.O.P., waląc weń srogie miliony, nie myśląc o tym, że naprzód należy mieć siłę, która obroni C.O.P.

a nie odwrotnie, kiedy armia miała czekać z gołymi rękami na sprzęt w C.O.P'ie wyprodukowany..." (L.dz.994/A/40).

A inny dowódca Wielkiej Jednostki:

„... Uzbrojenie mieliśmy dobre, ale w niedostatecznej ilości. Mieliśmy bardzo dobry: karabin, szablę, pistolet, r.k.m., c.k.m., karabin ppanc., armatę ppanc., artylerię (maska przeciwgazowa w działaniach wojennych nie sprawdzona).

Braki nasze są powszechnie znane, toteż wymieniam je tylko z urzędu: za mało lotnictwa, artylerii przeciwlotniczej, karabinów ppanc., armat ppanc., artylerii polowej, broni pancernej i zmotoryzowanej.

Jedno natomiast wiem na pewno, że armia nasza była piękna i dobra, a odpowiednio dozbrojona i dowodzona zdolna była do wykonania najtrudniejszych zadań.

Mogła i wtedy ulec przemocy, szczególnie po łajdackim uderzeniu w plecy zadany przez bolszewików, ale straty nieprzyjaciel miałyby niewspółmiernie większe, a autorytet naszego wojska, a tym samym i państwa na pewno nie byłby poderwany ani u swoich, ani u obcych.

Winę za to ponosi bezwzględnie i całkowicie:

— Naczelne Dowództwo,

— Ministerstwo Spraw Wojskowych..." (L.dz.1683/40).

Zrobiono w tym czteroleciu wiele w dziedzinie uzbrojenia, ale o wiele mniej, niż żądał K.S.U.S., niż wymagało dobro Wojska i Państwa w tak poważnych czasach, oraz o wiele mniej, niż było można zrobić nawet przy ograniczonych możliwościach.

Gdyby generał Sosnkowski przy pomocy byłego sekretarza K.S.U.S. pułkownika Kieszniewskiego zechciał odtworzyć postulaty i uchwały K.S.U.S., byłyby to dokument niesłychanej wagi dla Naczelnego Wodza, Trybunału Stanu i historii. Rzuciłby nowe i prawdziwe światło na winę czy brak winy takiej czy innej osobistości przed wrześniem.

Memoriał generała Piskora pod tytułem *Bezbronna piechota* był wręczony Marszałkowi jesienią 1938 roku.

Memoriał generała Millera o *Niegotowości naszej artylerii* do wojny, był wręczony Marszałkowi na przedwiośnie 1939 roku (gdyż doświadczenia „Zaolzia” i wskazówki generała Sosnkowskiego odnośnie układu treści wymagały przerobienia memoriału, już gotowego w jesieni 1938 roku. Przez to opóźniły jego wręczenie²⁴).

24. Memoriał gen. Millera był znany gen. Stachiewiczowi i płk. Głabiszowi.

Oba dokumenty są pewnego rodzaju dowodem dla tych, którzy takich dowodów dzisiaj jeszcze potrzebują, że bilans również ostatniego czterolecia przed wojną był ujemny.

Mógłby ktoś uczynić zarzut, że oba memoriały były zbyt późno złożone Generalnemu Inspektorowi, aby można było jeszcze wprowadzić jakieś zasadnicze zmiany na lepsze.

Otóż — według mego zdania — stan uzbrojenia całego wojska, więc też piechoty i artylerii, musiał być doskonale znany Generalnemu Inspektorowi tak z okresów regularnych i rocznych sprawozdań Inspektorów Armii, jak i z referatów przewodniczącego K.S.U.S., to jest generała broni Sosnkowskiego, jak wreszcie z konferencji marszałka z Ministrem i Szefem Sztabu, pomijając już, że po objęciu władzy w maju 1935 roku Marszałek Śmigły-Rydz polecił generałowi Piskorowi opracować i przedstawić sobie stan uzbrojenia wojska. — Generał Piskor nakazaną pracę wykonał i przedłożył ją Generalnemu Inspektorowi.

Inspektorowie Armii znali również zarządzenia Marszałka w tej dziedzinie i czekali na wyniki „małego planu” uzbrojenia wojska, który — według generała Głuchowskiego — miał swój wyznaczony czasokres w roku 1941.

Gdy zaś ogólne położenie międzynarodowe zaczęło się gwałtownie pogarszać (marzec 1938 roku — Austria, wrzesień 1938 roku — Sudety i Monachium) generał Piskor i generał Miller — w zrozumieniu, że wykonanie planu uzbrojenia do 1941 roku może się okazać niewykonalne z powodu ewentualnego wcześniejszego wybuchu wojny — przedłożyli wymienione memoriały, aby jeszcze raz i w ostatecznej chwili zwrócić uwagę generalnego Inspektora na fakt, że ani piechota ani artyleria do wojny nie są gotowe. Zamierzali w ten sposób skłonić Generalnego Inspektora do decyzji energicznych, które by mogły się przyczynić do szybkiego usunięcia przynajmniej najbardziej rażących braków tych dwóch głównych rodzajów broni.

Minister wojny, generał Leboeuf, na odnośne pytanie zameldował Napoleonowi III, że wojsko francuskie jest gotowe do wojny, „zapięte na ostatni guzik”. Przebieg kampanii 1870/71 roku jest dowodem, że meldunek generała Leboeuf był kłamliwy i niesumienny. Ani dowódcy ani wojsko nie byli gotowi. Odtąd Francuzi nazywali go „guzikowym” ministrem (*le ministre de bouton*).

I u nas hasło „silni, zwarci, gotowi” nie odpowiadało prawdzie i jest dowodem niesumienności jego autorów.

I u nas mówiono o guziku, którego nie damy sobie zabrać.

W tym położeniu zastały nas wypadki „zaolziańskie”. — Nie jest tematem niniejszego opracowania naświetlić je z polity-

cznego punktu widzenia i historii Słowian Zachodnich. *W każdym razie z wojskowego punktu widzenia był to ze strony Polski błąd niezrozumiały.* Każdy przeciętny polski oficer zawodowy, a tym bardziej polski oficer dyplomowany, wiedział, że ulubionym niemieckim manewrem strategicznym jest manewr Hannibala pod Cannami, dwustronnego załamania skrzydeł. *Hrabia Schlieffen* przemyślał go, rozpracował mozolnie, przystosował do warunków nowoczesnej wojny i *utrwalił dla wszystkich, którzy chcieli się uczyć*, w sławnym dziele pod tytułem „Cannae”. *Odtąd manewr „Cannae” stał się dogmatem niemieckiej strategii.*

Zjawienie się na polu walki nowych szybkich broni o wielkiej sile przebojowej oraz lotnictwa stworzyły dla takiego manewru nieziszczalne dotąd możliwości i perspektywy. Odrobina wyobraźni i wiedzy wojskowej musiała dawno jeszcze przed wojną naprowadzić polskie mózgi w G.I.S.Z. i Sztapie Głównym, że taki będzie strategiczny plan niemiecki, a nie inny. Było też wielu naszych świątłych oficerów dyplomowanych, którzy w zupełności się orientowali, że tak będzie. Pułkownik dyplomowany artylerii Arciszewski, podpułkownik dyplomowany artylerii Ciałowicz, podpułkownicy dyplomowani piechoty Koperski i Nowosielski Gustaw oraz podpułkownik dyplomowany kawalerii Mossor i wielu innych na ten temat właśnie często mówili, dyskutowali i pisali. Praca ich oczywiście nie znalazła praktycznego oddźwięku w planach i przygotowaniach do wojny.

Jeden z niemieckich pisarzy wojskowych, o ile się nie mylę, Oberst Bauer, pisał kiedyś, że w Wojsku Polskim są dziwne stosunki: generałowie pisują bowiem o drużynie i plutonie, a kapitanowie i majorowie o zagadnieniach strategicznych. Jest w tym twierdzeniu oczywiście pewna doza złośliwości niemieckiej i przesady, ale w gruncie rzeczy Niemiec ten zaobserwował słusznie stosunki u nas panujące po maju.

Prusy Wschodnie narzucały się wprost jako *baza wypadowa na nasze tyły. Nasze położenie strategiczne już przez to samo było niestychanie trudne.* Umiejętnie i zawczasu wybudowane silne *fortyfikacje* w tak sprzyjającym dla obrony terenie puszczy Myszynieckiej, rzeki Biebrzy i puszczy Augustowskiej *mogły groźbę Prus Wschodnich poważnie osłabić.* Ale — poza drobnymi pracami w Osowcu, Wiźnie i Nowogrodzie, wykończonymi zresztą dopiero w końcu lipca 1939 roku (L.dz. 1690/40 — płk Jaklicz) — *nic w tej dziedzinie przez 20 lat nie zrobiono.* Narzekano na groźbę Prus Wschodnich, ale biernie się tej groźbie przyglądano. Te setki tysięcy bezrobotnych, miast demoralizować wynagrodzeniem za brak pracy — można było przy stosunkowo minimalnym wysiłku finansowym Skarbu Państwa przez dobrych kilka lat używać do ziemnych robót fortyfikacyjnych na

całej tej długiej przestrzeni. Dzieła betonowe i inne, choćby skromnie urządzone i uzbrojone fortyfikacje, jak łączność, artyleria itd., wykonywane w ciągu kilku lat, powoli ale stale, planowo i systematycznie, rozłożone w budżecie państwowym w czasie, nie były nieosiągalne, w każdym razie tańsze i ważniejsze od szos asfaltowych w kraju, który nie posiadał samochodów. Tylko nikt nigdy o tym nie myślał. Wygodniej było nic nie robić. Trawestując Wyspiańskiego można by powiedzieć, że oni „nie chcieli chcieć”.

Dla wykonania na 100% pewnego „Cannae” Niemcy potrzebowali drugiej podstawy wyjściowej do uderzenia na Polskę. Stała się nią Słowacja. *W tym momencie położenie strategiczne Polski stało się beznadziejne.*

Marszałek Śmigły-Rydz i rząd polski, nie tylko nie przeciwstawiając się polityce niemieckiej rozbioru Czechosłowacji, ale nawet w niej czynnie współpracując, pohańbili imię Polski w historii i własnymi rękoma wykopali grób, w którym Niepodległość Polski miała legnąć niebawem.

„...Zaiste jest nie do pojęcia, jak rząd nasz, zamiast stać na stanowisku niewzruszalności traktatu, któremu Polska granice swe zawdzięczała, zamiast mobilizować nad granicą Prus, mobilizuje nad granicą Czech. Rozbiera razem z Niemcami Czechy, co rok potem pozwala Niemcom starym szlakiem gorlickim na Polskę uderzyć i o zwycięstwie zadecydować...” (L.dz.594/39).

„Zaolzie” przeszło wszystkie najgorsze oczekiwania najgorszych pesymistów wśród naszych oficerów sztabów i w linii, pod względem wojskowym w sensie ujemnym.

Cząstkowa mobilizacja dla wystawienia grupy operacyjnej „Zaolzie” była wprost rewelacją, ale rewelacją dramatyczną.

Odsłoniła zupełny brak przygotowań, wykazała zamieszanie w dziedzinie ogólnej, zarządzeń organizacyjnych i zaopatrzenia materiałowego, nieudolność władz i chaotyczną improwizację.

Mobilizacja grupy operacyjnej „Zaolzie” kompletnie zdeorganizowała całe wojsko, porozrywała pokojowe związki taktyczne, zdekompletowała sztaby i w razie wybuchu wojny w tym momencie wprost uniemożliwiła przeprowadzenie przygotowywanej planem mobilizacji.

Spadły łuski z oczu największych optymistów wśród tych nawet oficerów, którzy dotychczas wierzyli, że duchem i improwizacją pobijemy Niemców. Oni właśnie nazywali realnie patrzących oficerów, zwłaszcza z ziem zachodnich, którzy bezustannie przestrzegali przed lekceważeniem Niemców i zwracali uwagę na ich zmysł organizacyjny, dokładność i sumiennność w pracy, ich

zawziętość i upór w osiąganiu zamierzeń, nadzwyczajną dyscyplinę, wysoki poziom wykształcenia i bitność wojska, oraz niemiecki potencjał wojenny, — „z niemczonym plemieniem” i mówili o nich, że są „zasugestionowani wielkością Niemiec”.

Przebieg i wynik kampanii jesiennej w Polsce wykazał, kto miał rację.

Inaczej by ta kampania i jej przebieg wyglądały, gdyby „czynniki odpowiedzialne” były w szerokiej mierze wykorzystane — (wyszkolenie i zdyscyplinowanie wojskowe, doświadczenie bojowe, tradycyjny zmysł organizacyjny i wrodzona wprost obowiązkowość, gorący patriotyzm²⁵ oraz bezkonkurencyjną wprost znajomość Niemiec, ducha niemieckiego i — tak odrębnej od reszty ludów europejskich — mentalności teutońskiej) — synów tego właśnie rzekomo „z niemczonego” plemienia piastowskiego Pomorzan, Wielkopolan i Ślązaków.

Jako *curiosum* podaję tu nawiasem, że pułkownik dyplomowany artylerii Glabisz, były oficer niemiecki w czasie ostatniej wielkiej wojny oraz były kierownik referatu „Niemcy” w Oddziale II Sztabu Głównego i wyjątkowy specjalista w tych zagadnieniach, referował Marszałkowi... sprawy rosyjskie, a 2 września 1939 roku, będąc jedynym wyższym oficerem w otoczeniu Marszałka, znającym na wylot wojsko niemieckie i doktrynę niemiecką, strategię niemiecką i dowódców niemieckich, został wysłany do Kielc w misji, którą mógł też spełnić inny pułkownik dyplomowany, których cały szereg — bez zadania i przydziału — pętało się w Naczelnym Dowództwie.

Pułkownik Münnich, legionista, referował sprawy niemieckie. Pułkownik dyplomowany kawalerii Morawski, w wojnie 1914-1918 roku również oficer niemiecki, był pierwszym oficerem sztabu Inspektora Armii we Lwowie, gdzie miał sprawy rosyjskie i ukraińskie, a pułkownik dyplomowany piechoty Bulewicz — pomocnikiem dowódcy Korpusu... w Grodnie; pułkownik Bociański, wyjątkowo dobry żołnierz i organizator, został wojewodą... w Wilnie, za to pułkownik Więckowski, legionista i Małopolanin, który zupełnie nie znał stosunków wielkopolskich — „komisarycznym”, to jest „narzuconym” ludności miejscowej

25. Przecież Wielkopolanie przez 1000 lat wstrzymywali napór Germanów. Dlatego konfiguracja naszej granicy zachodniej: „wybrzuszenie” Wielkopolski. Te 1000 lat walk ukształtowało charakter Wielkopolan i 123 lat niewoli dodało im jeszcze większej zwartości, wysoki poziom wykształcenia średniego (9 klas gimnazjum humanistycznego i 7-klasowa szkoła powszechna) oraz nauczyło ostatecznie stawiać sprawy narodowe przed osobistymi. Dlatego prawdopodobnie w pojęciu I.K.C. Wielkopolska była zacofaną „Beotią”.

prezydentem miasta Poznania. W Gnieźnie był prezydentem miasta, również „komisarycznym”, były pułkownik armii rosyjskiej, który traktował ludność jak muzyków rosyjskich.

„...Szczyściem dla Rzeszy było, że Polska powersalska nie była rządzona przez Poznańczyków...”

To nie Polak napisał, ale... niemiecki hitlerowiec. Jest to cytat z książki *Der deutsche Osten*, wydanej przez Nationalsozialistisches Hauptschulungsamt w Monachium w roku 1940.

A *Gauamtsleiter* dr Coulon w artykule drukowanym w wychodzącym w Poznaniu *Ostdeutscher Beobachter*, w numerze z dnia 24 grudnia 1940 roku „...przestrzega Niemców szczególnie przed Wielkopolanami” oraz stwierdza, że „...w ogóle żywioł polski w Poznańskim reprezentował kierunek skrajnie nacjonalistyczny i był szerzycielem ruchu przeciwniemieckiego w Polsce”.

„...Głosy tego rodzaju w prasie niemieckiej pojawiają się ciągle...” (*Myśl Polska*, nr 4 z dn. 15 maja 1941 roku).

Jedno jest pewne, że Niemcy dobrze się orientowali. Gdyby „Poznańczycy rządili Polską powersalską” (jak pisze wyżej wymieniony hitlerowiec), a ja tu dodam jako Polak „gdyby Poznańczycy mieli tylko dostatecznie wielki wpływ na rządy w Polsce” ... *prawo byłoby podstawą rządów w Państwie*, wojsko byłoby kapitalnie zdyscyplinowane, gruntownie, a nie „po łebkach”, wyszkolone i na pewno „zapięte na ostatni guzik”, plany wojny na wszystkie wypadki i możliwości byłyby na kilka lat przed wojną gotowe „w szufladzie”, uzbrojenie na poziomie nowoczesnym, kierunki najważniejsze zabezpieczone fortyfikacjami, odpowiedni i fachowo przygotowani dowódcy byłiby na właściwych i im odpowiadających stanowiskach. Działalności „piątej kolumny” na pewno by nie było. Raz, że większej części mniejszości niemieckiej nie byłoby już w Polsce, po wtóre, że pozostałą część odpowiednio by się pilnowało i zamykało, w końcu, tacy panowie jak von Szelicha nie ośmieliliby się w ogóle na prowadzenie takiej roboty, jaką tyle lat bezkarnie uprawiali na terenie Polski.

Ale sztaby *pracowałyby* od godziny 8 do 16, a nie... „urzędowały” od... godziny 9, a nawet 10 do 14, przy czym połowa czasu schodziła na czytanie gazet, drugie śniadanie z herbatą, rozmowy prywatne, telefony, również prywatne itd.

Wojsko, to jest linia, może by nie pracowało więcej, ale na pewno lepiej, rozsądniej. Przy apelu, czyszczeniu koni, zamiataniu koszar, pieszej musztrze, instrukcji broni itd. nie stałoby kilku oficerów naraz, jak to u nas było *nakazane*, ale podoficer na odpowiednim poziomie, bo to jest

jego zadanie. A oficer kształciłby się w tym czasie i miał poza tym czas na odpoczynek i życie towarzyskie. Gry aplikacyjne, ćwiczenia i obowiązkowa praca zimowa zmuszałby opieszających do pracy nad sobą, a sprawiedliwe opinie, wysuwające naprzód zdolnych i pracowitych, a z miejsca dyskwalifikujące nieuków lub niezdolnych, byłyby dla wszystkich zachętą do tej pracy. Mundur zaś oficera — i poprzednio przez szeregowych bardzo szanowany — byłby otoczony większą aureolą powagi, nie spowszedniałby im tak, jak przy systemie, w którym oficer musiał być obowiązkowo w koszarach od godziny 7 rano do 7 wieczór i stać przy rekrucie, gdy się kąpał lub otrzymywał podarte kalesony. Nasi oficerowie liniowi byli przemęczeni i fizycznie wyczerpani zanim się wojna zaczęła...

Podoficer zaś nie byłby tylko bezmyślnym i bezdusznym automatem, wykonywującym lepiej lub gorzej wydane rozkazy, ale nabrałby poczucia wartości swej osoby, ważności swego zadania, godności swego stanowiska, pewności siebie jako przełożony, wychowawca i dowódca (na przykład: szef, działonowy, dowódca drużyny telefonicznej, zwiadowczej, karabinów maszynowych lub tp.).

Nieprawdą też jest, szeroko rozpowszechnioną w Polsce przez legionistów pierwszej brygady, że Polak nie nadaje się do „drillu pruskiego”, bo jest indywidualistą i demokratą. I kończyło się zawsze opowiadaniem: „U nas w pierwszej brygadzie Legionów itd...”

Otóż:

— Co może było dobre w wojsku ochotniczym, jakim były niewątpliwie legiony, składające się przy tym w ogromnej większości z ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem, nigdy nie może być wzięte za podstawę dyscypliny w dużym wojsku z poboru, w którym w dodatku jeszcze poza Polakami byli też żołnierze z mniejszości.

— Kto mówi o dyscyplinie „demokratycznej” w wojsku, sam sobie wystawia świadectwo, że w ogóle nie rozumie zawodu żołnierskiego i że sam nigdy nie poczuł się żołnierzem i nie był żołnierzem, choćby mundur nosił lat dwadzieścia czy dłużej. Nie ma dyscypliny „demokratycznej” czy innej, tylko — w wojsku, które na to zaszczytne miano zasługuje — jest jedna dyscyplina, własnie wojskowa. Wojsko niezdiscyplinowane jest zbiorowiskiem umundurowanych cywilów, którzy w pierwszej ciężkiej próbie się rozleczą, rozpierzchną, jak stado wróbli. U nas w Polsce była „munduromania”, ale rzut oka nawet na żołnierza w przeciętnym garnizonie, a tym bardziej na Strzelca, członka organizacji rezerwistów, młodzika z P.W. lub tp. musiał

denerwować i do głębi zasmucać prawdziwego, z duszy i serca, żołnierza.

W roku 1930 (jeżeli mnie co do daty pamięć nie myli) — pisał wyżej już cytowany Oberst Bauer w berlińskiej *Deutsche Tageszeitung* (którą musiałem czytać „z urzędu”, pracując w Sztapie Głównym): ... *in Polen gibt es viele Militärs, aber keine Soldaten...*

To krótkie zdanie zagranicznego fachowca zawiera druzgocącą ocenę dyscypliny Wojska Polskiego — i — według mego zdania — niestety słuszną.

Udowodniła to zresztą kampania wrześnieowa, o czym będzie jeszcze mowa później.

Dyscyplina wojskowa polega na skrupulatnym i dokładnym, bezkompromisowym wypełnianiu wszystkich swoich obowiązków w myśl regulaminów, instrukcji i przepisów.. (Rozumiem, że pojęcie dyscypliny można zdefiniować również innymi słowami).

Niedzyscyplinowanym jest żołnierz, który nieprzepisowo staje na baczność (ręce i nogi!), nieprzepisowo salutuje, ma guziki niedopięte i mundur niewyczyszczony, pas główny niedociągnięty, nosi ręce w kieszeniach, nie melduje przepisowo, zachowuje się nieprzepisowo na ulicy lub — jak tu w Londynie — wbrew rozkazowi naczelnego Wodza nosi trzcinkę angielską i furazerkę, krytykuje przełożonych i starszych, nie wykonuje wszystkich rozkazów i nakazów. Dyscyplina obowiązuje wszystkich żołnierzy, bez względu na szarżę. Przykład idzie z góry. Pod tym względem stosunki w wojsku polskim w czasie pokojowym były wprost horrendalne.

Gdy na ten temat rozmawialiśmy często w Polsce, „przeciwnicy” — wśród oficerów — *takiej* dyscypliny argumentowali: „nasz żołnierz będzie się bił lepiej od Niemców. Bosa i głodny będzie wykonywał rozkazy”.

Znów wielkie nieporozumienie. Kto nie wykonuje w służbie codziennej łatwych rozkazów czy przepisów w czasie pokoju, to jakże ma wykonywać trudne obowiązki i rozkazy w ogniu bitwy? Czyż droga od kompromisu z sumieniem, obowiązkowością itd. — nie jest już otwarta?

I tutaj kampania jesienna w Polsce wykazała, kto miał rację?

Setki sprawozdań stwierdza, że żołnierz nasz bił się na ogół stosunkowo dobrze, gdy był najedzony i wyspany i gdy miał bezwzględnych dowódców. Gdy był „głodny i chłodny” i miał miękkiego dowódcę z rezerwy, rozlaził się i rozpraszał, aby do swego oddziału nigdy już nie powrócić.

Niemieckie regulaminy odróżniają *Manneszucht* i *Gefechtsdisziplin*.

Jedno i drugie było zawsze i jest u Niemców na bardzo wysokim poziomie. Skutek widzieliśmy w roku 1870/71, 1914/18, no i dotychczas w tej wojnie.

U nas pierwszej nie było nigdy, a druga, jak pokazała kampania jesienna w Polsce, przeważnie zawiodła. Stwierdzają to setki sprawozdań. Kto u nas rozumiał ważność takiej dyscypliny i ją propagował, uchodził za „z Niemczonogo”.

Dyscypliny nie można wpoić wojsku karami. Podstawą zdyscyplinowania wojska jest dobra, gruntowna, bezlitosna i bezkompromisowa pod względem wymagań szkoła rekruta i dalsze dwa przynajmniej lata w tym samym duchu prowadzonej dalszej służby czynnej. Charaktery krnąbrne muszą być łamane natychmiast drakońskimi karami.

U nas przez lato 20 takiej szkoły rekruta nie miał żaden żołnierz, bo... z rozkazu Ministerstwa brakło na nie czasu. Jeden tylko przykład: w artylerii rekruci przybywali pod koniec lutego, 1 marca rozpoczynała się szkoła rekruta, która musiała być ukończona do 15 kwietnia, a najdalej do 1 maja, gdyż pułki wyruszały na poligon. Czyli sześć-osiem tygodni na wykształcenie podstawowe, pieszą musztrę, służbę wewnętrzną, służbę polową, działaczyny, konną jazdę (jezdni, zwiadowcy, telefoniści), znajomość sprzętu, karabinów itd. itd. To wszystko w sześć do ośmiu tygodni. Odliczając przypadającą w tym czasie Wielkanoc, Zielone Świątki, Wniebowstąpienie i Boże Ciało, niedziele i soboty po południu, pozostawało na szkolenie (licząc osiem tygodni) mniej więcej 40 dni, po 6 godzin na szkolenie (od godz. 8-11 i 14-17, bo reszta czasu na służbę wewnętrzną, odpoczynek, stajnię, czyszczenie sprzętu) wynosi to 240 godzin. Ale od tego czasu trzeba jeszcze odliczyć przedmioty niewojskowe, jak przynajmniej dwie godziny tygodniowo nauka pisania i dwie godziny tygodniowo pogadanka oświatowo-kulturalna. Pozostaje na „szkołę rekruta” 208 godzin. Przeliczając te godziny znów na dni po „sześć” godzin pracy, wynosi to 35 (trzydzieści pięć!) dni wykształcenia rekruckiego. To nie była szkoła rekruta. To była galopada, „gonitwa po łebkach”, i to przy przeciętnie niskim poziomie umysłowym polskiego rekruta. Podobnie, a może nawet gorzej, było w piechoce z dwukrotnym w roku wcielaniem rekruta.

Z takiej szkoły rekruta nie mógł wyjść zdyscyplinowany żołnierz. Całe „szkolenie” kanoniera trwało w ogóle tylko do połowy września, gdy starszy rocznik zwolniono, dotychczasowy młodszy rocznik stawał się fernalami i robotnikami.

Wynik takiej szkoły rekruta pokazała kampania jesienna w Polsce. Podobnie sprawa wyglądała z podchorążymi. Najbar-

dzień błędnym było to, że nie byli jako szeregowcy wcielani do pułków, gdzie by poznali prawdziwe życie żołnierskie i żołnierza, z jego blaskami i cieniami. W szkole podchorążych — zwłaszcza rezerwy — całe wyszkolenie szło też w tempie galopady. Przychodził taki kapral czy plutonowy podchorąży rezerwy do pułku, miał dużo teoretycznych wiadomości, ale w ogóle nie był żołnierzem, jeno cywilem w mundurze. I to zaważyło na bojowości wojska polskiego podczas kampanii jesiennej w Polsce, a skutki widzimy też w Szkocji.

W roku 1921 Główna Księgarnia Wojskowa wydała w tłumaczeniu polskim książkę generała niemieckiego von Balcka pod tytułem „Rozwój taktyki podczas wielkiej wojny”.

Omawiając wyszkolenie byłej C. i K. armii austriacko-węgierskiej, autor dosłownie się wyraził: *...Es war eine Halleluja Ausbildung.*

Niestety i u nas tak było: wyszkolenie na pokaz, a dyscyplina polegała na „trzaskaniu obcasami” i głośnym krzyczeniu „na rozkaz”, aby „potem ten rozkaz źle albo wcale nie wypełnić...” (L.dz. 1683/40).

Potem przyjeżdżał generał na inspekcję i wyganiając oficerów pułku, pytał się rekrutów czy w ogóle szeregowców, czy im się krzywda nie dzieje. To już była demagogia i podkopywanie powagi bezpośrednich, niższych dowódców.

Nasi kanonierzy mieli tyle *esprit de corps* i wrodzonego taktu, że nieznanym mi jest wypadek, aby się który kiedykolwiek — jak Polska długa i szeroka — użalał na swego oficera ze swego pułku wobec zupełnie mu obcego generała.

Zresztą stosunek szeregowych do oficera i na odwrót był w wojsku polskim bliski i serdeczny, że trudno już o lepszy. Sądzę, że pod tym względem wojsko polskie stało na pierwszym miejscu w Europie.

Przykład bezwzględnej i bardzo ostrej dyscypliny, a jednak „demokratycznej” (jeśli tak już musi być) mamy w wojsku angielskim. Ale w angielskim wojsku kary dyscyplinarne są bardzo dotkliwie, a w angielskich wojskowych zakładach karnych biją niemilosierdzie. Toteż angielski demokratą w mundurze wie, że brak dyscypliny się nie opłaca. Więc jest zdyscyplinowany.

Mrzonką doktrynerską jest dyscyplina masy, jaką jest wojsko, oparta na „duchu i dobrej woli”. Bez egzekutywy, bez natychmiastowych i bezwzględnych rygorów karnych w *masie* nie może być dyscypliny.

Wychować w takich zasadach choć jedno pokolenie polskie, a rygory karne będą w praktyce już niepotrzebne. Każdy Polak

będzie wiedział, że wojsko to wielka rzecz, a spełnienie obowiązku jest ważniejsze od zachowania zdrowia i życia...

W Polsce — w Płocku w 8.p.a.l. — w roku 1933 kilku kanonierów ze Szkoły Podoficerskiej, którzy samowolnie na Boże Narodzenie wyjechali na „polski” urlop i dopiero po ośmiu dniach powrócili, komendant szkoły oddał pod sąd. Dowódca dywizji, jako właściwy zwierzchnik sądowy, ukarał ich... 14-dniowym aresztem i... uśmiechnięci wrócili z Modlina do Płocka. Komendant szkoły mógł im dać 21 dni, dowódca pułku — 4 tygodnie. Oddano ich pod sąd, bo obaj dowódcy uznali, że zbyt wielka jest wina tych kanonierów, aby mogli być ukarani dyscyplinarnie. Wynik opisałem wyżej. W armii niemieckiej dostaliby nie mniej jak rok więzienia i drugą klasę żołnierzy. Wypadki takie, jak wyżej opisane, były w wojsku polskim codziennym zjawiskiem.

Armia bez egzekutywy karnej nie może być zdyscyplinowana. Armia niezdyscyplinowana nie może wygrać wojny.

Brak dyscypliny w wojsku polskim jest jedną z przyczyn klęski wrześniowej.

„...Szeregowi uciekali, a nie oficerowie...”, „...dowódcy wybiegali do natarcia, a gros szeregowych nie ruszyło się...”, „...w nocnych marszach rozchodzili się, ginęli w ciemnościach, rano ani połowy stanów z przedwieczora nie można się było doliczyć...” itd., itd. (L.dz. 5760/40, 652/40, 1134/40, 1667/40, 4401/40, 1341/40, 1130/40, 1783/40, 1779/40, i jeszcze bardzo dużo innych).

Dowodem niesłuszności argumentu, jakoby „Polak nie nadawał się do drillu pruskiego”, może być Wojsko Polskie 1815-1831 roku, Wehrmacht i dywizje wielkopolskie 1919-1921 roku, a nawet jeszcze we wrześniu 1939 roku w Armii generała Kutrzeby w walkach pod Kutnem.

Znany był również drill na pokładach naszych okrętów wojennych, a wiadomo, że ich dowódcą był admirał Unrug, były oficer marynarki niemieckiej, który w służbie nie znał żartów. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, duch i bitność naszych marynarzy, również na lądzie w obronie Oksywia i Helu, były doskonałe. Zagadnienie „buntów kaszubskich” należy raczej do rozdziału o działalności „piątej kolumny”, gdyż miały one tło wybitnie narodowościowe. Zresztą nie byli to sami marynarze²⁶.

26. Nigdy chyba w 1000-letniej swej historii wojsko polskie nie było tak „zdrillowane” jak wyżej wymienione oddziały polskie. A jednak tylko *takie* wojsko mogło stoczyć tak zażarte i krwawe walki jak bitwa pod Grochowem 25.II.1831 r., gdzie 2 dywizja gen. Żymirskiego nie oddała Olszynki, mimo wielokrotnej przewagi Dybicza, a zachwiana po ogromnych stratach i

Wojsko, w którym każdy żołnierz, od szeregowca do generała, nie obawia się bardziej niewykonania rozkazu niż ognia nieprzyjaciela i śmierci, nie jest zdyscyplinowane, rozproszy się w ogniu i wojny wygrać nie może.

I dziwne zjawisko, zaobserwowane nie tylko przeze mnie podczas dwóch wojen na froncie i prawie 20-letniej pracy pokojowej, ale też przez wielu innych oficerów:

Żołnierz polski szanuje, wysoko ceni i kocha dowódcę, który jest ostry, wymagający i bezkompromisowy w służbie, pod jednym oczywiście warunkiem: by sam świecił zawsze dobrym przykładem i był bezwzględnie sprawiedliwy i życzliwy dla podwładnych. Żołnierz jest dumny z takiego dowódcy pododdziału czy oddziału, do którego należy, a pokpiwa sobie z dowódcy występującego przed frontem jak baba, nieprzepisowo ubranego czy zachowującego się i lamentującego bezustannie, że „...następnym razem będzie zmuszony ukarać winnych”.

Zatrzymałem się tak długo nad tym zagadnieniem, gdyż brak dyscypliny w wojsku polskim w najszerszym tego słowa znaczeniu, od najwyższych do najniższych stopni, był ciężką i — w naszych warunkach — nieuleczalną chorobą, która zaciążyła fatalnie na przygotowaniach do wojny i na samym przebiegu kampanii.

Groźne następstwa tego zła ciążyą jeszcze dzisiaj na formacjach wojska polskiego na emigracji. Nigdy żadne „choroby emigracyjne” czy inne rzekome „załamania psychiczne” nie mogłyby do tego stopnia zachwiać po prostu podstawowymi zasadami dyscypliny wojska na emigracji, gdyby będący tutaj oficerowie, zwłaszcza rezerwy, byli gruntownie i bezkompromisowo zdyscyplinowani już w szkole rekruta i w dalszym przebiegu swej pokojowej służby wojskowej.

Tę zasadniczą wadę wojska polskiego znali wszyscy Inspektorowie Armii i o niej przy każdej sposobności meldowali. Jeden z nich, (nie pamiętam tylko który²⁷, ale sam fakt jest bezwzględnie prawdziwy) wyraził się, że „w wojsku polskim tylko ten żołnierz jest zdyscyplinowany, który sam nim chce być”.

Innymi słowami: dyscyplina w wojsku polskim zależała od

śmierci swego dowódcy w obliczu bezustannie napływających odwodów Dybicza, z równą brawurą została wsparta przez 3 dywizję gen. Skrzyneckiego. I tylko *takie* wojsko mogło się zakrwawić, a nie ustąpić w maju pod Ostrołką i tylko *takie* wojsko... bić się w sto lat później zwycięsko pod Nakłem i Zbąszyniem, Bobrujskiem, Ihumanem i Mińskiem i tylko *takie* wojsko mogło się bić w beznadziejnej wprost sytuacji pod Kutnem z odwagą i pogardą śmierci, które wywołały podziw i uznanie wroga — a poza tym wziąć jeszcze 30.000 jeńców niemieckich.

27. Zdaje mi się, że generał Sosnkowski.

dobrej woli każdej jednostki. Jest to oczywiście zbyt krucha podstawa dla ugruntowania i utrzymania dyscypliny w masie, jaką jest duże, nowoczesne wojsko z poboru.

Z zagadnieniem dyscypliny łączy się zagadnienie odpowiedzialności. Opiszę je tylko w kilku słowach. I ono było w wojsku polskim postawione zupełnie błędnie.

Z jednej strony ucieczka od odpowiedzialności (więc często całymi miesiącami brak decyzji w najrozmaitszych sprawach), a, w razie potrzeby, spychanie winy na podwładnych (akta b. Biura Rej.).

Z drugiej strony karanie Bogu ducha winnych ludzi za cudze winy.

Na przykład ukaranie dowódcy baterii, a nawet dowódcy dywizjonu za to, że przy przeglądzie przez dowódcę pułku jakiś koń był niedoczyszczony, kanonier miał brudne kalesony czy nogi, a nawet za to, że kanonier z danej baterii źle salutował dowódcę pułku lub tp.

To był „świat na opak”. Demoralizował żołnierzy wszystkich szczebli i podrywał do reszty zasady dyscypliny. Mogły nawet zachodzić wypadki rozmyślnego złego czynu, gdy podwładny wiedział, że przełożony za niego będzie miał przyjemność.

I tu wojsko brytyjskie wzorowo sprawę rozwiązało. Każdy jest odpowiedzialny indywidualnie za swój zakres pracy. Więc kanonier odpowiada też sam za siebie. Jest to też ważny moment wychowawczy.

Przepis o karaniu oficerów zawodowych w czasie pokoju aresztem *obostrzonym*, *to jest na odwachu*, winien być *bezwzględnie zniesiony*. Oficer może być ukarany tylko karą honorową, *to jest aresztem pokojowym* „na słowo”. Już areшт pokojowy dla człowieka honoru jest karą po prostu nieznośną.

Jeżeli oficer popełni większe przewinienie, na przykład pijaństwo, winien być zaraz zwolniony z wojska polskiego, co radykalnie oczyszcza korpus oficerski z niepożądanego elementu i wpływa wychowawczo na cały korpus oficerski. *Kara odwachu jak i kara więzienia godzą w honor munduru oficerskiego*. Wojsko niemieckie też ich nie zna.

Autor „U źródeł polskiej niemocy wojskowej” pisze na ten sam temat, poruszając nieco szerzej temat rezerwistów, u których z natury rzeczy dyscyplina była i jest po dziś dzień najsłabsza:

„...Ogólnie rezerwa składała się z dwóch warstw — z inteligencji i z warstwy z niższym wykształceniem lub bez wykształcenia.

Inteligencja, to masa oficerów i podchorążych rezerwy, czyli masa niższych dowódców. Trzeba zdać sobie sprawę ze znaczenia, jakie posiada ta masa w nowoczesnym wojsku. Bez dobrego oficera rezerwy nie osiągnie się wielkich rzeczy na wojnie. W natarciu plutony i kompanie źle dowodzone pomieszą się bardzo prędko, połowa strzelców zostanie w tyle, co lepsi poniosą niewspółmierne straty, w osłonie żołnierze po prostu uciekną, rozpoznanie nie da żadnego wyniku, a w działaniach powstrzymujących wszystko się pomiesza i pogubi. W artylerii zły oficer rezerwy jest tylko balastem. W taborach doprowadzi od razu do zamętu i ciężkich wykroczeń przeciwko dyscyplinie. Dodajmy do tego, że zły oficer rezerwy — to wzmrożona dezercja, rabunek, zniszczenie broni, wyekwipowania i wszelkiego sprzętu. Toteż wychowanie i wyszkolenie oficera rezerwy należą do najczulszych zagadnień i powinny być otoczone specjalną opieką. Tak też było i u nas z tym wielkim zastrzeżeniem, że sprawa należytego wychowania oficerów rezerwy była rozwiązana całkowicie błędnie, natomiast wyszkolenie było postawione dobrze.

Możemy popatrzeć prawdzie w oczy i przyznać się, że nasz przeciętny inteligentny chłopak ma w sobie mało wrodzonych zalet dowódcy. Ustalmy te zalety. Jest to przede wszystkim obowiązkowość, a potem chęć brania na siebie odpowiedzialności, inicjatywa i energia. Tego wszystkiego w większości wypadków nie mamy we krwi. Obowiązkowość naszego oficera rezerwy sięgała wielekroć tylko do chwili wydania rozkazu, do zakończenia marszu, do rozwinięcia kompanii, do odprzodkowania dział na stanowisku. Po takim wysiłku następowało gwałtowne odprężenie w formie jakiegoś niepojętego zubożenia na wszystko, co się dzieje dokoła. Nasz oficer czy też podchorąży rezerwy to najczęściej synonim jakiejś rozbrajającej nieśmiałości wobec przełożonych i podwładnych. Do najrzadziej spotykanych wyjątków należał wypadek, kiedy oficer rezerwy kontrolował wykonanie komendy i kazał powtórzyć źle wykonany chwyt lub zwrot. Zwykle był to automat do podawania mniej lub więcej nieprawidłowych komend i rozkazów głosem cichym, nieśmiałym, który nie przenikał, nie podrywał strzelców, lecz ginął niedoszyszany i niezrozumiały.

I cóż z tego, że ten oficer czy podchorąży nalykał się wielu teoretycznych i nawet bardzo mądrych wiadomości, co z tego, że programy wyszkolenia były tak piękne, kiedy produkowano wojskowych niedołęgów, rozlazłych ciurów obozowych, zamiast mniej nawet uczonych, ale za to z nerwem życia, śmiałych i energicznych dowódców. Można im było darować i trzeba było odmawiać im stopnia oficerskiego, gdy nie potrafili wymagać od podwładnych i dopilnować wykonania, czyli gdy nie potrafili być

dowódcami. Ażeby taki cel osiągnąć, trzeba było nie tylko uprościć przeładowane programy szkolne, ale trzeba było zastrzyknąć zupełnie nowego ducha naszemu szkolnictwu. Trzeba było wyrobić wzorową, sprężystą postawę żołnierską, głos, komendę, dziarskość zachowania się. Do tego można było dojść odpowiednim doborem kadry, nastawionej dopiero w drugim rządzie na uprawianie profesorstwa, a zamiast wielkich, papierowych programów trzeba było wprowadzić *żelazną dyscyplinę*, bo tylko kto przez nią przeszedł, może przy naszym charakterze narodowym pilnować samego siebie i stawiać wymagania innym. Wreszcie należało stanowczo odrzucić metodę patrzenia przez palce na jednostki nie nadające się na stanowiska oficerów, gdyż produkcja takich dowódców-niedołęgów godziła w podstawy wojska. Sprawy te rozumiano u nas bądź opatrnie, bądź też lekceważono je. Na przykład w jednej szkole podchorążych rezerwy piechoty dowódca dywizji rozkazał wydać świadectwa ukończenia kursu z wynikiem dodatnim wszystkim uczniom i to nawet najgorszym, aby „nie wzbudzać podrażnienia w społeczeństwie”.

Zupełnie podobnie miały się sprawy z kontyngentem, czyli z szeregowymi powołaniami do wojska na podstawie ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej. Wyszkolenie ich stało na dobrym poziomie, natomiast wyrobienie żołnierskie było zupełnie niewystarczające. Wyobrażano sobie w naszym wojsku, że łagodnością, perswazją, pogadankami i upomnieniami można z rekruta zrobić dobrego żołnierza. Być może, że takie metody wystarczyły w legionach, gdzie materiał żołnierski był zupełnie innego gatunku. Nasz żołnierz nie lubi prowadzenia przez zamszą rękawiczkę, ani sobie zresztą tego nie ceni. Imponuje mu energiczne, ostre, ale — dodajmy jeszcze jedno — sprawiedliwe i życzliwe traktowanie. Przy łagodnym, pobłażliwym dowodzeniu nasz żołnierz rozłazi się, do czego ma już wrodzoną skłonność. Zanedbuje się natychmiast w ubiorze, wykoślawia postawę, nie dba o broń i o powierzony mu sprzęt i konie. Obowiązkiem kadry było przeciwdziałać temu wszystkim dopuszczalnymi środkami. Ciężkim błędem jest bowiem sądzić, że wszystko jest w porządku, gdy żołnierz dobrze strzela i umie kryć się w terenie. Lepiej jest, gdy robi to gorzej, ale za to ma we krwi poczucie, że rozkaz jest dla niego świętością, kompania rodziną, a powierzona mu broń bezcennym skarbem. Gdyby tak u nas było, nie widzielibyśmy zapewne już w pierwszych dniach wojny tylu zabłąkanych, wałęsających się żołnierzy, a jeszcze po kilku dniach tyle porzuconej broni. Zresztą nie potrzeba było na to wojny. Na iluż to manewrach widziało się tłumne pielgrzymki żołnierzy różnych stopni, nawet z bronią maszynową, wlokących

się z dala od swych oddziałów i przynoszących wstyd swoim dowódcom.

Czy można temu przeciwdziałać tylko perswazją? Dzisiaj wiemy już na pewno, że była to z gruntu fałszywa droga. Jest to charakterystyczne, że na wojnie najporządniej trzymały się oddziały kawalerii, w której dyscyplina była stosunkowo najostrzejsza. Trzeba było także uciec się do ostrzejszych środków, których nasi dowódcy nie lubili. Można podać jako przykład niebываłych stosunków, jakie panowały pod tym względem wypadek, kiedy świeżo wyznaczony dowódca batalionu stwierdził, że we wszystkich jego kompaniach księgi karne są prawie zupełnie czyste. Jak się okazało, dowódca dywizji, a za nim także i dowódca pułku byli zdania, że nałożone kary dyskwalifikują zdolności wychowawcze dowódcy kompanii. W rzeczywistości tylko zaślepiony doktryner lub zupełny ignorant może mniemać, że kilkuset młodych chłopaków w batalionie może zachować się na obraz i podobieństwo hufca aniołów. Wychowanie żołnierza pozostawiało u nas bardzo wiele do życzenia..."

Na Zaolzie gros artylerii wyruszyło bez koców i plecaków, bez hełmów i masek gazowych, bez siatek o.p.l. i pistoletów, ale — co gorsza — również bez etatowej ilości koniecznie potrzebnych do strzelania przyrządów optyczno-mierniczych. Tych rzeczy bowiem nie było. Dowódcy dyonów i baterii wraz ze swymi pocztami jeździli na rozpoznanie... autobusami międzymiastowymi (które jeszcze kursowały), gdyż — z braku czasu — nie byli w stanie konno odbywać codziennie po kilkadziesiąt kilometrów w górskim terenie, a środków motorowych nie posiadali. Jaszczy do haubic 14/19.P. nie było można zamykać, gdyż... pociski były dłuższe, niż skrzynie naboje w jaszczach. Dowódca Lotnictwa Grupy Operacyjnej, pułkownik Kalkus, przydzielił do współpracy z artylerią samoloty niewyposażone w radio nadawczo-odbiorcze. Dopiero na energiczną interwencję dowódcy artylerii Grupy Operacyjnej pułkownika Bogusławskiego u dowódcy Grupy Operacyjnej generała Bortnowskiego, pułkownik Kalkus *do współpracy z artylerią przydzielił... bombowce typu „Łos”* (gdz posiadały radio). *Czeska artyleria ciężka (24 cm.) stała poza zasięgiem naszych najdalszych celowników.* (Te same działa, które w rok potem zburzyły Warszawę). *Gdyby w tę „ostatnią sobotę” (Rostand) Czesi nie byli przyjęli ultimatum Ministra Becka, nasza artyleria — słabsza znacznie pod względem nowoczesności i kalibru — obezwładniona przez artylerię czeską nie byłaby w stanie „utorować drogi własnej piechocie” przez fortyfikacje czeskie.* Zdobycie zaś tych fortyfikacji przez samą piechotę bez odpowiedniego wsparcia własnej artylerii było-

by więcej niż wątpliwe. (Powyższe podaję z pamięci według sprawozdania dowódcy artylerii grupy operacyjnej „Zaolzie”, pułkownika Bogusławskiego).

Już po zajęciu Zaolzia przez nas, w październiku 1938 roku, jeździł podpułkownik dyplomowany Jan Ciałowicz, aby zbadać fortyfikacje czeskie. Na podstawie danych o położeniu artylerii czeskiej i polskiej i po zbadaniu fortyfikacji czeskich doszedł ppłk Ciałowicz do tych samych wniosków, jakie zameldował pułkownik artylerii Bogusławski w swym obszernym meldunku. Tak płk Bogusławski jak i ppłk Ciałowicz byli specjalistami nielada i kroczyli na czele najwybitniejszych polskich artylerzystów.

„...Doświadczenia, poczynione na Śląsku Zaolziańskim, aż nadto dobitnie stwierdziły panujący u nas bałagan; jednak mało zrobiono w kierunku jego usunięcia...” (L.dz. 1683/40).

Wiadomości o „bałaganie” zaolziańskim rozeszły się szybko po całym wojsku, co tym łatwiej się stało, że grupa operacyjna „Zaolzie” składała się z najróżniejszych oddziałów wojska polskiego, przywiezionych z kilku korpusów.

Oficerowie liniowi, którzy co prawda w pracy codziennej stykali się z licznymi brakami organizacyjnymi, personalnymi i zwłaszcza materiałowymi, ale przypisywali je raczej biedzie naszej, wierzyli na ogół i byli przekonani, że jednak „te sztaby w Warszawie” przez tych kilkanaście lat pracowały, że plany są gotowe i magazyny pełne. Zнали przecież pułkowy plan mob., przynajmniej na swoim odcinku, widzieli pułkowe magazyny mob., pełne najrozmaitszego materiału i ekwipunku. Jak mogli przypuszczać, że na wyższych szczeblach jest gorzej, lub nawet źle?!

Oficerowie w sztabach, a nawet szefowie departamentów i oddziałów oraz pierwsi oficerowie w G.I.S.Z., poza nielicznymi wyjątkami, na ogół też się nie orientowali, jak całokształt spraw przygotowań wojennych wygląda, gdyż byli zamknięci w swych wąskich komórkach pracy.

Takiemu stanowi rzeczy sprzyjała szczególnie „tajemnica” wojskowa, specyficznie wynaleziona i szerzona przez Szefa Sztabu.

Z ogółu oficerów zawodowych a nawet dyplomowanych nikt nic nie wiedział. Każdy sądził, że choć on sam nie ma specjalnego zadania wojennego lub nic nie wie, to na pewno inne departamenty, oddziały czy sztaby pracują. Gdy komuś zaczynało świtać, że coś jest nie w porządku lub gdy ktoś na pewnym wycinku pracy wyraźnie już widział brak zarządzeń, nieróbstwo, bezplanowość i o tym przy okazji referatu meldował

przełożonym lub prywatnie przy sposobności starszym, otrzymywał odpowiedź: „To do pana nie należy”, „Pan Marszałek o wszystkim myśli”, „Pan się przejmuję”, „Pan szerzy defetyzm” lub tp. (na przykład wielokrotnie generał Fabrycy, generał Norwid, generał Miller, pułkownik Głabisz, tak bliski obu Marszałkom, i wielu innych).

Z Inspektorów Armii tylko generał Piskor i generał Szylling nie przeczyli, że jest źle. Z generałem Sosnkowskim nie miałem nigdy sposobności rozmawiać na te tematy. Ale wiem od podpułkownika Ciałowicza, że widział źle, ale nie mógł albo nie chciał się przeciwstawić. Przy sposobności przeglądania „memoriału artyleryjskiego”, o co go ppłk Ciałowicz specjalnie prosił, generał Sosnkowski powiedział: „W takim stanie, jak dzisiaj, artyleria nasza nie jest zdolna prowadzić walki”. — A na prośbę ppłk Ciałowicza, aby ułatwić przeforsowanie postulatów tego memoriału u Marszałka, generał Sosnkowski odpowiedział: „Moje pośrednictwo u Marszałka mogłoby wam (tj. artylerii) tylko zaszkodzić. Postarajcie się innymi drogami dotrzeć do Marszałka”. Na prośbę ppłk. Ciałowicza znalazłem tę „inną drogę” przez pułkownika Głabisza, który spowodował, że Generalny Inspektor wezwał do siebie generała Millera. Sam bowiem nigdy by się nie był odważył zameldować u Marszałka.

Słyszałem też, jeszcze w 1938 roku w Warszawie z najbliższego otoczenia generała Sosnkowskiego (od pułkownika Kiesznieńskiego), że na sugestie swych oficerów, aby w tak beznadziejnym położeniu zrobił porządek, generał Sosnkowski miał odpowiedzieć: „Polska jest za słaba i w zbyt trudnym położeniu wojskowo-politycznym, aby mogła w przeciągu kilku lat wytrzymać drugi zamach”.

Teraz mimo „tajemnicy”, która tak złowrogo zaciążyła na przygotowaniu i przebiegu kampanii jesiennej w Polsce, o czym jeszcze będzie mowa w jednym z następnych rozdziałów, spadły łuski z oczu nawet najbardziej niepoprawnych optymistów. Oficerowie zawodowi zrozumieli, że jest źle, że Wojsko Polskie nie jest przygotowane do wojny w ogóle, a do wojny z tak potężnym przeciwnikiem, jak Niemcy, w szczególności. Równocześnie zrozumieli, że wojna z Niemcami się szybko zbliża. Ani fanfaronada prasy rządowej o triumfalnym zajmowaniu Zaolzia, ani obfite opisy wspaniałych zwycięż w Warszawie ministra Ribbentropa i później ministra Ciano nikogo nie zdołały już wprowadzić w błąd. Szeroko komentowano milczenie Trzeciej Rzeszy o Polsce w Monachium jako znak złowrogi. Z szybkością błyskawicy podawano sobie z ust do ust wiadomości o rzeko-

mych krwawych starciach wojska polskiego z wojskiem niemieckim pod Boguminem, potem o żądaniu ministra Ribbentropa podczas wizyty w Warszawie oddania przez Polskę Gdańska i Pomorza, i jeszcze dużo więcej. Brak oficjalnych komunikatów w tych sprawach sprzyjał powstawaniu w tych sprawach coraz to nowych plotek, w czym niewątpliwie maczali też palce panowie Goebbels i Hess. Świadomość zbliżającej się z Niemcami rozprawy wzrastała coraz szybciej i mocniej, a z nią niepokój i nerwowość tak w społeczeństwie, jak szczególnie wśród korpusu oficerów zawodowych. Tragedią oficerów zawodowych było, że widzieli zbliżającą się wojnę, wiedzieli, że wojsko polskie do takiej rozprawy zupełnie nie jest gotowe, słyszeli lub czytali buńczuczne oświadczenia wysokich dygnitarzy wojskowych i państwowych i butny ton prasy, rozumieli, że cała propaganda jest kłamliwa, że przebieg wojny będzie kłęską tragiczną, a sami nic zmienić nie mogli i musieli milczeć.

W takim nastroju psychicznym i nerwowym polscy oficerowie zawodowi przeżyli zimę 1938/39 i weszli w okres bezpośredniego zagrożenia Państwa.

W telegraficznym wprost skrócie wykazałem powyżej, co zrobił Marszałek Rydz-Śmigły w okresie maj 1935-marzec 1939 dla obronności Państwa i ile i co zaniedbał. Konkluzja z powyższego może być tylko jedna:

Ani wojsko, ani Państwo do wojny nie były gotowe, z braku dalekowzroczności i przewidywań oraz nieuctwa, niedbalstwa i bezgranicznej lekkomyślności odpowiedzialnych czynników.

Na zewnątrz frazeologia „mocarstwowa”, do wewnątrz... pustka mózgów i „tajemnica”, mająca uspić czujność społeczeństwa.

Przypomina się bajka Lafontaine'a o żabie i o wole.

Stan wojska polskiego w przededniu wojny można najlepiej scharakteryzować słowami niemieckiego pułkownika (które wyczytałem — choć w innym związku — w komunikacie Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza): *Glänzend aber hoffnungslos.*

II. W PRZEDEDNIU WOJNY

Opowiadano sobie w G.I.S.Z. na ucho, że Ossowiecki rzekomo powiedział Generalnemu Inspektorowi, że nie będzie wojny. Nie wiem, ile w tym jest prawdy, ale faktem jest, że *w wybuch wojny czynniki decydujące chyba nie wierzyły*. Wspomniałem już, co należy sądzić o wierze lub niewierze w wybuch

wojny odpowiedzialnych za obronność Państwa czynników, więc przede wszystkim Generalnego Inspektora, Ministra i Szefa Sztabu Głównego. Czyny ich w tym okresie świadczą atoli, że rzeczywiście w wybuch wojny nie wierzyli. *Jeżeli zaś orientowali się w groźnym położeniu politycznym i wyczuwali bezpośrednio już niebezpieczeństwo, a jednak — jeszcze w ostatniej chwili — nie zrobili wszystkiego, co było możliwe, aby przynajmniej rozmiar nieuniknionej klęski zmniejszyć, to działalność ich kwalifikuje się mianem, które samo się narzuca każdemu myślącemu człowiekowi.*

I w tym nawet okresie, marzec 1939 — wrzesień 1939.

— *fabryki (czołgów, samolotów, dział artyleryjskich i przeciwpancernych i amunicji) nie pracowały na trzy zmiany, ale nawet nie pracowały na dwie zmiany, częściowo — jak już wspomniałem o P.Z.L. — w ogóle nie pracowały, a częściowo — jak P.Z.Inż. — nie miały zamówień na sprzęt nowy;*

— *polowe roboty fortyfikacyjne rozpoczęto dopiero w czerwcu, a częściowo nawet w lipcu. Użyto do tych robót nie setki tysięcy bezrobotnych lub innych sił roboczych cywilnych, ale żołnierzy z pułków;*

— *nie zmilitaryzowano policji państwowej, o co od kilku lat starał się bardzo usilnie Główny Komendant Policji Państwowej na podstawie ustawy o mobilizacji Państwa i policji państwowej.*

Wojsko straciło przez to możność dysponowania policją państwową, która z jednej strony mogłaby odciążyć wojsko w pracy mobilizacyjnej, mobilizując część: „...żandarmerii polowej, taborów, oddziałów roboczych i oddziałów wartowniczych...” (L.dz. 994/A/40), z drugiej zaś strony, posiadając po zmobilizowaniu 60.000 ludzi, własną sieć radio, telefon, 50 motocykli i w każdym powiecie łazik, a w każdym województwie duży samochód transportowy, a kierowana przy tym rozkazami dowódców Armii i działając w zwartych oddziałach, byłaby usunęła kilka zjawisk, które bardzo ujemnie wpłynęły na przebieg kampanii jesiennej w Polsce właśnie z braku zapory policyjnej i regulacji oraz kontroli ruchu, jak między innymi masy uciekinierów na drogach, a wśród nich pełno dezertersów, maruderów, szpiegów i agentów „piątej kolumny”. Policja też — jak w Niemczech — mogła na tyłach kierować O.p.l., akcją przeciwpożarową itp.

„...Gdyby zmilitaryzowanie policji było zdecydowane w sierpniu 1939 roku, byłyby zupełnie inaczej wyglądały sprawy bezpieczeństwa na tyłach armii i sprawy ewakuacji majątku państwowego. Policja bowiem uzyskałaby prawo pełnienia służby w rejonie etapów armii, którego jej w ubiegłej wojnie odmawiano, miałaby prawo ingerencji w stosunku do osób ubranych w mundury wojskowe, których chmary włóczyły się na tyłach skoncen-

trowanych jednostek bez żadnej kontroli ze strony wojskowych organów bezpieczeństwa, bo żandarmerii wojskowej starczyło zaledwie na rejony dywizji. Policja nie pilnowałaby już siatek, parkanów i ruder, ale zajęłaby się służbą dla Armii i może wcześniej byłaby wzmocniona...

... Tak zaś policja trzymana z dala od zagadnień wojskowych była jak tabaka w rogu i liczba jej, po zmobilizowaniu sięgająca 60.000 ludzi, nie odegrała takiej roli jaką odegrać powinna i mogła". (L.dz.994/A/40).

— *braków zasadniczych*, ale stosunkowo drobnych, na uzbrojenie i wyposażenie wojska nadal *nie usuwano* lub w tempie, jakbyśmy żyli w najbardziej „spacyfikowanej” Europie;

— rozdano co prawda *karabiny przeciwpancerne*, ale były one *w zaplombowanych skrzyniach*, o których nawet dowódca pułku nie wiedział co zawierają. Krótco już przed wojną specjalnym rozkazem tajnym nakazano dowódcom pułków zebrać dowódców baonów, kompanii i o ile się nie mylę — po dwóch strzelców na kompanię i — *po złożeniu przysięgi, że zachowają tajemnicę* — zapoznać ich z tym sprzętem.

Trudno rzeczywiście zrozumieć, co zamierzano przez taką „tajemnicę” osiągnąć. Rozum przecież mówił, że fakt posiadania tej broni przez wojsko polskie nie powstrzyma Hitlera od wykonania powziętych decyzji. Gdyby zaś ta wiadomość miała *jednak* go powstrzymać, to należało ją właśnie rozpowszechnić, gdyż w naszym interesie leżało nie dopuścić do wybuchu wojny lub jej wybuch jak najdłużej odwlec. Nie była to też broń tak rewelacyjna, aby zjawienie się jej na polu walki było takim zaskoczeniem dowództwa i wojska niemieckiego, żeby mogło wpłynąć poważnie na psychę i morale nieprzyjaciela. Taką tajną bronią zaskoczenia byłyby na przykład promienie niewidzialne, zatrzymujące na daleką odległość silniki, powodujące na daleką odległość wybuch amunicji w jaszczach, samolotach i w ładowniach piechurów. Dążność do takich wynalazków byłaby wdzięcznym polem pracy w dziedzinie obrony państwa dla laboratoriów profesorskich w Uniwersytetach i Politechnikach oraz w wojskowych instytucjach technicznych. Taki wynalazek mógł w krótkim czasie dać nam zwycięstwo całkowite i takie samo, jak na przykład karabin maszynowy dałby je generałowi Chłopiczemu pod Grochowem. „Tajemnica” ta miała za to jeden dodatkowy, a poważny skutek. Ze sprawozdań, znajdujących się w aktach byłego Biura Rej. wynika, że po zabiciu lub zranieniu tych „wtajemniczonych” strzelców nikt już w pułku tych karabinów przeciwpancernych używać nie umiał.

Już w styczniu 1939 roku podczas wizyty w Warszawie Ribbentrop zażądał Gdańska i korytarza przez Pomorze. Czyta-

łem nawet, że Hitler postawił osobiście ministrowi Beckowi to samo żądanie przy okazji jego wizyty w Berchtesgaden już jesienią 1938 roku. To były już chyba ostatnie dzwoneki alarmujące. Mimo to nadal „nie wierzono w wojnę”. Przedstawiłem już wyżej w krótkich kilku zdaniach, jak zmarnowano ten czas w wojsku, to jest w linii, w policji, w fabrykach. Wiemy również, że zmarnowano go w wielu innych dziedzinach, na przykład społecznej.

Zmarnowano również ten czas już ostatni na przygotowanie choćby w ostatniej chwili rozumnego planu wojny obronnej przeciw Niemcom.

Nasze czynniki decydujące w sprawach polityki zagranicznej oceniały sytuację w ten sposób, że głównym przeciwnikiem Polski będą zawsze Sowiety. Wojnę z Sowietami będziemy musieli poprowadzić sami. Ewentualna wojna z Niemcami nie będzie jednostronna, ponieważ w takim wypadku w wojnie weźmie udział Francja.

„...od lat gros prac było poświęcone przygotowaniom do wojny na wschodzie z ZSSR, którego to sąsiada jeszcze Marszałek Piłsudski uznał za niebezpieczniejszego (zresztą wbrew opinii płk. dypl. Głabisza, a pod wpływem ministra Becka)...” (L.dz.1533/40).

Stąd na pierwszy plan w pracach Sztabu Głównego i G.I.S.Z. wysuwały się sprawy wschodnie; sprawy wojny na zachodzie były poruszane tylko fragmentarycznie. Studium planu zachodniego rozpoczęto w 1937 roku; obejmowało ono jednak tylko jedną ogólną rozmowę wstępną Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych z Inspektorami Armii na temat charakteru działań przeciw Niemcom. Jednak do rozpracowania konkretnych planów nie doszło. Dopiero w marcu 1939 roku wypadki zmusiły nasze naczelne władze wojskowe do zajęcia się planem działania przeciwko Niemcom.

W tych warunkach nie było mowy o rozpracowaniu szczegółowego planu działania. Generalny Inspektor Sił Zbrojnych w marcu dał wytyczne do osłony i wstępnego rozwinięcia sił, zaś w maju lub w czerwcu 1939 roku wytyczne do przygotowania działań odwodu (armia odwodowa generała Dęba).

Plan działań wojennych, poza okresem wstępnym, nie był ujęty w formę konkretną ani też nie był przygotowany w terenie. *Jeśli istniał, to raczej tylko w umyśle Naczelnego Wodza lub jego najbliższych współpracowników.*

Na poparcie takiego przypuszczenia można przytoczyć:

- 1) wydanie „Wytycznych” dowódcy głównego odwodu dopiero po paru miesiącach od chwili zagrożenia,
- 2) niewykonanie żadnych przygotowań ani rozpoznań tere-

nowych sięgających w głąb poza teren operacyjny armii (poza budową mostów na Wiśle i Pilicy). Rozpoznania terenowe w głąb rozpoczęto na kilka dni przed wojną.

3) Oddział III otrzymał dopiero na miesiąc przed wojną rozkaz opracowania zasadniczych postulatów operacyjnych, politycznych, przemysłowych i komunikacyjnych, dotyczących planu dalszej wojny (sprawozdania płk. Kopańskiego).

4) *Na kilka dni przed wojną* Generalny Inspektor zdecydował przesunięcie odwodów Naczelnego Wodza ku południowi, co wskazywało na *zasadniczą zmianę koncepcyjną* (płk Jaklicz i płk Kopański).

Plan z marca 1939 roku obejmował więc tylko zadania osłony i zadania rozwinięcia wstępnego. Obejmował on wyłącznie zadania dla poszczególnych armii, bardzo związane wskazówki wykonawcze, ogólne i ilościowe O. de B. armii.

Wychodząc z założenia konieczności:

1) obrony najbogatszych części kraju (Śląsk, Poznańskie),

2) umożliwienia przeprowadzenia mobilizacji ogólnej,

3) zachowania własnego prestiżu w sprawach Pomorza i Gdańska,

plan osłony przewidywał kordonowe rozciągnięcie sił wzdłuż wszystkich granic z Niemcami.

Brak myśli przewodniej w użyciu odwodów oraz ich przesuwanie w ostatnich chwilach wskazuje na brak ogólnego planu działań dla wojny z Niemcami.

Nie istniał również w naszych koncepcjach plan ogólny fortyfikacji granicy zachodniej.

Do roku 1939 były wykonywane tylko fragmentaryczne umocnienia niektórych odcinków na Śląsku, Gdyni i Helu.

Dopiero w marcu powstaje pewien plan fortyfikacyjny na zachodzie, jako pochodny planu osłony i wstępnego rozwinięcia sił. *Plan ten nie jest wynikiem zasadniczej koncepcji fortyfikacyjnej, lecz wynika z zadań poszczególnych armii.*

Fortyfikacje nie mogą powstać w mgnieniu oka; ich budowa wymaga czasu i masy pieniędzy; *o ile byśmy mieli plany fortyfikacyjne, to byśmy je realizowali przed marcem 1939 roku, a nie przystępowali do robót wykonawczych w lipcu 1939 roku.*

Wprawdzie w roku 1937 wydano zarządzenia intensywnych studiów na zachodzie; w wyniku przedstawiono do G.I.S.Z. plan obrony rejonu Brodnicy i zapoczątkowano prace nad projektem obrony Narwi. *Jednak wobec braku kredytów i te fragmenty nie były realizowane.*

Budżet fortyfikacyjny na rok 1939/1940 przewidywał prace na wschodzie; na zachodzie znowu nie przewidywano prawie nic. *Od marca Sztab Główny zaczął przeprowadzać virement*

kredytów ze wschodu na zachód, ograniczając się ściśle do przewidywań budżetowych (w granicach ustalonych kredytów).

Do prac właściwych na zachodzie przystąpiono dopiero w końcu czerwca.

Na wcześniejsze rozpoczęcie prac Szef Sztabu Głównego nie pozwalał z uwagi na konieczność zachowania tajemnicy wojkowej. W końcu czerwca Generalny Inspektor Sił Zbrojnych zgadza się na prace w terenie (umocnienia polowe i niszczenia).

W miesiącu lipcu, gdy prace w pierwszej linii były zaawansowane, poszczególni dowódcy armii występowali z wnioskami do Sztabu Głównego o przystąpienie do prac na drugiej linii. Jednak Szef Sztabu Głównego nie dał decyzji i nie wyznaczył chociażby ogólnego przebiegu pozycji obronnej i jej przypuszczalnej obsady.

Plan fortyfikacji jak również plan obrony nie istniał. Brak takiego planu nie pozwolił na planowe rozbicie projektowanych robót na okres pewnej ilości lat i na zorientowanie się w całokształcie potrzeb. Wszystkie wykonane prace stanowiły luźne fragmenty, nie związane ogólną myślą przewodnią.

Tak samo luźnymi fragmentami były plany opracowywane w 1939 roku przez Inspektorów Armii. Zamiast opracowania całokształtu planu przez jedną centralną komórkę i następnie rozpracowania szczegółów, zaczęto pracę odwrotnie — to jest opracowanie szczegółów bez ogólnego planu.

Na potwierdzenie powyższych mych też przytaczam poniżej wyciągi ze sprawozdań całego szeregu oficerów dyplomowanych, którzy pracowali w Oddziale II Sztabu Głównego — (podkreślenia są moje):

„...W zakresie moich kompetencji całokształt pracy operacyjnej Sztabu Głównego skoncentrowany był do końca 1938 roku na przygotowanie planu wojny z Rosją.

Zachód był przygotowany tylko częściowo, w formie bezpośrednich studiów Inspektorów Armii z Generalnym Inspektorem, bądź w formie wykonawczej na szczeblu Sztabu Głównego.

a) Studia Inspektorów Armii dotyczyły koncepcji ogólnych, prac teoretycznych i studiów terenowych, jednak bez ściśle jeszcze sprecyzowanego zadania i sił.

b) Praca wykonawcza Sztabu Głównego objęła następujące zagadnienia:

1. Studium rozwinięcia niemieckiego,
2. Rozbudowa łączności na szczeblu Naczelnego Wodza i częściowo na szczeblu Inspektorów Armii,
3. Rozbudowa fortyfikacji „Śląska”,
4. Przygotowanie straży górniczej do współdziałania z wojskiem...” (Płk Jaklicz, L.dz. 1690/40).

Już na wstępie zaznaczam, że pułkownik Jaklicz w swoim obszernym sprawozdaniu żongluje pojęciami strategicznymi i operacyjnymi w sposób niesłychanie sprytny, mający chyba na celu w powodzi słów i komunałów utopić istotę zagadnienia. Może to imponować laikom i ich wprowadzić w błąd. Fachowcy tą rzekomą uczonością wywodów nie dadzą się zmylić z tropu. Doskonale odróżnią ziarno od plew. Poza tym sprawozdanie to zawiera cały szereg nieścisłości rzeczowych, niedomówień i — sądzę, że rozmyślnego — zaciemniania faktów. Jest to praca typowego teoretyka, operującego frazesami, jak niedoświadczony asystent w Wyższej Szkole Wojennej przy omawianiu pracy operacyjnej. Ze sprawozdania pułkownika Jaklicza bije w oczy taki sam chaos, jaki był potem w dowodzeniu podczas wojny. Jest to dokument, który rykoszetem bije w autora i sam go oskarża.

Szef Sztabu Naczelnego Wodza Wojska Polskiego we Francji, pułkownik dyplomowany artylerii Kędzior, ocenia sprawozdanie pułkownika Jaklicza następująco:

„Dla oceny raportu płk. Jaklicza stosować należy dwa kryteria:

- wyniku, ten jest znany,
- teoretyczne, tzn. sposób logicznego podejścia do zagadnień i celowość przyjętych rozwiązań.

Na szczeblu pracy płk. Jaklicza szczególnie interesującym byłoby oświetlenie zagadnienia pracy sztabu ze strony politycznej. Niestety, tę sprawę płk Jaklicz pomija milczeniem, [co] ma tę złą stronę, że nie można wystarczająco jasno oświetlić celowości pracy sztabu.

Inną dziedziną, w której oświetleniu widzę bardzo wielką lukę, [jest] sprawa doktryny. Wspomina płk Jaklicz o nowożytnym przygotowaniu do wojny, nie mówi jednak, w czym je widział.

Pytanie to uważam za zasadnicze.

Jak stwierdza płk J., jak to wynika z zacytowanych przez niego danych, sztab dysponował zupełnie szczegółowymi wiadomościami odnośnie sił niemieckich, koncentracji, kierunków uderzeń, koncepcji walki, ukończenia mobilizacji i koncentracji, innymi słowy sztab posiadał znajomość doktryny przeciwnika i jego środków.

Doktrynie i środkom niemieckim, jak wynika z pracy płk. J., przeciwstawiliśmy:

— pojęcie walki, *w której manewr ma przewagę nad ogniem* względnie *w której tak siłę ogniewą jak i zdolność manewrową środków lotniczych, pancernych i motorowych przeciwnika negliżowaliśmy,*

— przygotowany manewr nie był oparty o żaden system przeszkód sztucznych czy naturalnych,

— ugrupowanie ogólne było kordonowe, dywizje nawet w armii gen. Rómmla, jak pisze płk J. o najsilniejszym nasyceniu, miały około 30 kilometrów frontu na Wielką Jednostkę. Dla bliżej nieokreślonego celu prestiżowo-politycznego wydzielono grupę gdańską. Dla zadania biernego, jak stwierdza płk J., wydzielono w armiach Kutrzeby i Bortnowskiego około 13 Wielkich Jednostek, a więc jedną trzecią wszystkich sił, pozostawiając je w worku z zagrożonymi komunikacjami prawie od samego początku wojny.

Zupełnie specjalna jest sprawa odwodu. 7 W.J. wysuwa się do przodu bądź do działania całą masą na południe, dla ewentualnego utrzymania rejonu Gór Świętokrzyskich, względnie organizowania walki na Wiśle. To wszystko w szablonowym oparciu o konne tabory i kolejowe stacje zaopatrzenia, a więc nawet nie na poziomie 1918 roku, jeśli chodzi o możliwości wykonania.

Uderzają w raporcie płk. J. optymizm i pewność siebie. Dywizje niemieckie pancerne, zmotoryzowane, zwyczajnie o wielokrotnej przewadze ognia, mają przeciwstawione oddziały prawie bez broni panc., etapy i wnętrza kraju bez poważnej obrony plot., zaopatrzenie oparte o chłopskie wózki. Wyraźnemu ugrupowaniu zaczepnemu przeciwstawia się kordonik, oparty o szablonową „myśl manewru”.

Co najciekawsze, ustala się plan wojny nieznanym prawie nikomu, do nikogo nie miało się zaufania (a może bano się go pokazać i słusznie). Plan wojny, który nie wytrzymał próby żadnego *Kriegsspiel*’u, jak mógł on zatem wytrzymać próbę życia. Jak to było możliwe, by plan wojny, jak pisze płk J., nowożytnego wojska, którego elementy zasadnicze powstają na podstawie przyjęcia przede wszystkim pewnej koncepcji politycznej, do której powinny dojść następnie składowe wojska i gospodarcze, mógł być przyjęty bez wyraźnego, wyczerpującego i wszechstronnego sprawdzenia wszystkich tych elementów?

Na marginesie raportu płk. J. nasuwa się jeszcze jedna uwaga personalna.

Do akcji Gdańsk jest wyznaczony generał-polityk Skwarczyński. Czy aby odegrać Ozon? Generałowie Sikorski, Sosnkowski i Piskor nie mają przydziałów d-ców, na d-cę odwodu wyznacza się gen. Dęba, czy w tym wszystkim nie tkwiła myśl, że „tylko swoi winni się odznaczyć”.

Ogólnie praca płk. J. nie dała mi odpowiedzi na pytanie, czy był plan wojny i jak został zbudowany.

Interesującym byłoby ponadto znalezienie odpowiedzi na następujące pytania:

— Czy Sztab uważał, że przyjętej koncepcji strategicznej odpowiadały możliwości taktyczne, tzn. czy dywizje na 30 kilometrów frontu mogły wytrzymać jakąś poważniejszą akcję.

— Dlaczego nie było dowództw grup armii. Było jasnym, że N.D. nie mogło objąć bezpośrednio nie łączących się ze sobą teatrów działań.

— Czemu przypisać opóźnienie mobilizacji, mimo dokładnych wiadomości o stanie przygotowań npla.

— Dlaczego sztab, znając dysproporcję wyposażenia technicznego naszej armii w stosunku do niemieckiej, pozwalał na sprzedaż sprzętu, działek panc. plot. i płatowców myśliwskich za granicę.

— Czy sztab wierzył w możliwość wojny.

— Jak rozwiązywał stosunek obrony do natarcia.

— Dlaczego nie brano pod uwagę ostrzegających meldunków o przewidywanym totalnym sposobie prowadzenia wojny przez Niemcy.

— Dlaczego nie wykorzystano doświadczeń wojennych z Hiszpanii.

— Dlaczego pozwolono w tak dużej skali na rozwój propagandy niemieckiej.

— Dlaczego nie zwalczano skutecznie dywersji.

Ponadto koniecznym jest oświetlenie stanu porozumienia strategicznego prowadzenia wojny polsko-francusko-angielskiego odnośnie:

— Udziału Polski w organach kierownictwa wojny między-sojuszniczego,

— Jedności dowództwa między-sojuszniczego,

— Form pomocy materialnej przygotowaniu odpowiednich umów, strategicznej, przewidywanie skoordynowanych akcji dla odciążenia nacisku niemieckiego na Polskę (ofensywa na zachodnim froncie, akcja lotnictwa)".

Trudno rzeczywiście o bardziej druzgocącą krytykę działalności człowieka, który był twórcą polskiego planu operacyjnego przeciw Niemcom.

Odnośnie powyższego wyciągu ze sprawozdania pułkownika Jaklicza: Według sprawozdania pułkownika dyplomowanego artylerii Kopańskiego (L.dz.329/39), który pod koniec marca 1939 roku został zamianowany Szefem Oddziału III Sztabu Głównego, ... pułkownik Jaklicz był Szefem Oddziału III od początku 1936 roku, więc przynajmniej trzy lata. A jednak pułkownik Jaklicz pisze:

„W zakresie moich kompetencji całokształt pracy operacyjnej Sztabu Głównego skoncentrowany był do końca 1938 roku

na przygotowanie planu wojny z Rosją...”

Wydawałoby się więc, że ten przynajmniej „plan wojny” z Rosją był rzeczywiście gotowy w zupełności. Tak jednak nie było. Dowody:

Pułkownik Kopański pisze:

„... Gdy (o ile pamiętam 14 marca 1939 roku) zacząłem obejmować swe funkcje, zastałem następujący stan rzeczy: Plan wschodni (ściśle biorąc plan rozwinięcia wstępnego na wschodzie) był powoli wykańczany ...”

Major dyplomowany artylerii Napieralski (L.dz.1533/40):

„... W chwili wybuchu wojny z Niemcami plan operacyjny wschodni był gotowy *tylko w ogólnych zasadach*, a plany działań poszczególnych armii były w trakcie opracowywania i to z pominięciem zagadnień tyłów, zaopatrywania i ewakuacji, które w ogóle jeszcze nie były rozpracowywane...”

W świetle powyższych dwóch głosów (a w aktach byłego Biura Rej. jest ich więcej) *bilans trzyletniej pracy pułkownika Jaklicza jako Szefa Oddziału III Sztabu Głównego jest wybitnie ujemny*. Choć bowiem, według jego słów, „... całokształt pracy operacyjnej Sztabu Głównego skoncentrowany był do końca 1938 roku na przygotowania planu wojny z Rosją” — to jednak plan taki nie istniał. Był tylko „... plan rozwinięcia wstępnego... powoli wykańczany...” (Kopański) oraz „... plan operacyjny wschodni był gotowy *tylko w ogólnych zarysach* ... i to z pominięciem zagadnień tyłów...” (Napieralski).

Konkluzja : *Plan wojny z Rosją istniał jedynie we fragmentach.*

Tym niemniej obiektywizm nakazuje sprawiedliwie przyznać, że przynajmniej pracowano nad planami wojny z Rosją.

Oczywistym jest, że każdy Sztab Główny każdego nowoczesnego państwa musi znać swoich ewentualnych nieprzyjaciół i ich możliwości wojenne oraz *mieć gotowe plany wojny przeciw każdemu z nich*. Dotyczy to przede wszystkim najbliższych sąsiadów. Dlatego też organizacja również naszego Sztabu Głównego była do takich zadań przystosowana. Oddział II miał wydziały czy referaty „Zachód” i „Wschód”, „N” i „R”. One dostarczały wiadomości o naszych sąsiadach, ewentualnych przyszłych wrogach.

Ale tak samo nasz Oddział III operacyjny miał też wydziały, czy referaty; czy ekipy „Wschód” i „Zachód”. Pierwsze miały się zajmować Rosją, drugie Niemcami. Przedstawiłem już powyżej, że ekipa „Wschód” pracowała — może nie z własnej winy — zbyt powoli, ale pracowała. Co robiła przez lat trzynaście, a przynajmniej w ostatnich czterech latach, od maja

1935 roku, ekipa „Zachód”?

Pierwsze ślady jakiejś myśli przynajmniej o planie wojny z Niemcami można odnaleźć „już” w roku 1937 i to... w ekipie „Wschód”.

A mianowicie, *projekt planu operacyjnego przeciw ZSSR* był opracowany przez majora dyplomowanego kawalerii Grudzińskiego Antoniego z Oddziału III Sztabu Głównego, ekipa „Wschód” i *zatwierdzony w 1937 roku* przez Szefa Sztabu Głównego generała Stachiewicza oraz Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Jego myślą przewodnią było skanalizowanie ewentualnego ruchu zaczepnego wojsk sowieckich w dwóch stosunkowo wąskich korytarzach terenowych, na północ i na południe od Polesia. Rolę tę miały spełnić:

- ufortyfikowana linia rzeki Szczara na północy,
- w środku ufortyfikowany bastion Polesia,
- ufortyfikowana linia rzeki Dniestr na południu.

Ekonomia sił była w tym planie przeprowadzona bezwzględnie. Jednostki osłonowe, wysunięte nad granicę, były obliczone jak najoszczędniej i zredukowane do minimum w stosunku do przestrzeni i zadania. *Gros* sił było przewidziane w odwodzie w rejonie Brześcia, jako masa uderzeniowa. Obóz Warowny Wilno — po opuszczeniu korytarza wileńskiego przez wojsko polskie — miał się utrzymać przez dwa do trzech tygodni, celem wiązania sił nieprzyjaciela do chwili wyjścia własnego przeciwnatarcia.

Autor tego projektu, po jego zatwierdzeniu, otrzymał od Szefa Oddziału III pułkownika Jaklicza polecenie *zapoznania kierownika ekipy „Zachód”* majora dyplomowanego piechoty Berka (Berek) *z podstawowymi elementami powstania tego planu* oraz ze szczegółami wykonawczymi.

Potwierdza to też pułkownik Kopański (L.dz.1664/39):

„...Na podstawie protokołów odpraw²⁸ Generalnego Inspek-

28. Kpt. dypl. art. Utnik z b.O.III Sztabu Głównego podaje: „...protokoły z odpraw u Naczelnego Wodza (stenograficzne rozmowy z Szefem Sztabu Głównego, z Dowódcami Armii i D-cami Broni — lotnictwa, saperów) były zestawiane przez płk. dypl. Münnicha i rozsyłane zainteresowanym. Otrzymywali je zwykle: Szef Sztabu Głównego, płk dypl. Jaklicz, Szef O.II Szt.Gł. oraz wykonawca biorący udział w odprawie. Sam czytałem kilka z nich z okazji robienia wyciągów dla wykonawców. Były tam podane oceny sytuacji przez Naczelnego Wodza oraz niejednokrotnie decyzje o znaczeniu ogólnym. Sądzę, że dokumenty te można odszukać względnie odtworzyć; znał je dokładnie płk Kopański, ppłk Marecki oraz szefowie innych oddziałów Sztabu Głównego...”. „Protokoły te są w aktach b.O.III Sztabu Głównego, „zapakowane w zaplombowanych skrzyniach” w archiwum w Szkocji. Pilnie strzeżone przed okiem „niepowołanych”, nie były mi dostępne przy opracowywaniu niniejszego. Zawierają one niewątpliwie dużo

tora Sił Zbrojnych oraz rozmów moich z ppłk. dypl. Mossorem, I Oficerem Sztabu Inspektora Armii gen. Kutrzeby, wydaje mi się, że studium planu zachodniego rozpoczęto w 1937 roku.

W tym roku zostali wezwani przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych Inspektorowie Armii „Zachód” (wówczas generałowie Bortnowski, Kutrzeba, Rómmel i Berbecki) i Szef Sztabu Głównego dla zreferowania swych opinii o zasadniczym charakterze działań przeciwko Niemcom...”

Tym niemniej — zgodnie z wielokrotnymi wzmiankami w sprawozdaniach, że Inspektorowie Armii prowadzili studia na zachodzie — są też pewne ślady ich pracy w terenie już w roku 1936. A mianowicie: — major dyplomowany artylerii Jan Milewski, będąc w roku 1935-1937 dowódcą dywizjonu w 17.p.a.l. w Gnieźnie, otrzymał we wrześniu 1936 roku rozkaz od generała Kutrzeby przeprowadzenia studium obrony w pasie ogólnym Ujście-Chodzież-Czarnków, Wągrowiec-Rogoźno, Gniezno. W tym celu przydzielono jemu, jako szefowi ekipy, majora dyplomowanego piechoty Michalskiego z 68.p.p. z Gniezna, samochód z Warszawy i kierowcę kaprała z ... Żurawicy. Ekipa ta opracowała kolejne linie obrony w terenie, plan potrzebnych fortyfikacji, plan zalewów (jeziora wągrowieckie), plan pobudowania potrzebnych punktów obserwacyjnych artyleryjskich w nieprzejrzyście, pokrytym laskami terenie, przeważnie pozbawionym zupełnie naturalnych punktów obserwacyjnych nadających się do użycia, ilość potrzebnej na tym odcinku piechoty, artylerii i wojsk pomocniczych, oraz wykonała szczegółowe karnety dla dowódców pułków, batalionów i dywizjonów, kompanii i baterii. Po ukończeniu w połowie listopada 1936 roku praca ta znalazła pochwalne uznanie generała Kutrzeby.

Równocześnie inna ekipa pod kierownictwem podpułkownika dyplomowanego piechoty Sienkiewicza, zastępcy dowódcy 69.p.p., opracowywała kierunek północny: Nakło-Kcynia, Szubin-Żnin, Trzemeszno.

Na południe od ekipy majora Milewskiego w pasie na południe od Warty, również z rozkazu generała Kutrzeby pracowały ekipy oficerów dyplomowanych z 14.D.P.

Na Górnym Śląsku zaś, w tym samym okresie 1936/1937, rotmistrz dyplomowany Powąła-Dzieślewski przeprowadził podobną pracę:

„...będąc na stage'u w 3.p.Uł., powołany zostałem jako szef ekipy fortyfikacyjnej przez gen. Berbeckiego do opracowania karnetów 21 pozycji terenowych w G. Śląsku. Po zakończeniu

rewelacyjnego materiału. Również płk Münnich (L.dz.415/39) potwierdza, że... protokoły te znajdują się w aktach O.III Sztabu Głównego.

karnetów 21 pozycji terenowych w G., Śląsku. Po zakończeniu tej pracy napisałem opracowanie końcowe, obrazując w nim małą przydatność metody pracy przyjętej przez nas. Pomimo, iż karnety moje pozostały bez żadnych zmian aż do wybuchu wojny, a wartość pozycji została stwierdzona przez wojnę, raport mój poparty przez dowódcę 23.D.P. i gen. Berbeckiego *nie tylko nie odniósł skutku, ale obraził Szefa Sztabu Głównego, bo jak śmiał ktoś krytykować jego metody?...*" (L.dz.2619/40).

Pułkownik Łakiński (L.dz.2795/40) przytacza:

„... Na pierwsze oznaki zapoczątkowanej roboty przygotowawczej w terenie natknąłem się w Łodzi w r. 1936, gdy wysyłałem tzw. patrole opisowe w teren. Cały odcinek od Wielunia przez Łódź do Bzury — najkrótszy kierunek od granicy niemieckiej do Warszawy — był wzięty na warsztat pracy dopiero w roku 1936. A co robiono przez 15 lat?...”

Że, mimo powyższych fragmentów prac Inspektorów Armii w Oddziale III Sztabu Głównego aż do 1939 roku wszystko było „*na Zachodzie bez zmian*”, świadczą następujące głosy:

Pułkownik Jaklicz (1690/40):

„...Praca operacyjna nad przygotowaniem wojny z Niemcami *rozpoczęta została w 1939 roku. Początek tego roku poświęcony został na przygotowanie elementów decyzji Naczelnego Wodza, w marcu powzięta została zasadnicza decyzja początkowego rozwinięcia strategicznego, po czym nastąpiło rozpracowanie wykonawcze tej decyzji...*”

Sam pułkownik Jaklicz oskarża: „... rozpoczęta została w 1939 roku...”.

— Pułkownik Kopański (L.Dz.325/39):

„... Gdy (o ile pamiętam *14 marca*) rozpocząłem obejmować swe funkcje (Szefa Oddziału III), zastałem następujący stan rzeczy:

‘Plan wschodni’ (ściśle biorąc plan rozwinięcia wstępnego na wschodzie) był powoli wykańczany...

‘Plan zachodni’ był przez pułkownika Jaklicza i podpułkownika dyplomowanego Mareckiego (Szefa Wydziału ‘Zachód’ w Oddziale III Sztabu Głównego) przygotowywany ...”

— Pułkownik Münnich:

„... Na jednej z takich konferencji z Szefem Sztabu Głównego z *końcem lutego 1939 roku* Pan Generalny Inspektor Sił Zbrojnych podał Szefowi Sztabu *podstawowy plan działań* na wypadek wojny z Niemcami dla oparcia na nim dalszych prac

Sztabu, nakazując przy tym *jak najmożliwszy pośpiech...*”

Czyli dopiero „w końcu lutego 1939 roku”, po niemal czterech latach piastowania najwyższego w Polsce stanowiska wojskowego, *Generalny Inspektor Sił Zbrojnych zrozumiał nareszcie, że trzeba plan wojny przygotować i to jak najspieszniej.*

Major dypl. piech. Czyżewski Marian (z O.III) (L.dz.-148/39):

„... Wydaje mi się jednak, że aż do roku 1939 żadna konkretna praca w tym kierunku nie została zrobiona. Wprawdzie w O.III istniała stale ekipa 'Zachód', ale zajmowała się ona tylko studiami bardzo ogólnymi. Bardziej realna praca prowadzona była jedynie na odcinku śląskim i pomorskim (ściśle biorąc na wybrzeżu), gdzie budowane były fortyfikacje stałe. Cała praca O.III jak i pozostałych oddziałów Sztabu Głównego była nastawiona głównie na wschód.

Ten stan rzeczy trwał aż do lutego — marca 1939 roku, na dowód czego przytoczyć mogę:

1) okres zimowy 1938/39 był użyty w O.III na wykańczanie planu wschodniego. Jeszcze w lutym i marcu sporządzano materiały do zasadniczej odprawy Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych z Inspektorami Armii Wschodu, która odbyła się, o ile pamiętam, w końcu kwietnia;

2) Budżet na rok 1939/40 opracowany był głównie pod kątem widzenia potrzeb wschodu (fortyfikacje i prace wodne);

3) Szefostwo Komunikacji wykańczało plan transportowy wschodni;

4) Oddział I pracował nad przeróbkami planu mob. dostosowując go do potrzeb poszczególnych armii wschodnich.

Wprawdzie o konieczności przystąpienia do pracy nad planem zachodnim mówiło się stale w ciągu 1938 roku i nawet w tym celu ekipa zachód została wzmocniona, to jednak wydaje mi się, że praca została zapoczątkowana dopiero w lutym 1939 r. (płk dypl. Jaklicz, Szef O.III i ppłk dypl. Marecki, kierownik referatu ogólnego 'Zachód'). Toteż w marcu br., gdy wypadki polityczne postawiły nas wobec możliwości natychmiastowej wojny z Niemcami — byliśmy do tej wojny pod względem operacyjnym absolutnie nieprzygotowani.

Od tej chwili zaczęło się gorączkowe przestawianie pracy całego sztabu na zachód, nie było to jednak łatwe wobec dotychczasowego nastawienia i braku podstawowej koncepcji operacyjnej...”

— Kapitan dypl. art. Utnik (z O.III) (bez liczby):

„... Plan działań przeciw Niemcom rozpoczęto rozpracowywać dopiero w styczniu 1939 r. Objawiło się to w ten sposób, że wyznaczony został ppłk Marecki na szefa wydziału 'Zachód', a oficerowie odcinkowi pracujący dotychczas na 'Wschód' złożyli swoje opracowania do szaf, a rozpoczęli opracowywanie nowych...”

W zeznaniu kapitana Utnika jest nowe, charakterystyczne stwierdzenie: oficerowie, którzy przez długie lata pracowali w zagadnieniu rosyjskim, nagle zostali przetrzuceni do pracy nad zupełnie sobie nieznanym zagadnieniem niemieckim.

Fakt ten potwierdzają również liczne inne sprawozdania.

Na wiosnę 1939 roku pułkownik Jaklicz polecił majorowi dyplomowanemu kawalerii Grudzińskiemu Antoniemu pomóc majorowi Berkowi (Berek) w pracy nad planem operacyjnym przeciw Niemcom.

Po przystąpieniu do niej major Grudziński przekonał się, że major Berek opracował wprawdzie plan operacyjny przeciw Niemcom, opierając się na przesłankach analogicznych, jak był zbudowany plan operacyjny przeciw Rosji, ale w wypadku „Zachód”, nie zawsze trafnych, a przeważnie nawet wręcz błędnych. Na przykład o ile studium bardzo ubogiej rosyjskiej sieci komunikacyjnej mogło dać pewne prawdopodobne hipotezy odnośnie sowieckiej koncentracji, o tyle analogiczne studium bardzo bogatej niemieckiej sieci komunikacyjnej nie mogło dostarczyć pod tym względem żadnych danych.

Niestety, było już za późno, aby od gruntu zmieniać zasady podstawowe, na których bazował, zaimprovizowany zresztą tylko, plan operacyjny przeciwko Niemcom.

GEN. Izydor MODELSKI

(Ciąg dalszy nastąpi)

DEKLARACJA PŁK. JANA MAZURKIEWICZA — „RADOSŁAWA” Z 8 WRZEŚNIA 1945 R.

Postać pułkownika Jana Mazurkiewicza, znanego pod pseudonimem „Radosław”, uchodziła za kontrowersyjną z uwagi na jego postawę w okresie Polski Ludowej. Lwowianin z urodzenia, którego lata młodości przypadły na służbę w Legionach Józefa Piłsudskiego, następnie w 2 Korpusie Polskim Józefa Hallera i w POW¹. Należał do utalentowanych oficerów służby czynnej, którzy po klęsce wrześniowej niezwłocznie znaleźli się w szeregach konspiracji. Jako dowódca Kierownictwa Dywersji Armii Krajowej stał się jednym z bardziej znanych, bohaterskich obrońców powstańczej Warszawy w dniach sierpniowo-wrzesniowych 1944 r., za co zapłacił własną krwią. Nadejście władzy ludowej powitał jak większość kadry AK — kontynuowaniem oporu. Po rozwiązaniu AK w dniu 19 stycznia 1945 r. stanął zrazu na czele komendantury Obszaru Centralnego organizacji „Nie”, a od 15 kwietnia 1945 r. pełnił analogiczną funkcję w powstałej na jej zrębie Delegaturze Sił Zbrojnych.

Pułkownik Jan Rzepecki — Delegat Sił Zbrojnych — będąc zwolennikiem rozwiązań bardziej politycznych niż militarnych, poszukiwał możliwości wyjścia z podziemia pod warunkiem uzyskania od władz odpowiednich gwarancji dla uczestników ruchu oporu. Naprzeciw temu dążeniu wychodziły ze strony KC PPR i władz bezpieczeństwa różne koncepcje rozwiązania problemu istniejącego podziemia².

Na jednej z ostatnich odpraw DSZ w lipcu 1945 r., niemalże w przeddzień aresztowania, pułkownik „Radosław” miał — według relacji pułkownika Rzepeckiego — wykazać nieugiętą postawę w kwestii dalszej kontynuacji walki. Według słów ówczesnego Delegata Sił Zbrojnych stwierdził, iż „woli osobiście rzucić granat pod nogi Bieruta od najbardziej honorowej kapitulacji”³.

1. Pierwszą próbę biografii pułkownika Jana Mazurkiewicza podjął mgr Andrzej Chmielarz w WPH 3/125/1988, s. 318-321.

2. Por.: Krystyna Kersten, „Narodziny systemu władzy — Polska 1943-1948”, Warszawa, „Biblioteka Krytyki”, 1984, s. 178.

3. Słowa pułkownika „Radosława” przekazał mi pułkownik Jan Rzepecki podczas rozmowy zimą 1982 r. Por. też nieco inne ujęcie tematu i czasu okresu według relacji pułkownika Bokszczanina w książce X. Mieczysława Kluza, „W potrzasku dziejowym — WiN na szlaku AK”, Londyn, „Veritas”, 1978, str. 43. Por. także Stefan Korboński, „W imieniu Kremla”, IL, Paryż 1956, str. 14-15.

Po aresztowaniu pułkownika Mazurkiewicza, co nastąpiło w dniu 1 sierpnia 1945 r., władze bezpieczeństwa potrzebowały dwóch tygodni, aby skłonić go do współpracy, czego wyrazem był poniższy gryps, który został wysłany w dniu 16 sierpnia⁴.

Ob. Delegat Główny

Zostałem aresztowany w dniu 1/8 w Warszawie i rozpoznany jako pułkownik Radosław. — Przeprowadziłem szereg rozmów z przedstawicielami Bezpieczeństwa na temat zagadnień Konspiracji i przyczyn które powodują dalsze jej trwanie.

Ze strony Ministerstwa Bezpieczeństwa wysunięta jest propozycja *Waszej rozmowy z Wicepremierem Gomółką* — na temat całkowitego wyjścia z Konspiracji naszych oddziałów.

Ministerstwo daje Wam pełną gwarancję swobodnego odejścia w wypadku negatywnego wyniku rozmów.

Uważam że powinniście podjąć tę inicjatywę gdyż w wypadku pozytywnego załatwienia — będzie to niewątpliwie z korzyścią dla sprawy ogólnopolskiej.

Znacie mnie i możecie być przekonani że piszę ten list zupełnie nieprzymuszenie gdyż uważam, że dobra wola z obu stron może przynieść duże uspokojenie w Kraju i wyprowadzić sprawę Armii Krajowej na właściwe tory.

Gdybyście nie przyjęli tej propozycji — proszę zwrócić niniejszy list. Oddawczyni tego listu jest moją zaufaną i rozpoznanie jej na normalnej drodze łączności.

16/1945

List ten naturalnie nie przynosi nadal odpowiedzi, jakie argumenty ze strony władz bezpieczeństwa skłoniły nadawcę do podjęcia takiego działania. Adresat listu nie podjął wysuniętej propozycji i zwrócił pismo. Wcześniej, bo już 5 sierpnia, Delegat Sił Zbrojnych podjął decyzję o likwidacji działalności i przejściu na tory oporu bardziej politycznego niż militarnego, czego wyrazem stał się w niedalekiej przyszłości ruch Wolność i Niezawisłość. Zaś kolejne działania pułkownika „Radosława” były wyznaczone przez władze bezpieczeństwa. Wyrazem tego stały się — rozkaz do podkomendnych Obszaru Centralnego DSZ z dnia 21 sierpnia i osławiona deklaracja z dnia 8 września 1945 r., której tekst przyniosła codzienna prasa⁵. Nawoływała ona do ujawniania się żołnierzy Armii Krajowej na bazie lojalności i uznania Rządu Jedności Narodowej. Podpisujący

4. Dotychczas dokument ten był wzmiankowany w literaturze w związku z procesem płk. Rzepeckiego — S. Korboński, *op.cit.*, str. 243. Dokument ten przytaczam z zachowaniem pierwotnego układu tekstu według fotokopii udostępnionej mi przez pułkownika Rzepeckiego.

5. Por.: K. Kersten, „Narodziny...”, s. 178 i 179 oraz S. Korboński, *op.cit.*, str. 22-23, 25, 27.

ją wydawał się mocno wierzyć w dobrą wolę władz i wkrótce, w dniu 23 września, opuścił bramy aresztu wskutek zastosowania wobec niego dekretu amnestyjnego z dnia 2/21 sierpnia. Wówczas stanął na czele Głównej Komisji Likwidacyjnej Armii Krajowej i wspólnie z przedstawicielami władz bezpieczeństwa, którym przewodził pułkownik używający nazwiska Czaplicki, osławiony „Akower”, działał czynnie na rzecz ujawnienia konspiracji⁶. Interweniował również na rzecz uwięzionych AK-owców, zwłaszcza kadry dowódczej, oraz podjął działalność społeczną mającą na celu zapewnienie byłym żołnierzom Polski Walczącej podstawy godzwej egzystencji. Postawa ta nie uchroniła go w przyszłości przed ciężkim więzieniem w latach 1949-1956, co nie zmieniło jego stosunku do władz Polski Ludowej⁷.

Deklaracja „Radostawa” w połączeniu z lipcowo-sierpniową amnestią przyczyniła się do chwilowej, choć poważnej dezintegracji podziemia, co ocenił pozytywnie ówczesny minister bezpieczeństwa publicznego Radkiewicz⁸. Nie zahamowała jednak rozwijających się w całym Kraju ośrodków konspiracji, z których większość oceniła ją jako akt zdrady narodowej⁹. Wśród druków, które stanowiły odpowiedź na wspomnianą deklarację, wyróżnia się wzmiankowany już w literaturze list otwarty kapitana Stanisława Sojczyńskiego — „Warszyca”, twórcy i dowódcy lokalnego, silnego ośrodka oporu — Konspiracyjnego Wojska Polskiego, działającego na terenie województw łódzkiego, śląsko-dąbrowskiego i poznańskiego. Ten niezależny od DSZ dowódca był wówczas 35-letnim synem radomszczańskiej wsi, przed wybuchem wojny był nauczycielem ludowym. Powołany jako oficer rezerwy do wojska we wrześniu 1939 r., miał okazję zetknąć się z Armią Czerwoną w okolicach Kowla. Po powrocie w rodzinne strony niezwłocznie włączył się w nurt miejscowej konspiracji. Odnazczył się w ruchu oporu w wielu akcjach, m.in. jako komendant obwodu Radomsko i dowódca batalionu w ramach 27 pp AK „Korsak” w okresie akcji „Burza”. Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Radomska ukrywał się wobec poszukiwania go przez NKWD i wypadków wywózki do ZSSR jego żołnierzy. Podjął wówczas decyzję powrotu do konspiracji na bazie swego dawnego batalionu, a od maja 1945 r. przystąpił do czynnego ruchu oporu, który z czasem przybrał większe formy wobec podpo-

6. Por. Stefan Korboński, *op.cit.*, str. 27-28.

7. Por. Stanisław Marat, Jacek Snopkiewicz, „Zbrodnia — sprawa generała Fieldorfa — Nila”, Warszawa, Wyd. Alfa, 1989, s. 18-19 i 22-26 oraz S. Korboński, *op.cit.*, str. 112-113.

8. Por. K. Kersten — „Narodziny...”, s. 179.

9. Por. reakcje Narodowego Związku Wojskowego na Białostocczyźnie i por. Romualda Rajsa — „Burego”, określające deklarację m.in. jako „zdradę państwa i narodu polskiego”. Tadeusz Łubiński, „Walka z podziemiem zbrojnym w białostockim” w: „Z walk przeciwko zbrojnemu podziemiu 1944-1947”, Warszawa, MON, 1966, s. 326-328.

rządowania sobie wielu zwartych, lokalnych oddziałów uznających bez zastrzeżeń autorytet „Warszycy”¹⁰.

Deklaracja „Radosława” i ogłoszona wcześniej amnestia zaskoczyły dowódcę KWP w trakcie rozbudowy sieci konspiracyjnej, co mogło poważnie odbić się na wartości jego oddziałów. Ponadto kapitan „Warszyc” stanowił nietuzinkową indywidualność, uformowaną przez lata okupacji i walki z wrogiem. W obliczu nowej politycznej rzeczywistości, popartej siłą wschodniego sojusznika, nie widział dla siebie i swych żołnierzy innej alternatywy, jak tylko walka z nową okupacją. Posiadając pewne zdolności literackie, chwycił za pióro, aby nie tylko rozprawić się ze „zdrajcą”, ale dać wyraz wszelkim troskom i bólowi, drążącym środowiska byłej Armii Krajowej oraz w przybliżeniu określić platformę ewentualnego porozumienia z władzą. Tekst ten drukujemy bez żadnych zmian.

DO PANA PUŁKOWNIKA RADOSŁAWA KOMENDANTA OBSZARU CENTRALNEGO ARMII KRAJOWEJ W WARSZAWIE

Po dokładnym zanalizowaniu treści deklaracji Pana z dnia 8.IV.1945 r. o wyjściu z konspiracji AK, dochodzi się do tragicznego wniosku: powtórzył się wrzesień 1939 r., a wodzowie znów uciekli lub zdradzili. Okazuje się, że pewien procent wyższych oficerów AK jest faktycznie, jak nam to czerwoni zarzucają, zdeprawowanymi senatorami, którzy ponad wszystko przedkładają złąb.

Za co i w jakiej sytuacji usiłuje nas Pan, Panie Pułkowniku, sprzedawać? Nawet nie poczuwa się Pan do najelementarniejszej wdzięczności w stosunku do podwładnych. Wszak to, że czerwoni chcą z Panem pertraktować, że zrezygnowali z wytwarzania „linii podziału” między „górami” a „dołami” AK, nie jest zasługą Pana, ani też żadnego z generałów czy pułkowników AK, tylko osiągnięciem tych tysięcy szarych bojowników, którzy wbrew blamażowi wyższych dowódców nie zrezygnowali z walki o słuszne postulaty Narodu Polskiego, a którym chce Pan podstępnie odebrać broń.

Czy Pan jest najzwyczajszą zdracą, trudno bowiem przypuszczać aby Pan nie umiał myśleć, nie orientował się w wewnętrznej sytuacji Polski i AK, nie zdawał sobie sprawy z zadań, jakie się nam same w jaskrawy sposób narzucają. Mówi Pan w deklaracji o Honorze, o rozumnym kierownictwie, o dobru Państwa,

10. Por. Edward Soliński, „Działalność samodzielnej grupy KWP 'Lasy' pod dowództwem 'Warszycy' i jej likwidacja (styczeń 1945 — czerwiec 1946)” w: „W walce ze zbrojnym podziemiem (1945-1947)”, Warszawa, MON, 1972, s. 319-320.

o pracy dla Sprawiedliwej i Demokratycznej Polski — i jednocześnie przekreśla się Pan swym czynem dla tych wzniosłych ideałów. Bardzo żałujemy, że podstępne aresztowanie 16-tu czołowych działaczy AK i osądzenie ich w Moskwie wśród okoliczności, wołających o pomstę do nieba niczego niektórym Panów majorów, pułkowników i generałów AK nie nauczyły, że jedynym naturalnym odruchem u nich było nierycerskie poddanie się panice i rezygnacji.

Wówczas, gdy wpływy Stalina na rządzącą klikę w Polsce równają się okupacji, gdy w administracji państwowej jest wielka ilość osób, posiadających obywatelstwo rosyjskie lub zaprzędanych ZSSR, gdy na terenach tzw. Polski stoją gęsto załogi armii czerwonej, a żołnierze jej grabią i gwałcą, gdy w wojsku polskim na różnych stanowiskach są oficerowie sowieccy lub rażąco w nieproporcjonalnej ilości Żydzi, gdy stronnictwom politycznym chcą narzucić swe kierownictwo peperowcy, gdy wolność słowa wyklucza mówienie prawdy i nawet najobiektywniejszą krytykę reżimu, gdy Żydów traktuje się jako obywateli pierwszej klasy, a nawet lojalnych (co nie jest równoznaczne ze zdrajcami) członków AK dopuszcza się jedynie do stanowisk podrzędnych i dość często traktuje się ich gorzej, niż Volksdeutsche, gdy służba bezpieczeństwa działa jak NKWD, gdy stosowaną przez czerwonych metodą rządzenia jest system policyjny, jest terror, gdy po więzieniach i obozach karnych siedzi tylu najlepszych synów Polski, gdy nie ma dziedziny, gdzie by czerwoni nie dopuszczali się najpospolitszych draństw — „góra” AK nie widzi potrzeby prowadzenia walki konspiracyjnej, nie potrafi sprecyzować aktualnych zadań i dostosować do sytuacji taktyki działania — jest tylko pełna nadziei, że zrobią to za nią „mocarstwa urządzające świat powojenny”. „Góra” AK uważa za spokój swój obowiązek, gdy w sposób haniebny skapituluje wobec zaprzędańców i zdrajców, gdy sprzedaje nas za obietnice i frazesy, że za gołosłowność ustrzegnie naszego dorobku i stopni. Prawdopodobnie „doły”, które jak Polska długa i szeroka organizują się do walki same, popełniają bez przerwy jeden zasadniczy błąd — zapominają, że aby sprawiedliwości stało się zadość — należy nie tylko likwidować czerwonych zaprzędańców i prześladowców, ale również z tą samą konsekwentnością zdradzieckich panów pułkowników i generałów.

Dla „dołów” AK uznanie przez czerwonych naszych stopni za cenę rezygnacji z walki o cele zasadnicze — jest tylko jeszcze jednym paradoksem. Dziś, kiedy byle męt społeczny jest oficerem, a im większy szuja, tym dość często otrzymuje rangę, najwyższym odznaczeniem jest przeświadczenie się człowiekiem zasad i honoru, wiernym synem Ojczyzny.

Niechaj wyżsi dowódcy nie próbują również potępiać tych, którzy prowadząc walkę — siłą konieczności muszą na drodze rekwizycji stwarzać dla niej podstawy materialne (i przy tym robią to w ten sposób, że rekwizycje są pewnego rodzaju wymiarem sprawiedliwości i wyrównaniem krzywd w dzisiejszych anormalnych stosunkach uprzywilejowania na modłę hitlerowską zwolenników czerwonego reżimu). Niechaj raczej usprawiedliwią się, co zrobili z wielkimi rezerwami dolarów. Czy zamiast je bezprawnie przywłaszczać sobie lub wkupywać się nimi w łaski czerwonych — nie należało ich zużyć na to prowadzenie walki i na pomoc dla tych, którzy zmuszeni ukrywać się znaleźli się często w sytuacji bez wyjścia.

Dając wyraz pogładowi na czynione rekwizycje, walczące „doły” AK stwierdzają równocześnie, że są bezwzględni przeciwnikami band rabunkowych i podkreślają swe stanowisko wykrywaniem i likwidowaniem ich. Złożenie broni przez oddziały AK czerwonym władzom miałoby inny skutek niż to przewiduje Pan pułkownik: pozbawiłoby środków walki i obrony tysiące bojowników Idei (gdyby byli tak niedojrzali, że wykonaliby nierzeczowy rozkaz), natomiast elementy bandyckie broni, mimo nakazów i zakazów i pogroźek, z całą pewnością zawsze zatrzymają (wszak jest dużo broni nie zgłoszonej władzom konspiracyjnym i broni w posiadaniu osobników, na których one nie mają służbowego wpływu). Nie trzeba udowadniać, że w obecnych warunkach rażącej niesprawiedliwości trzymanie przez nas ludzi w garści i przez nas zwalczanie bandytyzmu, da bezwzględnie lepsze rezultaty.

Podobnie argumentem bez znaczenia jest zapowiedź, że po terminie 21 września br. kto nie zgłosi się do rejestracji, odpowiadać będzie zgodnie z obowiązującym ustawodawstwem karnym. Przed terminem było jeszcze gorzej, bo wielu, bardzo wielu oficerów i szeregowych AK odpowiadało z wykraczaniem przez czynniki karzące poza ramy obowiązującego świat cywilizowany ustawodawstwa. Zapowiada się kary. Przecież kary były i są stosowane przez czerwonych z całą perfidią. Cóż się tu może zmienić!? Chyba to, że nasza obrona pocnie działać bardziej zorganizowanie i skutecznie. Za nieludzkie katowanie i karanie śmiercią bojowników o Niezależność Polski będziemy czerwonych nieludzko strzelać; jeśli poważą się wyniszczać nasze rodziny — my też potrafimy odnaleźć ich rodziny, potrafimy palić i likwidować przeciwników w sposób bezpardonowy. Niemcy za jednego rozstrzelowali 10-ciu, 50-ciu lub 100-tu i nie złamali nas, więc i nie złamią nas czerwoni. Jeśli zdrajcy nie mają skrupułów, to my walcząc o sprawy słuszne — nie będziemy ich mieli tym bardziej.

Wskaźnikiem naszego postępowania jest nie to, co władze oficjalnie głoszą, a co czynią. Nie mogą zastąpić się prawem, skoro działalność ich jest jednym wielkim bezprawiem. Należy także pamiętać o tym, że stosunek nasz do czerwonych władz ma uzasadnienie nie tylko ideologiczne, ale i formalne: władze te z takich czy innych względów zostały aprobowane przez zagranicę, ale nie zostały uznane przez Naród. Jeśli więc Pan Pułkownik żył myślą wkupienia się przez złożenie broni, to czy nie właściwiej, nie honorowiej było poczekać, aż odbędą się wybory i władze w swe ręce weźmie Rząd z woli Narodu!? Pan jednak wołał, nie wiadomo po co i dlaczego, schylić czoło przed uzurpatorami, niż Rządem legalnym.

Praktyczne znaczenie Pana deklaracji jest ujemne:

- sugeruje ona światu, że rezygnujemy z walki;
- stwarza pozory, jakoby czerwone władze faktycznie zaczęły przejawiać w stosunku do nas dużo dobrej woli;
- oddziała w sposób niepożądany na Polaków, pozostających za granicą;
- stwarza sprzyjającą atmosferę przedwyborczą dla czerwonych demagogów;
- słowem wzmacnia pozycję czerwonego reżimu tak w oczach świata jak i kraju.

Aby faktycznie zapewnić warunki dla prowadzenia walki o Sprawiedliwą i Suwerenną, Demokratyczną Polskę, należy stawiać żądania konkretne i prowadzące do określonego celu, postaram się je w przybliżeniu sprecyzować:

1. Zwolnienie z administracji państwowej, wojska oraz organów bezpieczeństwa obywateli niepolskich i przyjęcie na ich miejsce oficerów, podoficerów i szeregowców AK.

Przyjęcie naszych ludzi na miejsce funkcjonariuszy, których wskażemy jako osobników o złej opinii z czasów okupacji niemieckiej.

Poza tym przysługujące nam prawo uzyskiwania posad i zatrudnień oraz traktowanie nas — tak samo jak żołnierzy AL.

2. Wypuszczenie na wolność aresztowanych w/g list złożonych przez władze AK.

3. Załatwienie sprawy awansów oficerów, podoficerów i szeregowców AK jak następuje:

a) tych, którzy brali czynny udział w walce (partyzantka, dywersja, powstanie warszawskie, oddziały zmobilizowane w związku z powstaniem) — awansować automatycznie o dwa stopnie.

b) członków sztabów terytorialnych (K.G. — K.Obw.) i człon-

ków czynnych w terenie (inspr., podobw., d-cy oddz. terenowych do sekcyjnego włącznie, gońcy itp.) — awansować o jeden stopień.

Ponadto i niezależnie do awansów automatycznych, awanse i odznaczenia wysuniętych przez d-twa AK, jako specjalnie wyróżniających się zasługami.

Takiego podejścia wymagają względy taktyczne (im wyższy stopień, tym wyższe kompetencje) i zasada sprawiedliwości (kadry AL składają się z oficerów i podoficerów awansowanych o 5-9 stopni, np. z kaprała na pułkownika, względnie osobników, którzy w ogóle nic wspólnego z partyzantką i wojskiem nie mieli, a są dzisiaj oficerami).

4. Wolność słowa, zagwarantowanie możności mówienia prawdy o AK (artykuły w prasie, broszury itp.) o osiągnięciach AK w walce z Niemcami.

5. Swoboda czynnego udziału w niezależnych stronnictwach politycznych.

6. Wypłacenie członkom AK, byłym więźniom politycznym, obozu w Oświęcimiu i innych, podobnie jak Żydom, zasiłków pieniężnych, umożliwiających stworzenie warunków bytu, oraz przyznanie i załatwienie w terminie możliwie krótkim odszkodowań, w granicach poniesionych przez więźniów strat materialnych.

Zwrot Żydom tylko majątku, który był ich imienną własnością, traktowanie ich nie lepiej, niż byłych więźniów politycznych Polaków.

Nie można dla spraw mało ważnych i nieistotnych poświęcać celów podstawowych. Decydując się na jakiś krok, trzeba mieć wycucie tych celów oraz świadomość swej siły i wartości. Człowiek mający w swej dyspozycji dziesiątki tysięcy żołnierzy uzbrojonych, ich poważny dorobek bojowy, ich gotowość do dalszej walki o Niezależność Polski, o ład społeczny i sprawiedliwość, musi zdobyć się jeśli nie na więcej, to przynajmniej na tyle odwagi cywilnej, co przywódca prawomyślniej partii.

A poza tym niech pan, Panie Pułkowniku, wybije sobie z głowy i niech Pan wytłumaczy czerwonym uzurpatorom, że będziecie nas kiedykolwiek wprowadzali w prawa obywatelskie przez amnestię i łaskawe przebaczenie nam. W imieniu uzbrojonych tysięcy zwracam wam uwagę, że podejście wasze do zagadnienia jest katastrofalnym pomieszaniem pojęć. Za krew przelaną dla Ojczyzny, za odniesione rany, za ofiary z żyć naszych, za cierpienie i poniewierkę dla Polski — wy widzicie jedyną drogę dla nas odzyskania praw człowieczych i obywatelskich przez uznanie i rozgrzeszenie nas. A my wam oświadczamy, że z nami

możecie tylko pertraktować, jako z reprezentacją większości Społeczeństwa Polskiego, reprezentacją, której cele są nieskazitelne i słuszne, że wolno do niej odnosić się jedynie z respektem i szukać form do realizacji jej postulatów.

W imieniu Oficerów, Podoficerów i
Szeregowców, wiernych ideologii AK
/-/ WAZBIW, kpt.

Dnia 12 września 1945 roku

Odezwę kolportowano w formie drukowanej na powielaczu lub części w maszynopisie¹¹. Nie miała większego zasięgu poza tereny, na których posiadało swe placówki KWP, stąd nie mogła odegrać większej roli. Okres od jej ogłoszenia aż do połowy 1946 r. stanowił czas największej aktywności i sukcesów Konspiracyjnego Wojska Polskiego, czego kulminacyjnym punktem było zajęcie Radomska w nocy z 19/20 kwietnia 1946 r. Aresztowanie w dniu 26 czerwca 1946 r. kapitana Stanisława Sojczyńskiego — „Warszyca” wraz ze sztabem w Częstochowie stało się początkiem klęski organizacji, choć jej walka przetrwała jeszcze symbolicznie do 1954 r.¹²

Tomasz LENCZEWSKI

11. List ten w formie rozsypanego się maszynopisu otrzymałem od byłego podkomendnego „Warszyca” z lat okupacji — ppor. Jana Kalety „Postracha”, dowódcy niesformowanego batalionu „Akacja” w Łodzi, w ramach struktur KWP. Pseudonimu „Wazbiw” używał „Warszyc” równolegle.

12. Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi z grudnia 1946 r. Stanisław Sojczyński „Warszyc” otrzymał karę śmierci. Czas i miejsce egzekucji pozostają nieznane. Istnieją poszlaki wskazujące na to, iż sposób jej wykonania, jak i utrzymanie wyroku śmierci były osobistą zasługą ówczesnego szefa WUBP w Łodzi Mieczysława Moczara, jako wyraz osobistych porachunków z kapitanem Sojczyńskim jeszcze z lat niemieckiej okupacji.

POLSKA W KOŃCU 1945 r. W OCENIE PODZIEMIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

Publikujemy dokument pt. *Stronnictwa niezależne w kraju w 1945 r.* Najprawdopodobniej opracował go człowiek z kręgu b. Delegatury Rządu lub b. Armii Krajowej czyli ze Zrzeszenia „Wol-

ność i Niepodległość” (WiN). Gdyby Jan Rzepecki — I prezes WiN — nie został aresztowany 5 XI 1945 r., historyk skłonny byłby jemu przypisać autorstwo dokumentu. Niewykluczone, że jest to owoc pracy kilku przywódców podziemia niepodległościowego. Słowem, nie wiemy kto to napisał, ale treść opracowania wskazuje na człowieka dobrze zorientowanego w sytuacji politycznej kraju i mającego kontakty z różnymi ośrodkami partyjnymi. Wydaje się też, że był bezpartyjny.

Wartość dokumentu polega na tym, że oświetla wiedzę i rozumowanie ludzi podziemia niepodległościowego, ich oceny i prognozy, a więc jest to dobry materiał dla analizy dziejów tego podziemia, jego postawy, nastawienia i celów. W dokumencie znajdujemy wiele trafnych diagnoz, opartych o dobrą znajomość realiów sytuacji społeczno-politycznej i nastrojów Polaków.

Dokument został przechwycony przez władze bezpieczeństwa i znajduje się w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W swoim czasie znajdował się w materiałach nieuporządkowanych bez sygnatury. Posiadamy jego fotokopię. Jest to dziesięciostronicowy maszynopis.

STRONNICTWA NIEZALEŻNE W KRAJU W R. 1945.

Jeśli chce się zrozumieć stanowisko, zajmowane obecnie przez stronnictwa polityczne w kraju i ich „ugodowość” w stosunku do systemu lubelskiego, trzeba sięgnąć wstecz co najmniej do konferencji krymskiej. Właśnie konferencja krymska była tym faktem historycznym, który po raz pierwszy w sposób zupełnie wyraźny doprowadził do zarysowania się poważnej różnicy między rządem londyńskim a wspierającymi go na terenie kraju stronnictwami, zgrupowanymi w Radzie Jedności Narodowej. Jeśli bowiem rząd londyński, po ogłoszeniu uchwał konferencji krymskiej, stał nadal nieustępliwie na stanowisku granic państwowych z roku 1939, stwierdzając, że decyzja ostateczna w tej sprawie winna być odłożona do konferencji pokojowej i uchwały konferencji krymskiej nazywał piątym rozbiorem Polski, to stanowisko czterech stronnictw w kraju, zgrupowanych w Rządzie Jedności Narodowej, było znacznie bardziej kompromisowe, co znalazło wyraz w uchwale Rady Jedności Narodowej w lutym ub.r. W oświadczeniu tym, choć z bólem, stawała Rada Jedności Narodowej w gruncie rzeczy na stanowisku akceptowanym przez konferencję krymską. Coraz częściej od początku r. 1945, zwłaszcza po zajęciu terytoriów polskich przez armię sowiecką, dały się słyszeć w opinii polskiej głosy, że nieprzejednane stanowisko rządu polskiego było fałszywe z punktu widzenia interesów polskich i że rząd polski grę przegrał. Niewątpliwie ten sposób myś-

lenia odzwierciedlił się w wyżej wspomnianej uchwale Rady Jedności Narodowej, gdzie stanowisko ustępliwe i ugodowe zajmowali przede wszystkim ludowcy.

Dla człowieka jako tako zorientowanego politycznie było rzeczą zrozumiałą, że pozostawienie ludowców w Radzie Jedności Narodowej w kraju nie da się długo przeciągnąć wobec stanowiska, zajętego przez Stronnictwo Ludowe i jego lidera Mikołajczyka w Londynie. To, że po utworzeniu się rządu Arciszewskiego i ustąpieniu z rządu ludowców udało się na terenie kraju utrzymać ludowców nadal w ramach Rady Jedności Narodowej, dowodzi rozumu politycznego stronnictw krajowych, jak również lęku przed rozbiciem „jedności narodowej”, której symbolem była współpraca czterech stronnictw. Również obawa przed wywołaniem wrażenia, że w łonie stronnictw „londyńskich” panują spory, powstrzymywała ludowców aż do maja od pójścia w ślady ludowców londyńskich i rozbitcia jedności narodowej. Mimo wszystko jednak taki stan rzeczy nie dał się zbyt długo przeciągać i sztukować. Jak wiadomo, w maju ub.r. ludowcy zagrozili wystąpieniem z Rady Jedności Narodowej i wycofali się z jej prac, żądając rekonstrukcji rządu londyńskiego i powrotu do niego Mikołajczyka i innych ministrów ludowców. Przez cały maj i czerwiec cała energia pozostałych w Radzie trzech stronnictw, tj. PPS, Stronnictwa Pracy i SN, skierowana była w kierunku wciągnięcia z powrotem ludowców do udziału w pracach Rady i złagodzenia sytuacji, zwłaszcza zaś niedopuszczenia do rezygnacji ze stanowiska delegata rządu londyńskiego p. K.¹, który był ludowcem. Rolę pośrednika odgrywało w tym stadium Stronnictwo Pracy, kłajstrujące jedność narodową. Stronnictwo Pracy wywierało też naciski na swych reprezentantów w Londynie przez wysyłanie do nich depesz w celu wciągnięcia ludowców z powrotem do rządu londyńskiego i grożąc w przeciwnym razie wystąpieniem z Rady. Całe to kłajstrowanie nie mogło mimo najlepszych chęci doprowadzić do pozytywnych rezultatów głównie dlatego, że los jedności narodowej w kraju był w gruncie rzeczy już przesądzony z chwilą wyjścia ludowców z rządu londyńskiego. Gra Mikołajczyka na emigracji nie mogła pozostać bez wpływu na stanowisko ludowców w kraju, którzy nie chcieli wiązać się przynależnością do RJN w przeddzień nowej kombinacji politycznej, której patronował Mikołajczyk pod egidą anglosaską. Jest rzeczą niesporną, że ludowcy wstrzymując się od prac w RJN w maju wiedzieli o planie porozumienia moskiewskiego i zawczasu przygotowywali

1. Jak wiadomo, ostatnim oficjalnym delegatem rządu na kraj był Stefan Korboński.

sobie pozycję ułatwiającą im wejście do nowej kombinacji, pozostawiając na boku swych dotychczasowych partnerów. Nic dziwnego, że pośród partnerów musiała powstać duża doza nieufności w stosunku do nich.

Ostateczny cios jedności narodowej w kraju miała jednak zadać konferencja moskiewska. Jedność rozbita już przez ludowców obecnie doznała dalszych wstrząsów. Powodem tego był kryzys zaufania, jaki wytworzył się w łonie dotychczas zgodnie działających stronnictw. Kto chce zrozumieć ten stan rzeczy, jaki wytworzył się po przybyciu Mikołajczyka do Polski i stworzeniu tzw. rządu jedności narodowej, musi zdać sobie sprawę z ogromnego wstrząsu, jakim nie tylko dla niezorientowanego politycznie społeczeństwa, lecz także dla przywódców politycznych w Polsce był fakt uznania rządu jedności narodowej przez państwa anglosaskie i cofnięcie tego uznania rządowi londyńskiemu. Mimo tego bowiem, że teoretycznie z tym się liczone, to jednak zawsze na dnie każdej myśli czy posunięcia tkwiła iskra nadziei, że przecież do tego nie dojdzie. Fakt ten jakby gromem poraził stronnictwa, składające się dotychczas na RJN. Wobec gwałtownego usunięcia się podstawy politycznej tych stronnictw, przywódcy ich zaczęli przemyślać, w jaki sposób ustosunkować się do nowej rzeczywistości.

Dalsze utrzymywanie Rady Jedności Narodowej było niemożliwością z następujących względów:

- 1) po wyjściu ludowców i po przejściu ich do obozu lubelskiego nie można było już dalej mówić o jedności narodowej, w której nie brało udziału najliczniejsze stronnictwo,

- 2) dekonspiracja działaczy wskutek tego, że ludowcy współpracujący obecnie z rządem lubelskim znali dobrze całą działalność konspiracyjną,

- 3) chęć pozostawienia stronnictwom wolnej ręki w ustosunkowaniu się do nowej rzeczywistości,

- 4) wzgląd na społeczeństwo, zmęczone walką i mające dość konspiracji.

Przy wszystkim tym odgrywał ważną rolę również kryzys zaufania, który objął już nie tylko ludowców, lecz i trzy pozostałe stronnictwa. Jedyne może SN nie mogło być podejrzwane o chęć przejścia do obozu lubelskiego (przede wszystkim dlatego, że nie miało żadnych szans na powodzenie), natomiast zarówno PPS jak i Stronnictwo Pracy (jak również Demokraci) starali się w oparciu o postanowienia konferencji krymskiej, mówiące o dopuszczeniu stronnictw demokratycznych i antyfaszystowskich, o zalegalizowanie i prowadzenie działalności po uznaniu oczywiście rządu jedności narodowej. Ponieważ zaś sytuacja każdego z tych stronnictw i szanse każdego z nich były

odmienne, więc zaznaczyła się od razu pewna wzajemna nieufność i różnice taktyczne. Ten też взгляд może najwięcej zaważył na rozwiązaniu Rady Jedności Narodowej.

Na pierwszy rzut oka widoczne było, że najgorsze szanse ma SN, które może być jednostronnie przez lubelczyków uznane za niedemokratyczne. W o wiele lepszej sytuacji znajdowali się WRN-owcy: chociaż bowiem sypały się na nich w prasie rządowej najostrzejsze zarzuty i wyzwiska od najczarniejszych reakcjonistów, to jednak nie dało się zaprzeczyć, że byli członkami PPS, a sytuacja ich o tyle tylko była ciężka, że szyld PPS został im ukradziony przez lubelczyków, że więc stała przed nimi konieczność albo wstąpienia do PPS, którego góra opanowana już była przez lubelczyków, albo wyrzeczenia się szyldu PPS i stworzenia nowej niezależnej od lubelczyków organizacji. W najlepszej sytuacji znajdowało się Stronnictwo Pracy, ponieważ na razie szyld jego nie był skradziony, a prezes stronnictwa Popiel wymieniony został imiennie w protokole moskiewskim i zaproszony do współpracy z rządem.

Okres od stworzenia rządu jedności narodowej do końca roku 1945 można by nazwać okresem walki o legalizację polskich stronnictw niezależnych. Dla ścisłości trzeba wyraźnie podkreślić, że stronnictw tych nie można już dzisiaj nazwać londyńskimi, gdyż wszystkie one, zarówno WRN Żuławskiego, jak Stronnictwo Pracy, jak PSL, nie stoją na stanowisku rządu londyńskiego, lecz (choć niektóre niechętnie) uznają jednak rząd jedności narodowej. Można zaś i trzeba nazwać je stronnictwami czy grupami niezależnymi, gdyż w przeciwieństwie do grup lubelskich stoją one na stanowisku istotnej niezawisłości Polski i nie są kierowane przez Moskwę. Walka też podjęta przez te grupy o zalegalizowanie nie jest walką o orientację londyńską, chociaż w niektórych z tych grup siłą rzeczy są sympatie pro-londyńskie, lecz walką o wywalczenie w ramach istniejącej obecnie rzeczywistości politycznej prawa do przemawiania samodzielnego i prowadzenia samodzielnej polityki.

W walce tej najpomyślniejsze rezultaty, jakich nie udało się osiągnąć żadnej innej partii, osiągnęło Polskie Stronnictwo Ludowe, co oczywiście tłumaczy się przede wszystkim faktem, że stronnictwo to posiada w rządzie kilku ministrów, czego nie posiada żadne inne stronnictwo „niezawisłe”. Metoda, jaką bronili się lubelczycy przed naporem stronnictw niezawisłych, była stale jedna i ta sama. Ponieważ szyldy stronnictw były ukradzione, więc zapraszano partnerów do pogodzenia się i wstąpienia do istniejących już i noszących tę samą nazwę stronnictw lubelskich. Tak było w wypadku Stronnictwa Ludowego i PPS. Zarówno grupie Mikołajczyka, jak WRN-owcom Żuławskiego pro-

ponowano 50 % miejsc w komitetach wykonawczych². Zarówno jeden jak i drugi propozycję tę odrzucili. Jeśli jednak Mikołajczykowi po odrzuceniu tej propozycji udało się stworzyć nowe stronnictwo, mianowicie PSL, to Żuławskiemu po odrzuceniu propozycji nie udało się osiągnąć tego samego. Mikołajczykowi udało się zaś stworzenie PSL głównie dzięki poparciu anglosaskiemu i pędowi chłopów do zjednoczenia się w jednym stronnictwie, do czego przede wszystkim zachęcającym momentem było stanowisko Witosy. Lubelczykom nie wypadało zaś wobec Anglosasów odmówić uznania dla stronnictwa, na czele którego stał Mikołajczyk, mający stanowisko międzynarodowe silne. W rezultacie tych wszystkich momentów stworzył Mikołajczyk z końcem sierpnia PSL³, a blok rządowy nie był w stanie temu przeszkodzić. PSL rozwija się ustawicznie i na ogół ze wsi wyrugowało lubelskie Stronnictwo Ludowe, którego najwybitniejsi przywódcy, Bańczyk, Bertold i inni, przeszli do PSL, zostawiając w SL jedynie Baranowskiego i Putka.

Przykład dany przez Mikołajczyka nie pozostał bez wpływu na inne stronnictwa. Nawet SN, które dzisiaj można by nazwać jedynym stronnictwem prolondyńskim (ze względu na to, że nie zostało uznane przez rząd jedności narodowej i nie bierze udziału w oficjalnym życiu politycznym kraju) wystosowało w sierpniu list do Bieruta, domagając się legalizacji i powołując się na prorosyjskie stanowisko Romana Dmowskiego oraz na swój demokratyczny charakter. Na list nie było odpowiedzi⁴, a po jakimś czasie autorów listu aresztowano (trzej z nich, m.in. Bielawski, Kobylański, wypuszczeni przed świętami B.N.). Nawet więc SN chciało stanąć na gruncie wytworzonym przez konferencję moskiewską. Do podobnego ataku wystąpił Żuławski z grupą WRN, domagając się stworzenia nowej organizacji politycznej, mianowicie Polskiej Partii Socjal-Demokratycznej (PPSD). Lubelczycy, zląkwszy się, żeby w ślad za Mikołajczykiem nie poszły inne partie i bojąc się napływu opozycji, postanowili położyć temu kres i na żądanie Żuławskiego odpowiedzieli odmownie, po czym czterech spośród podpisanych autorów listu czasowo zaaresztowali. Podobnie, choć trochę bardziej skomplikowanie, przedstawiała się sytuacja na odcinku Stronnictwa Pracy, gdzie lubelczycy dla przeciwwagi prawdziwemu stron-

2. Zob. przypis 5.

3. Jest to nieścisłe. Mikołajczyk nie utworzył wtedy PSL. Istniało ono przez cały czas okupacji, a także po wojnie. 22 sierpnia nastąpiło jedynie przemianowanie Stronnictwa Ludowego, kryptonim „Roch”, na Polskie Stronnictwo Ludowe. Nazwę bowiem SL przywłaszczyli sobie stalinowcy z PPR, którzy w 1944 r. utworzyli podporządkowane sobie SL.

4. 23 VII 1946 r. Prezydium KRN odrzuciło wniosek o legalizację SN.

nictwu stworzyli jeszcze w ostatniej chwili przed przybyciem Popiela drugie Stronnictwo Pracy z byłym członkiem tego stronnictwa, zależnym od siebie, wicewojewodą toruńskim Felczakiem na czele i zaczęli nalegać, podobnie jak w wypadku ludowców i socjalistów, na połączenie obu „odłamów”. Prawdziwe Stronnictwo Pracy, nie chcąc mieć w swym gronie konia trojańskiego, wystąpiło o stworzenie Chrześcijańskiego Stronnictwa Pracy, co oczywiście zostało przez rząd odrzucone. Tak więc w całości trzeba stwierdzić, że jedynie ludowcom udało się zachować czystość swego stronnictwa w ramach wciąż potężniejszego PSL, podczas gdy Stronnictwo Pracy i WRN Żuławskiego zostały zmuszone do niekorzystnego kompromisu. Wobec tego, że w listopadzie rząd bojąc się ataku opozycji „ustalił” (uchwała Prezydium KRN), że „w obecnych warunkach” legalnych jest tylko 6 partii (PPR, PPS, SD, SL, PSL, Stronnictwo Pracy), prawdziwe Stronnictwo Pracy, jeśli nie chciało zostać zepchnięte w mroki konspiracji, zmuszone było połączyć się z grupą Felczaka na warunkach trochę ponad 50% miejsc w Komitecie Wykonawczym (10 miejsc na 19). Jeszcze gorszy kompromis zawarł Żuławski w grudniu, otrzymując jedynie 6 miejsc w CKW PPS⁵. Poza obrębem życia politycznego pozostało SN. Zupełnie nie udało się ta walka demokratom, którzy również chcieli przystąpić do lubelskiego Stronnictwa Demokratycznego, rokowania jednakże prowadzone z Rzymowskim w miesiącach letnich rozbiły się, a Zjednoczenie Demokratyczne uległo samorozwiązaniu się.

Legalizacja Stronnictwa Pracy w listopadzie i grupy WRN-owskiej w grudniu jest zakończeniem etapu w życiu dawnych stronnictw prolondyńskich. Jeśli zdecydowały się one na drogę uznania rządu, to po prostu dlatego, że nic innego im nie pozostawało, jeśli nie chciały zostać uznane za nielegalne (narazając się na represje w razie prowadzenia działalności nielegalnej wobec zupełnego rozkonspirowania roboty), ale i też pozostawać w zupełnej bezczynności. Jediną drogą, jaka pozostawała przed nimi, była próba walki legalnej. Do niej zaś pierwszym warunkiem jest zalegalizowanie. Wszystkie te trzy dawne partie prolondyńskie liczą przy tym na oddziaływanie w terenie. Pod tym względem najlepiej przedstawia się oczywiście sprawa PSL, które

5. Zygmunt Żuławski nie otrzymał 6 miejsc w Centralnym Komitecie Wykonawczym PPS. Byłby to dlań duży sukces, gdyż CKW liczył 12 członków. Uzyskał 6 miejsc w 115-osobowej Radzie Naczelnej. Formalna kooptacja nastąpiła dopiero 31 IV 1946 r. na posiedzeniu tej rady. Ale już w sierpniu tegoż roku Żuławski zerwał z tą koncesjonowaną i zależną PPS. Z jego grupy do RN weszli: Ludwik Cohn, Józef Grzeczmarowski, Wincenty Markowski, Marian Nowicki i Stefan Rzeźnik.

zyskuje jako partia, mająca markę opozycyjną, dużo zwolenników także w miastach. Na to samo liczy Stronnictwo Pracy i grupa WRN-owska, której udało się już opanować bardzo wiele placówek w terenie. Opanowanie organizacji PPS od dołu — oto hasło, które przyświeca WRN-owi i jest już od dawna realizowane. Podobnie pewne siebie jest też Stronnictwo Pracy, gdyż grupa Felczaka nie przedstawia w terenie nic.

Przed partiami niezależnymi otwiera się teraz nowy okres walki: okres przedwyborczy. Nawet dla największych przeciwników wyborów jest jasne, że wybory w Polsce będą musiały się odbyć. Jest również rzeczą jasną, że lubelczycy nie będą chcieli wypuścić władzy z ręki. Jeśliby zaś wybory odbywały się względnie uczciwie przy zachowaniu prawa dla stronnictw do pójścia w listach oddzielnych, to nie ulega wątpliwości, że większość głosów padłaby na najpopularniejsze w Polsce PSL. Chociaż trudną jest rzeczą bawienie się w proroctwa, to jednak wydaje się niemal rzeczą pewną, że PPR otrzymałoby znikomą ilość głosów, a nawet cały blok lubelski nie osiągnąłby potrzebnej mu większości. Wobec tego stanu rzeczy, z którego lubelczycy zdają sobie sprawę, nie pozostaje im nic innego, jak starać się sfalszować istotny stan rzeczy. Takim sposobem na uniknięcie prawdziwej walki wyborczej, która musiałaby się skończyć klęską obozu lubelskiego, jest wspólna lista wszystkich stronnictw „demokratycznych”, do której lubelczycy chcą zmusić Mikołajczyka, stosując terror w stosunku do PSL, aresztując działaczy terenowych itd. Właśnie ten cel ma na oku kampania prowadzona przeciw PSL jako partii „rozbijającej jedność demokratyczną”, siedzącej na dwóch krzesłach: opozycyjnym i rządowym itp. Kampania prowadzona z ogromnym tupetem na łamach prasy lubelskiej i z trybuny KRN. Celem jej jest zastraszenie PSL i zmuszenie go do wspólnej listy wyborczej, a w razie nieudania się tego, obarczenie go modnym mianem reakcji i przeprowadzenie z nim walki, nie wahając się w doborze środków.

Klucz rozgrywki leży więc w decyzji PSL. Dzisiaj nie można przewidzieć, jak ta decyzja wypadnie. Za pójściem za listą osobną przemawia z jednej strony fakt, że w ten sposób PSL ma szansę do odniesienia decydującego zwycięstwa w wyborach, zwycięstwa, które według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie nawet większe od sukcesu odniesionego przez drobnych rolników na Węgrzech⁶, z drugiej strony względ na opinię pub-

6. W listopadzie 1945 r. Partia Drobnych Rolników zdobyła 60% mandatów. Z jej ramienia na czele rządu stanął Ferenc Nagy, ale istotną władzę sprawowali stalinowcy i NKWD. Już w 1947 r. aresztowano sekretarza generalnego tej partii Beli Kovacza, a F. Nagy nie wrócił na Węgry z podróży do Szwajcarii. Partię rozgromiono.

liczną, która dlatego jedynie darzy tak wielkim zaufaniem PSL, że widzi w nim partię niezależną od wszystkich innych. Pójście PSL razem z innymi partiami we wspólnym bloku narazi to stronnictwo niewątpliwie na utratę tej sympatii, jaką się cieszy w społeczeństwie. Z drugiej strony dla PSL istnieje szereg dodatkowych stron przemawiających za pójściem razem w jednej liście wyborczej. Przede wszystkim w ten sposób uniknie PSL całej furii, jaka niewątpliwie spadnie na nie ze strony rządu. Prócz tego liczyć się trzeba z tym, że w razie zwycięstwa i tak PSL nie będzie mogło rządzić samodzielnie, lecz będzie się musiało podzielić tekami z innymi stronnictwami, czyli że jakieś bardzo wysokoprocentowe zwycięstwo nie jest konieczne PSL-owi potrzebne. W kołach politycznych kursują wiadomości, jakoby PSL było gotowe do pójścia we wspólnym bloku wyborczym, jeśli otrzyma 55 % mandatów we wspólnej liście. Blok rządowy zgadza się już podobno na danie 50 % mandatów PSL-owi⁷. Sprawa wyjaśni się ostatecznie na kongresie PSL 20 stycznia i z uchwały, jaka tam zapadnie, będzie można wywnioskować, jakie stanowisko zajmuje PSL. Jeśli kongres uchwali pójście na osobną listę, to sprawa będzie przesądzona, jeśli zaś decyzję w tej sprawie pozostawi komitetowi wykonawczemu, to będzie oznaczać, że raczej liczyć się trzeba z pójściem na wspólną listę. Jest rzeczą oczywistą, że w razie pójścia PSL osobno liczyć się trzeba z zaognieniem walki wewnętrznej, walkami bojówek, wzmożonym terrorem policyjnym, a być może również z falą sensacyjnych procesów politycznych, do których materiały zbiera się gorliwie od dłuższego czasu. Te zainscenizowane procesy będą miały na celu skompromitowanie działalności byłej Delegatury Rządu Londyńskiego, w której PSL-owcy dzisiejsi zajmowali wybitne stanowiska i skompromitowanie w ten sposób PSL w przeddzień wyborów. Nie trzeba dodawać, że jeśli PSL pójdzie we wspólnym bloku, to uczyni to również o wiele słabsze Stronnictwo Pracy. Dlatego też stanowisko PSL jest decydujące dla ułożenia się stosunków politycznych w Polsce w najbliższych miesiącach. Od tej decyzji zależy będzie albo złagodzenie się atmosfery, albo wprost przeciwnie — jej napięcie i zaognienie.

Nadmienić trzeba, że poza wspólnym blokiem wyłoniła się w ostatnich dniach nieśmiało jeszcze lansowana koncepcja, która również miałaby zapewnić lubelczykom większość. Koncepcja ta polegałaby na powołaniu do przyszłego sejmu nie tylko wybra-

7. Nigdy PPR nie zgodziła się na takie ustępstwo. Maksimum które oferowano PSL-owcom było 22 % mandatów + 3 % dla agenturalnego PSL „Nowe Wyzwolenie”. Stalin nakazał, by PSL nie uzyskało w wyborach więcej niż 12%; tę dyrektywę gorliwie wykonano i PSL „otrzymało” z łaski PPR i UB 28 mandatów (10,3 % głosów).

nych w drodze głosowania przedstawiciele stronnictw politycznych, lecz również reprezentantów przeróżnych związków zawodowych, Związku Samopomocy Chłopskiej itp., a więc koncepcja faszystowska. Lubelczycy spodziewają się, że tą drogą, jeśli nie uda się inną, wprowadzą do parlamentu swoich reprezentantów i w ten sposób zapewnią sobie większość. W ostatnim miesiącu rzucona została przez premiera Osóbkę-Morawskiego w rozmowie z jednym z działaczy PSL koncepcja stworzenia tzw. przez niego list dzikich obok jednej listy wspólnej „bloku demokratycznego”. O ile ta koncepcja jest poważna, a nie jest jedynie osobistym pomysłem premiera, to mamy tu prawdopodobnie do czynienia z manewrem, mającym na celu wywołanie wrażenia, że w Polsce panuje kompletna demokracja i każdy ma prawo wystawiania własnej listy. Te listy dzikie, o ile istotnie dojdą do skutku, zostaną zapewne ogłoszone w ostatniej chwili i praktycznego znaczenia mieć nie będą. Być może, że ich zadaniem będzie również rozbitcie głosów opozycji.

Niezorganizowana politycznie opinia kraju darzy przede wszystkim zaufaniem PSL. Trzeba podkreślić z całą stanowczością, że rząd londyński, na którym bazowało całe społeczeństwo polskie przez pięć lat okupacji niemieckiej, obecnie ulotnił się zupełnie ze świadomości ogółu społeczeństwa. Nieokreślone jakieś, jednakże bardzo silne nadzieje wiążą się natomiast z armią Andersa i w mniejszym stopniu Maczka. Jeśli się zapytać przeciętnego Polaka, czy wierzy w wojnę, to przeważnie odpowiedź wypadnie przecząco, wszyscy jednak wierzą, że „taki stan rzeczy trwać nie może długo” i wierzą, że sytuacja zmieni się wskutek nacisku dyplomatycznego i gospodarczego Anglosasów. W jaki sposób jednak ma się to stać konkretnie, na to nikt nie umie dać odpowiedzi. Argumenty najczęściej spotykane, to fakt trzymania armii polskiej przez Anglików, który musi mieć jakąś przyczynę, bomba atomowa itp. Ogromną nadzieję przywiązuje również przeciętny człowiek do wyborów, wierząc w zwycięstwo Mikołajczyka i w radykalną zmianę na lepsze z chwilą objęcia przez niego rządów. Ponieważ PSL istotnie, mimo to że znajduje się w rządzie, uprawia opozycję, przeto cały naród, który nie może pogodzić się z myślą, że państwo polskie zostało zredukowane do roli protektoratu, darzy go pełnym zaufaniem. Podobnie jak podczas okupacji niemieckiej społeczeństwo żyło „Londynem”, tak teraz zaczyna żyć legendą PSL. Organ PSL *Gazeta Ludowa* jest dziennikiem najbardziej czytany w Warszawie, przy czym gazetę tę sprzedawcy gazet samorzutnie wpychają do rąk przechodniom. Mikołajczyk i PSL dyskontują zaufanie, jakie miał naród polski przez pięć lat do rządu londyńskiego. Mikołajczyk w oczach przeciętnego człowieka w Pols-

ce — to Anglia i Ameryka, to dolar i UNRRA, to uwolnienie Polski od preponderancji moskiewskiej. Że ta ocena jest fałszywa i że przyszłość powyborcza nie jest tak różowa, jak się dziś przeciętnemu Polakowi wydaje, z tego nikt sobie nie chce zdać sprawy. Dla realnie myślącego człowieka jasnym jest, że Mikołajczyk, jeśli odniesie zwycięstwo, nie będzie mógł rządzić samodzielnie, lecz na spółkę z innymi stronnictwami. Dopóki zaś będzie istnieć ministerstwo bezpieczeństwa i dopóki znajdować się ono będzie w rękach PPR, dopóki wojska sowieckie znajdują się w kraju — o żadnej istotnej zmianie mówić nie można. Zmiana po wyborach może ograniczyć się jedynie do tego, że Mikołajczyk zamiast mieć 4 ministrów w rządzie, będzie ich miał 7 lub 8. Istota rzeczy nie ulegnie jednak zmianie⁸.

8. Tak właśnie było na Węgrzech.

UB A PSL PO UCIECZCE MIKOŁAJCZYKA LISTOPAD 1947

Publikujemy ściśle tajny rozkaz Ministra Bezpieczeństwa Publicznego, prawdopodobnie V Departamentu, kierowanego przez Julię Brystygierową, dla ogniw terenowych UB, z wytycznymi do walki z resztkami opozycyjnego PSL. Jak wiadomo, tuż po „wyborach” w styczniu 1947 r., w wyniku masowego terroru, aresztowań i mordów oraz zakazu działalności PSL w kilkudziesięciu powiatach i rozbiciu kierownictw w pozostałych terenach, do „sejmu” weszło zaledwie 27 PSL-owców plus niezależny socjalista Zygmunt Żuławski, który uzyskał mandat z listy PSL. Po tym pogromie grupa najbardziej ugodowych działaczy, z Czesławem Wycechem i Józefem Niecką, utworzyła tzw. Lewicę PSL, czy też PSL Lewicę, sterowaną przez PPR, a w istocie rzeczy przez UB, w celu ostatecznego rozbicia PSL.

Wobec zmian zachodzących w krajach opanowanych przez Rosję, likwidacji wszystkich partii typu PSL oraz aresztowania i zgładzenia ich przywódców, prezes PSL Stanisław Mikołajczyk postanowił zbiec za granicę. Uczynił to 21 X 1947 r. Po jego ucieczce kierownictwo PSL natychmiast przejęli wycechowcy, ale archiwum PSL skonfiskował UB. Był to koniec „legalnej” opozycji w Polsce. Mikołajczykowcy zostali sparaliżowani. Część pozostała w nowym PSL, część stanęła z boku. Wielu ratowało swą „wolność”, czasem i życie, przybierając barwę ochronną, wstąpiło do agenturalnego UB-owsko-PPR-owskiego Stronnictwa Ludowego. Wszyscy okazali się bezsilni wobec ogromnie rozbudowanego aparatu terroru.

Mimo to kierownictwo UB w publikowanym rozkazie, czy też wytycznych, zalecało aresztowanie tych bezsilnych ludzi. Dokument odśladania fakt, że nawet gdy już nic nie zagrażało stalinowcom w Polsce (*nota bene* przedtem również nikt nie mógł obalić ich absolutnej władzy) nadal nieustającymi aresztowaniami, więzieniem ludzi, obozami koncentracyjnymi terroryzowali społeczeństwo, by uczynić je całkowicie bezwolnym narzędziem swych rządów. Temu celowi służyła też stale rozbudowywana sieć konfidentów penetrujących wszelkie środowiska. O tym również świadczy ten przekaz. Jak dalece zastosowano tę masową rekrutację konfidentów w środowisku ludowcowym, może ilustrować następujące wydarzenie:

Po październiku 1956 r., gdy zelżał krwawy terror, ludzie nabrali odwagi. Mówiono wtedy: „Odwaga staniała, rozum zdrożał”. W wielu środowiskach zapanowała atmosfera kajania się. W tej sytuacji zebrał się zespół redakcyjny *Dziennika Ludowego*, pisma ZSL. Jeden z uczciwszych spośród redaktorów, dręczony wyrzutami sumienia, wyznał, że pełnił funkcję konfidenta UB. Wyznanie to, szczerze i otwarte, poruszyło „duszę” pozostałych. Jeden po drugim wypowiadali się, że i oni donosili. I tak na 28 zebranych redaktorów, 27 przyznało się do tej narzuconej im terrorem niecznej roli. Na wyższych szczeblach ZSL zapewne nie było nawet tego jednego wyjątku. Można snuć rozważania nad problemem, jak ten system terroru i masowych donosów demoralizował społeczeństwo.

Analizując ten dokument, warto też zwrócić uwagę na rozkaz aresztowania zupełnie niewinnych ludzi. Do 1947 r. „uzasadniano” aresztowania PSL-owców ich rzekomym powiązaniem z podziemiem zbrojnym lub tam, gdzie go nie było, posiadaniem broni, dodajmy podrzuconej przez UB-owców. Tu mamy dobitne świadectwo, że kazano aresztować bez żadnego pretekstu, za przynależność do „legalnego” stronnictwa, w sytuacji utrwalonej władzy. Jeszcze jedno jest tu godne spostrzeżenia: rola Stronnictwa Ludowego jako narzędzia nie tyle PPR, co UB. To rozróżnienie nie jest bezzasadne. UB to NKWD. Władysławowi Gomułce wydawało się, że on przewodzi, a w 1948 r. i później okazał się równie bezbronny jak PSL-owcy wobec UB/NKWD. Polską rządził NKWD, poprzez UB. Jest to temat szerszej rozprawy. Tu go tylko sygnalizujemy.

Dokument znajdował się w 1956 lub 1957 r. w Centralnym Archiwum MSW, wśród materiałów nieuporządkowanych, jako trzystronicowy maszynopis, nie podpisany.

Warszawa, dnia 2 listopada 1947 r.

ŚCIŚLE TAJNE

Ucieczka Mikołajczyka za granicę odśloniła z całą wyrazistością jego charakter i właściwą rolę, a przede wszystkim to, w jakim stopniu był on rzecznikiem polityki obcych, imperialistycz-

nych sił, wrogich interesom narodowym Polski, zdemaskowała go jako obcego agenta, nawet wobec jego najbliższych i dalszych dotychczasowych zwolenników. Ucieczka ta wywołała w całym obozie reakcji wielkie rozczarowanie wobec swojego wodza, dezorientację i rozgardiasz. Pogłębiła ona jeszcze bardziej kryzys polityczny w obozie wrogów demokracji.

Rozkład wewnętrzny i panika powstała szczególnie w szeregach PSL. Znalazło to swój wyraz m.in. w masowym odpływie z szeregów PSL, który jest wynikiem nie tylko rozczarowania do osoby Mikołajczyka i tych, którzy do ostatka popierali Mikołajczyka, lecz i obawy przed konsekwencjami, jakie wyciągnie rząd w związku z jawną zdradą państwa, dokonaną przez kierownictwo PSL. W zaistniałej sytuacji elementy antymikołajczykowski z Wycechem i Niecką na czele przejęły kierownictwo PSL.

Wszystko to stwarza na odcinku PSL nową sytuację, której rozwój uzależniony jest od umiejętnej działalności stronnictw bloku demokratycznego, a zwłaszcza Stronnictwa Ludowego oraz właściwego postępowania organów bezpieczeństwa publicznego. W zaistniałej sytuacji należy postawić sobie następujące zadania w stosunku do PSL:

1. Rozbić i zlikwidować wpływy mikołajczykowszczyzny w PSL i wśród chłopów, względnie w tej części społeczeństwa, która wpływom tym ulega. Oznacza to dążenie do zlikwidowania opozycyjnego charakteru PSL wobec rządu i demokracji ludowej. Zadanie to jest najważniejsze, gdyż ma na celu rozszerzenie bazy politycznej obozu demokracji ludowej, przez oderwanie dotychczasowych zwolenników mikołajczykowskiej klikki od anglosaskiej orientacji. Organy bezpieczeństwa publicznego spełnić winny na tym odcinku tylko rolę pomocniczą, a główną pracę winny przeprowadzić tak partie bloku demokratycznego, jak i antymikołajczykowskie elementy w PSL, zwłaszcza te, które przynależały do PSL Lewicy. Antymikołajczykowska kampania w postaci rezolucji potępiających opozycyjną i proanglosaską działalność kierownictwa PSL przyjmowanych na zebraniach członków PSL, jak też w postaci kolportażu wydawnictw demaskujących Mikołajczyka, winna znaleźć pełne poparcie organów bezpieczeństwa.

2. Należy liczyć się, że w wyniku ucieczki Mikołajczyka i antymikołajczykowskiej kampanii wytworzy się w PSL następująca sytuacja:

- a) Część aktywu PSL i razem z nim odpowiednia część członków PSL zerwie z linią polityczną uprawianą przez klikę mikołajczykowską i przejdzie na pozycje współpracy z partiami bloku demokratycznego. Z grona tych PSL-owców, którzy szcze-

rze zerwą ze stronnikami Mikołajczyka, winny być wyłaniane nowe zarządy terenowych organizacji PSL.

b) Część aktywu PSL, zwłaszcza centralnego i wojewódzkiego, opuści szeregi PSL i odsunie się od pracy politycznej. Jedni zrobią to dlatego, gdyż zawiedli się na Mikołajczyku, uważając, że ich oszukał i pozostawił samych na tonącym okręcie, drudzy dlatego, że nadal zgadzają się z polityką Mikołajczyka, nie widzą możliwości legalnego działania i kontynuowania tej polityki, wobec czego postanowili przeczekać, aby uchronić się przed represjami, wreszcie inni pozornie tylko odsuną się od pracy politycznej, chcąc w ten sposób zamaskować swoją nielegalną działalność. Niezależnie od tego, z jakich pobudek aktyw PSL-owski opuszczać będzie szeregi PSL, należy uważać za pożyteczne odejście tych wszystkich, którzy i obecnie, po ucieczce Mikołajczyka, nie mają zamiaru stanąć na gruncie szczerzej współpracy z blokiem demokratycznym, na gruncie likwidacji opozycyjnego charakteru PSL i popierania polityki rządu.

c) Ostatnia wreszcie część mikołajczykowskiego aktywu będzie usiłowała zamaskować swoje oblicze przez pozorną krytykę Mikołajczyka i pozostawać w stronnictwie, aby uprawiać nadal jego politykę w sposób legalny, bądź zakonspirowany, tak wewnątrz organizacji PSL, jak i poza nimi. Nie może bowiem ulegać wątpliwości, że po ucieczce Mikołajczyka elementy najbardziej reakcyjne i zaprzędane Anglosasom będą usiłowały budować podziemne organizacje. Jest rzeczą bardzo ważną wykluczenie tych elementów z PSL na drodze uchwał przyjmowanych przez odpowiednie instancje kierownicze terenowych organizacji PSL. Główna linia polityczna wobec PSL ma na celu eliminację wszystkich mikołajczykowskich ogniw kierowniczych. Tylko w ten sposób może udać się przekształcić PSL jako całość na partię pozytywną i rozszerzyć przy pomocy tego stronnictwa bazę polityczną demokracji ludowej.

Organy bezpieczeństwa publicznego winny wykorzystywać obecną sytuację dla pogłębienia fermentu politycznego, dla unieszkodliwienia i odizolowania najbardziej wrogich elementów od ruchu masowego, dla rozbijania i likwidowania wszelkich załączków nowego podziemia PSL-owskiego i wreszcie dla zdobycia agenty we wszystkich ogniwach organizacyjnych PSL.

W tym celu należy:

1. Pilnie śledzić zachodzące procesy w szeregach organizacji PSL i poprzez wszelkie możliwe kontakty, a przede wszystkim agenty, wpływać na pogłębienie fermentu politycznego, na kryształizację ideologiczną, drogę piętnowania polityki Mikołajczyka i mikołajczykowców (publiczne deklaracje indywidualne i rezolucje

zbiorowe, wystąpienia na wiecach i zebraniach gromadzkich wsi, oświadczenia w prasie itp.).

2. W przeciągu najbliższych dni przeprowadzić przesłuchanie podejrzanego o dalsze sympatyzowanie z Mikołajczykiem aktywu PSL-owskiego. Pytania w czasie przesłuchania winny iść głównie w kierunku: stosunku przesłuchiwanego do Mikołajczyka i dotychczasowego kierownictwa PSL, jakie wnioski wyciąga przesłuchiwany z dopuszczenia się Mikołajczyka zdrady wobec państwa i narodu itp. Bardzo istotną sprawą jest ustalenie źródeł finansowania organizacji PSL. Trzeba dokładnie ustalić, ile pieniędzy otrzymywano z centrali. Przesłuchania te powinny być w pewnej mierze wykorzystane dla zdobycia celowej i poważnej agentury. Sytuacja do tego jest dogodna, należy tylko działać przemyślnie (*sic*) i umiejętnie. Należy werbować tylko takich, którzy mogą dawać wartościowe wiadomości i wskutek różnych okoliczności stanowią dobry materiał na agenturę. Przy werbunku należy podkreślić, że chodzi o obronę nowego PSL przed zwichnięciem i obcą penetracją.

3. W przeciągu najbliższych dni aresztować najbardziej ruchliwych i zagorzałych zwolenników mikołajczykowskiego skrzydła PSL w skali województwa, a nawet powiatu, co do których jest pewność, że nie zmieniają swego stanowiska do Mikołajczyka, a zwłaszcza tych, których podejrzewać można, iż przejdą na nielegalną działalność. Areszty te, chociaż nie masowe, winny zmierzać do odizolowania i unieszkodliwienia aktywnych mikołajczykowców współodpowiedzialnych za politykę zdrady prowadzoną przez grupę Mikołajczyka i przyczynić się do szybszej krystalizacji politycznej podstawowej masy peeselskiej. Areszty winny mieć charakter prewencyjny. W wypadkach posiadania przez nas konkretnych materiałów powinny zakończyć się oddaniem sprawy do sądu.

4. Do wycechowskiej grupy, obecnie kierowniczej grupy całego PSL, należy ustosunkować się pozytywnie, ponieważ pomaga ona do zdemaskowania i rozbicia mikołajczykowskich elementów i grup w PSL i deklaruje się za współpracą z rządem. Sytuacja wytworzyła się taka, że mikołajczykowcy stali się w dzisiejszym PSL opozycją, opozycją szkodliwą i wrogią, dla której nie może być miejsca w szeregach PSL. Należy powodować wyrzucanie ich z PSL przez same organizacje PSL-owskie i rozwinąć wokół tego szeroką kampanię wewnątrz całego PSL. Pilnie baczyć ażeby przy obsadzaniu nowych zarządów PSL przez wycechowców nie przedostały się tam żywioły szkodliwe, elementy niepożądane. Wpływać na usunięcie z aktywu i ze stronnictwa najbardziej szkodliwych członków. Starać się o odpowiednią obsadę wszystkich kierowniczych ogniw organiza-

cyjnych. Wprowadzić do decydujących ośrodków swoje agenty. W tych warunkach zalecanej dotychczas taktyki zawieszania przez organa bezpieczeństwa i samorozwiązania się organizacji peeselowskich nie należy obecnie stosować bez porozumienia się z ministerstwem. Dziś główny nacisk powinniśmy położyć na oczyszczenie organizacji PSL od macherów mikołajczykowskich.

5. W terenach gdzie wpływy PSL były ostatnio nikłe i gdzie organizacje PSL uległy faktycznemu rozkładowi i praktycznie zanikła ich działalność, zwłaszcza na ziemiach odzyskanych, szczególnie zaś tam, gdzie SL wykazuje wzrost i prężność organizacyjną, należy wytłumaczyć zwolennikom wycechowców, którzy chcieliby odnowić działalność PSL, że jeśli stoją na gruncie demokracji ludowej winni raczej wstąpić do SL i powołując się na takie lub inne względy formalne nie zezwolić na powstanie organizacji PSL-owskiej. Natomiast tam gdzie wpływy PSL są znaczne, gdzie do mas nie mają dostępu SL lub inne organizacje bloku, gdzie z tych lub z innych powodów PSL ostatnio nie działało (np. na skutek zawieszenia lub rozwiązania organizacji) dziś można dopuścić do zorganizowania się PSL, jeśli ludzie wysunięci na kierowników danych organizacji dają pewność stosowania właściwej linii politycznej. Śledzić pilnie wszelkie próby dywersji ze strony aktywu mikołajczykowskiego, który bądź przez rzekome deklaracje lojalności, bądź przez chwytywanie się różnego rodzaju prowokacyjnych środków, zechce wśliznąć się nadal do ruchu ludowego. Próby takie trzeba natychmiast demaskować i paraliżować.

6. Skierować baczną uwagę na wszelkie próby lokowania się aktywu mikołajczykowskiego w bardziej „bezpieczne” miejsce jak „Wici”¹, TUL², wreszcie SL. Nie dopuszczać, by elementy mikołajczykowskie miały jakikolwiek wpływ na te organizacje i mogły prowadzić tam dalej swoją szkodliwą robotę.

7. Śledzić tworzące się nowe konspiracyjne grupy PSL-owskie i likwidować je w zarodku.

1. „Wici” — Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”.

2. TUL — Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych, stworzone przez PSL w 1946 r.

Benedykt Heydenkorn

ETAPY LIKWIDACJI UKRAIŃSKIEJ AUTONOMII

Na tajnym posiedzeniu zwołanym 18 stycznia 1654 r. Bohdan Chmielnicki przedstawił starszyźnie kozackiej swój wniosek oddania się pod zwierzchnictwo cara Aleksego. M.in. wywodził: „...prawosławny chrześcijański wielki gosudar, wschodni car, jest tego samego błogosławionego zakonu greckiego, co my, tej samej wiary. Jednym jesteśmy ciałem Cerkwi, prawosławiem Wielkiej Rusi, mającym nad sobą Jezusa Chrystusa. Ten wielki gosudar, car chrześcijański, zlitowawszy się nad uciskaną nieznośnie Cerkwią prawosławną w naszej Małej Rosji, nie odrzuciwszy naszych sześćoletnich prób, skłoniwszy teraz ku nam swoje miłościwe carskie serce, raczył przysłać do nas wielkich posłów, dostojnych swych doradców. Którego, jeśli szczerze pokochamy, pod jego to carską ręką znajdziemy schronienie, jak nigdzie indziej. Jeśli ktoś się teraz z nami nie zgadza, niech idzie dokąd chce — wolna droga” (cyt. Wł. Serczyk, *Historia Ukrainy*, str. 132-33).

Nie było sprzeciwu, jakkolwiek niektórzy mieli wątpliwości. Wzrosły one, kiedy wysłannik Moskwy Baturin odrzucił żądanie Chmielnickiego, by w imieniu cara zaprzysiął dotrzymania układu. Przysięgać na wierność mieli Kozacy, a car to nie król Polski: „tego za wzór przyjmować nie można. To nawet nieobyczajne. Królowie ci są niewiernymi, a poza tym to nie samowładcy i jeśli przysięgają, to później i tak swego słowa nie dotrzymują” (*ibid.*, str. 134).

Trudno uznać unię perejaśławską za triumf dyplomatyczny Chmielnickiego w jego działalności politycznej. Dążył do większych swobód i przywilejów, niezawisłości od królów Polski, a wpadł w sidła absolutnych władców Rosji. Ani on, ani nikt z jego najbliższych nie przewidział dalszego rozwoju wydarzeń, bardzo burzliwych

zresztą: krwawych walk, buntów, prześladowań, więzień i zsyłek. Współzycie ukraińsko-rosyjskie okazało się znacznie boleśniejsze — przede wszystkim z narodowego ukraińskiego stanowiska — aniżeli ukraińsko-polskie.

Monografia Zenona F. Kohuta* — ukraińskiego historyka w Stanach Zjednoczonych — poświęcona jest jednemu, ostatniemu (1760–1830) okresowi likwidacji swobód i uprawnień zachowanych przez ludność ukraińską na terytorium oddanym „pod opiekę” cara w 1654 r. Obszerna, źródłowa praca przedstawia i analizuje kolejne etapy dławienia autonomicznych uprawnień ukraińskich, naginania i łamania przyjętych przez Moskwę zobowiązań, w tym właśnie uprawnień i przywilejów uzyskanych w Polsce. Opieka miłościwego cara Aleksa i jego następców zmierzała konsekwentnie do wchłonięcia przez Rosję zarówno terytorium, jak i jego ludności. Wyniszczenia odmienności kozacko-ukraińskiej — przekształcenia wszystkich na sowieckich poddanych.

Kohut, jak wspomnieliśmy, zajmuje się nie tylko jednym okresem, ale również tylko Hetmańszczyzną, to jest lewobrzeżną Ukrainą, jako że Ukraina Słobodzka została już poprzednio pochłonięta, a Zaporozie (sicz i kosze) było ludnościowo płynne. Hetmańszczyzna stanowiła trzon, ośrodek centralny, posiadała własny ustrój, urzędy centralne i samorząd. Rosja była monarchią absolutystyczną z samowładcą na czele. Organizm państwowy na wskroś centralistyczny — co już właściwie przesądzało o losach autonomii lewobrzeżnej Ukrainy. Rosja nie znała ani systemu administracji regionalnej ani też samorządów. Proces „wyrównania” rozpoczął się niemal natychmiast, ale dyskretnie i ostrożnie. Nie naruszając zasad autonomii, Moskwa ustanowiła władzę zwierzchnią, kontrolną: cywilną i wojskową. Formalnie łącznikową, faktycznie jednak ograniczającą działalność własnych organów. W następnej fazie przystąpiono do ograniczenia uprawnień i przywilejów, by później kolejno likwidować wszystko, co stanowiło zapórę dla pełnego wchłonięcia i likwidacji samorządu autonomicznego. Akcja rozpoczęła się pod rządami Katarzyny w 1764 r. i zakończona została w 1782 r. Rosyjski aparat biurokratyczny usadowił się na wszystkich stanowiskach.

Równoległe szła akcja skłócania i rozbijania starszyny poprzez różne formy korupcji, przywileje osobiste, nagrody materialne: jedni otrzymywali „dodatki” do swoich posiadłości, inni znaleźli się w gronie dworzan. Skorumpowana elita ułatwiała, wręcz dopomagała niszczeniu autonomii. Jedność Kościoła prawosławnego w wykładni moskiewskiej oznaczała usunięcie terytorialnej niezależności, wewnętrznej organizacji itp.

* Zenon Kohut: *Russian Centralism & Ukrainian Autonomy. Imperial Absorption of the Hetmanate 1760 — 1830*. Harvard Ukrainian Research Institute, 1988, pp. 361 XV.

Katarzyna II przystąpiła do usuwania wszelkich pozostałości autonomii. Usunęła więc dworaka Razumowskiego ze stanowiska hetmana, zniosła ten urząd i ustanowiła urząd gubernatorski, na który mianowała gen. Rumincewa. Proces rusyfikacji rozszerzał się i pogłębiał. Cała administracja przeszła w ręce rosyjskiej biurokracji. Kozacy stracili przywileje i znaczenie. Posługiwanie się tradycyjną i historyczną nazwą Kozak Zaporoski uznano za obrazę majestatu, za przestępstwo.

Polityka rosyjska konsekwentnie zmierzała do zniwelowania autonomicznych uprawnień i ujednoczenia narodowo całej ludności, ale realizacja napotykała w poszczególnych fazach na opory i sprzeciwy. Moskwa stosowała wówczas pozorne ustępstwa, zmieniając skład kolegium ustawodawczego przez wprowadzenie pewnej liczby terenowych notabli.

Resztki uprawnień terenowych przeniesiono do Moskwy, po czym nastąpiła likwidacja kozacczyzny. Kozacy zostali zwykłymi wieśniakami, a Ukrainiec był równoznaczny z wieśniakiem, jako że elita była zrusyfikowana, podobnie jak mieszczaństwo i kler. Po Powstaniu Listopadowym akcja niszczenia ukraińskości zarówno na terytorium Hetmańszczyzny jak i na ziemiach zagarniętych przez Moskwę w rozbiorach była prowadzona jeszcze brutalniej, ale nie tylko z powodu pozostałości autonomii ukraińskiej, lecz celem wyłączenia dostrzegalnych polskich wpływów.

Kohut przedstawiając wszystkie kolejne fazy wskazuje, iż naród ukraiński ostał się. Dziedzictwo „starszyzny kozackiej” zakiełkowało bowiem w pokoleniu zrusyfikowanej już inteligencji. Ta w poszukiwaniu korzeni sięgnęła do przeszłości. Zajęła się jednak nie politycznym aspektem, ale kulturalnym, w pierwszym okresie wręcz folklorystycznym. Dopiero następne pokolenie, odrzuciwszy termin „Małorosjanin”, wprowadziło „Ukrainiec” i rozpoczęło walkę o prawa polityczne.

Czy to poważne dzieło naukowe, prawno-historyczne, nie ma również aktualnej wymowy?

Benedykt HEYDENKORN

WILNO 1939 - 41

Ostatnio ukazała się w kraju interesująca i wartościowa praca dotycząca Wilna w okresie 1939-1941¹. Zawiera ona sporo cennego materiału związanego w pierwszym rzędzie z samym miastem, a o wiele mniej z Ziemią Wileńską. Na przykład od dawna istniała różnica zdań w sprawie walk z bolszewikami w czasie ich wkraczania do Wilna we wrześniu 1939. Z jednej strony było wiadomo, że zwarte oddziały wojskowe wycofały się na Litwę bez oddania strzału, a z drugiej istniały pogłoski i indywidualne relacje o walkach i o czołgu, czy też czołgach sowieckich zatopionych w Wilii. Dopiero autor tej kroniki, Tomaszewski, pisze w sposób przekonujący o szeregu ośrodków oporu polskiego, powstałego głównie z własnej inicjatywy poszczególnych oficerów, wspomaganych niekiedy przez uczniów. Wyjaśnia on również, jak to było z czołgami sowieckimi, z których jeden, trafiony z działka ppanc. ustawionego po przeciwnej stronie Wilii, stoczył się do rzeki niedaleko od wylotu ulicy Arsenalskiej, a inny zapalił się trafiony w zbiornik paliwa na ulicy Wileńskiej w pobliżu Mostu Zielonego, a jeszcze inny wbił się w kratownicę tego mostu i w tej pozycji pozostał przez czas dłuższy (str. 18).

Tomaszewski wyjaśnia również, iż bezsensownie optymistyczny komunikat nadany 18 września 1939 przez megafony, stwierdzający, iż Hitler popełnił samobójstwo i że wojna już się skończyła, był pomysłem komendanta Okręgu Warownego Wilno, ppłk. Tadeusza Podwysockiego. Warto przypomnieć, że potem w sowieckiej niewoli (po przejściu przez Litwę) był on zwolennikiem i opiekunem Lewicy Demokratycznej, z której wyłonili się emisariusze sowieccy zrzucani do Polski, a wśród nich dwaj najbardziej wpływowi, Andrzej Adryan i Mikołaj Arciszewski.

Autor przytacza również kilka nieznanych dotychczas szczegółów dotyczących hierarchii dowódczej ZWZ w Wilnie. Mianowicie pisze on, iż kiedy na początku 1940 r. płk Ignacy Oziewicz zdołał opuścić obóz internowanych oficerów na Litwie (prawdopodobnie z powodów zdrowotnych) i zamieszkał w Wilnie, ówczesny wileński komendant ZWZ ppłk Sulik meldował się u niego, proponując mu przekazanie swej funkcji. Jednak Oziewicz odmówił. Później wyjechał on do Warszawy, gdzie najpierw został komendantem głównym

1. Longin Tomaszewski, *Kronika Wileńska 1939-1941*, Wydawnictwo PoMost, Warszawa 1989.

Narodowej Organizacji Wojskowej, a potem Narodowych Sił Zbrojnych. (Nb. w 1939 r. Oziewicz dowodził 29 Dywizją Piechoty, ale został w czasie działań wojennych zwolniony z tej funkcji przez gen. Dąb-Biernackiego i odesłany do Wilna).

Drugi szczegół jest też rewelacyjny. Entuzjaści późniejszego komendanta Wileńskiego Okręgu AK „Wilka” (ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego, który tytułował się generałem) pisali wielokrotnie, iż był on naturalnym i niezaprzeczalnym następcą po aresztowanym na Wielkanoc 1941 ppłk. Suliku. A tymczasem Tomaszewski pisze (opierając się w pierwszym rzędzie na nieopublikowanej relacji ks. Kucharskiego, napisanej w Kujbyszewie), że Sulik przewidywał, na wypadek aresztowania, jako swego następcę nie Krzyżanowskiego, a ppłk. dypl. Alfonsa Klotza, który był w Wilnie przejazdem ze Lwowa do Warszawy. Jednak kiedy po aresztowaniu Sulika ks. Kucharski zwrócił się do niego w tej sprawie, ppłk Klotz odmówił objęcia komendy Okręgu Wileńskiego. Dopiero wówczas funkcja ta przypadła ppłk. Krzyżanowskiemu.

Jednak tu i ówdzie książka ta wzbudza pewne zastrzeżenia. Na przykład nie ma autor racji, sugerując, iż Wilno zostało przekazane Litwinom z woli Sowietów (str. 22 i 23). Stało się tak z powodu uzgodnienia z Niemcami w tajnym protokole z 23 sierpnia 1939 (który zresztą autor przytacza na str. 139), iż Wilno ma należeć do Litwy, będącej, zgodnie z tym protokołem w sferze wpływów niemieckich. Później, przy następnej umowie sowiecko-niemieckiej z 28 września 1939 zdecydowano, że Litwa (wraz z Wilnem) ma przejść pod opiekę sowiecką, w zamian za Lubelszczyznę, która według uprzedniej umowy miała należeć do ZSSR.

Tomaszewski, podobnie zresztą do innych autorów, płące dwie różne kategorie ludzi prześladowanych przez Sowiety — aresztowanych i deportowanych (str. 41). Aresztowani, sądzeni i przeważnie skazywani na obozy pracy byli ci, których władze sowieckie uważały za winnych, więc stosowały wobec nich swoją procedurę wymiaru sprawiedliwości. Natomiast deportowani byli jedynie podejrzeni i uważani za potencjalnych przestępców. Dlatego nie poddawano ich sowieckiej procedurze śledczej, zakończonej wyrokiem sądu (przeważnie zresztą zaocznego), a wyznaczano ich na przesiedlenie dekretem administracyjnym. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie rodzin, a nie poszczególnych osób. Rozróżnienie tych dwóch kategorii komplikuje fakt, że niekiedy trybem administracyjnym wysyłano również pojedynczych ludzi do łagrów, co właśnie miało miejsce w Wilnie w czerwcu 1941, kiedy to przy zabieraniu z domu ojców rodzin oddzielano i wysyłano bez sądu do łagrów, a pozostałych członków rodzin przesiedlano razem, ale nie do Kazachstanu, jak pisze Tomaszewski (str. 109), a do Ałtajskiego Kraju.

Ta wywózka z czerwca 1941 objęła nie tylko Wilno i okolice przydzielone do Litwy, ale również polskie tereny należące wówczas do Białorusi. Pisząc o tym Tomaszewski podaje, iż w Berezweczu

pod Głębokim obok znanego więzienia założono punkt zborny dla rodzin wywożonych w głąb Sowietów i że wobec nadchodzących Niemców wymordowano tam około 4 tysięcy osób, wśród których były kobiety i dzieci (str. 115). Natomiast więźniów z Berezwecza usiłowało NKWD ewakuować przed Niemcami na piechotę. W kraju pisał o tym niedawno Paweł Kożuch (*Historia i Życie*, 7 kwietnia 1989). Można domyślać się, że poszczególne dowództwa NKWD działały według tej samej instrukcji, gdyż traktowanie więźniów w czasie ewakuacji z różnych więzień było podobne. Polegało ono na tym, że politycznych więźniów usiłowano ewakuować, a jeżeli to się nie udawało, to ich mordowano. Natomiast kryminalistów puszczano wolno, kiedy już dalsza ewakuacja była niemożliwa. Jedynie w dwóch znanych wypadkach ewakuowano więźniów przed nadchodzącymi Niemcami kolejną — z Czortkowa i właśnie z Wilna, gdzie w ostatniej chwili kolejarze odczepili kilka wagonów.

Wśród tych, którzy w ten sposób pozostali w kraju, Tomaszewski nie wymienia Wandy Pełczyńskiej (można by zastanawiać się, jak to potem wpłynęło na decyzje podejmowane przez Komendę Gł. AK, w której jej mąż odgrywał poważną rolę), natomiast wymienia kpt. dypl. Mieczysława Potockiego, późniejszego dowódcę 2 Zgrupowania wileńskich brygad partyzanckich, por. Stefana Czernika, szefa łączności w dowództwie wileńskim, i por. Gracjana Fróga, późniejszego dowódcę 2 Brygady Wileńskiej (str. 112). Wówczas ich pozostanie na dworcu w Wilnie mogło wydawać się zbawieniem, ale gdyby nie zostali odczepieni, gdyby przeżyli brak wody w czasie transportu, a potem ponure więzienie w Gorkij, dostaliby się do Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR i jakże inaczej wyglądałyby ich dalsze losy w zwycięskich walkach we Włoszech. Na przykład entuzjasta czołgów por. Fróg służyłby z pewnością w 2 Dyw. Pancerniej, a w wyniku pozostania w kraju został zastrzelony z wyroku sądu PRL za rzekomą współpracę z Niemcami.

Na tym tle trudno zgodzić się z Tomaszewskim, iż gen. Przędziecki postąpił błędnie, zakazując oficerom będącym na Litwie ucieczki z obozów w czerwcu 1940 wobec wkraczającej armii sowieckiej. Oficerowie ci potem przeszli przez obóz w Griażowcu i stali się kadrą oddziałów organizowanych w ZSSR. Ilość tych oficerów była bliższa tysiąca niż ośmiuset, jak podaje Tomaszewski (str. 79), opierając się na raporcie Sulika z 28 sierpnia 1940 r.

Na tle tej książki warto może uzupełnić sylwetki kilku osób w niej wymienionych. Na przykład Bohdan Skarżyński (str. 16 i 29), który przed 1939 r. (tak samo jak Jędrychowski, Putrament i inni) był członkiem Komunistycznej Partii Zach. Białorusi i został wyznaczony do spenetrowania PPS, gdzie spełniał funkcję kierownika działu młodzieżowego. Możliwe, że w tym czasie był również w kontakcie ze znanym wileńskim harcerzem Antonim Wasilewskim, który żywił sympatie pepeesowskie. Kiedy wchodzili do miasta bolszewicy, Skarżyński został jednym z przywódców czerwonej milicji,

ale widocznie wkrótce padło na niego podejrzenie, że nie był komunistyczną wtyczką w PPS-ie, a wręcz na odwrót, pepeesowską wtyczką w K.P.Zach. Biał. A bolszewicy pamiętający agentów carskiej Ochrazy w rosyjskich partiach rewolucyjnych, byli szczególnie uwrażliwieni na tego rodzaju sytuacje. Dlatego nie pomogły interwencje przyjaciół-komunistów i Skarzyński zginął w więzieniu.

Całkiem inną postacią był ppłk dypl. Tadeusz Rudnicki, przedwojenny szef Sztabu 19 Dyw. Piech., której dowództwo znajdowało się w Wilnie. We wrześniu 1939, kiedy dywizja była w krytycznej sytuacji, udał się on, w ślad za swoim dowódcą (gen. Kwaciszewskim), na odprawę u gen. Dąb-Biernackiego w Spale. Miał on jakieś powiązania z gen. Sikorskim chyba jeszcze z okresu wojny bolszewickiej i z miejsca po przybyciu do Paryża został wyznaczony kierownikiem placówki łączności z krajem w Sztokholmie, która miała odgrywać kluczową rolę na linii Paryż-Sztokholm-Kowno-Wilno-Warszawa. Na stanowisku tym nie spaisał się nadzwyczajnie (o czym świadczy między innymi praca Kliszewicza „Baza w Sztokholmie”, 58-my *Zeszyt Historyczny*), ale mimo to został wyznaczony na ważniejszą funkcję — został szefem Oddziału Spec. Sztabu Nacz. Wodza w Londynie. Ale widocznie do tego stopnia nie nadawał się na to stanowisko, że wkrótce przeniesiono go (już jako pełnego pułkownika) do Kujbyszewa na stanowisko *attaché* wojskowego, opróżnione przez gen. Wolikowskiego, skompromitowanego sprawą Roli-Janickiego, który zbierał wiadomości o Sowietach. Po zerwaniu stosunków przez ZSSR płk Rudnicki został przeniesiony do Teheranu jako *attaché* wojskowy i tam pozostał przez dłuższy czas. Poznał tam zamożną Francuzkę, z którą ożenił się i resztę życia spędził we Francji, gdzie zmarł w latach 70-tych.

Jeszcze inną ciekawą postacią w książce Tomaszewskiego jest ks. Kazimierz Kucharski T.J. Chociaż uczęszczałem do Gimn. OO. Jezuitów w Wilnie, tak się złożyło, że O. Kucharski nigdy mnie nie uczył. W przedwojennym Wilnie był on znany i popularny. Potem wykazał wielką aktywność organizując podziemie wileńskie i uchodził za człowieka wielkiej miary, czemu daje wyraz Tomaszewski. Zachodzi pytanie, dlaczego później, po zwolnieniu z więzienia, niczym specjalnie nie wyróżnił się, ani w wojsku, ani też pracując potem w radiu watykańskim. Tomaszewski pisze, iż O. Kucharski ogłosił po wojnie studium „Historia poczt polowych Armii Polskiej na Wschodzie” (str. 134). To bardzo błahy temat w porównaniu z uprzednią reputacją O. Kucharskiego.

Wreszcie dochodzimy do ostatniej osoby, o której chciałbym wspomnieć — kpt. lotnictwa służby stałej, pilota Jana Hryniewicza, znanego wśród kolegów jako „Katoczyk”. Był on projektodawcą sztandaru dla lotnictwa przystanego z Wilna, czemu tam na miejscu patronował ks. Kucharski, a do komitetu konspiracyjnego, jak pisze Tomaszewski, „weszła między innymi żona kpt. Hryniewicza” (str. 84). Słyszałem, że przed wojną usiłował „Katoczyk” nawracać prosty-

tutki wileńskie, dając im zasiłki pieniężne pod warunkiem, że zarzucą swój proceder, ale podobno oszukiwały go (a był łatwoierny), ale nigdy nie słyszałem, żeby był żonaty.

Piszząc o wręczeniu tego wileńskiego sztandaru lotnictwu 16 lipca 1941 r. na lotnisku Swinderby Tomaszewski podaje, iż „Katoczyk” przekazał go Sikorskiemu, a Sikorski pocztowi sztandarowemu z Dywizjonu Bombowego 300 im. Ziemi Mazowieckiej (str. 85). W rzeczywistości, kiedy zagrała trąbka na znak, że ceremonia ma się zacząć, „Katoczyk” wbrew uprzednim zakazom ruszył w kierunku uwielbianego przez siebie gen. Żeligowskiego i podając mu sztandar powiedział:

— Panie Generale, w imieniu Litwy niech Pan wręcza ten sztandar.

Z kolei Żeligowski przekazał sztandar Sikorskiemu. A „Katoczyk” za tę niesubordynację dostał parę tygodni aresztu domowego². Szkoda, że zniknęło już zupełnie pokolenie wileńskich oryginałów.

Z.S. SIEMASZKO

Londyn, kwiecień 1990

2. Dalsze „kawaty” o „Katoczku” można znaleźć w mojej książce „Wojsko od podszewki”.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

DRUGI BRZEG OKI

Wspomnienia Leona Łosia* ukazały się po raz pierwszy w krajowym drugim obiegu pod okupacyjnym pseudonimem autora (Leon Agrest) i zostały natychmiast rozchwywane, obecnie zaś wznowiono je w Paryżu w serii wspomnieniowej „Spotkań”. Ogółem biorąc losy autora nie różniły się od losów tysięcy deportowanych w latach 1939-1946 i książka jego nie różniłaby się od setek podobnych, od wielu lat wydawanych na emigracji, a obecnie masowo ukazujących się na rynku krajowym, gdyby nie podjęta w niej ambitna próba zewidencjonowania historii obozu Riazan-Diagilewo w okresie 1944-1947. Łoś, oficer sztabu Okręgu Białostockiego

* Leon Łoś, *Drugi brzeg Oki*, Editions „Spotkania”, Paryż 1989, s. 468.

AK, aresztowany został w październiku 1944 r., przeszedł przez obozy w Ostaszkowie, Riazaniu i Borowiczach, po ucieczce zaś z tego ostatniego i schwytaniu już po przekroczeniu granicy Polski, przez następne dziewięć lat przetrzymywany był przez szereg zwykłych obozów GUŁagu, od Brześcia aż po Sowiecką Gawań nad Morzem Japońskim, skąd omal nie trafił na Kołymę, aż w końcu, po dwunastu latach, wrócił do kraju w grudniu 1956 r.

Książka napisana jest spokojnie, obiektywnie, z uderzającym poczuciem godności. Dziękując za autorem wspomnień pewien okres jego obozowej biografii, chciałbym dorzucić trochę uzupełnień i poprawek, które czy to w następnych wydaniach, czy dla wykorzystania przez historyków tego okresu pozwolą na uściślenie pewnych danych i faktów.

Przybywszy do Riazania w kwietniu 1945 r. z grupą z Ostaszkowa autor był świadkiem i uczestnikiem wydarzeń, które doprowadziły do słynnej, masowej głodówki trzech tysięcy internowanych i w konsekwencji do zlikwidowania obozu w lipcu 1947 r. Jednak wskutek tego, że Łoś ukrywał swój stopień oficerski i znajdował się w batalionie żołnierskim, a tym samym traktowany był inaczej niż przeważająca liczebowa grupa oficerów, nie miał prawdopodobnie bliższego wglądu w szereg spraw, które w grupie tej zachodziły. Co więcej, żołnierze, w odróżnieniu od oficerów, pracować mogli poza obozem, toteż ich spojrzenie na rzeczywistość sowiecką było nieco inne, zapewne szersze, ale za to pozbawione poczucia pełnej izolacji, jakie stale towarzyszyło zamkniętym za drutami oficerom, co z kolei doprowadziło do szeregu ucieczek, w książce Łośa w ogóle nie wspomnianych. Pisząc o oficerach wymienia autor jednego tylko „cichociemnego”, Alfreda Paczkowskiego „Wanię”, podczas gdy w rzeczywistości riazkański obóz zgromadził kilkunastu „cichociemnych”, prawie wszystkich z tych, którzy w okresie „Burzy” znaleźli się między Wisłą a Bugiem, co zresztą łatwo sprawdzić przeglądając dane biograficzne w monografii Jędrzeja Tucholskiego. Jednym z nich był Marian Mostowiec „Lis”, w obozie noszący nazwisko Jankowski. Łoś wymienia wprawdzie nazwisko Mostowca, ale mylnie podaje, że przybył on do Riazania w grupie wileńskiej, podczas gdy w rzeczywistości przywieziono go 7 czerwca 1946 r. z grupą ze Stalinogorska, której przybycia autor w ogóle nie odnotował. W grupie tej znaleźli się m.in. Grzegorz Fedorowski, Kazimierz Dołżnicki, Roman Jastrzębski, Edward Majcherczyk („Marat”, „Mokotowiak”, towarzysz Paczkowskiego w przeprawie przez Wisłę pod koniec Powstania), Janusz Newelski (podchorąży nie podporucznik) i inni, przez autora mylnie zakwalifikowani do innych grup. Ze Stalinogorska przywieziono kilkudziesięciu oficerów, z których autor wymienia w spisie tylko jedenastu, pomijając całkowicie wiele nazwisk, np. mjr. Stefana Fijałkowskiego (szefa sztabu Okręgu Białyńsk AK), kpt. Stanisława Łokuciewskiego („Mały”), kpt. Stefana Tarczyńskiego, ppor. Józefa Kasiaka („Luśnia”), ppor. Jana Żrubka

(„Lechita”) i wielu innych, których nazwiska zanotowane zostały przez współtowarzyszy i wspominane są w publikacjach krajowych.

Z tym wszystkim przecież fakt, że Łoś zestawił i zamieścił w swojej pracy listę internowanych w Riazaniu-Diagilewie niezmiernie podnosi jej wartość historyczną. Lista ta, zawierająca nazwiska 32 kobiet, 45 generałów i oficerów sztabowych, 540 oficerów młodszych i podchorążych oraz 33 oficerów, którzy nie ujawnili swego stopnia, stanowi cenny dokument, na który zapewne niejednokrotnie powoływać się będą historycy. Przy końcu książki autor dodał plany sytuacyjne kilku obozów oraz parę zdjęć polskich więźniów z okresu lat 1955-56.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

OKRUCHY HISTORII

Jan NOWAK

ROZMOWA Z WŁADIMIREM HORBOWYM*

W dniu 10.VIII.br. miałem możliwość przeprowadzenia dłuższej rozmowy z czołową osobistością ukraińską (Władimirem Horbowym), z którym zawarłem przygodną znajomość w podróży. Rozmowa toczyła się na jednej ze stacji kolejowych w ciągu kilku godzin wspólnego oczekiwania na autobus.

Pan X. przedstawił się początkowo jako lwowianin. Na moje pytanie, dlaczego nie próbuje dostać się w rodzinne strony odpowiedział, że polityka niemiecka na wschodzie jest tak dziwna, że niestety starania jego nie odniosły żadnego skutku. W dalszym ciągu rozmowy p. X., zdradzający zastanawiającą jak na dzisiejsze czasy skłonność do wynurzeń, przypomniał mi, że nazwisko jego związane jest z głośnymi procesami ukraińskimi z czasów polskich. Wiedząc już na tej podstawie, że mam do czynienia z Ukraińcem, zapytałem go, co sądzi o przyłączeniu Lwowa do G.G.¹. X. nie ukrywał zupełnie, że koła ukraińskie są głęboko rozgoryczone i rozczarowane postępowaniem Niemców w stosunku do Ukraińców. Stwierdził, że fakt przyłączenia województw wschodnich do G.G. ma niezmiernie głęboką wymowę tym więcej, że po zlikwidowaniu

* Raport Zdzisława Jeziorańskiego (Jana Nowaka) z rozmowy z Władimirem Horbowym przedłożony w połowie sierpnia 1941 Eugeniuszowi Czarnowskiemu, kierownikowi referatu spraw wewnętrznych w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, przechowywany obecnie w archiwum KC PZPR w Warszawie.

1. G.G. = Generalna Gubernia

Rusi Podkarpackiej, po pakcie niemiecko-rosyjskim z 1939 r. jest to już trzecie z kolei rozczarowanie i zawód doznany ze strony niemieckiej.

Na uwagę moją, że prawdopodobnie wolna Ukraina obejmować będzie tereny na wschód od dawnej granicy polskiej, p. X. odpowiedział, że wg posiadanych przez niego informacji, które pochodzą bezpośrednio od najważniejszych czynników niemieckich, administracja tych terenów, podobnie jak polskich, ma być sprawowana przez Niemców. Wg tych informacji przygotowywany jest przez Niemców podział Rosji na 4 Reich-Komissariaty: Kaukaz (tj. Azerbejdżan, Armenia i Kaukaz właściwy), Ukrainę, Rosję Centralną i *Ostland*, obejmujący Białoruś i państwa bałtyckie, ewentualnie bez Estonii, której domaga się dla siebie Finlandia i której los nie został jeszcze przesądzony. Karelia ma być w całości przyłączona do Finlandii. Plany powyższe nie obejmują zupełnie Rosji azjatyckiej, gdyż wg założeń Oberkomando d.W. z dn. 22 czerwca ani jeden żołnierz niemiecki nie ma być wysłany poza Ural. Pomimo tego Niemcy planują (aczkolwiek bez poparcia siłą zbrojną p. X. nie wyobraża sobie realizacji tych planów) utworzenie za Uralem rządu marionetkowego w rodzaju tego, który istnieje na terenie Francji nieokupowanej, podporządkowanego oczywiście Niemcom.

Z tych wszystkich planów wynika jasno, zdaniem p. X., że Niemcy w stosunku do Ukrainy, tak jak wobec każdego innego kraju podbitego, mają na względzie jedynie eksploatację gospodarczą. Niemcy nie posiadają w odniesieniu do Ukrainy jednolitej linii politycznej, gdyż poszczególne wybitne osobistości i organy prowadzą odrębną politykę, każdy na własną rękę. Inne więc poglądy w sprawie ukraińskiej ma Goering i Rosenberg (proukraińskie — ten ostatni jest wymieniany jako kandydat na komisarza Ukrainy), inne Ribbentrop, inne wreszcie Reichswehra.

Zapytałem p. X., jaki jest los rządu ukraińskiego, który, jak słyszałem, bezpośrednio po ukonstytuowaniu został uwięziony i wywieziony do Rabki. Pan X. był wielce zdziwiony, że ten fakt jest publicznie znany i objaśnił mnie, że właśnie przed paru godzinami wyjechał z Rabki, w której był trzymany od 5 lipca. Lista rządu ukraińskiego ułożona została w Krakowie przez Centralny Komitet Ukraiński, a właściwie podyktowana przez Banderę (głównego oskarżonego w procesie o zabójstwo Pierackiego, d-ęc organizacji terrorystycznej O.U.N., następcę Konowalca (który został również aresztowany i wywieziony do Berlina, gdzie do tej pory przebywa). Akt ten poprzedziło zjednoczenie wszystkich ugrupowań i stronnictw politycznych ukraińskich, które również się dokonało w Krakowie.

Chociaż utworzenie rządu nastąpiło faktycznie w Krakowie, zamiarem kół ukraińskich było, aby rząd ten „powstał spontanicznie” na terenie etnograficznie ukraińskim i ogłoszony był w Lwowie. W tym celu natychmiast po ustąpieniu Rosjan Ukraińcy opalowali radiostację i proklamowali przez radio utworzenie niepodległej

Ukrainy i rządu ukraińskiego, wymieniając nazwiska jego członków. Proklamacja kończyła się okrzykiem: „Niech żyje wolna Ukraina, niech żyje Wielka Rzesza Niemiecka i wódz jej Adolf Hitler”. Audycję tę przeprowadził niejaki Styćko (lub ktoś o podobnym nazwisku²). Bezpośrednim jej następstwem było aresztowanie całej góry ukraińskiej i członków niedoszłego rządu ukraińskiego w Krakowie. Pan X. był głęboko zdumiony, że z rozkazu tych samych osobistości, z którymi utrzymywał bliski kontakt i z którymi, jak twierdzi, umiał zawsze znaleźć wspólny język, pojawili się u niego wyżsi oficerowie Gestapo z zaproszeniem na kilkudniowy wypoczynek. P. X. odpowiedział, że nie ma zamiaru korzystać z tej propozycji w momencie, gdy decydują się losy jego kraju — zaproszenie było jednak tego rodzaju, że musiał je przyjąć. W Rabce został ulokowany w gimnazjum im. Św. Teresy (w którym mieli się obecnie szkoła policyjna) wraz z innymi wybitnymi osobistościami ukraińskimi, które wchodziły w skład niefortunnego rządu lub były zaangażowane w jego utworzenie. Otrzymywali tam przez cały czas luksusowy wikt, za który musieli płacić dziennie trzy i pół złotego, co stanowi szczególnie dość pikantny. W każdym razie, jak wynikało ze słów p. X., aresztowani po odzyskaniu wolności rozjechali się w nastroju zupełnej dezorientacji i rozczarowania. Objawy tego rozczarowania mnożą się coraz bardziej wśród społeczeństwa ukraińskiego. Oto kilku wybitnych działaczy ukraińskich z „oswobodzonych terenów” znalazło się w Jarosławiu i zwróciło się do dziennikarza ukraińskiego z Kowna z zapytaniem, jak rozwija się ich życie — tu na wolnej ziemi — pod opieką sprzymierzonego narodu niemieckiego. Otrzymali odpowiedź: czy sądzicie jeszcze, że istnieje tu jakakolwiek wolność?

Niemniej przykre i bolesne są rozczarowania Ukraińców, którzy na froncie porzucają bolszewików i przechodzą na stronę niemiecką. Oto np. czołg bolszewicki wywiesza białą chorągiew, a załoga zapytuje podchodzącego oficera niemieckiego, gdzie znajduje się armia ukraińska, do której chcą się przyłączyć. Oficer niemiecki nie wie, co ma na to odpowiedzieć, gdyż wbrew wszystkiemu co się dotychczas mówi między Polakami, żadna armia ukraińska ani nawet legion nie istnieje. Takie nawet narody jak słowacki lub chorwacki mają swoją własną armię i swoją własną organizację państwową, mają tę organizację w pewnym stopniu nawet Czesi — podczas gdy odmówiono jej sprzymierzonemu narodowi ukraińskiemu. Odmówiono jej całkowicie, gdyż obok Polańskiego burmistrzem m. Lwowa został mianowany niemiecki burmistrz komisaryczny. Żądania Ukraińców zlekceważono. Zażądali oni ultimatywnie (przytaczam dosłownie) w pierwszym rzędzie tego, aby Polacy nie byli dopuszczeni na nowozajęte tereny, a tymczasem praktycznie Polacy płyną tam pełną falą, gdy tymczasem Ukraińcom robi się niejedno-

2. Jarosław Stećko.

krotnie trudności, zwłaszcza jeśli zajmowali się kiedykolwiek polityką. Tak samo odrzucone zostały, czy też pominięte milczeniem, wszelkie propozycje utworzenia legionu ukraińskiego, pomimo że, jak twierdzi p. X., Ukraińcy posiadają kadrę niższych oficerów i podoficerów wystarczającą do obsadzenia 200 tys. korpusu.

W tym duchu rozwodził się p. X. jeszcze przez dłuższy czas. Zapytałem go, czy wobec tych wszystkich faktów Ukraińcy zamierzają zrewidować swój stosunek do Niemców. Na co otrzymałem odpowiedź, powtórzoną kilkakrotnie i kategorycznie i z naciskiem, że ukraińskie społeczeństwo będzie nadal konsekwentnie popierać Niemców i utrzyma orientację niemiecką do końca, chociażby nawet — co zdaniem p. X. nie jest wcale wykluczone — po zajęciu Ukrainy sowieckiej nastąpiły poważne represje i prześladowania ukraińskiego ruchu niepodległościowego. „Jeślibym nawet za miesiąc lub dwa znalazł się w Dachau, to i tam będę nadal bronił sprawy sojuszu Ukrainy z Niemcami; cała ukraińska góra jest tego samego zdania”. Objawy niechęci i rozczarowania są oczywiście nieuniknione, lecz obowiązkiem odpowiedzialnych przywódców, zdaniem p. X. będzie właśnie oddziaływanie na społeczeństwo w kierunku powściągnięcia wszelkich wystąpień nieprzyjaznych wobec Niemców. Zajęcie tego rodzaju stanowiska nakazuje w pierwszym rzędzie ukraińska racja stanu. Pomimo wszystko uważamy to, co się obecnie dzieje, za zmianę na lepsze. Za zmianę na lepsze uważamy negatywny wynik przyszłego zwycięstwa niemieckiego, tj. upadek naszych dwóch elementarnych wrogów : Polski i Rosji — mamy zaś nadzieję, że dalsza przyszłość przyniesie także spełnienie zasadniczego celu, tj. niepodległość i zjednoczenie Ukrainy. Na moją uwagę, że „na pieńku” z przyszlą Ukrainą miałyby nie tylko Rosja i Polska, lecz również Rumunia i Węgry, które dzierżą w swych rękach część terytorium ukraińskiego, tj. Bukowinę i Ruś Podkarpacką, odpowiedział mi p. X., że Użhorod i Czerniowce przedstawiają dla Ukrainy zupełnie trzeciorzędne znaczenie wobec takiego Lwowa. Ze Lwowa i „Ukrainy Zachodniej” wyszło narodowe odrodzenie ukraińskiego narodu, które ogarnęło najszerze masy społeczeństwa, dlatego też ten szmat ukraińskiej ziemi obchodzi nas najwięcej.

Gdy wyraziłem swoje wątpliwości co do trafności tego rodzaju stanowiska wobec Niemców, p. X. przypomniał mi, że Napoleon również oszukał wielokrotnie Polaków, a pomimo tego Polska stała się na Francję w ciągu całego XIX w. i aż do ostatnich czasów. Cóż jednak się stanie, gdy koń, na którego tak ślepo stawiacie, złamie nogę i Niemcy przegrają wojnę? P. X. odpowiedział mi na to, że kolonia ukraińska w USA nie próżnuje i przed niedawnym czasem wysłany został także do Watykanu delegat ukraiński dr Zedzowicz, który pertraktuje z miarodajnymi szczytnikami kościelnymi w sprawie szerzenia unii greckiej na Wschodzie.

Zapytałem wreszcie p. X., jak sobie wyobraża przyszły rozwój

stosunków polsko-ukraińskich. Rozstrzygnięcie kwestii spornych między Polakami a Ukraińcami będzie oczywiście zależało do tego, kto te sprawy będzie regulował. Jeżeli Niemcy — nie mamy o czym mówić, jeśli ma to nastąpić między nami — wydaje się, niestety, że psychika polska jest zupełnie nieprzygotowana do takiego załatwienia naszych sporów, które dałoby się przeprowadzić pokojowo. Nie możemy rezygnować z linii Sanu i Bugu, gdyż stanowiłoby to dla nas wyrzeczenie się najwartościowszego elementu narodowego. Jedyna rozsądna grupa polska, z którą moglibyśmy na ten temat rozmawiać, jest związana z osobą p. B. (Bocheńskiego³). On sam niedawno jeszcze pertraktował z nami w Krakowie na temat autonomii kulturalnej dla Polaków na terenie państwa ukraińskiego, stworzonego przez Niemców (działo się to jeszcze przed 5 lipca). Pan sam jednak wie, jak niewielu p. B. ma za sobą zwolenników. W tych warunkach zdaje mi się, że niestety wypadki z roku 1918/19 muszą się powtórzyć i że musimy siłą rozstrzygnąć ten gordyjski węzeł narodowościowy. „Mówię o tym otwarcie — bo stać nas na to”.

Na zakończenie rozmowy zapytałem, co sądzi p. X. o przebiegu wojny. Nie otrzymałem na to odpowiedzi wprost. P. X. stwierdził natomiast, że osobistości wojskowe, z którymi rozmawiał w połowie czerwca, liczyły się z zakończeniem kampanii w ciągu 4-6 tygodni. Oporem sowieckim sfery wojskowe są zupełnie zaskoczone. Na pytanie, jak sobie tłumaczy brak reakcji ze strony narodowości obcych zamieszkujących Rosję, szczególnie wśród Ukraińców, odpowiedział, iż ogół ludności na Ukrainie Sowieckiej jest indyferentny narodowościowo — w przeciwieństwie do nastroju ludności na terenie dawnego państwa polskiego. Ponadto nastawienie tej ludności wobec Niemców jest wybitnie wrogie, gdyż pamięta ona okupację niemiecką z poprzedniej wojny, gwałty niemieckie i grabież zboża, które wywoływały ruchy wśród chłopów, krwawo tłumione. Inicjatywę i uświadomienie ukraińskie wykazują tylko niektóre grupy wśród inteligencji — nie są niszczone jeszcze przez bolszewików. I z tej strony jednak nie można, zdaniem p. X., oczekiwać jakiegokolwiek akcji skierowanej w rosyjskie plecy.

W dalszym ciągu tematem rozmowy było zabójstwo Pierackiego i jego tło, wspomnienia p. X. z Berezy Kartuskiej i przedwojenna polityka polska w stosunku do Ukraińców.

Rozstając się ze mną p. X. upewnił mnie, że posłyszę jeszcze jego nazwisko w przyszłości.

Jan NOWAK
(Zdzisław JEZIORAŃSKI)

3. Aleksander Bocheński.

Jerzy POLACZEK

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z CZEREPOWCA

Niedawno przysłał mi ktoś kserokopię dwóch stron (146 i 147) *Zeszytów Historycznych* nr 20 z roku 1971 Instytutu Literackiego w Paryżu. Zawierają one fragment listu oficera niemieckiego, który w roku 1947, jako jeńiec, zetknął się z grupą około 350 Polaków, w tym około 350 kobiet, w obozie jenieckim w Czerepowcu w ZSSR. Owódcę podaje, że grupa ta przybyła do obozu w czerwcu 1947 i została ulokowana w osobnym baraku, który otoczono drutami kolczastymi. Niemcy przypuszczali, że Polaków przywieziono na skutek jakiejś omyłki organizacyjnej. Nazwano ich: „Ci, którzy przeżyli Katyń”. Od pierwszej chwili spotkania z nimi — pisze oficer niemiecki — uderzyła nas ich niezłomność; większość tych ludzi robiła doskonale wrażenie. Niektórych z nich widziano zawsze parami przeważnie z bardzo sympatycznymi kobietami, również zesłanymi.

Będąc w szpitalu obozowym, nawiązał przyjazne stosunki z niektórymi Polakami i dowiedział się, że jedni byli w niewoli od 1939, a inni, jako oficerowie AK, od 1944-45. Autor listu, mając dostęp do ewidencji obozowej, sporządził spisy nazwisk jeńców niemieckich. Spisał też nazwiska Polaków. Do Niemiec udało mu się przewieźć w roku 1948 tylko skrawek papieru z nazwiskami: Miłaszewski Kacper, Polaczek Jerzy, Czartoryska Stanisława, Rzewuska Aniela i Błachowicz Żorka. Zaznacza, że cztery pierwsze osoby, to związane ze sobą pary. Pisze dalej, że jesienią 1947 część osób wywieziono gdzieś „bezpowrotnie”. Nastąpiło przy tym rozdzielenie owych dwóch par. Było to rozdzierające. Mówiono o próbie samobójstwa. Pozostali Polacy opuścili obóz zimą 1947/48. To spotkanie z Polakami zrobiło na nim tak duże wrażenie, że obudziło zainteresowanie historią Polski. O dalszych losach Polaków z Czerepowca nie miał już żadnych wiadomości. Sądzić z listu można, że dopuszczał najgorsze.

A jak było naprawdę?

Podane nazwiska, to rzeczywiście dwie pary małżeńskie: Aniela Rewucka (nie Rzewuska) i Kacper Miłaszewski oraz Stanisława Czartoryska i (piszący te słowa) Jerzy Polaczek. Piąte nazwisko to Jerzy Błachowicz, noszący pseudonim „Żorka”. Skąd wzięli się w Czerepowcu i jakie były ich dalsze losy?

W drugiej połowie 1944 r., po tzw. „Burzy” na wschodnich terenach Polski, Sowieci aresztowali i wywieźli w głąb ZSSR tysiące Polaków, zwłaszcza oficerów i żołnierzy Armii Krajowej. Większość

oficerów i część żołnierzy, w liczbie ok. 2,5 tysięcy, znalazła się w obozie w Riazaniu. Dnia 29 czerwca 1947 rozpoczęli głódówkę, z żądaniem powrotu do kraju. Po siedmiu bardzo dramatycznych dniach władze sowieckie podzieliły wszystkich internowanych na pięć grup wg stopni wojskowych i rozesały do różnych obozów. Do obozu nr 437 w Czerepowcu przywieziono 320 oficerów młodszych (poruczników i podporuczników) oraz 16 kobiet. Było to ok. 12 lipca 1947 r. Po okresie „kwarantanny” umieszczono ich w dwóch barakach, położonych na południowo-wschodnim krańcu rozległego obozu. Gdy nastąpiła ucieczka kilku Polaków, Sowietci odgradzili polskie baraki od reszty obozu drutami kolczastymi i wzmocnili posterunki wartownicze. Mimo to miała miejsce następna ucieczka.

Dnia 3 października 1947 wyselekcjonowano i wywieziono z obozu grupę ok. 45 osób, w tym 7 kobiet. Przewieziono je do obozu jeńców w Griazowcu, koło Wołogdy. Były to przeważnie osoby, pochodzące z terenów na wschód od linii Curzona oraz osoby, wobec których NKWD zamierzało wznowić śledztwo. Resztę polskiej grupy po 2-3 dniach załadowano do wagonów, przewieziono do przejściowego obozu w Brześciu nad Bugiem, skąd partiami przejeżdżali do punktu repatriacyjnego w Białej Podlaskiej.

Przy wyjeździe owych 45 osób z Czerepowca do Griazowca rzeczywiście nastąpiło rozdzielanie wspomnianych dwóch par małżeńskich i jeszcze dwóch innych. Samobójstwa wprawdzie wówczas nie było, ale miał miejsce inny wypadek. Otóż dwie panie, w tym moja żona, za swoją namową zamieniły się nazwiskami, aby jechać ze swymi mężami. Wszystko szło dobrze, ale „zycliwy” doniósł gdzie trzeba. Już nocą, gdy za bramą zostaliśmy załadowani na ciężarówki, przybiegł szef obozowej służby śledczej kpt. Jegorow i „zdemaskował” nasz fortel. Przedtem jednak pośliznął się w biegu na lodzie i złamał rękę. Panie musiały oczywiście wrócić do swych nazwisk i rozstać się z mężami. Na karcer, lub inną karę, czasu już nie było.

Większość wywiezionych do Griazowca przebywała tam do kwietnia — maja 1948, kiedy to zwalniano ich partiami, wysyłając jako obywateli sowieckich do poprzednich miejsc zamieszkania (Lwowa, Wilna itp.). Niektórym udało się po kilku latach repatriować do kraju. Dwanaście osób (w tym autora) przewieziono z powrotem do obozu w Czerepowcu, gdzie do końca roku 1948 przechodziły ponowne śledztwo. Michał Sielicki i Władysław Sucharzewski, z wyrokami po 25 lat, trafili do katorżnych obozów na północy ZSSR. Dziesięć osób odesłano do Polski w lutym 1949 r.

Jerzy POLACZEK

ŚLADAMI REJTANA

Podczas gdy imię Tadeusza Rejtana zapisane jest w annałach historii Polski, mało kto z Polaków kiedykolwiek słyszał o Lachowiczach i Hruszówce. A przecież właśnie Lachowicze nad rzeczką Wiedźmą w okolicach Baranowicz i 6 km na południowy wschód od nich usytuowana Hruszówka — dziś na terenie obwodu brzeskiego BSSR — były jego stronami rodzinnymi, tu przyszedł on na świat 20 sierpnia 1742 roku jako syn Dominika Rejtana i Teresy z Wołodkiewiczów. Przodkowie Rejtana służyli Rzeczypospolitej w licznych wyprawach wojennych, dziad brał udział w wyprawie wiedeńskiej, ojciec zaś był kilkakrotnie zaszczycony przez współobywateli godnością posła, a pod koniec życia został podkomorzym nowogródzkim.

Nie tu miejsce i pora, by przedstawić ratujące honor Polski dramatyczne veto posła nowogródzkiego Tadeusza Rejtana na sejmie warszawskim w kwietniu 1773 roku. Ograniczmy się do stwierdzenia, że protest Rejtana miał sens dopóty, dopóki w oporze trwali także król i senat. Gdy jednak król i senat poczuli się zmuszeni ustąpić, dalszy opór stał się bezsensowny. Posłowie nowogródzcy Rejtan i Korsak opuścili salę sejmową i wyjechali z Warszawy. Sejm 1773 roku, legalizujący przemoc zadaną Polsce przez mocarstwa ościenne, stał się faktem dokonanym.

Jakie były dalsze losy Tadeusza Rejtana? Otóż wiemy, że dalsze życie Rejtana, nie mogącego strawić hańby rozbioru, zatrąła rozpacz. Dnia 19 marca 1775 roku popadł w obłęd i bracia musieli go siłą wywieźć do „murowańca” do Hruszówki. Tu w małym dwuizbowym budynku o zakratowanych oknach przebywać miał, nie odzyskawszy zdrowia, do śmierci dnia 8 sierpnia 1780 roku. Była to, jak głosi tradycja, śmierć samobójcza. Rejtan wytlukł mianowicie w przystępie szału szybę i odłamkiem szkła rozpruł sobie brzuch, wypowiadając jakoby przy tym słowa: „Tak będzie się włókł los mojej Ojczyzny, jak w tej chwili włoką się po ziemi moje jelita”. Istnieje jednak też wersja, wedle której zgon Tadeusza Rejtana nastąpił w wyniku poderżnięcia sobie gardła odłamkiem szyby wybitej z okna.

Czy jego grób zachował się do dnia dzisiejszego? W literaturze spotkać się można z twierdzeniem, iż Tadeusz Rejtan pochowany został w kościele w Lachowiczach. W Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego „Starożytnej Polsce” (wydanie drugie, t. IV, str. 530) czytamy, co następuje: „Lachowicze. Kościół farny fundowany

przez J.K. Chodkiewicza w roku 1602, a odnowiony przez Sapiehów (...). W nim to złożone są zwłoki Tadeusza Reytana (*sic*) pusta nowogródzkiego zmarłego w 1780 roku". To samo głosi m.in. napis na portreciku Rejtana, przechowywanym w Muzeum Narodowym w Krakowie: „*Thadé Reytan (...) enterré à l'église de Lachowiczze*".

Nic dziwnego zatem, że właśnie kościół w Lachowiczach stał się punktem wyjściowym poszukiwań miejsca pochowania Rejtana, jakich nie omieszkano podjąć, gdy strony rodzinne bohatera narodowego znalazły się w okresie dwudziestolecia międzywojennego w granicach odrodzonej Polski. Eksploracje przeprowadzone w kościele w roku 1930 przez specjalnie w tym celu powołany Komitet Obywatelski nie dały jednak wyników. Wobec tego komitet zdecydował się pójść innym tropem. Wśród służby dworskiej w Hruszówce przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie, że Rejtan pochowany został w miejscowości Pod Grabem opodal rodzinnego dworu w Hruszówce (ongiś ciągnęła się tu łącząca ją z dworskim parkiem aleja — patrz *Przewodnik po okolicach Mickiewiczowskich i Rejtanowskich ziemi nowogródzkiej*, Baranowicze 1938).

W protokole Komitetu czytamy co następuje:

Wobec ujemnych rezultatów badań w Lachowiczach, Komitet przeprowadził dnia 24 czerwca 1930 roku rozkopy w miejscu zwanym „Pod Grabem” w Hruszówce. Mianowicie pan starosta baranowicki Zygmunt Przepałkowski w obecności JWP Zygmunta Czarnockiego, przewodniczącego komitetu poszukiwania zwłok Tadeusza Rejtana z Hruszówki, Tomasza Czapli, pensjonariusza majątku Hruszówka i Stefana Trubuchowskiego, nadzorca majątku Hruszówka, udał się na miejsce zwane „Pod Grabem” i po dokonaniu oględzin terenu przystąpił do rozkopywań w miejscu wskazanym przez tradycję lokalną jako miejsce grobu Tadeusza Rejtana. W miejscu tym znaleziono rzeczywiście — po zerwaniu darni — na głębokości około 20 cm pod powierzchnią ziemi grób murowany z cegieł (...). A w grobie szczątki ludzkie spoczywające na podkładzie z cegieł z głową na zachód, nogami na wschód.

Szczątki zostały zebrane i umieszczone w skrzynce opieczętowanej przez starostę, która została złożona w kaplicy w Hruszówce. Protokół dodaje, że szkielet był silnie uszkodzony oraz że wedle słów „JWP Zygmunta Czarnockiego konserwator p. Lorenc — oczywiście chodzi o prof. St. Lorentza — oświadczył, że cegły wydobyte z grobu odpowiadają swoim charakterem cegłom wyrobianym w okresie śmierci Rejtana, a fakt wymurowania grobu świadczy, że nie był to jakiś przypadkowy czysto pochówek”. Co najważniejsze wszakże, dowiadujemy się, że uznano za stosowne przeprowadzić ekspertyzę, mającą dać odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście szczątki mogą być uznane za szczątki Tadeusza Rejtana.

Ekspertyzę tę — „w obecności JWP Aliny z Hartighów Reyteno-

wej i JWP Zygmunta Czarnockiego” — w samej rzeczy przeprowadził znany w latach 30-tych antropolog z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Kazimierz Stołyhwo. W konkluzji stwierdził, że brak podstaw „zezwalających na zaprzeczenie temu, by szkielet znaleziony w grobie murowanym 'Pod Grabem' w Hruszówce nie mógł być uznany za szczątki Tadeusza Rejtana”, tym bardziej, że wskazuje na to zarówno tradycja lokalna i charakter cegieł z grobu murowanego, jak i dość znaczna zgodność morfologiczna danych szczątków szkieletu z charakterem morfologicznym Tadeusza Rejtana, o którym można wnioskować na podstawie olejnego portretu. Zainteresowanych odsyłamy do St. Stołyhwy „W sprawie szczątków i typu antropologicznego Tadeusza Reytana pośła nowogródzkiego”, w: *Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego*, t. XXIV, rok 1931.

Nie ulega wątpliwości, że fakt, iż Rejtan nie został pochowany w kościele w Lachowiczach można tłumaczyć tym, iż zmarł on śmiercią samobójczą. Natomiast jest wysoce prawdopodobne, że rodzina zmarłego, nie mogąc pochować go w kościele, a pragnąc uczcić jego pamięć, umieściła w kościele w Lachowiczach tablicę pamiątkową, co następnie dało asumpt do domniemania, że w kościele tym spoczęły jego szczątki. Jak się zdaje, do usunięcia tej tablicy doszło podczas przerabiania w XIX wieku lachowickiej świątyni na cerkiew.

Obok umieszczenia tablicy przejawem pietyzmu dla pamięci o bohaterze w jego rodzinnych stronach okazało się postawienie w roku 1860 przy dworze w Hruszówce odlanego w żelazie popiersia Rejtana. Jego fundatorem był Stefan Rejtan, stryjeczny wnuk bohatera. Ukryte w roku 1863 popiersie trafiło w roku 1889 do Krakowa, gdzie znajduje się obecnie w Krakowskim Muzeum Narodowym.

Czy w dzisiejszych białoruskich Lachowiczach i pobliskiej Hruszówce utrzymuje się jakakolwiek pamięć po Rejtanie? Otóż sięgając do świeżo w Mińsku wydanej monografii lachowickiego rejonu (*Pamięć. Historyka-Dokumentalnaja Hronika Ljachavickaha Rajona*, Mińsk 1989) piszący te słowa przekonał się, że jego autorzy wiedzą, kto to był Tadeusz Rejtan i jego związki z tymi stronami obiektywnie odnotowują. („*Tadevusz Rejtan pasoł navahrudskaj ziamli na varszauski sejm, 'pan z Czornaj Rusi', prostaviusja supraciułienniem padzielał Rzeczy Paspalitał u kancy 18 st'*”). A przy wizycie na miejscu, której punktem wyjściowym były Baranowicze, okazało się, że w Hruszówce zachowało się — w stanie ruiny, ale jednak — to i owo z pamiątek po Rejtanach. Po pierwsze zachował się drewniany budynek rodzinnego dworu Rejtanów z końca XIX wieku, kiedy zajął miejsce klasycznego dworu murowanego, pamiętającego czasy bohatera. Po drugie pozostała kaplica z początku XX wieku z grobami członków rodziny Rejtanów. Po trzecie przetrwała kępa par-

kowego starodrzewu i parkowa aleja. I — po czwarte — istnieje po dziś dzień stacja kolejowa Rejtanowo.

W latach 20-tych i 30-tych ostatnią panią dworu w Hruszówce była wymieniona już Alina Rejtanowa z Hartinghów, wdowa po zmarłym w 1910 roku stryjecznym prawnuku bohatera narodowego, Józefie Rejtanie. Jako dziedziczkę Hruszówki wspomniął ją i opisał dwór Antoni Kieniewicz w „Nad Prypecią dawno temu” (Ossolineum 1989). Ba, Alinie Rejtanowej świeżo sądzone było doczekać się upamiętnienia w sowieckiej literaturze rozrachunkowej doby *pieriestrojki*. Białoruski literat Michaił Krul wspomniął mianowicie, że jego babka służyła we dworze w Hruszówce i scharakteryzował Alinę Rejtanową jako osobę niezwyklej dobroci. Podał też do wiadomości, że po 17 września 1939 roku nie uniknęła ona wywózki na Sybir i zmarła w 1945 roku, bezpośrednio po zwolnieniu. Zainteresowanych odsyłamy do Michała Krula *Tainy pamuravanaha domika* wydrukowanej na łamach mińskiego miesięcznika *Njoman* (numer z września 1989 roku).

W zachowanej w Hruszówce rodzinnej kaplicy-grobowcu złożone zostały staraniem Komitetu Obywatelskiego w latach 30-tych przy współudziale żyjących jeszcze członków rodziny odnalezione w „Pod Grabem” szczątki Rejtana. Obok kaplicy stanął w roku 1939 staraniem tegoż komitetu jego pomnik i był oglądany przez osoby, z których niejedna zapewne jeszcze żyje. Niestety pomnika tego już nie ma.

Czyż *anno* 1990 przy kaplicy w Hruszówce jakiś pomnik Rejtana *nie powinien stanąć na nowo, a sama kaplica nie powinna zostać zabezpieczona*? Piszący te słowa poruszył tę sprawę w rozmowie z panią Elżbietą Dołęgą-Brzostek, prezeską baranowickiego Koła Miłośników Mowy i Kultury Polskiej, wskazując na to, że przecież w Lidzie staraniem tamtejszego zrzeszenia Polaków szczęśliwie zrekonstruowano tablicę ku czci Ludwika Narbutta, a w Świsłoczy odnowiono popiersie Romualda Traugutta. *Nota bene* baranowickie Koło Polskie — mimo, że działalność swą zainauguowało na fali *pieriestrojki*, zaledwie w maju ubiegłego roku — może już się wykazać niemałym dorobkiem. W baranowickim domu kultury odbywają się polskie imprezy, na przykład występy Kapeli Ludowej z Wojciechowa i — rzecz jeszcze całkiem niedawno w gmachach publicznych w ZSSR absolutnie niedopuszczalna — śpiewy kolęd. W trzech szkołach Baranowicz a także w Nowej Myszy i Iszkoldzi prowadzone są lekcje języka polskiego. I dokłada się starań o podtrzymanie pamięci o tragicznych wywózkach Polaków na Sybir, z których pierwsza miała miejsce 10 stycznia 1940 roku.

Andrzej KEMPMI

Józef KOWALSKI

DROBNY PRZYCZYNEK DO POLSKIEGO ANTYSEMITYZMU

Po kapitulacji Warszawy część oficerów 29-pułku Strzelców Kaniowskich znalazła się w Preuzlau w oflagu II A.

Wkrótce po zainstalowaniu nas w piwnicach koszar artylerii (lepsze miejsca na piętrach zajęte już były wcześniej), władze niemieckie przystąpiły do rejestracji przybyłych zaczynając od dowódcy pułku, którym był pułkownik Gryl.

Po przesłuchaniu płk Gryl i dowódca mego batalionu, mjr Ostrowski, odszukali mnie mówiąc, że Niemcy pytają również o wyznanie i że postanowili wystawić mi legitymację służbową z przydziałem do batalionu mjr. Ostrowskiego z tym, że napiszę wyznanie rzymskokatolickie zamiast mojżeszowego. Byłem zaskoczony i wzruszony troską moich dowódców o los skromnego dowódcy plutonu taczanek. Postanowiłem jednak, po krótkim namyśle, nie skorzystać z tej szlachetnej propozycji i dziękując, powiedziałem, że Niemcy wiedzą przecież, że w wojsku polskim są oficerowie wyznania mojżeszowego i że tak jak w czasie działań wojennych, tak i teraz zdam się na łaskę losu. Płk Gryl odpowiedział mi, że razem z mjr. Ostrowskim uważali propozycję, jaką mi zrobili, za obowiązek w stosunku do podwładnego im oficera i że respektują jednak moją decyzję.

Jeszcze raz podziękowałem i płk Gryla, prawdopodobnie przeniesionego do innego obozu, więcej nie widziałem.

Na przesłuchanie do Niemców stanąłem po kilku dniach, przygotowany na najgorsze. W pokoju było trzech Niemców w mundurach. Oficer zadawał pytania po niemiecku, jeden z podoficerów był prawdopodobnie tłumaczem. Pytania: nazwisko, imię, rodzaj broni i wyznanie. Odpowiadałem po niemiecku i kiedy doszło do wyznania, spojrział na mnie i bez wahania wpisał rzymskokatolickie. Przepraszam, powiedziałem, proszę wpisać mojżeszowe. Oficer nie drgnął. Usłyszałem krótkie *danke*, zasalutowałem i opuściłem pokój.

Jakiś czas po tym, podczas apelu wieczornego, oficer służbowy przeczytał rozkaz dzienny tej treści (cytuję dosłownie zdanie, którego zapomnieć nie mogę): „Doszło do mojej wiadomości, że oficerowie Żydzi podają władzom niemieckim fałszywe dane ewidencyjne niezgodne z książeczką stanu służby oficerskiej. Wobec tego nakazuje, żeby oficerowie Żydzi sprostowali u władz niemieckich fałszywie podane informacje, bo my na takich *Volks*-Polaków nie reflektujemy”. Podpisał płk T. — polski komendant obozu.

Po apelu wielu kolegów z dywizji podeszło do mnie, żeby wyrazić swoje oburzenie i solidarność ze mną. Ze swojej strony postanowiłem stanąć do raportu do płk. T. i wysłałem drogą służbową ostry list, oświadczając, że osobiście dotknięty, protestuję przeciwko formie i treści haniebnego rozkazu.

Po kilku dniach płk T. wezwał mnie do siebie. W pokoju był również adiutant, którego pułkownik poprosił, żeby zostawił nas samych. Po wyjściu adiutanta płk T. rzucił mi się na szyję, podnosząc teatralnie ręce i zapewniając mnie, że podpisał rozkaz nie czytając go, i że przecież zawsze miał przyjaciół Żydów itd. Zrozumiałem, że pan pułkownik odesłał adiutanta, bo wolał kłamać bez świadka.

Haniebny rozkaz dzienny nie został sprostowany.

W Polsce komunistycznej nie wypadało mi przeprowadzać rachunków osobistych z przeszłością i z człowiekiem, który już sobą nic nie przedstawiał, zarabiając na życie jako konduktor wagonów sypialnych.

Czekałem więc pięćdziesiąt lat, żeby o tym wydarzeniu napisać.

Józef KOWALSKI

Paryż, 26.5.90

LISTY DO REDAKCJI

25 kwietnia 1990

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

Nie zamierzam polemizować z analizą stanu wojennego zawartą w artykule Jacka Trznadla (*Zeszyty Historyczne* nr 91). Jako historyk pragnąłbym jednak zwrócić uwagę na zdumiewająco błędne naświetlenie postaci Margrabiego Wielopolskiego jako rzekomego narzędzia polityki carskiej, kolaboranta i rusyifikatora. Charakterystyka taka pojawia się niestety dość często w radykalnej publicystyce krajowej, tak że warto się z nią rozprawić z okazji artykułu ogłoszonego w tak prestiżowym czasopiśmie jak *Z.H.*

Otóż Wielopolski nie tylko nie był kolaborantem, ale odważnym krytykiem polityki rosyjskiej w Królestwie Polskim. Był on zwolennikiem „małych kroków”, stopniowego odzyskiwania tego co Polacy stracili na skutek nieodpowiedzialnego, niepotrzebnego i źle przystosowanego powstania listopadowego. Wielopolski był w ostrym konflikcie z obu namiestnikami rosyjskimi w Warszawie, Lumbertem i Suchozanetem. Oto co pisze o postępowaniu Wielopolskiego niezależny historyk polski w poważnej pracy ogłoszonej na emigracji:

„Suchozanet zażądał usunięcia margrabiego, oskarżając go o nieposłuszeństwo. Cesarz kazał go przystać [z Warszawy] do Petersburga, a gdyby się wzbraniał, osadzić w cytadeli...”

Przestany do Petersburga niemal jako zakładnik, Wielopolski pokazał wkrótce swój pazur dyplomaty, a nawet męża stanu:

„Wielopolski w Petersburgu odzyskał zwolna cały utracony teren — i z okładem. Postawił się dumnie i zrobił wrażenie nie tylko na Rosjanach, ale i na dyplomatach zachodnich, którzy udzielili mu dyskretnej poparcia. U cesarza lody zostały stopniowo przełamane; margrabia uzyskał mianowanie na arcybiskupstwo warszawskie ks. Szczęsnego Felińskiego, przyjaciela Słowackiego, wypróbowanego patrioty a dobrze znanego papieżowi, co umożliwiło wyjście z groźnej sytuacji kościelnej. Zjednał sobie Gorczakowa i liberalne koła dworskie perspektywą zażegnania kryzysu w Polsce ... Wyjednał

przywrócenie Królestwu odrębnego rządu, doskonałą ustawę o oczyszczaniu... Przeszła również ustawa o równouprawnieniu Żydów. Aleksander II zdecydował się wysłać brata, w. ks. Konstantego Mikołajewicza jako namiestnika Warszawy z Wielopolskim jako naczelnikiem rządu cywilnego — premierem *de facto* (ukaz z 8 czerwca 1862)". Marian Kukiel, *Dzieje Polski porozbiorowe, 1795-1921*, B. Świdzki, Londyn 1961, str 343-4.

Tragiczny splot okoliczności, który doprowadził do nowej katastrofy narodowej, jaką było powstanie styczniowe, jest sprawą zbyt skomplikowaną, aby rozważać ją w liście do redakcji. Chciałbym przypomnieć jednak, że nawet chwalcą tego powstania i jeden z jego bardziej utalentowanych historyków, Józef Piłsudski, rzucając pod adresem tej epoki wyzwanie: „Wielkości gdzie twoje imię?”, odpowiedź znalazł tylko w dwóch zjawiskach: pieczęcie powstańczego Rządu Narodowego oraz w potężnej postaci Margrabiego. Postawienie tych dwóch zjawisk obok siebie jest wymowne. Piłsudski rozumiał, że polityka Wielopolskiego była alternatywą powstania, które stało się nieuniknione tylko na skutek tragicznego załamania się tej polityki.

Podobną taktykę małych kroków zastosował w Galicji z powodzeniem zręczniejszy od Margrabiego taktik polityczny, Hrabia Agenor Gołuchowski, Senior. Polityka jego dała autonomię galicyjską z wszystkimi jej dla Polski korzyściami. Gołuchowski to był *mutatis mutandis* Wielopolski, któremu się powiodło w Galicji to, co Margrabiemu nie udało się w Królestwie.

Proszę przyjąć, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy mego szacunku.

M.K. DZIEWANOWSKI
Uniwersytet Stanu Wisconsin,
Milwaukee

Szanowny Panie Redaktorze,

Lapsusy i usterki już na początku „Jak kształtowała się wschodnia granica Polski” Piotra Eberhardta (*Zeszyty Historyczne* nr 90) podważają zaufanie do dalszych danych, a zwłaszcza cyfr opracowania autora:

Str. 3: „Należące do zaboru austriackiego Wołyń, Polesie i Wileńszczyzna”.

Str 5: „Po stronie sowieckiej zostawało województwo wołyńskie, stanisławowskie, lubelskie, białoruskie...”.

Str. 7: ostatni wiersz: Ostrowia M.

Czy nie byłoby wskazane poprosić autora o sprawdzenie całości i ogłoszenie poprawek, by można się było powoływać na jego opracowanie jako na źródło historyczne?

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia

Jerzy SZWEDE

P.S. Strona 7: „Po stronie niemieckiej Ustrzyki Górne, a po sowieckiej Ustrzyki Dolne”. Przypomina mi to, jak ktoś z Ustrzyk *via* Warszawa chciał zamówić rozmowę z Tokio. Telefonistka warszawska: Tokio? Jakie Tokio? — Japonia. — Japonia? O, o, o, Japonia! Już mam, zaraz łączę. Telefonistka japońska: — Pan mówi z Ustrzyk. Ale których Ustrzyk, czy z Ustrzyk Dolnych, czy z Ustrzyk Górnych?

Do
Redakcji *Zeszytów Historycznych*

P. Józef Lewandowski w artykule pt. „Ludowe Wojsko Polskie”, zamieszczonym w 89 numerze *Zeszytów Historycznych* w kilku miejscach powołuje się na moje słowa. Pragnąłbym sprostować kilka nieścisłości, spowodowanych, prawdopodobnie, zapomnieniem — po upływie wielu lat.

Najpierw okoliczności naszej znajomości i spraw na temat których rozmawialiśmy. Poznaliśmy się w Wojskowej Akademii Politycznej, gdzie byłem komendantem w latach 1956-58, a p. Lewandowski — wykładowcą historii. Rozmowy, na które powołuje się były związane z moim pobytem w więzieniu od I.XI.49 do 4.VII.54.

P. J. Lewandowski pisze (str. 8), że sowiecka agentura w Bezpieczeństwie pozbawiła w latach '58-60 wpływów w partii tzw. „Jurków” czy „rewizjonistów”, w Komitecie Centralnym, oraz ich odpowiedników w wojsku w latach 1958-60 (Jerzy Duszyński i inni). Owóż — nie wydaje mi się, żeby w tym czasie stosunki Gomułki z Moskwą były tego typu, by pozwalały na mieszanie się do obsady Sekretariatu przez urzędników sowieckich, jeśli zaś chodzi o odsuwanie od stanowisk w wojsku oficerów tzw. „rewizjonistów”, to znaczy tych, którzy przyszli ze Spychalskim, to przed r. 1960 tylko ja zostałem odsunięty ze stanowiska, które zajmowałem (ale nie usunięty z wojska w tym roku). Dalsze usuwanie zaczęło się po r. 1960, z chwilą objęcia stanowiska Szefa Głównego Zarządu Politycznego przez generała Jaruzelskiego. Wówczas usuwano też karnie, z pozbawieniem połowy emerytury, oficerów pochodzenia żydowskiego. Czy z tą akcją należy wiązać nazwisko Spychalskiego wydaje mi się wątpliwe, bo — po pierwsze — objęła ona bliższych jego przyjaciół, a po drugie — sam stał się ofiarą tych czystek w r. 1968.

Natomiast zupełnie zawodzi pamięć p. Lewandowskiego jeśli chodzi o rozmowy ze mną (str. 21). Pomieszał dwie różne sprawy. W roku 1956 rzeczywiście sądziłem, że Ochab odpowiadał za prowokacyjne procesy przeciwko oficerom — jako wiceminister Obrony Narodowej. Czy ośmieliłbym się jednak mówić publicznie o pierwszym sekretarzu partii, że ma ręce zbroczone we krwi — nie jestem pewien i nie pamiętam — ale nie ośmielałem się przeczyć. Natomiast zmieniłem zdanie o Ochabie w wyniku pracy w komisji do badania nadużyć w Informacji, prokuraturze i sądownictwie wojskowym (r. 1957). Przekonałem się wówczas, że Ochab w utworzonej r. 1953 komisji do zbadania działań w Informacji w sprawie Wacława Komara i towarzyszy, zapoczątkował odwracanie skutków procesów oficerskich, czego wynikiem było najpierw uniewinnienie mnie po procesie w dn. 4 lipca 1954 r., zwolnienie Komara i towarzyszy na jesieni 1954 r., następnie J. Kuropieski. Ochabowi też — osobiście — zawdzięczam wyrok uniewinniający: sędziowie chcieli, wbrew wnioskowi prokuratora o uniewinnienie, skazać mnie na 5 lat więzienia. On właśnie kazał sędziom (takie to były czasy) — uniewinnić mnie.

Rozmowę ze mną, o której mówi p. Lewandowski, odbył ze mną Ochab nie jako pierwszy sekretarz w r. 1956, a w więzieniu — na jesieni 1953 r. Zostałem wezwany w nocy, przy czym powiedziano mi, że będę mówił nie z oficerem śledczym a z wysokim funkcjonariuszem partyjnym. Bardzo ostro wypytywał mnie o całą sprawę. Potem wyraził się bardzo ujemnie o moim trybie życia, o którym podobno mówił mu kierowca, którego po mnie odziedziczył. Nie znałem wówczas Ochaba. I to ta rozmowa odbyła się o drugiej

w nocy. W jej wyniku zostałem przeniesiony z celi piwnicznej do ludzkich warunków życia, a w pół roku później uniewinniony. Znacznie później dowiedziałem się, że po interwencji u Bieruta, jeszcze w r. 1950 Ochab został pozbawiony (jako wiceminister do spraw politycznych) nadzoru nad Informacją wojskową, który to nadzór sprawował bezpośrednio marsz. Rokosowski, a w rzeczywistości — sam Bierut.

Po wielu latach w pamięci p. Lewandowskiego pozostała zbitka, którą pozwałam sobie sprostować.

Załączam wyrazy najgłębszego szacunku

Adam UZIEMBŁO

SPIS TREŚCI

Jerzy Polaczek: <i>Losy patrolu kpt. „Wani”</i>	3
W. Dworzyński: <i>„Sprawa prezydentury”</i>	19
Tadeusz Wyrwa: <i>Likwidacja ambasady R.P. przy Watykanie w latach 1958 i 1972</i>	49
Kajetan Bieniecki: <i>Frantic</i>	61

WYWIADY

Jan Ciechanowski: <i>Notatki z rozmów z gen. Tadeuszem Pelczyńskim</i>	77
--	----

CI, CO ODESZLI

Andrzej Zahorski: <i>Tadeusz Łepkowski (21 I 1927 — 16 XII 1989)</i>	96
Z.S. Siemaszko: <i>Ks. prałat Stanisław Belch</i>	99

DOKUMENTY

Gen. Izydor Modelski: <i>Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (próba syntezy) (cz. II)</i>	105
Tomasz Lenczewski: <i>Deklaracja płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława” z 8 września 1945</i>	188
<i>Polska w końcu 1945 r. w ocenie podziemia niepodległościowego</i>	196
<i>UB a PSL po ucieczce Mikołajczyka — listopad 1947</i> ..	206

RECENZJE

Benedykt Heydenkorn: <i>Etapy likwidacji ukraińskiej autonomii</i>	212
Z.S. Siemaszko: <i>Wilno 1939-41</i>	215
Jerzy Krzyżanowski: <i>Drugi brzeg Oki</i>	219

OKRUCHY HISTORII

Jan Nowak: <i>Rozmowa z Władimirem Horbowym</i>	222
Jerzy Polaczek: <i>Rozwiązanie zagadki z Czerepowca</i>	227
Andrzej Kempfi: <i>Śladami Rejtana</i>	229
Józef Kowalski: <i>Drobny przyczynek do polskiego antysemityzmu</i>	233

LISTY DO REDAKCJI

K.M. Dziewanowski: <i>Kilka uwag o postaci margrabiego Wielopolskiego w związku z artykułem Jacka Trznadla „Stan wojenny (czas generała)”. (Zeszyty Historyczne Nr 91)</i>	235
Jerzy Szwede: <i>Sprostowania do artykułu Piotra Eberhardta „Jak kształtowała się wschodnia granica Polski” (Zeszyty Historyczne Nr 90)</i>	236
Adam Uziembło: <i>Kilka uwag w związku z artykułem Józefa Lewandowskiego „Ludowe Wojsko Polskie” (Zeszyty Historyczne Nr 89)</i>	237

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, avenue de Wagram, 75008 PARIS

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

